Robert Richardson

Brytyjskie odkrycie kryminału

ofiary

C&T

Dla mieszkańców Finch, mieściny w Suffolk, Randall Jowett jest cichym nieznajomym wynajmującym domek na wakacje; dla Joyce Hetherington staje się kochankiem dającym szczęście, na jakie już nie liczyła. Ale pod tą ich namiętnością kryje się potworna tajemnica, która doprowadzić może tylko do tragedii.

Całe Finch żyje wciąż morderstwem Godwinów sprzed sześciu lat, kiedy to z zimną krwią podczas rabunku na farmie zabito pięć osób. Zabójców nie ujęto.

Któż miałby podejrzewać dwóch studentów z Cambridge, pochodzących z szanowanych domów i z Finch nijak nie powiązanych?

ISBN 83-87498-28-9

C&T

19,90 zł

Dla Jamesa

Robert Richardson

Diary

Przekład: MACIEJ MAJCHRZAK

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:

VICTIMS

Copyright © Robert Richardson 1997

Copyright © for the Polish edition by „C&T", Toruń 2002

Copyright © for the Polish translation by Maciej Majchrzak

Opracowanie graficzne:

SEBASTIAN OLSZEWSKI

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS" Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-87498-28-9

Wydawnictwo „C&T" ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2002. Wydanie I. Ark. wyd. 15; ark. druk. 16.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne sp. z o.o.

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Śmierć

Chociaż był pierwszym, do którego strzelano, Benjamin Godwin umarł ostatni, bo ciężkie skórzane siodło, jakie akurat trzymał przed sobą, po części go osłoniło. Kiedy nawałnica śrutu z dubeltówki rzuciła go w tył, a deszcz zbłąkanych odłamków skrzesał na czarnosrebrnych kamieniach w ścianie stajni pomarańczowe iskry, strzelec był przekonany, że taki stary człowiek nie mógł tego przeżyć. Pozostawił zatem Benjamina wykrwawiającego się na rozrzuconym sianie, z umysłem miażdżonym bólem i beznadziejnym strachem.

Mandy, dziesięcioletnia wnuczka Benjamina, gnając z krzykiem trwogi na ustach przez skryte w cieniu topól podwórze, gdzie pośród spłoszonych, rozgdakanych kurcząt zdawały się nieść jeszcze głuche echa wystrzału, biegła po swoją śmierć. Jęknęła, kiedy ze stajni wypadł na nią obcy mężczyzna. Drugi strzał przemienił jej spłowiała koszulkę w szkarłat i umarła, nim jej ciało zdążyło dokończyć w powietrzu wykrzywione marionetkowe salto.

Pierwsze, co ujrzała Annie Godwin, pojawiając się w drzwiach kuchni, to Mandy, leżącą bez życia obok traktora; ostatnie - postać stojącą od niej nie dalej niż o trzy metry i wyćwiczone palce wpychające do dymiących luf świeże naboje. Zbyt oszołomiona, by zareagować, by choć krzyknąć, do ostatnich sekund swojego życia stała kompletnie skamieniała, potrząsając błagalnie głową. Potem jednak niemal przyjęła z wdzięcznością to, co się stało, bo rzeczywistość i tak była już nie do zniesienia.

Thomas umarł w kuchni. Jak przystało na trzynastolatka, ze złością i junacką odwagą. Kopał, rzucał się z pięściami na tego, który unicestwił mu wszystkich najbliższych, lecz męstwo rozdartego serca było beznadziejne w porównaniu z siłą mężczyzny. Na odgłos wystrzału rzucił się do okna sypialni, skąd zobaczył swą zastrzeloną

siostrę, a zbiegłszy zaraz potem co tchu schodami w dół usłyszał śmierć babci. Nie myślał o ucieczce; tkwiąca w nim stal Godwinów hartowała się jeszcze pod Ypres i El Alamein, a nawet w rozpaczy Corunny, zaś jego włosy, tak jak u ojca, płonęły temperamentem Hoodów. Thomas padł więc stawiwszy opór, jak przed nim jego wojowniczy przodkowie.

Z uszami zakleszczonymi w piankowe słuchawki napełniające jej na wpół śpiący umysł Abbą, Cheryl, matka dzieci, nie słyszała pierwszych trzech wystrzałów na zewnątrz. Poderwała się jednak i krzyknęła, kiedy czwarty rozniósł się z hukiem po domu. Przez kilka sekund leżała na zdobnej sofie osłupiała i sparaliżowana wstrząsem, lecz już za moment, kiedy do salonu wpadł uzbrojony mężczyzna, poderwała się w panice. Wzdrygnęła się przerażona, kiedy podniósł broń.

- Nie - błagała. - Nie... proszę. Gdzie moje dzieci?

Gdy ruszył ku niej, krzyknęła i cofnęła się, zawadzając o polerowany stolik. Ledwie odzyskała na nowo równowagę, uderzył ją w twarz kolbą. Padła z jękiem u jego stóp. Wtedy wyciągnął z kieszeni dżinsowej kurtki piąty nabój; widziała go wyraźniej od całej reszty. Delikatne szkło żyrandola brzdęknęło gwałtownie wraz z ostatnim zawyciem śmierci.

Dwadzieścia minut później anonimowy biały mikrobus odjeżdżał stamtąd obładowany srebrami, wczesnym pejzażem podarowanym przez młodego Johna Constable'a swojemu przyjacielowi Matthew Godwinowi, parą pochodzących z ósmego wieku terakotowych chińskich figurek, rapierem z Toledo i mieczem germańskiego kata, złotym kielichem wykonanym na koronację Grzegorza IV oraz trzydziestoma okazami rzadkiej porcelany, z wazą zaprojektowaną podobno przez Josiaha Wedgwooda na czele. W rozległej, pustej błogości wypalonych słońcem jęczmiennych pól, tego popołudnia w Suffolk mikrobus był jedyną poruszającą się rzeczą, rozkołysaną wściekle na kamienistej drodze biegnącej od farmy. Pozostawiając za sobą wirujące kłęby siwego pyłu, dotarł do granicy posiadłości, zapiszczał oponami i skręcił gwałtownie w lewo. Nim jednak zniknął za horyzontem, powietrze rozdarł ostry zgrzyt skrzyni biegów oraz rosnący w swej natarczywości odgłos przyśpieszania.

Na podwórzu zapanowała cisza. Kurczęta zaczęły dziobać rozrzucone

ziarno, nerwowo unikając zbliżania się do ciała Mandy. Na krawędzi dachu domu przysiadła para kruków. W stajni spłoszony koń, zwietrzywszy zapach krwi, rżąc zaczął łomotać w drewnianą przegrodę swojego boksu, jakby chciał uciec od obecności walczącego tu ze śmiercią Benjamina. W kuchni, nad miedzianą patelnią unosił się smród spalonych owoców, duszonych na zimny letni pudding. Na monitorze w pokoju Thomasa, w rytm powtarzającej się syntetycznej muzyki, migotała jakaś gra w komputerową rzeź. Na dole zadzwonił telefon. I terkotał tak z minutę. A dobre dwie godziny później pod dębowym żłobem, zbudowanym jeszcze przez jego pradziada, skonał Benjamin Godwin.

Wszystko to miało miejsce pomiędzy 13:42 a 16:30 w środowe popołudnie, 11 lipca 1990 roku.

Wczesnym rankiem następnego dnia Sam Pulfer, jeden z pomocników Benjamina, przybywszy po swoje codzienne instrukcje, ujrzał najpierw ciała Mandy i Annie. Pośród szczebiotu i krzątaniny drobiu wyczuł od razu nieobecność człowieka. Ostrożnie zbliżył się do dziecka, którego widok był zbyt groteskowy, by się nań nabrać, dopóki nie znalazł się wystarczająco blisko. Wtedy dostrzegł krew na ciele upstrzonym żarłocznymi opalizującymi muchami. Poczuł się zobowiązany do odpędzenia ich, ich rozbrzęczanej obecności, będącej dodatkową nieprzyzwoitością. Nim dotarł do Annie, z daleka widział, że leży ona w pozycji, w której żywy człowiek nie mógłby dłużej pozostawać. Wpatrzony w jej otwarte oczy, czuł jakiś nienaturalny poszum niosący groźbę zła. Wzdrygnął się ze strachu, wchodząc do kuchni. Żar przemienił się tu w cierpki zapach bijący od zimnej, czarnej skorupy zastygłej na patelni. Zaciekawiona i podrażniona niebieskawa papużka przeskakiwała w swej klatce, zawieszonej pod sufitem przy oknie, w tę i z powrotem z kraty na huśtawkę; była jedynym żywym stworzeniem w tym domu. Widoku Thomasa, z twarzą wykrzywioną w konającej furii, tolerować już się nie dało. Pobladły Pulfer obrócił się i wybiegł na powietrze.

Otrząsnąwszy się, uświadomił sobie, że tego, kto odpowiedzialny był za to, na farmie już nie ma. Usiłując nie patrzeć na ciało chłopca przy kuchennym stole, wszedł z powrotem do środka, kiedy już i tak

przerażony odkrył zwłoki Benjamina Godwina - dłużny był farmerowi dziesięć funtów, co wprawiło go dodatkowo w irracjonalne poczucie winy. Telefon stał w korytarzu, nie zobaczył więc Cheryl.

- Policja? - To, że mógł komuś o tym opowiedzieć, sprowadziło nań niezmierną falę szoku i żalu. Jego głos załamał się i zmienił w rozpaczliwy charkot. Zaczął płakać jak wystraszone dziecko. - Pospieszcie się... farma Tannerslade... koło Finch... proszę... oni wszyscy... Jezus, Maria, Józefie Święty! Pomocy!

Kiedy nadjechał pierwszy radiowóz, zastali go w pół drogi od farmy, skąd widać było budynek, lecz nie ukrytą w nim grozę. Łkał nie mogąc się opanować. Sam miał troje dzieci. Przez ponad rok po tym wydarzeniu nie był w stanie zasnąć bez pomocy lekarstw, a wszystkie jego sny i tak nawiedzały koszmary.

Ostatnie akapity relacji z *Observera,* z niedzieli, 2 września 1990 roku brzmiały następująco:

Pięć sosnowych trumien, w tym dwie boleśnie małe, wyniesiono z kościoła między wielki tłum milczących żałobników. Powoli, uroczyście, z godnością poniesiono je ku stojącej w słońcu trawiastej polance pod cisami, gdzie otwarta ziemia swymi głębokimi, ponurymi dołami, przyozdobionymi wieńcami kwiatów, oczekiwała, by ich w siebie przyjąć.

Posępni mężczyźni na płóciennych pasach opuszczali trumny - Benjamina Godwina i jego żony, ich córki z jej dziećmi - podczas gdy wikary głosem mocnym, panującym nad okropnym żalem, wypowiadał obietnice kościoła dla wszystkich tych, którzy umierają w Panu. Oszołomiona smutkiem ceremonii, mała dziewczynka ścisnęła dłoń matki szukając uspokojenia, zaś pracownik farmy, skrępowany źle dopasowanym, pożyczonym czarnym garniturem, pochylił głowę, drżąc z boleści. W ostatnich chwilach modlitwy pomruk telewizyjnych kamer zamilkł. Słychać było tylko ptasi trel i cichy płącz dziecka.

Po modlitwie ludzie zwrócili się ku sobie ofiarowując sobie nawzajem słowa otuchy. Wikary stał jeszcze nieruchomo przy grobach przez chwilę, by potem podejść do członków najbliższej rodziny ofiar, by zamienić z nimi kilka zdań, nim odjadą stąd w cichych, czarnych limuzynach. I tak Finch, które od świtu wydawało się całkiem skamieniałe, powróciło ze smutkiem do swego spokojnego

wiejskiego życia, dotkniętego teraz śmiercią w tamto nieznośne popołudnie w Suffolk.

Z braku miejsca wycięto ostatnie akapity tej relacji, które miały brzmieć:

Oficerowie prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa dołączyli do żałobników. Stojący naprzeciw wejścia do kościoła trzej mężczyźni i dwie kobiety obserwowali każdego dyskretnie, ale uważnie. Przypominało to boleśnie, że ten, kto napadł na farmę Tannerslade, nadal pozostaje na wolności. W blisko sześć tygodni po tych zabójstwach zmasowana policyjna nagonka nie przyniosła żadnych aresztowań, ani też nie pojawił się - od momentu wykluczenia jakiegokolwiek związku z tą sprawą męża Cheryl Hood, pozostającego z żoną w oziębłych stosunkach - żaden prawdziwy podejrzany.

Ktokolwiek zamordował Benjamina Godwina i jego rodzinę, zniszczył również proste poczucie bezpieczeństwa tutejszej społeczności, wiarę, że brutalność występuje jedynie w niebezpiecznych, odległych miastach albo w powieściowych fantazjach, gdzie tragiczna śmierć nie powoduje tak realnych i straszliwych szkód.

Zabójcy

Czarna jak węgiel, posrebrzona księżycowym światłem rzeka sunęła jedwabiście pod mostem Clare. Głuchy, drewniany stukot zacumowanych łódek, kłaniających się sobie nawzajem na falującej lekko wodzie, był jedynym dźwiękiem, póki zegary nie wybiły trzeciej godziny. Poza dwiema sylwetkami na skośnym brzegu rzeki Cambridge wyglądało na opuszczone, a kaplice i budynki szkolne niczym zaginione cywilizacje oczekiwały świtu i odkrycia. Leżąc z dłońmi splecionymi pod głową, Giles Lambert przetrząsał w myśli resztki dziecięcego zamiłowania do astronomii i wpatrywał się w odległe konstelacje: Lutnię z jasnoniebieską Wegą, Łabędzia i Smoka, starożytnych Greków w bezgranicznym kosmosie. Obok niego, z łokciami na podciągniętych kolanach, paznokciem kciuka zdrapując korę z gałązki, siedział Randall Jowett. Koncentrował się na tym, próbując nadać ważność czemuś bezcelowemu, trzymać zgrozę na dystans. Tylko jego dwudziestojednoletnia duma powstrzymywała go od płaczu.

- Dlaczego ich zabiłeś? - Jego słowa pęczniały od nie uronionych łez, a głos w tej ciszy nie ośmielał się być głośniejszy od pełnego boleści szeptu.

- A co za różnica? - Lambert sprawiał wrażenie znudzonego, jakby wyjaśniał coś już po kilkakroć, a Jowett uparcie nie chciał zrozumieć. Poczuł poirytowanie, kiedy kolejna nazwa konstelacji pozostała tuż poza obręczą pamięci, dojrzana w przelocie, lecz nie określona jak najdalsze z gwiazd. - Zresztą nie miałem wyboru. Kiedy pękła mi ta zasrana gumka od maski, zobaczył moją twarz.

- Ale ty zabiłeś ich wszystkich! Łącznie z dzieciakami! Podjarało cię to, do kurwy nędzy?!

Lambert wyglądał na zadumanego, jakby sugestia ta była czymś nowym, ale i intrygującym.

- Chyba tak. Nie mogłem się już zatrzymać, jak raz zacząłem.
- Mówiłeś, że ten pieprzony gnat nie jest nabity.
- Ale był. - Lambert pokiwał do siebie głową, bo właśnie przyszła mu do głowy poszukiwana nazwa: Cefeusz, ojciec Andromedy - osiem gwiazd ponad czwartej wielkości. To była prześwietna noc. Pod nieskazitelnie czarną kopułą czerni utrzymywało się ciepło minionego dnia. Taką noc należałoby spędzić z chętną dziewczyną, a nie z panikującym facetem. - Najważniejsze, że wszystko się udało.

Jowett roześmiał się gorzko. - Z wyjątkiem tego, że pięć osób nie żyje!

- Teraz nic już na to nie poradzimy. Za to wszystko inne poszło doskonale. Nikt nas nie widział i mamy mocne alibi. Nikt nas z tym nie powiąże.
- Jezu...

Głowa Jowetta zawisła pomiędzy kolanami, jak gdyby wyzbycie się widoku Lamberta, mdło oświetlonych ścian college'ów, rzeki, drzew i trawy, a nawet nieba i samej nocy, miało pozwolić mu powrócić do stanu rzeczy, jaki był, nim zaczęło się to wszystko. Nim wynajął mikrobus; nim znaleźli farmę; nim Giles naszkicował wstępny plan; nim nastała ta noc w „Gog i Magog", kiedy tkwili nad szklanami gorzkiego piwska, bo były jedynym, na co mogli sobie pozwolić, oburzając się na fakt, że są permanentnie i żenująco spłukani, rzucając w żartach pomysły na zrobienie forsy - oficjalny uniwersytecki burdel, porwanie rektora (porzucony, bo w ich mniemaniu nikt nie zapłaciłby za jego powrót), „zorganizowanie" wyścigu łodzi - dopóki Giles nie zasugerował włamania...

- To co, panowie, zacznijmy może od moralnych argumentów na korzyść. „Każda własność została kiedyś ukradziona".

Randall zaśmiał się. - Daj se luz. Marksizm-leninizm już nie w modzie.

- Dzięki, Karl. Zadzwonimy, jak będziemy zainteresowani. - Na samym początku Giles korzystał sporo ze swojego poczucia humoru, czyniąc to, nad czym kontemplowali, łatwiejszym do przyjęcia, lżejszym jakoś. - No dobra, ty niezłomny kapitalistyczny gończy psie, na to mi odpowiedz w takim razie. Ile potrzeba człowiekowi, żeby

sklasyfikować go jako nieprzyzwoicie bogatego? Milion funtów, dziesięć milionów czy może sto milionów? Kandydaci mogą wybrać tylko jedną opcję.

- Milion. - Tyle ile miałby ojciec Randalla w przeciągu pięciu lat, gdyby seria wielce ryzykownych inwestycji nie obróciła się przeciwko niemu, a długi nie spotężniały jak bajkowe fortuny.

- Ergo, jeżeli człowiek ma dwa miliony funtów, odebranie mu połowy tego można uznać za usprawiedliwione. Bogaty pozostaje i tak, a że ma wszystko ubezpieczone, dostaje z powrotem co stracił i wcale mu się nie pogarsza. Natomiast znacznie poprawia się styl życia złodzieja. Wniosek: nie ma ofiary.

- A firma ubezpieczeniowa?

- Bzdura. Oni po całym świecie inwestują biliony. W parę sekund mogą zarobić pięćdziesiąt razy więcej niż to, co wypłacili.

- Ale w końcu ktoś płaci - upierał się Randall. - Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch, no nie?

- Oczywiście, że ktoś płaci - spuścił nieco z tonu Giles. - Oskubuje się bandę wieśniaków, która musi harować w fabrykach z Dalekiego Wschodu. O nich się martwisz? Jeśli tak, to idź i zmieniaj ten pieprzony świat. Ja mówię o nas, o tym, że jesteśmy tak spłukani, że nie stać nas na Big Maca, jeśli ma nam wystarczyć na czesne. My nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni...

- A jak nas złapią? - Jowett, ledwie zadawszy to pytanie, już zaczął je analizować. Czy strach przed pojmaniem przerażał go bardziej niż poczucie winy? Gdyby uszło im to na sucho, czy zacząłby to sobie jakoś tłumaczyć? Kogo by to z niego zrobiło?

- Takie ryzyko jest zawsze. Ale nie martwiło cię to wcześniej.

- Bo to miało być włamanie, a nie... to.

- Nie złapią nas. Dlaczego by mieli nas złapać? - Lambert usiadł. - Wyluzuj się. Spokojnie... Chyba nie masz zamiaru się przyznać? Po co? Zamkną nas, wyrzucą klucz, żeby społeczeństwo lepiej się poczuło, a tamci dalej będą martwi. My zrujnujemy sobie życie, a nikomu i tak nic z tego nie przyjdzie. Myśl realnie.

Jego spokój, opanowanie, argumenty w dyskusji były balsamem na strach i zszargane nerwy Jowetta, były kryjówką przed sumieniem.

Mógł się wycofać, kiedy była po temu pora. Żałowanie teraz, że tego nie zrobił, to daremność równa cofaniu słońca albo zawracaniu bezustannego biegu rzeki.

Skoro decyzja została podjęta, a Randall uświadomił sobie, że ma na to ochotę, bez żadnego przymusu, pierwszy krok okazał się kusząco prosty. Szukali odosobnionego domu, najlepiej oddalonego jakieś sto kilometrów od ich domów; Wschodnia Anglia nasuwała się tu niemal sama. Jeździli więc po wsiach na południe od Bury St Edmunds namierzając okazje, ale nie wiedząc, czy znajdą w nich warte kradzieży cenne przedmioty, a jeśli tak, jakie je chronią zabezpieczenia. Wtedy to zatrzymali się przed wiejskim sklepikiem, dokąd Giles udał się po papierosy, a skąd wrócił z wydawanym w hrabstwie magazynem, kupionym pod wpływem impulsu, bo może się przyda; wewnątrz był artykuł o farmie Tannerslade, od pokoleń należącej do tej samej rodziny, oczywiście nie biednej. Jedna z fotografii ukazywała kobietę z georgiańskim serwisem do herbaty i Constablem wiszącym na ścianie za jej plecami; inna natomiast, na tle błyszczących sreber i porcelany, mężczyznę trzymającego piętnastowieczny hiszpański miecz. Do tego komentarz w tekście: „Farmerski dom pełen tajemniczych skarbów". Że też pozwolono im opublikować takie otwarte zaproszenie do rabunku. Chyba po prostu byli zbyt ufni ci mieszkający samotnie ludzie, ten bezbronny starszy mężczyzna i ta kobieta.

Zlokalizowawszy farmę na mapie, przejechali obok niej tylko raz, lecz na tyle powoli, by z okna samochodu porobić zdjęcia. Znajdowała się około stu metrów od drogi, na końcu prostego, kamienistego traktu dojazdowego z rozjechaną trawą pośrodku. Za nią, niczym rząd wartowników, wyrastały lombardzkie topole, zaś z innej strony głogowy żywopłot. Przyległe pola leżały odłogiem, bądź mieniły się czymś, co wyglądało na jęczmień. Podczas tych kilku minut, kiedy ją obserwowali, nie mijał ich żaden pojazd, a jedynym innym budynkiem, jaki dostrzegali, był dach chaty postawionej w obniżeniu terenu prawie kilometr dalej.

Giles wywołał zdjęcia sam. „Ludzie dają się złapać, bo są głupi i zanoszą takie rzeczy do fotografa" - orzekł. Lekko rozmazane obrazy

podkreślały odosobnienie farmy. Przestudiowali je z lupą, starając się oszacować ryzyko i możliwości, lecz jedyne, co zidentyfikowali, to okno, które okazało się tym ze zdjęcia wnętrza w magazynie. Fakt, że wiedzieli teraz, które z pomieszczeń było najważniejsze, przyniósł im pewne poczucie sukcesu.

- Będę rzygać. - Stanąwszy na nogi, Jowett zachwiał się i rozdygotany zszedł po skarpie. Chwycił za sterczącą gałąź jaworu i zgiął się wpół w owym morderczym wysiłku wymiotowania, kiedy w żołądku nie ma nic do wyrzucenia.

Na dźwięk męczeńskich sapań i charkotów Lambert odwrócił się z niesmakiem. - Ciszej, bałwanie. W nocy to wszystko słychać.

Zamroczony nieco, Jowett zakołysał się na gałęzi. Przez chwilę wydawało się, że wpadnie do Cam. Skoczywszy na równe nogi, Lambert dopadł go dwoma długimi susami i odciągając gwałtownie do tyłu rozdarł mu kołnierzyk koszuli. - Chodź! Nie ma co tu siedzieć. Mam u siebie coś, co cię postawi na nogi.

- Niczego nie będę brać!

- Spokojnie, to dobry towar. Peterson mi sprzedał. Koleś jest OK. Potrzeba ci paru godzin odrealnienia.

Przykucając na trawie, Jowett pokiwał głową. - Nie ma mowy. Zabiłoby mnie to chyba.

Nagle Lambert stracił cierpliwość. Uklęknąwszy przy Jowettcie, zatopił palce głęboko w jego kościste ramiona i wściekle potrząsnął.

- Sam cię, w mordę, zabiję, jak nie wyluzujesz! Oni nie żyją! Jarzysz? Zrobiliśmy to. Jesteś, kurwa, tak samo jak ja winny. Ale nikt nas nie będzie podejrzewał, dopóki nie zrobimy czegoś głupiego. Więc nie zrobimy. Nie mam zamiaru poświęcać temu reszty mojego pieprzonego życia.

Rzucił Jowettem o trawę, jakby wyrzucał jakiś śmieć, po czym wstał, wlepiając wzrok w ocienione, masywne mury kaplicy King's College. A Jowett patrzył teraz w niebo; w gwiazdy, których nazwać nie potrafił, w kremowy księżyc, w mrugające światełka odrzutowca, wysoko, wysoko tam w górze. Z dwiema setkami ludzi, śpiących zapewne, mimochodem przemykających przez jego świadomość. Ludzi niewinnych, którzy tak zwyczajnie mogli odlecieć.

* * *

Randall nie potrafił pojąć, dlaczego coś tak bez znaczenia jak wiatrowskaz na szczycie domu - sylwetkę wędkarza wyciętą z metalu, ciemną na tle intensywnego błękitu nieba, pamięta tak żywo. Zauważył też wtedy, że ktoś niemało musiał nakłopotać się ze szczegółami: czubatym kapeluszem, zarysem gumowców do pasa, wędziskiem coraz cieńszym aż po żyłkę. Za wysoko to było, żeby mieć pewność, ale w ustach wędkarza tkwiła chyba nawet mała fajeczka. Popołudnie było bardzo spokojne, miniaturowy człowieczek stał zwrócony twarzą na południowy zachód, w bezruchu. Dlaczego to tak mu się utrwaliło? Może dlatego, że była to pierwsza rzecz, jaką po dotarciu na farmę zobaczył z pełną przytomnością, jakiś dotyk domowego życia, symbol normalności. Ujrzał ją przez dziurki plastikowej, karykaturalnej maski Margaret Thatcher - Giles kupił dwie takie w zatłoczonym W.H. Smith's, w sobotę rano, kiedy trudniej go było zapamiętać; wciąż zwracał uwagę Randalla na swoją dbałość o najdrobniejsze szczegóły.

- Nic nie mów - ostrzegł go raz jeszcze.

Po tym, że poczuł potrzebę powtórzenia tak podstawowej zasady, można by odnieść wrażenie, że był podenerwowany, ale Randall, sztywny z podniecenia, nie myślał o tym. Giles sięgnął za siebie i z metalowej podłogi mikrobusu podniósł dubeltówkę. To tak na postrach, zaznaczył; w razie gdyby stawiali opór.

Z początku myśleli, że w domu nie ma nikogo. Podwórko było bowiem puste, a po tym jak Randall zgasił silnik, nie dochodził ich żaden dźwięk. Obok traktora parkowały trzy samochody: vauxhall, volvo i golf.

- Okna są otwarte - mruknął Giles. - Muszą być gdzieś tutaj.

Wysiedli, pomimo całego planowania nie do końca pewni, co mają robić. Randall kombinował wcześniej, że zapukają do drzwi, wymierzoną bronią niemo nakażą spokój temu, kto otworzy, wejdą do środka, zastaną tam resztę domowników, poprzywiązują ich do krzeseł, załadują mikrobus...

- Stajnia!

Randall również to usłyszał - to skrzypienie, ten szelest stóp na suchym sianie, głośny w kipiącym popołudniu. Znajdująca się przed

nimi ściana była ślepa, nim więc rzucili się na jeden jej koniec, podbiegli do niej i przylgnęli. Parodia małych chłopców naśladujących w zabawie w policjantów i złodziei telewizyjnych bohaterów. Randall poczuł nagły impuls do ucieczki, oblała go fala paniki... Za późno. Giles dopadł już krańca ściany i z podniesioną dubeltówką skręcał za węgieł.

- Ktoś ty, u diabła? - Pytanie było agresywne, na wpół wykrzyczane, bez lęku.

Krzyk Randalla wtopił się w pierwszy wystrzał. Randall poczuł ciepło w kroczu. Zmoczył się. Usłyszał przekleństwo z ust Gilesa, potem zaś krzyk przerażenia dobiegający z domu. Następne chwile były równie nie do opanowania co zdarzenia na filmie. Kiedy Giles wyłonił się ze stajni, na podwórze wpadła mała dziewczynka; zdawała się w ogóle nie bać, gdy zbliżał się do niej. Chyba jej nie... Kiedy Giles zastrzelił ją, Randall grzmotnął tyłem głowy w kamienną ścianę, raniąc się, potrzebując cierpienia, po czym przycisnął ręce do brzucha. Wtedy pojawiła się tamta starsza kobieta. To bez sensu, że stała tak w progu, kiedy Giles, pogrzebawszy w kieszeniach, ładował broń. Na litość boską, uciekaj... Teraz już nie mogła.

Nogi Randalla ugięły się pod nim. Osunął się po ścianie stajni, siadając w wilgoć własnej uryny i łkając z przerażenia. Z wnętrza domu doszły jego uszu stłumione strzały, czwarty i piąty. Nie zdawał już sobie sprawy z niczego, dopóki nie poczuł na nodze nagłego kopnięcia.

- Rusz się!

- Już... niby... kurwa... że co...? - Nie wiedział, jak udaje mu się stanąć na nogi, ale przynajmniej mikrobus...

- Gdzie idziesz, kurwa? Musimy zabrać towar.

- Towar? A tak. Towar. Racja. - Nad swoją mową nie panował ani krzyny bardziej niż nad swoim zachowaniem.

Wszedł za Gilesem do domu, gdzie widok dwóch kolejnych ciał nie mógł już pogłębić rozgorzałego do granic strachu. W gumowych rękawiczkach kleiły mu się dłonie, ale na polecenia Gilesa zbierał jakoś najcenniejsze przedmioty i składał je na stoliku w salonie.

- Zdejmij obraz, a ja przyniosę worki - rzucił Giles. Constable wisiał nad sofą, przed którą leżała kobieta. Randall usiłował nie patrzeć w dół, kiedy przechodząc nad nią, bąknął „Przepraszam", jakby właśnie

zachował się nieprzystojnie. Otarłszy się o nią kostkami, przez cienkie skarpetki poczuł na krótko ciepło jej ciała. Wszedł na sofę i walcząc z ramą wyciągnął z porowatego tynku kołek. Odłamki sypnęły w dół, odbijając się o oparcie sofy. Jeden większy wylądował w rozbitym oku kobiety, z którego zaraz zaczęła wyciekać krew. Z leżących obok niej na dywanie słuchawek sączyły się stłumione, blaszane dźwięki disco popu.

- Mam.

Giles wrócił z czarnymi workami na odpadki. Jeden z nich uniósł w górę i strzepnął nim zamaszyście, tak że cienki plastik zaszeleścił, otwierając się. Srebra powrzucał doń niedbale, natomiast porcelana i szkło zajęły mu trochę więcej czasu. Kiedy napełnili już pięć worków, wynieśli je za jednym razem do mikrobusu.

- Gdzie twoja maska? - Gdy włożyli do wozu ostatnie worki, Randall zorientował się nagle, że widzi twarz Gilesa.

- Kurwa, pewnie w stajni. Zawróć wóz.

Przebiegłszy przez podwórko, zniknął na wieczność, jak się wydawało, po czym wyłonił się niosąc maskę z białą pętlą gumki dyndającą luźno z jednego ucha. Kiedy otworzył drzwi od strony pasażera i wdrapał się do środka, Randall mocował się z pasami.

- Zostaw to, palancie! - Giles wyciągnął rękę i zdzierając Randallowi maskę rozpłatał ją na pół. - Ruszaj, do ciężkiej cholery!

- Jak myślisz, znaleźli ich już?

- W telewizji nic o tym nie było. To dobrze. Do rana nie mogą zacząć śledztwa. - Lambert zastanawiał się, czy Jowett poczuje się lepiej, jeśli jeszcze raz rozważą przedsięwzięte środki ostrożności. - Pomyśl, Randy. Przetestowaliśmy ten cholerny plan na maksa. Wszyscy myślą, że byliśmy w Londynie. Pokazaliśmy im przecież, co kupiliśmy, nie? Nikt nie wie, że wysiedliśmy w Luton i pojechaliśmy mikrobusem.

- Ale podałem im moje prawdziwe nazwisko, kiedy go wynajmowałem!

- Już o tym dyskutowaliśmy. Gdyby to sprawdzali i znaleźli coś nieuczciwego, mogliby być podejrzliwi. A tak to byłeś tylko kolejnym klientem, który chciał wynająć na jeden dzień mikrobus. Dlaczego

ktokolwiek miałby wiązać to z czymś, co zdarzyło się dobre sto kilometrów dalej?

- Ktoś mógł widzieć, jak odjeżdżamy z farmy.

- Pomyśl, głupolu. Dopóki nie przejechaliśmy przez wieś, nie widzieliśmy żadnego pojazdu. Więc nawet gdyby nas ktoś zobaczył, to myślisz, że niby co zobaczył? Mikrobus z dwoma facetami w środku. Mało to takich? Tobie się wydaje, że zaraz by się ktoś zatrzymał i zapisał sobie kolor, markę i numer. Tak na wszelki wypadek, gdyby było jakieś morderstwo, a policja szukała świadków. Pewnie, ludzie na okrągło tak robią! Przecież uważaliśmy, żeby nie zostawić w mikrobusie żadnych śladów. Wykorzystaliśmy czyste plastikowe worki i wytarliśmy kierownicę, nim zwróciliśmy kluczyki. Zresztą, jak, do diabła, policja ma go znaleźć? Na drogach są, kurwa, miliony wynajętych mikrobusów. Odcisków palców też na farmie nie zostawiliśmy.

- A... ślady opon czy coś takiego?

- Nawet gdyby jakieś były, są bezużyteczne, chyba że dowiedzą się, co je zrobiło. Ale nawet niech ci ich eksperci odkryją markę po śladach opon, to i tak gówno z tego. Chyba żeby mieli kogoś z kryształową kulą, kto powiedziałby im: „Ej, a dlaczego nie przyjrzeć się mikrobusom wynajętym w Luton? Złapiemy ich wtedy". Policja to nie Sherlock Holmes, Randy, to grube, tępe kluchy. Ciuchy i buty, które mieliśmy na sobie, są w tym mechanicznym pojemniku w... Chryste, już nawet nie pamiętam, gdzie to było. Zresztą worek z nimi do teraz jest już zgnieciony przez Bóg wie co. Daj spokój, zadbaliśmy o wszystko.

Giles twierdził, że tylko głupie świry dają się złapać, a drugoroczni studenci Cambridge takimi nie są z definicji. Podeszli więc z początku do swego pomysłu jak do jakiegoś fragmentu naukowych badań, czytając o policyjnych dochodzeniach, oglądając telewizyjne rekonstrukcje zbrodni, wyłapując momenty, gdzie przestępcy popełnili fatalne błędy. Ciekawe było to, że w rzeczywistości występowało dużo więcej zwariowanych zbiegów okoliczności niż w powieściach. Jeden facet został złapany, bo widziano jak mija dom dokładnie w chwili, gdy strzelono gola w finale Pucharu, co zniweczyło jego alibi; w innym z kolei przypadku policja wyśledziła zabójcę dziewczyny,

ponieważ tak się złożyło, że taksówkarz ze stacji Waterloo zauważył jej buty, facet zapisywał numery samochodów w związku z kompletnie nie związanym z tym zabójstwem włamaniem w tej samej okolicy, gdzie porzucono ciało, a asystent dentysty znalazł odlew zębów mordercy, który, jak sądzono, był już dawno w śmieciach. Giles odrzucił takie incydenty jako teorię chaosu, nie wartą brania pod uwagę. W końcu ileż kryminalnych zagadek nie zostało rozwikłanych, dlatego że nie zdarzyły się takie wariackie przypadki?

Nie byłoby powodu ich podejrzewać, ale alibi mieć powinni i tak. Dwa tygodnie przed skokiem Giles pojechał do Londynu, gdzie zapłacił gotówką w sklepie płytowym Virgin oraz za ubrania w Mr Byright na Oxford Street, wyrzucając paragony, ale zatrzymując firmowe torby. Rozmiary Randalla znał, a zakupy robił, kiedy oba sklepy były najbardziej zatłoczone. Wrócił, gdy jego rodzice byli już w łóżku, tak więc nie widzieli, co kupił. Kiedy przyjechał spędzić kilka dni z Randallem, wszystko miał w plecaku. Schowali to w bagażniku samochodu Randalla, nie wyjmując z firmowych toreb. Giles przywiózł też swoją dubeltówkę; zarówno on jak i jego ojciec byli jej licencjonowanymi posiadaczami, tak że strzelał już odkąd skończył czternaście lat. Ojciec wyjechał, a matka i tak nie zauważyłaby, że brakuje jednej ze strzelb. Obiecał Randallowi, że nie będzie nabita, ale niby dlaczego ktoś miałby oddawać swoją własność nie uzbrojonym facetom? Randall czuł się niezręcznie, lecz teraz plan nabrał już takiego rozpędu, że porywał go ze sobą. Nie wiedział, że torba, w której Giles niósł broń i ciuchy, w jakie miał się przebrać przed napadem, zawiera również naboje.

Z domu Randalla wyjechali wcześnie rano, zaparkowali w pobliżu dworca Bedford i kupili powrotne bilety do Londynu. Pociąg był przepełniony. Znaleźli się pośród kilku pasażerów wysiadających w Luton. Giles dodał temu wszystkiemu farsowego smaczku przyklejając sobie wąsy; wyglądał idiotycznie, ale stwierdził, że to zwodzący szczegół, który ludzie zapamiętają, gdyby, co wielce nieprawdopodobne, ktoś zauważył ich i podał policji rysopisy. Odebrali mikrobus, zamówiony telefonicznie poprzedniego dnia. Kiedy recepcjonistka sprawdzała jego prawo jazdy, Randall wspomniał wymijająco, że pomagają przyjacielowi w przeprowadzce, i zapytał, kiedy najwcześniej będzie można wóz zwrócić. Odpowiedź brzmiała: o dziesiątej następnego ranka, choć

jeśli zatankowaliby do pełna, mogli też wcześniej wrzucić kluczyki przez drzwi.

Giles nalegał, żeby zabezpieczyć się przed pozostawieniem w mikrobusie śladów ich obecności i w chwili wsiadania założyć gumowe rękawiczki. Kiedy jechali do Suffolk, na tyle na ile to możliwe trzymając się głównych dróg, tak rozważał podjęte środki ostrożności, jakby podziwiał dobrze napisaną pracę. Postój na lunch nie wchodził w rachubę - ktoś mógłby ich zapamiętać - zresztą i tak żaden z nich nie był głodny. Uważnie obserwując znaki ograniczenia prędkości, w pobliże farmy Tannerslade dotarli przed wpół do drugiej, a więc na czas, który Giles wyliczył z góry; ludzie rzadko składają sobie wizyty w porze lunchu, dlatego para powinna być sama. Zjechali na pobocze drogi i po kolei przechodzili na tył mikrobusu, by założyć dżinsy, dżinsowe kurtki, stare koszule i znoszone trampki - nieokreślone ciuchy, później do wyrzucenia. Napięcie, które niedostrzegalnie zaczęło rosnąć przy planowaniu, stało się jaskrawsze przy zapewnianiu alibi, a nieubłagane odkąd wyruszyli rano, działało niczym stymulator. Gdy ich oczom ukazała się brama farmy, oddech Gilesa przyspieszył, a usta Randalla wyschły. Odległość zmniejszała się. Giles mrucząc dodawał sobie odwagi. Zakręt. Stop. Maski. Do roboty.

Kiedy jadąc z powrotem dotarli do głównej drogi, Randall od kilku minut bełkotał pod nosem. Giles warknął na niego, a mikrobus zboczył szaleńczo.

- Zwolnij, głupku!
- Oni nie żyją! Wszyscy nie żyją!

Przez szarpiącą nerwy chwilę Giles myślał, że mikrobus rozbije się w rowie, chwycił jednak za kierownicę, zmieniając kierunek jazdy.

- Uważaj! O tu... zatrzymaj się. - Randall posłuchał, a Giles wyskoczył i podbiegł od strony kierowcy. - Suń się. Ja poprowadzę.
- Nie masz przecież pełnego prawka. Musisz mieć jedynkę.
- Jedynkę! - krzyknął Giles. - Kurwa jego mać! Rusz się!

Randall przegramolił się na siedzenie pasażera, robiąc miejsce Gilesowi, który, wsiadłszy, mocował się jeszcze z drążkiem zmiany biegów, nim mikrobus ruszył ze skokiem do przodu. Randall patrzył

przez boczne okienko, dygocząc w stłumionym, histerycznym szlochu; oblepione gumowymi rękawiczkami dłonie zaciskały się zawzięcie w pięści.

- Za minutę się zatrzymam - zapewnił Giles, kiedy minęli znak witający w Finch ostrożnych kierowców. - Jak tylko stąd znikniemy. Otwórz okno. Złap trochę powietrza.

Randall pokręcił rączką w drzwiach i wystawił twarz na uderzenie wiatru. Giles od czasu do czasu zerkał na niego. Wreszcie minęli wieś, wjeżdżając znów na opustoszałe drogi. Przez te dwa lata, odkąd się poznali, Randall zawsze podatny był na perswazję. Dał się nawet namówić Gilesowi na branie narkotyków, na które ostatnio nie było ich już stać. Giles zaczął wypatrywać jakiegoś miejsca na postój; nie nazbyt widocznego, takiego, gdzie mikrobus mógłby pozostać niedostrzeżony i nie zapamiętany, i najlepiej, żeby to było zaraz. Po lewej pojawiły się drzewa. Zauważył prowadzącą pomiędzy nie wąską, piaszczystą ścieżkę. Mikrobus zakołysał się na zaschniętym błocie. Giles zatrzymał go, bojąc się, że uderzy w coś i porysuje karoserię.

- No dobrze - odezwał się. - Tylko parę minut. Tu ktoś może być. Chcesz rzygać?

Randall potrząsnął głową. - Powieszą nas.

- Na litość boską, przestali ludzi wieszać wieki temu! Zresztą i tak nas nie złapią.

Randall odwrócił się do niego z nieufnością. - Mówisz, że... my... że przejdziemy sobie nad tym do porządku dziennego?

- A co innego? - Randall skrzywił się, gdy Giles, ten, który zawładnął jego umysłem, pochylił się ku niemu. - Wiesz, jaka jest następna faza. Wszystko przecież opracowaliśmy. Po prostu róbmy tak, jak miało być, okej? Potem pogadamy. Do obgadania jest dużo, ale na razie nie możemy robić w majty.

- I co? Mamy tak po prostu dalej to ciągnąć? Ukryć towar, jak planowaliśmy, a potem pójść do domu?

- Właśnie tak - odparł Giles. Ponieważ Randall milczał, przechylił się przez niego, otwierając mu drzwi samochodu. - Zresztą, co tam, możesz sobie wysiąść. Wróć do wioski, znajdź jakiegoś gliniarza i powiedz mu o wszystkim. Daj mi tylko czas, żebym stąd odjechał. Chcesz tego?

- Nie.

- No dobra, to zamknij drzwi.

Giles zapalił silnik i usiłował znaleźć wsteczny bieg. Randall zatrzasnął drzwi, świadom, że nigdy nie powinien był się zgadzać na to wszystko. Teraz jednak niczego nie dało się już cofnąć.

Znalazłszy się na powrót w granicach hrabstwa Bedford, zatrzymali się przy odosobnionej zatoczce. Tu Giles zanurzył się w krzaki, by schować torby, natomiast Randall przeszedł na tył i przebrał się, upychając maskę oraz ubrania, które miał na sobie na farmie, w plastikowym worku. Wróciwszy, Giles zrobił to samo. Ryzyko, że ktoś znajdzie torby w przeciągu najbliższych kilku godzin, było minimalne. Zaraz za Luton skręcili na miejskie wysypisko śmieci, gdzie Giles, minąwszy na piechotę oczekujące samochody, wrzucił worek z ubraniami do pojemnika, na pastwę mechanicznych stalowych szczęk, co zgniotły go razem z ogrodowym zielskiem, budowlanymi odpadami, domowymi śmieciami i parą zniszczonych leżaków. Mikrobus zwrócili przed szóstą, po czym pierwszym pociągiem pojechali do Bedford. Wróciwszy do domu Randalla, pokazali tam to, co, jak mówili, kupili w mieście; prezent Gilesa dla pani Jowett w podzięce za goszczenie go - apaszka z największymi zabytkami Londynu - zrobił swoje.

Randall ledwie nad sobą panował i Giles bał się, żeby nagle się nie rozkleił. Isobel Jowett niczego jednak nie zauważyła, przytłoczona ponurą wizją znalezienia się w jakimś obcym świecie, gdzie koszt wizyty u fryzjera staje się problemem. Jedyne, co miało dla niej znaczenie, to fakt, że kryzys finansowy jej męża odmawia jej prawa do rozrywki, kiedy ma na nią ochotę; że nie będzie mogła zostać kapitanem damskiego klubu golfowego, bo nie będzie jej stać na członkowskie składki. Kiedy Giles wspomniał o spotkaniu w pociągu starego kumpla, który zaprosił ich na wieczór, i o tym, że impreza może się przeciągnąć, ledwie zwróciła na to uwagę. Z domu wyszli przed dziewiątą.

Randall powiedział, że nie może nic jeść, natomiast Giles kupił sobie chińszczyznę na wynos i zjadł ją w samochodzie. Potem poszli na drinka; było jeszcze jasno, a przed zmrokiem do zatoczki wracać nie mogli. Wybrali zatłoczony pub, gdzie nikt by ich nie zapamiętał; Giles zauważył, że przemyśleli - on przemyślał - nawet najdrobniejsze szczegóły. Nie mógł wyczuć, czy Randall uspokoił się, czy też popadł

w jakiś bezwład; nic nie mówił, a dwóch młodych mężczyzn siedzących przy drinku w milczeniu mogło zwracać uwagę. Wobec tego Lambert zaczął być gadatliwy, opowiadał kawały, wymyślał plotki z college'u, zadawał pytania, które zmuszały Randalla do odpowiedzi.

Kiedy nastała pora *Wiadomości o dziesiątej,* obaj spojrzeli w telewizor nad barem. Niczego się nie dosłuchali, ale obrazki George'a Busha, głodu w Afryce, gwiazdy rocka całującej supermodelkę oraz zawodów krykieta świadczyły, że wielokrotny mord w Suffolk nie był tematem przewodnim; niedługo trwało, gdy ktoś zmienił kanał.

Kiedy wychodzili, by ruszyć przez ciemność do zatoczki, w pubie nadal było tłoczno. Podczas gdy Giles wyciągał worki, Randall stał przy drodze obserwując zbliżające się światła. Dwa razy wołał ostrzegawczo i krył się za drzewo, ale za każdym razem samochody przemykały dalej. Gdy wrócili do Cambridge, było już po północy, nikt więc nie widział, jak wyładowują worki na otoczonym ścianami podwórzu za domem, gdzie mieszkał Giles, i wnoszą je na górę schodami przeciwpożarowymi. Randall zaraz nastawił telewizor na najświeższe wiadomości, ale jedyną wzmianką o morderstwie było zasztyletowanie kogoś w Tyneside.

- Wychodzę - powiedział nagle.
- Gdzie?
- Byle gdzie. Przejść się.
- Pójdę z tobą.
- Nie, w porządku. Wolałbym...
- Idę.

Pozostawiony samemu sobie, mógł pójść prosto na najbliższy posterunek...

W efekcie wylądowali na opuszczonym rzecznym brzegu. Dwie sylwetki pomiędzy czarnymi jak węgiel drzewami, rozmawiające cicho o winie i usprawiedliwieniu, o strachu i dla strachu pogardzie. Jowett zdał sobie sprawę, że znalazł się na moralnej pustyni, gdzie wina była tak gigantyczna, że poza wszelkim odkupieniem. Wartości, jakich go nauczono, bądź jakie sobie przyswoił, obróciły się teraz wniwecz. Nie przyznał się - nie wrócił do wsi, kiedy Lambert dał mu

taką możliwość - gdyż niezdolny był do jakiegokolwiek działania. Wspomnienie jego wzmożonej dziewięcioletniej fantazji wywołującej Diabła z najciemniejszego kąta pokoju, z rogami, naznaczającego go dla piekieł, wróciło natrętnie. Dziecięcy przesąd, silniejszy od rozumu, zamienił się w szaloną przepowiednię. Nie mógł już myśleć.

Lambert zaś, niespodzianie, spostrzegł, że wspomina swoją babkę, uprzywilejowaną za sprawą zamożnych rodziców i jeszcze zamożniejszego męża, gardzącą każdym, kto ośmielał się kwestionować wyższość pieniądza i pozycji. Wspominał tę srogą, odległą, władczą kobietę, która nie zwracała nań żadnej uwagi, dopóki nie stał się na tyle duży, by rozumieć, co mówiła, i podążać za jej przykładem. Która z dumną melancholią wyciągała oprawne w skórę albumy i pokazywała mu fotografie w kolorze sepii dawno nieżyjących już Kemp-Howardów, to w Biarritz, to przy bentleyu ze składanym dachem w Ascot, to z ustrzeloną pardwą na szkockich polach, to znów w towarzystwie odzianych na biało stewardów na pokładach transatlantyków. Która zauważyła kiedyś, że prawa zostały ustalone przez ludzi z jej klasy, po to, by kontrolować klasy niższe. Wiek, w którym przyszło jej się zestarzeć, uważała za wstrętny i bolała nad faktem, że Harrow odrzucił jej wnuka i że nie będzie on miał tym samym żadnego osobistego dochodu.

„Co by się nie zdarzyło, Giles - powiedziała mu w swej ostatniej chorobie, śmiało gotując się do wejścia w Niebo, zorganizowane na boku przez Konserwatywnego Boga dla jego wybrańców - pamiętaj, że jesteś dżentelmenem i że to, co robi dżentelmen, jest zawsze poprawne..."

Jego czternastoletni instynkt naśmiewania się z takich staroświeckich postaw milknął wobec lęku przed nią, wobec faktu, że musiał kochać kobietę, której kochać się nie dało... wobec faktu, że tym, co sobą reprezentowała, były pieniądze. I tak oto w tym, czego go uczyła, znajdywał teraz swoje zepsute usprawiedliwienie.

Następstwa

Popełnione w pieskie dni lata, kiedy to wieści rozchodzą się powoli, morderstwa, za sprawą dziennikarzy wymyślających coraz to nowe okoliczności, aby podtrzymać całą sprawę na chodzie, pozostały krzycząco głośnymi. Jowettowi wydawało się, że ludzie o niczym innym nie mówią, żył w stałym, irracjonalnym przeświadczeniu, iż nosi na sobie widoczne piętno winy. Przyznać się nie mógł, choć czasem obnażyć się byłoby dlań niemal ulgą. Sytuacja stała się surrealna, kiedy ojciec poprosił go o podpisanie petycji wystosowanej przez Bedfordzki Związek Konserwatystów o przywrócenie kary śmierci. Ledwie napisał swoje nazwisko - jakże mógłby odmówić? - wydało mu się szaleństwem, że nikt się nie pozna na tak wierutnym kłamstwie.

Na początku sierpnia uciekł, by popracować na międzynarodowym obozie pod St Raphael, lecz nawet i tam inni studenci pytali go o *les tueurs de Tannerslade... Une affaire atroce... et Cambridge, c'est loin du Suffolk?* Pił tanie wino, dopóki nie robiło mu się niedobrze, a którejś nocy odepchnęła go jedna dziewczyna, kiedy to, co miała za słodkie kochanie się z przystojnym Anglikiem, przeobraziło się w furię gwałtownego seksu. Po tym zajściu ona i jej koleżanki omijały go z daleka, każąc chłopakom robić tak samo. Ich dystans oznaczał „nie mam więcej pytań", ale Jowett już i tak za bardzo czuł się wyrzutkiem, by miało to jakieś znaczenie. Musiał zobaczyć się z Lambertem - jedynym, który, obok niego, znał prawdę - lecz ten pracował gdzieś w Hiszpanii i nie zostawił adresu. Jowett zadzwonił do niego tuż przed rozpoczęciem nowego semestru, ale on nie chciał rozmawiać przez telefon i odmówił spotkania przed powrotem do Cambridge. Kiedy się wreszcie spotkali, Lambert był jakiś niecierpliwy.

- Wyluzuj! - warknął. - To już prawie trzy miesiące. Nie ma mowy, żeby nas znaleźli. Chyba że ty coś schrzanisz. Widziałeś, co piszą w gazetach...

- Nie czytam już gazet. Nie mogę... Nie śmiem.

- Co za dupek z ciebie... Ostatnio podali, że zdaniem glin to gang z Essex. I dlatego wypuszczają męża.

- Jakiego męża?

- Chryste, ty w ogóle wiesz cokolwiek? Ojca tych dzieciaków. Był z nią w separacji i podejrzewali go. To oczywiste. Te relacje, które czytaliśmy, wskazywały, że morderstwo jest zbrodnią rodzinną. Facet miał w każdym razie alibi, dlatego teraz koncentrują się na zawodowcach. Mówią, że nie wyglądało to na amatorską robotę. - Lambert sprawiał wrażenie zadowolonego, jak gdyby tamto było hołdem dla jego zdolności.

- I nic się nie martwisz mimo to?

- Gdzie tam.

Odtąd każdy dzień był zły; przypominał, że czeka tylko na okazję, by wciągnąć Jowetta w zasadzkę oskarżenia. Wyczerpanie przynosiło niespokojny, płytki sen, po którym bardzo wcześnie powracała świadomość; nie stopniowo, lecz z palącym błyskiem, jakby jakaś lampa łukowa włączała się w mózgu...

Byłeś tam, widziałeś morderstwo i nie zrobiłeś nic, żeby mu zapobiec, okradłeś zabitych, nie przyznałeś się... Policja poluje na ciebie... To była taka śliczna dziewczynka, na tej fotografii pod nagłówkiem „ ZAMORDOWANI Z ZIMNĄ KRWIĄ”... Jak się to wyda, wszyscy cię potępią... Twoją matką będą gardzić za to, że cię poczęła... Policja pobije cię i powie, że stawiałeś opór przy aresztowaniu... a potem rzucą się na ciebie więzienne szumowiny - nawet najgorsze z nich nienawidzą zabójców dzieci - i którejś nocy będziesz sam w swojej celi, i wtedy przyjdą... To nie będzie tak raz dwa; ujrzysz wstręt w ich twarzach, kiedy będziesz krzyczał...

Lecz u Jowetta było już po krzyku; budząc się, leżał przez kilka minut z zamkniętymi oczami, pogodzony z obrazami odnowionej męki, po czym jego powieki zaciskały się mocniej, jakby siłą chciały te obrazy stłamsić. Emocjonalny wysiłek, potrzebny by się ruszyć, stał się niby choroba mrożąca nocą jego mięśnie, z bólem więc musiał dźwigać własne członki w kolejny do przetrwania dzień.

Od chwili gdy wstawał, rozpoczynała się ścisła procedura. Radio

było nastawione na kanał z muzyką pop, więc koncentracja na każdej piosence, bez względu na to jak banalnej, zajmowała jego umysł podczas mycia się i golenia. Przygotowanie najprostszego śniadania, złożonego z kukurydzianych płatków i herbaty, stało się ceremonią wymagającą skrupulatnego zwracania uwagi na szczegóły. Zostało tylko osiem torebek herbaty - zapisać, żeby uzupełnić; to lepiej będzie smakowało z bananem - kupić jutro kilka; ile dodanych minerałów i pierwiastków śladowych mogę zapamiętać bez czytania od nowa tyłu pudełka po płatkach? Sprawdzenie czasu z radiem. Ósma pięćdziesiąt sześć. Za godzinę pierwszy wykład, ale przedtem przeczytać tamte dwa rozdziały. Nie, nie myśl o tym... znajdź tylko książkę. Czytaj na głos, to pomaga.

Inni studenci pytali, czy wszystko z nim w porządku, nawet ci, którzy nigdy nie zauważali takich rzeczy. Wykręcał się: parę razy źle się czułem, chyba powinienem iść do naszego medyka; przechlałem się za mocno; chyba jakąś grypę złapałem. Przechodzi mi, jasne? Spadaj. Przez pierwsze tygodnie pękł dwa razy. Podrywał się ze swojego miejsca i wybiegał z sali wykładowej, bo normalność stawała się nie do zniesienia. Potem przepraszał adiunktów, tłumacząc się, że jego matka jest poważnie chora i że się martwi. Byli wyrozumiali, choć za bardzo chyba, bo upierali się, że musi iść do domu i z nią zostać, co sprawiło, ku jego zakłopotaniu, że kłamstwo to uległo dalszej komplikacji. Matka znalazła się w izolatce, gdzie nie wpuszczano odwiedzających; ojciec informował go o wszystkim. Później powiedział, że polepszyło jej się, na wypadek, gdyby ktoś zaczął się dopytywać. Do tego jednak czasu bardziej już nad sobą panował w publicznych miejscach; horror oczekiwał go za to nocą.

Przekonany, że Jowett boi się o tym rozmawiać, Lambert sam uznał za ciekawe odkrycie, iż jest zdolny do zabijania. W swej samoocenie zawsze działał na własną korzyść, sukcesy podziwiał, a porażki racjonalizował. Kwestie moralne były bez znaczenia - wyrzuty sumienia nikogo z martwych nie podniosą - to więc, co zrobił, interpretował pozytywnie. Nie był bezwzględny, lecz zdecydowany; nie był zły, lecz skuteczny; kiedy życie robi się twarde, twardziel bierze się za nie. Świat to nie miejsce dla mięczaków, świat nagradza tylko

tych, którzy nie mają żadnych słabości. Jedynym jego problemem było to, co zaraz po morderstwach powiedział w telewizji policyjny detektyw dowodzący obławą. Z początku Lambert słuchał cynicznie zapewnień, że zabójcy zostaną złapani, że ponad siedemdziesięciu funkcjonariuszy pracuje przy tej sprawie, że napływają informacje... Standardowa gadka.

„W końcu mordercy popełnią błąd albo też ktoś, kto ich zna, zacznie mieć jakieś podejrzenia. Zdaję sobie sprawę, że podejrzany może być waszym krewnym, mężem, synem, bratem albo bliskim przyjacielem. To nie będzie łatwe do przełknięcia, ale pamiętajcie, że brutalnie zabito pięcioro niewinnych ludzi, w tym dwoje dzieci. Byłem przy synu pana Godwina, kiedy identyfikował zwłoki. Gdybyście widzieli twarz tego człowieka, nie bylibyście w stanie powstrzymać się od rozmowy z nami".

Bzdury pleciesz, glino, pomyślał Lambert. Emocjonalny szantaż. Gówno masz i...

„...Zwracam się też do wszystkich, którzy handlują biżuterią lub antykami, a którym może zostać zaoferowana jakaś część skradzionej własności. Zgodnie z warunkami polisy ubezpieczeniowej, pan Godwin sfotografował wszystkie swoje wartościowe przedmioty, mamy więc świetne ich opisy..." - Ekran zamigotał i pojawił się na nim pejzaż. - „Dla przykładu, oto wczesny obraz Johna Constable'a, a te chińskie figurki..."

Wzgarda Lamberta została zastąpiona nagłym niepokojem. Zdawał sobie sprawę, że większość tego, co ukradli, to rzadkość, że niektóre przedmioty są całkiem unikatowe, ale oto policja mówi, że dokładnie wie, co jak wygląda. Gdyby więc próbowali sprzedać choćby najmniejszą rzecz... Cholerny Godwin i jego firma ubezpieczeniowa. Może gdyby zadziałać szybko, zanim policja rozprowadzi fotografie...? za duże ryzyko. Pomyśl trochę. Czy rzeczywiście nie da się upłynnić niczego z tych plastikowych worków? A za granicą? Jak przez mgłę wydało mu się, iż słyszał, że Amsterdam jest dobrym do tego miejscem. Trzeba by jednak jakoś przepchnąć to wszystko przez odprawę celną... „w końcu mordercy popełnią błąd". Nie taki, policyjna flejo, nawet gdybym miał lata czekać. Kurwa.

* * *

Nastał początek grudnia. W uczelnianej stołówce Lambert czytał przy kawie „Nowe spojrzenie na reformację angielską" Haigha. Od czasu morderstw zapuszczał brodę, toteż grube fale matowych włosów zachodząc na uszy splatały się ze zbitą, sztywną kępą pokrywających policzki i szczękę kędziorów. Duński żeglarz, ojciec syna spłodzonego z pomocą domową w Scarborough w dziewiętnastym wieku, wstrzyknął w jego rodzinę krew Wikingów, dlatego też broda i ponure niebieskie oczy wydawały się echem niepohamowanych najeźdźców. Stołówka była prawie pusta; za niecały tydzień rozpoczynała się świąteczna przerwa i wielu studentów już wyjechało. Lambert bazgrolił właśnie na kartce jakieś notatki, kiedy uświadomił sobie, że ktoś podszedł do stolika. Podniósł wzrok i zobaczył Jowetta opatulonego w wojskową, wiecznie nań za dużą kurtkę.

- Chcę pogadać - zaczął Jowett natarczywie.

- Kurwa, nie tak głośno - głos Lamberta był znużony. - Co tam znowu?

Jowett odsunął krzesło z rurek i plecionki i usiadł.

- Masz to jeszcze? Ten towar.

- Oczywiście, że mam. Mówiłem ci, że sporo będziemy musieli odczekać, nim to bezpiecznie sprzedamy. W każdym razie przeniosłem to do...

- Nie. Nie chcę wiedzieć - przerwał mu Jowett. - Nie chcę nic o tym wiedzieć. Nigdy. Rozumiesz? Mam już dość tego.

- Co znaczy dość?

Jowett pochylił się do przodu. - Nie wspominaj o tym przy mnie, Giles. Nie chcę już mieć nic wspólnego z tą sprawą. Zatrzymaj towar, ale pozwól mi zostać poza tym. Możesz wziąć sobie wszystko.

Lambert popatrzył na niego uważnie. Jowett... może nie postarzał się, ale zmienił od czasu Tannerslade. Był jakiś chudszy, skóra w kolorze ochry pod ostrymi kośćmi policzkowymi zapadła się, a bliźniacze zagłębienia podkreślał jeszcze nos, tworzący niemal idealny trójkąt prostokątny, jak na rysunku u małego dziecka. Długie, zaczesane w tyl czarne włosy opadały mu na kołnierzyk. Kiedy spacerował tak przez Cambridge, musiał być brany za poważnego studenta, oddanego jakiejś ezoterycznej dyscyplinie, zalążek profesora poświęcającego się czystej wiedzy, męską dziewicę, ogólnie za nikogo zabawnego. A przecież jeszcze przed latem, w barze, w piątkową noc,

tak głośny był, że ochrypł, normalny imprezowy, piwny i pizzowy zwierz.

- Wszystko? - powtórzył po chwili Lambert. - Masz na myśli to wszystko?

- Tak - skinął głową Jowett. - I na tym koniec. O niczym nie chcę już słyszeć. Nie wracam tu w następnym semestrze. I nie próbuj mnie szukać, jasne?

Lambert zamknął podręcznik.

- Wyprostujmy to... Wycofujesz się. Finito?

- Całkowicie. Już więcej o mnie nie usłyszysz. Ja po prostu... zresztą mniejsza z tym. Przemyślałem to sobie. I koniec.

- A skąd mam wiedzieć, że będziesz trzymać język za zębami?

- Daj spokój, nie chcę iść do więzienia. Nigdy nikomu o niczym nie powiem. Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Tak? - głos Lamberta zabrzmiał cynicznie. - Ale przecież możesz złożyć policji anonimowy donos i siedzę po szyję w gównie.

- Nie! - Głębokie, cynamonowe oczy Jowetta zapłonęły teraz błagalną pasją. - Gdybym to zrobił, powiedziałbyś im przecież o mnie, czyż nie?

- Mogliby mi nie uwierzyć. Daj spokój, Randy. Nie idę na takie układy. Mógłbyś im powiedzieć i zniknąć sobie w Australii.

- Na litość boską! Nie zamierzam o tym mówić... nigdy!

- I lepiej się przez to poczujesz? Pozbędziesz się winy nie biorąc pieniędzy?

- Nie wiem... może w pewnym sensie. Jestem tak, kurwa, rozpieprzony, że jeszcze trochę i samobójstwo popełnię. Uwierz mi... Bo jak nie, to chyba pęknę i wszystko wygadam. - Nagle stał się uparty. - Masz wybór, Giles. Pozwolisz mi poradzić sobie z tym na mój własny sposób, albo chyba pójdę na policję.

Lambert wpatrywał się w niego.

- Ty rzeczywiście byś to zrobił, co?

- Uwierz mi. Nie obchodzi mnie, jak ty z tym żyjesz, ale ja muszę się od tego uwolnić. Nie chcę mieć już nic wspólnego z... z tą cholerną farmą i tymi... Proszę, Giles! Daję ci moją dolę. Bierz ją więc i bądź szczęśliwy, dobra?

Poprawiwszy się na krześle, Lambert zapalił taniego - bo na takiego go tylko było stać - papierosa i wypuścił dym.

- Dajesz mi słowo, tak?

- Gdybym potrafił znaleźć jakiś dowód, znalazłbym go. Słuchaj, nie masz nic do stracenia. Jeśli ze mną będzie tak jak teraz, będę dla ciebie zagrożeniem. Mnie to się śni po nocach, zawaliłem przez to zaliczenie, ja tym żyję! To jest tu, kiedy na ciebie patrzę, kiedy przypominam sobie. Jeśli odejdę, może mi się polepszy.

- A co powiesz starym? Że rzucasz uniwersytet?

- Cokolwiek... To bez znaczenia. Oni tylko jęczą, że są spłukani, nie będzie ich to interesowało.

- A dokąd pójdziesz?

- Jeszcze nie wiem. Sprawdzałem oferty pracy. W jednej firmie w Bristolu szukają kogoś do sprzedawania polis.

Lambert skrzywił się z niesmakiem.

- Nie przypominaj mi o firmach ubezpieczeniowych, bo mam ochotę rzygnąć.

- To tylko tak, żeby się wyrwać... To co, układ stoi?

- Pomyślę.

Jowett potrząsnął głową.

- Nie. Decyduj się teraz. Godzimy się albo...

- Nie naciskaj tak na mnie, Randy - ostrzegł Lambert.

- Ja nie... W porządku, naciskam. Ale musisz się zdecydować. Rozwiążemy to teraz i... chyba poradzę sobie jakoś.

- Nie wiem, dokąd się stąd wyniesiesz. To, co mamy, jest warte... ze sto pięćdziesiąt tysiączków. A może i więcej... Chcesz tak po prostu odpuścić to sobie? Przecież nie ma żadnego problemu, chodzi tylko o czas. Kiedyś będziemy mogli to swobodnie sprzedać. Za pięć lat, może mniej. To jest, kurde, fortuna.

- W niczym mi to nie pomoże. - Jowett spuścił głowę i zaczął obracać na plastikowym blacie stolika blaszaną popielniczkę. - Nie wiem, czy to poczucie winy, robienie ze strachu w gacie, czy co tam jeszcze... Z niczym nie da się tego porównać. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki będę za kilka lat. Muszą być przecież ludzie, którzy popełniali morderstwa i którym się to upiekło. Oni pewnie znajdują jakiś sposób na życie z tym. Ja też chyba znajdę, ale nie, jeśli wezmę pieniądze. Wiem, że... Zresztą i tak nie możesz mnie zmusić.

Lambert wcisnął peta w popielniczkę i zamyślił się. Jego największą obawą było to, że sumienie Jowetta któregoś dnia nakaże mu

mówić - póki co jednak, sugerował, że dzięki ucieczce może będzie w stanie nad tym zapanować. Dla Lamberta było to niezrozumiałe, lecz na co komu rozumieć? Dla niego Jowett mógł nawet olać wszystko i wstąpić do klasztoru. Albo skrócić się o głowę. Albo też może, któregoś dnia, Lambert sam zatroszczyłby się o to, żeby Jowett nic nie powiedział. Kiedy życie robi się twarde...

- No dobra - odezwał się w końcu. - Straszna z ciebie, kurwa, dupa. Zawsze taki byłeś. Twój wybór. Ale piśnij tylko słówko, a będzie po tobie. Jasne? Na początek dostaną namiary na miejsce, gdzie wynajęliśmy mikrobus. Powiem im, że to był twój pomysł; powiem, że to ty strzelałeś. Słyszysz mnie?

- Nie musisz mi tego mówić. - Jowett wstał. - Rozumiem to... dzięki... ja... Najlepszego. Mam nadzieję, że ty... ty... kurwa, nie wiem, co... że będziesz mógł z tym żyć.

Jowett obrócił się na pięcie i odszedł. Z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie, od tyłu przypominał zgarbionego, wygłodniałego uchodźcę cichcem przemykającego przez ponury, wrogi świat. Lambert patrzył, jak popycha szklane drzwi stołówki, przekracza oblodzony bruk dziedzińca i znika naprzeciwko za wiktoriańskim gotyckim łukiem.

- Palant z ciebie, Randy - mruknął.

Rozdział pierwszy

Prostując się od wygładzania pierzyny, Joyce Hetherington znieruchomiała na „moment, gdyż uchwyciwszy w długim lustrze szafy poruszenie swego odbicia, zaczęła się osądzać. Kiedy miała osiemnaście lat, na pieszczeniu ciała, twarzy, włosów, oczu, dłoni spędzała godziny, i gładka była wtedy, połyskująca niczym wyścigowy koń; w swych latach dwudziestych mniej już była tym opętana, ale nadal skrupulatnie stosowała delikatne olejki, świecącą szminkę - przez krótki, zmanierowany okres w latach siedemdziesiątych fioletową - oraz subtelne, ekskluzywne zapachy. We wczesnych latach małżeństwa była lśniącą żoną-trofeum, dopóki, wraz z narodzinami Annabel, a potem Ruperta, nie rozpoczęło się rdzewienie. Czas, którego kiedyś było pod dostatkiem, stał się luksusem, stał się skwapliwie wyrywanymi minutami, kiedy to z nogą założoną na nogę, obracając na przemian kostkami, by pobudzić mięśnie, i zajmując się ruinami paznokci, mogła poprzeglądać *Domy i Ogrody* czy *Twoją Urodę*. Lecz dom, dzieci, to, iż Ralph oczekiwał od niej perfekcji, a także coś pokrewnego poddaniu się coraz bardziej nieustępliwie krępowały jej ruchy. Przeprowadzka na wieś była tu ważnym czynnikiem. Londyn żądał stylu i prezencji, zaś sielskie Suffolk dawało dziewczynom, przed ciemnymi liśćmi dojrzałego lata i przekwitającej jesieni, krótką kwitnącą wiosnę. To, co pochwalało West Kensington, nawet z zazdrością, jako dojrzały przepych, na poczcie w Finch przestawało być już takie jaskrawe.

Potem przyszły pierwsze rozruchy osobistego buntu. Rzuciła karierę, była hodowlaną klaczą, zgodziła się na dużo więcej niż jej udział w wymaganiach niemowląt i teraz pragnęła coś odzyskać. Ralph odszedł od powtarzanego, wymagającego i, to trzeba przyznać, przez długi czas wzajemnie przyjemnego seksu, by zabrać się, aż do

oczywistego znudzenia jej ciałem, za płodzenie potomstwa, a kiedy jego „romans na boku" wykroczył już poza wykręty i zaprzeczenia, by stać się rażąco jawnym i uznanym, Joyce zaczęła oburzać się, że do tego dopuściła, zła z powodu swojego odwrotu. Praca oznaczałaby dojeżdżanie przynajmniej do Ipswich, co przedstawiało pewne trudności. Kiedy jednak nabyli Windhover, Ralph nawet był zadowolony, że zajęła się problemami wakacyjnego wynajmu domku, aczkolwiek zaznaczył, że dochód, z powodu jakiejś skomplikowanej ulgi podatkowej dotyczącej traktowania jej jako jego sekretarki (zauważyła przy tym złośliwie, że w przeciwieństwie do kilku znanych jej mężczyzn ze swoją sekretarką nie sypia) musi przejść przez jego księgi. Następnym stadium było znów zwracanie większej uwagi na wygląd, więc... Przyjrzała się ostatniemu dokonaniu czterdziestu czterech lat.

Talia i biodra jak nienaruszone, o ile trochę opięte Levisami; piersi pełniejsze - chodzenie bez stanika byłoby niemądre i bardziej niewygodne niż dwadzieścia lat temu; kostki i nogi wciąż dobre; zbożowo złote, przyciemnione na miodowo włosy zakręcone i w drogim nieładzie; twarz... Podeszła bliżej. Nic nie mogło naruszyć struktury kości; akwamarynowe oczy pozostały czyste, a skóra świeżym powietrzem bardziej się odżywiła aniżeli podniszczyła; opalała też się równomiernie, co niespodziewane u naturalnej blondynki. Tylko czemu, poza własną satysfakcją, w ogóle miała służyć ta akcja ratunkowa? Do zrobienia z niej jakiegoś użytku najbardziej zbliżyła się na jednej z kolacyjek u Davida i Pauli. To było jeszcze gdzieś we wczesnej fazie jej przeciwnatarcia i reakcja okazała się wielce zachęcająca; mężczyźni lokowali się tak, żeby móc podziwiać, zaś kobiety - z wyjątkiem Fay, która aprobowała to w całej rozciągłości - czuły się nieco znieważone konkurencją z nieoczekiwanej strony, bo to tak jakby wróbel wyzwał na pojedynek zimorodki. Desmond, którego ego karmiło się w równej mierze oskubywaniem firm z aktywów, co i seksualnymi podbojami, był pewnie ciekaw, czy przypadkiem nie chodziła w miasto...

- A pieprzyć to - powiedziała na głos, rozbawiona wspomnieniem, jak to sprośnie marzyła sobie o łapaniu pociągu z Ipswich do Londynu, braniu taksówki z Liverpool Street, zbywaniu milczeniem ukradkowych, zaintrygowanych spojrzeń recepcjonistki, kiedy oczekiwałaby w wypolerowanym marmurowym foyer jego biurowca,

o cywilizowanym, rozflirtowanym lunchu... Nie musiałby już wracać do pracy... I nie obskurny hotel, tylko jego wysoko położone, wygodne mieszkanie w ogrodach Legolandu... Ona patrzyłaby w dół na sierpowaty meander Tamizy, a on stojąc za nią przy oknie całowałby jej szyję i sunął dłońmi przez przód jej sukienki od talii do... ale nie była gotowa, nigdy by się na to nie zgodziła. Choć czasami żałowała, mimo że romans z Desmondem byłby erotycznym odpowiednikiem brania w supermarkecie darmowej próbki towaru. No ale cóż, teraz jego firma przeprowadziła go do Singapuru. Pa pa.

Schodząc na dół z brudną pościelą w rękach, przebiegła w myślach swą standardową listę obowiązków. Kuchnia była posprzątana i wszystko wróciło na swoje miejsce (dlaczego ludzie nigdy nie pamiętają, skąd co biorą?). Dywany odkurzone, licznik opróżniony, w salonie kwiaty z własnego ogrodu - mile widziane, okna wymyte, podłoga pod łóżkami sprawdzona, na wypadek gdyby znowu ktoś zostawił tam magazyn soft porno - co prawda tylko raz się to zdarzyło, ale czułaby się paskudnie, gdyby jakaś rozpieklona matka stanęła z tym przed nią - zbiór książek w tanich wydaniach poukładany ad hoc - brak Joanny Trollope. A tak godna szacunku wydawała się ta para, co wyprowadziła się dziś rano; zresztą może to jakieś przeoczenie i odeślą książkę pocztą. Następny gość zapowiadał się na mniej więcej szóstą, tak więc... Zatrzymała się, gdyż jego nazwisko nijak nie chciało jej się nasunąć. Kiedy zadzwonił, uderzyło ją ono jakąś swoją niezwykłością, i fakt, że nie mogła go sobie teraz przypomnieć, wielce ją irytował; jako bowiem osobista asystentka sir Malcolma, Joyce Carstairs była w stanie zapamiętać dwa tuziny rzeczy naraz. Hm, to była jakaś marka samochodu. Morris? Ford? Austin? Coś bardziej egzotycznego. Jensen... nie, Jowett. Miała kiedyś wuja, który posiadał taki wóz. Niezwykłe było również to, że nowy gość najwidoczniej przyjeżdżał sam, a wynajął na pięć tygodni domek, który swobodnie mógł przenocować szóstkę, choć faktycznie niewielu urlopowiczów miało ochotę spędzać w tak odosobnionym miejscu jak Finch więcej niż dwa tygodnie, nawet u szczytu lata. Zapewne więc łowił albo podglądał ptaki; to byli zawsze tacy samotnicy, zazwyczaj z cierpliwymi żonami, które... Boże, już tak późno?! Ralph wróci za niecałą godzinę i będzie chciał, żeby lunch był na stole, a obiecała jeszcze podrzucić Annabel do Suzanne. Potem miała przyjść Marion, żeby pogadać o

festynie, co pozostawi jej bardzo niewiele czasu na przearanżowanie harmonogramu dostarczania kwiatów...

Na ławeczce przy wejściu do St Matthew's wymalowano nowe graffiti; bezmyślna wulgarność, przez którą dosłownie krew zalewała człowieka. To pewnie znowu ta dzieciarnia z bloków, ta sama, która w innym jeszcze budzącym odrazę i zażenowanie akcie prostactwa przewróciła średniowieczny Kamień Zarazy. Rada parafian rozesłała ulotki do wszystkich osiemdziesięciu domów, lecz jedyny ich rezultat to skargi kilku rodziców, że ich dzieci - wszystkie jak jedno raptem aniołki - to się obwinia, a żaden z tych „fiu bździu domów" ostrzeżenia nie otrzymał. Tym samym sytuacja uległa pogorszeniu, co miało swój szczyt, kiedy jedna nastolatka obrzuciła przed piekarnią Joyce wyzwiskami, a potem stała nic sobie z tego nie robiąc, że Joyce zwróciła się do niej z reprymendą.

- Co mi zrobisz? Może mamie i tacie naskarżysz, co? Zaraz się zesram ze strachu. A jak mnie, kurwa, uderzysz, oskarżę cię o napaść! - zakpiła z konsternacji Joyce. - Tłusta krowa.

Najlepiej je ignorować, czekać aż podrosną, wyjadą z Finch, pozachodzą w ciążę. W niektórych przypadkach i tak z pewnością skończą w poprawczaku albo jeszcze gorzej. Taka rażąca bezczelność była jednak sprzeczna z wszystkimi jej wartościami. Spodziewała się po rodzicach, że będą dawać przykład i pilnować dzieci... Spodziewała się, hm, postaw, które kiedyś, dopóki jej nie dopadły, wykpiwała u swoich własnych rodziców. W tych klasowych stereotypach tkwiła wszak pułapka; pani Barron bowiem, pulchna, gadatliwa i bystra, która dwa razy w tygodniu sprzątała dom Joyce i zwróciła kiedyś znalezioną pod sofą dziesięciopensówkę, mieszkała właśnie w jednym ze spółdzielczych bloków.

Matka Joyce też zeszła na dół i rozglądała się po kuchni niczym zaintrygowana, wścibska sroka, podnosząc przypadkowe przedmioty, by pod nie zajrzeć, i mamrocząc coś w zniecierpliwieniu i frustracji.

- Co zgubiłaś tym razem? - Zauważywszy, że znów nie założyła aparatu słuchowego, Joyce podniosła głos.

- Książkę z biblioteki. Catherine Cookson.

- Pod wazonem nie znajdziesz jej na pewno.

- Nie, ale skończyły mi się już wszystkie logiczne miejsca. Modliłam się do świętego Antoniego, ale nie pomaga.

- Jestem pewna, że nie przynosiłaś jej tutaj. Poszukajmy u ciebie.

- Nie, tam jej nie ma. - Ton mówił, że najlepiej, gdyby faktycznie jej tam nie było, gdyż w przeciwnym wypadku znaczyłoby to, że w żadnym z logicznych miejsc nie udało jej się książki znaleźć.

- Może za łóżko spadła...

Wchodzenie po schodach stało się dla niej zauważalnie wolniejsze, ale wciąż dawała sobie jakoś radę, odrzucając regularne sugestie Ralpha odnośnie zainstalowania windy krzesełkowej. Z jakichś niewyjaśnionych powodów książka znalazła się w jej łazience, na wpół schowana za zasłonką.

- O rany. - Zrobiła zmartwioną minę. - Ja naprawdę tracę pamięć, no nie?

- Ależ skąd. - Joyce pocałowała ją w policzek. - Zrobiłaś już sobie lunch?

- Tak, kochanie, dziękuję. Zimny ozorek z pomidorkiem i z domowym sosikiem pani Barron... O, i chyba słyszałam, jak dwa razy dzwonił twój telefon, ale za każdym razem szybko przestawał. Pewnie ta maszyna jest włączona. Gdzie Ralph?

- W klubie golfowym. Sobotę mamy przecież.

Grace Carstairs uśmiechnęła się, przypominając sobie jakiś obraz ze szczęśliwych lat w roli biernej, obowiązkowej żony.

- Twój ojciec tak bardzo lubił golfa. Ja nie potrafiłam w to grać, ale dlaczego ty nie spróbujesz?

- Już to przerabiałyśmy, mamo...

- A tak. - Oczywiście zapomniała. - Ja w każdym razie zamierzam obejrzeć dziś po południu ten film z Bette Davis. Pewnie popłaczę się tak jak wtedy, kiedy oglądałam go w starym Picturedrome w Salisbury. Ralph podłączył mi wideo i napisał, co mam przycisnąć.

Z tym telefonem to miała jednak rację - jej słuch był ciekawie selektywny.

Pierwsza wiadomość była od Marion, odwołującej spotkanie, druga natomiast od Ralpha, zawiadamiającego, że go jeszcze zatrzymają, nieco jęczącego, że nie było jej w domu, kiedy dzwonił.

„...tak czy siak zrób lunch gdzieś na drugą. To tyle".

A więc nie przyjmujemy go dziś w klubie w płynnej postaci, mój

panie i władco? Co bez wątpienia oznacza, że zaśniemy w fotelu oglądając jakiś mecz, którymi opętany jesteś od tygodni. Tylko nie budź się znów z drażliwymi komentarzami na temat czasów, kiedy potrafiłeś namówić mnie na popołudniową drzemkę - czy ty, na litość boską, nie słyszysz, jak to mówisz? Co to za mózg, który zwyczajnie może wyłączyć wszystko, co pomiędzy nami zaszło? Czy naprawdę tak mną pogardzasz, iż wydaje ci się, że będę wdzięczna za te resztki, które ci zostały ze świadczenia usług Gabrielli? Znaleźliśmy to mieszkanie razem, to nasze *pied-à-terre,* kiedyśmy się tu sprowadzili, tak wygodne, kiedy jeździliśmy do teatru w mieście, stanowiące od poniedziałku do piątku twoją bazę. Nie byłam w nim przeszło pięć lat, więc mogę się spodziewać, że ona trzyma tam jakieś swoje ciuchy - kiedy akurat nosi jakieś. Póki co, w mojej matce znalazłeś doskonałego więziennego strażnika. Kiedy umrze, serce mi chyba pęknie, ale przynajmniej będę miała satysfakcję, że wysysam z ciebie tyle twoich drogich pieniążków, że nawet nie uwierzysz.

Mrucząc pod nosem duet z *Poławiaczy pereł,* zaczęła przygotowywać baraninę z sałatką, kolejną ofiarę bez miłości.

Czytanie *Guardiana* przy jedzeniu było jak strzał zamachowca podczas zimnej wojny; dać mu okazję, a Ralph w błocie by klękał, żeby ucałować rąbek sukni Margaret Thatcher, i bez przerwy wyczekiwał Drugiego Przyjścia*.

Analogia do proroctwa o powtórnym „przyjściu Syna Człowieczego" w Ewangelii św. Mateusza i wiersz W.B. Yeatsa, *Drugie Przyjście.* Patrz: „Od Chaucera do Larkina", wybór i przekład S. Barańczak.

Lata osiemdziesiąte były dlań Ziemią Obiecaną, reklamowy biznes mknął bowiem na pływowej fali kampanii przynoszących ciężkie miliony funtów; szampańskie fontanny pieniędzy do szybkiego obrotu, kupowanie i sprzedawanie udziałów, nabywanie i wyzbywanie się własności, to wszystko było idealne we Wschodniej Anglii, gdzie ceny, nim pękł błyszczący, delikatny bąbel, dużo dłużej pozostawały niższe. W czarnym październiku roku 1987 sprzedawał jak szalony, wydzierając się przez telefon do swojego brokera, że aż strop się sypał, a każdą redukcję wyśrubowanych zysków biorąc za osobistą obelgę, pomimo faktu, że w wielu sprawach i tak był do przodu. Przedtem

bowiem, przynajmniej na papierze, był przez krótki czas milionerem, miał więc chyba prawo czuć się obrabowany.

- Mówiłem ci, że nie dostaliśmy zaliczki od tej karmy dla zwierząt?

- Nawet nie wiedziałam, że się po nią rzucaliście. - Czytała dalej, podkreślając tym samym swój brak zainteresowania.

- Oczywiście, że tak. - Potarł pięścią o mostek, jakby w jakimś spazmie niestrawności. - Ale to Maurice ją zdobył. Gnojek.

Nie podnosząc oczu, przewróciła stronę. - Pamiętam, że kiedyś był twoim bohaterem.

- Za to teraz jest cholernie zachłannym bydlakiem.

- W przeciwieństwie do ciebie, oczywiście.

Kiedyś przy takich wymianach lałaby się krew, teraz jednak niewiele już jej zostało do przelania, a i żadne z nich nie miało powodu zrywać kruchego rozejmu. Kiedy Ralph odsunął talerz i wstał od stołu, Joyce zasępiła się nad artykułem o masakrze w szkole w Dunblane; zła i bezsensowna, odczuwana na całym świecie groza pozostawiła po sobie w Finch straszliwe wspomnienie, a przecież Finch, obok Hungerford, Warrington, grobowca w Enniskillen, było tylko jedną z wielu pozycji w tym rejestrze goryczy. Znani z twarzy bądź anonimowi, Hamilton, Ryan, zakapturzeni zamachowcy IRA, nieznani mordercy z Tannerslade byli niczym diabły zrzucające na nawiedzone przez siebie miejsca klątwy oraz plagi wściekłych dziennikarzy i gapiów. W przyszłym tygodniu Cheryl miałaby urodziny... Joyce, by odpędzić złość i żal, które, choć to już sześć lat, męczyły ją nadal, potrząsnęła mocno głową, przenosząc swoją uwagę na coś innego. Z salonu dobiegi ryk sfrustrowanego tłumu i głos Ralpha oznajmiający tubalnie, że jakiś angielski piłkarz to beznadziejny wałkoń.

Wyszła na zewnątrz, na swoje terytorium, dla Ralpha niedostępne, kiedy się na nim znajdowała. Odkąd dzieci zaczęły dorastać, a potem wyjeżdżać, i pojawiła się niewesoła perspektywa zwiędniętego małżeństwa, w domu mieszkali wspólnie, natomiast ogród był dla Joyce odpowiednikiem golfowego klubu Ralpha lub okupowanego przez wroga mieszkania w Camden. Nigdy nie ośmielał się kwestionować czasu, jaki poświęciła łukom z kutego żelaza, kamiennym

siedziskom, ogromnym emaliowanym amforom wypełnionym kwiatami, altance i elżbietańskiemu ogródkowi za różaną kratą. To było jej prywatne państewko, nie kolejne pole bitwy. Rzadko wynajmowała w wiosce kogoś do pomocy, zazdrośnie trzymając pracę dla siebie, by móc udowadniać, że też potrafi stworzyć coś, co ma jakąś wartość.

Wystukując numery na swoim przenośnym telefonie, żonglowała kolejnością dostarczania kwiatów do kościoła. Jeśliby Jackie zapełniła lukę pozostawioną przez Isobel, a pani Woodhouse poradziła sobie przez dwie niedziele z rzędu, na pewno mogłaby namówić Amy na ten ślub pod koniec miesiąca. Barnardowie mieli wrócić z Vancouver osiemnastego, a więc...

Gdyby dwadzieścia lat wcześniej powiedział jej ktoś, że jej życie sprowadzić się może do punktu, w którym staną się ważne tak trywialne sprawy, zaśmiałaby się chyba. Dziś jednak nie było w tym nic zabawnego, trzeba było to przecierpieć.

Rozdział drugi

Od sześciu lat Finch istniało tylko jako miejsce, gdzie mieszka wina; Jowett nie pamiętał już nic z przejazdu przez nie w 1990 roku; pamiętał tylko jak dygotał ze strachu, jak oczami wyobraźni widział jedynie zwłoki i śmierć. Wciąż nosił w sobie ten obraz z telewizyjnego reportażu z kościołem w tle, tę grozę profesjonalnie skondensowaną w dźwięku zamykającym komentarz pod ujęcia farmy, samochodów i policjantów, czerwono-białej pasiastej taśmy na bramie, przez którą przejeżdżali, oszołomionych mieszkańców wioski, pól oraz fotografię Benjamina i Annie Godwinów, uśmiechniętych i żywych, „...ich córka, Cheryl Hood, oraz wnukowie, Thomas i Amanda, także zostali ofiarami zbrodni, która wstrząsnęła tą spokojną wioską. Martin White, BBC News, Finch, Suffolk". Przez wiele dni potem groźne nagłówki, widywane na kioskowych stojakach, dopóty krzyczały doń oskarżenia, dopóki nie uciekł - jedynie po to, by się przekonać, że ucieczki nie ma.

To, co osiągnął od tamtej pory, to stale rosnące napomnienie, że zło do takich właśnie prowadzi nagród. Ale był to nieunikniony skutek opętania pracą. Po krótkim bowiem okresie sprzedawania ubezpieczeń, dzięki wpływom rodziny zdobył posadkę w Midland's Hong Kong and Shanghai Banking Corporation, a tam brak dyplomu nadrabiał całkowitym zaangażowaniem. Mając lat dwadzieścia siedem został człowiekiem od obrotu walutą w Thames Exchange na Queen Street Place, gdzie z dodatkami i prowizją wyciągał ponad siedemdziesiąt tysięcy rocznie, do wydawania tych pieniędzy mając jedynie siebie samego. A inne śmierci - dodatkowo torturujące jego sumienie resztkami porzuconej wiary, co nauczyła go, że umarli widzą wszystko i wiedzą wszystko o żywych - przyniosły mu jeszcze więcej, choć wcale tego nie pragnął. W 1993 roku atak serca zabił jego ojca, zaś w -

rok później umarła matka, po przedawkowaniu, które współczujący koroner uznał za przypadkowe. W efekcie Jowett i jego siostra podzielili się majątkiem, powiększonym o polisy na życie, które sam swoim rodzicom sprzedał. Zazdroszczono mu, był niezależny: miał mieszkanie w Lauderdale i MG w garażu. W biurze, by wytłumaczyć się z potrzeby prywatności, rozsiewał cichcem plotki o płomiennym sekrecie swojego życia. Rzeczywistość była jednak inna. Samotne noce spędzał na zajmowaniu lękliwego umysłu różnymi pomysłami - uczeniu się francuskiego, na pamięć poezji - albo oddawaniu się lżeniu samego siebie, sprośnym fantazjom napędzanym magazynami, które wstydliwie chował, mimo iż nie było nikogo, kto mógłby je znaleźć; ulga przynosiła jednak ze sobą poczucie poniżenia, samemu sobie narzucone i plugawe.

Na początku złapał się seksu, nieodmiennie afiszowanego jako panaceum na wszelkie problemy. Nachodził winiarnie i kluby, z uśmieszkiem zadowolenia przylepionym do twarzy, i zapominając się na chwilę, przy wtórze łomoczących dźwięków disco, pulsujących w zalanych alkoholem komorach jego mózgu, obijał się po napakowanych, omiatanych stroboskopami parkietach. Miał wtedy Sarę, marzącą o karierze fryzjerki, z pokoikiem na Gloucester Road, entuzjastyczną i rozchichotaną; i Helen, studentkę prawa, którą poznał na koncercie Promsów, poważną intelektualistkę; i Sindy, wybraną którejś nocy po pijaku z brudnych kartek poprzylepianych w budce telefonicznej nieopodal King's Cross, znającą się na rzeczy, znudzoną i cyniczną; i garść innych jeszcze, bezimiennych. Zawsze jednak, kiedy się to kończyło, powracał w dzicz. Potem odkrył inne standardowe drogi ucieczki. Podróż do Indii i Birmy, gdzie zawiedli go rozfilozofowani mnisi; krótki okres pracy jako wolontariusz, która sprawiła na nim wrażenie hipokryzji nie mniejszej jak jego datki na bezdomnych, głodujące dzieci czy badania nad groźnymi chorobami, kiedy na jego własną lekarstwa nie było.

Końcem końców wyciągnął się w ciepłej, ujmującej kąpieli z połyskującym ostrzem na arterii usztywnionego nadgarstka. Dygocząc ze strachu walczył z obietnicą ostatecznej ulgi, lecz roztrzęsiony odrzucił żyletkę na bok i chlipał nad swoim tchórzostwem, dopóki woda nie zrobiła się zimna, a oczyszczająca ofiara z krwi nie przemieniła w groteskową pantomimę ułudy.

Do Finch zawiodło go przypadkowe spotkanie z Gilesem. Spotkali się na Moorgate, gdy wracał akurat z klientem z lunchu. Jeszcze jedna anonimowa twarz przemykająca niezauważenie, rozpoznana nagle, głos wołający jego imię, osłabiająco normalny, zaskoczony i ucieszony tym trafem. *Jezu, kopę lat. Co tam u ciebie"? No proszę. Ja też robię w finansach. Jestem menedżerem w Towarzystwie Kapitałowym Mercury...* Odsunęli się na bok, robiąc miejsce innym przechodniom. *Gdzie mieszkasz? Hej, nieźle. My w Highgate... Tak, ożeniłem się - jestem ojcem. Rebeka, prawie trzy. A ty? I niech tak zostanie; to pustoszy całe życie towarzyskie. Tylko żartowałem. Świetnie. Cóż, muszę lecieć. Aha, masz. Zadzwoń kiedyś, skoczymy na piwko. Fajnie było cię znowu widzieć. Cześć.* Uścisnąwszy rękę Jowetta, uśmiechnął się i odszedł, jeszcze jeden ubezpieczony, dobrze skrojony zawodowy garniturek zmierzający ku London Wall. Trzymając w ręku wizytówkę, Jowett patrzył za nim, jakby na potwierdzenie, że scena, która tak często odgrywała się w jego myślach, właśnie miała miejsce, świadom, że nie udało mu się powiedzieć niczego, co planował, że żaden z nich nawet nie napomknął o..., że w jakiś chory sposób była to rozmowa jak tuziny innych, przypadkowych, na zatłoczonych chodnikach miasta; pierwsze lepsze nowiny i pytania, okrężne chełpienie się, zadrukowany kawałek kartonika z portfela, a na odchodnym zdawkowe zaproszenie.

Wróciwszy wtedy do biura, zamknął się w ubikacji przyciskając spocone czoło do chłodnej białej porcelany. Normalność Gilesa była niczym nowa forma tortury, niczym niewypowiedziana, uśmiechnięta pogarda dla słabości Jowetta i jego niemożności odegnania poczucia winy jako czegoś nieadekwatnego. *Używaj życia, Randy. To było wieki temu. Teraz już nigdy nas nie złapią.* Drżenie, które nagle zawładnęło jego ciałem, nabrało cech odurzenia, nie do opanowania, a jednocześnie otwierało mu drzwi ku jaskrawemu spostrzeżeniu: jedyne miejsce ucieczki to powrót. Na farmę, do wioski, co znała i ich, i ludzi, których skrzywdził. Racjonalne motywy były niemożliwe - uciszanie duchów, psychologiczna włosiennica i odpust to banały - nic już nie było bardziej racjonalne od zbryzganego krwią szału tamtego letniego popołudnia.

Finch to ostatnie miejsce, dokąd można było uciec, a jedyna droga poza nim nie wiodła nigdzie indziej jak ku wiecznemu obłędowi życia, życia, którego ani nie potrafił tolerować, ani, z braku odwagi,

zakończyć. Poprosił o dodatkowy bezpłatny urlop do przysługującego mu, wakacyjnego - argumentował to potrzebą ochłonięcia, przemyślenia planów swej zawodowej kariery. Dało mu to pięć tygodni, od ósmego czerwca począwszy, jakby na rocznicę tamtego wydarzenia. Wszystkie kontakty miały zostać przerwane, żadnego adresu, telefon komórkowy wyłączony. Miał wyjść spomiędzy swoich czterech ścian i stanąć twarzą w twarz z kreaturą, przed którą go chroniły - Randallem Jowettem, zrodzonym w krzyku bezradności pośród wystrzałów broni i krwi niewinnych.

Wiosna spóźniała się, słońce chowało swe światło i ciepło pod baldachimem mgieł. Maj był w Wielkiej Brytanii najbardziej mokry, odkąd to pamiętano, stąd blask żółtych pól rzepaku, bujne kasztanowce, kwiecie głogu podobne nie roztopionym plamom śniegu, stonowany fiolet krzaków bzu wciąż jeszcze dopełniały krajobrazu. Opóźnione dojrzewanie miało jednak swój urok, a pejzaż ciągłymi spadkami i wzniesieniami falował niczym morze zieleni.

Ledwie zjechał z głównej drogi z Ipswich, wszystko stało się jakby opuszczone; raz na jakiś czas samochód, samotny rowerzysta, sioła, przez które przejeżdżał nie dostrzegając żadnych śladów życia, rozległe pola dojrzewających zbóż. W jednym miejscu skręcił nie tam, gdzie trzeba, i zatrzymał się przy odosobnionym drogowskazie, by poradzić się samochodowego atlasu; przez otwarte okna sączyło się pachnące kurzem i jęczmieniem suche powietrze; Stoke obok Walsham... Ash Sounder... Cheslebrook... Z czoła na mapę skapnęła kropelka potu. Gdzie był w tym labiryncie krętych, pustych dróg? O, tutaj... na rozwidleniu powinien był skręcić w lewo.

Gdy się wyprostował, powróciło doń pragnienie odnalezienia magistrali i powrotu do Londynu, lecz zmógł je przeglądając przysłane mu wskazówki. „Kiedy po lewej zobaczy pan zajazd »Pod Łopatką Baranią«, wtedy prosto przez krzyżówkę. My mamy taki dom za żelaznym ogrodzeniem, na samym dnie obniżenia terenu. W lodówce w domku zostawię pół kwarty mleka. Jedzenie może pan kupować w sklepiku we wsi, ale obawiam się, że jest dosyć drogie. Większość ludzi korzysta z supermarketu w Bury St Edmunds albo jeździ do Ipswich. Dziękuję za zaliczkę. Mam nadzieję, że będzie miał pan

przyjemną podróż i życzę miłego pobytu". Napisano na komputerze i podpisano - „J" i „H" zamaszyste.

Zaraz za zakrętem odcinka drogi porośniętego wysokimi drzewami oraz krzewami pojawił się drogowskaz: Finch. Finch zaprzyjaźnione z Bad Wildegun. Tysiące alianckich samolotów odlatywało z tej wschodnioangielskiej równiny, na północ od Suffolk, by zaatakować niemieckiego wroga; teraz zaś pokój oznaczał obywatelskie delegacje i szkolne wymiany. Czy to jakaś forma przebaczenia mordu? W przelocie dostrzegł bloki spółdzielcze, ponury, szary beton z brudnymi uszami satelitarnych talerzy, dostrzegł trzech młodzieńców opartych o górskie rowery i rodzinę siedzącą na zewnątrz. Ale osiedle to kryło się na końcu bocznej drogi, niby pasożyt, którego właściciel nie miał ochoty pielęgnować. Znalazł się na The Street, długiej, prostej, z domami po obu stronach, pustej z wyjątkiem młodej kobiety ze spacerówką i chłopca na deskorolce. Fasady, wykończone barankami bądź gładkimi tynkami, pomalowane były na cytrynowo, różowo, pomarańczowo lub biało, linię dachów krytych brunatną dachówką przerywała jedna sczerniała strzecha... A z przodu wznosiła się czworoboczna wieża kościoła, gdzie, otoczonych miłością i żalem, pożegnano na zawsze Godwinów. Jakby się czuł, gdyby prawda wyszła na jaw? Między ścianami więzienia, do którego na resztę życia by go zesłano, z klawiszem asystującym przy spowiedzi udzielanej przez kapelana. Pogrzebany w niegaszonym wapnie, co pożarłoby jego ciało. Robili tak jeszcze? Czy ktoś potajemnie zrobiłby zdjęcie i rozesłał do brukowców, by mogli napisać mu przepełnione nienawiścią epitafium? JOWETT POGRZEBANY JAK PIES. NIECHAJ GNIJE I ŚMIERDZI".

Ponownie skupił się na wskazówkach; pub, niemal jedyny budynek z cegły, jego stoliki na zewnątrz w cieniu płóciennych parasoli; krzyżówka - stał na niej kościół, wytężył więc wzrok; za nią już Finch o zupełnie innym społecznym statusie. Odosobnione, wolno stojące domy, za żywopłotami, podwójne garaże, prywatny kort tenisowy, zadbane ogrody - dzielnica byłych przytułków dla biedoty i starców, teraz rozrośnięta do potrzeb młodych biznesmenów, którzy sporządzając swój miesięczny bilans dają coś na cele charytatywne. Tu właśnie były prawdziwe pieniądze, utrwalone w posiadłościach, lśniących BMW, mercedesach, range roverach. Przypominało mu to okolicę

na wydzielonym skraju Bedford, gdzie dorastał: dzieci w internacie; zmanierowane obiadki i poranki przy kawie; lekcje układania kwiatów; głosowanie na konserwatystów; dyskretne popołudniowe niedyskrecje w sypialniach Strachan Studio; gîte w Bretanii; piwniczkę z winem. I tam, po niecierpliwym buncie, miał być sobą, kalką ojca, mieć żonę taką jak matka i pierwsze dziecko śpiące w łóżeczku od Lloyd Looma w pastelowym pokoiku z Piotrusiem Królikiem wymalowanym na ścianie. Te angielskie klasy średnie, wykpione i którym się zazdrości, pochlebcze i protekcjonalne, strachliwe i pewne siebie...

Droga zaczęła się nagle obniżać, skręcając tym razem zgodnie z nachyleniem terenu opadającego po prawej ku domowi, w głęboką, rozległą nieckę porośniętą dzikim kwieciem przepełnionej przedwieczornym słońcem łąki. Zatrzymał się przed bramą i przez szybę zerknął na przyczepiony do dębu plakat: prosty rysunek człowieka z czymś, co okazało się być łbem odyńca, przyozdobiony poszarpanymi szkarłatnymi i purpurowymi serpentynami. Jaskrawozielone litery obwieszczały, że w sobotę 29 czerwca, a więc za trzy tygodnie, odbędzie się coroczny Festyn Pastucha.

Jego wilgotna od potu koszula odlepiła się od pleców, kiedy wysiadł z samochodu. Poczuł się niezadowolony ze swojego wyglądu: miał bowiem zarumienioną i połyskującą twarz, wilgotne włosy, bawełniane spodnie lepiły się do ud i był przeświadczony, że musi cuchnąć. Wycieranie twarzy chusteczkami pozostawiło na skórze wrażenie zaschniętego brudu, a przeczesywanie włosów mazisty depozyt na zębach grzebienia. Przeszedł kawałek wzdłuż drogi pod skupisko drzew i tam padł w cieniu z zamkniętymi oczami. Wioska była nie do rozpoznania, z panicznej ucieczki nie pozostały żadne obrazy. Wtedy już Giles prowadził, Randall zaś gapił się przez okno mikrobusu i wszystko co widział było nieistotne i wręcz stało się niewidoczne. Jadąc tego popołudnia farmy nie zauważył - gdzież w takim razie była? Pytanie o to mogłoby tylko wzbudzić podejrzenie, a i tak miał przecież kupić lokalną mapę... Brzęcząca agresywnie miodna pszczoła zmusiła go do ruchu.

Za ogrodzeniem z metalowych prętów w kształcie włóczni i gęstym ligustrowym żywopłotem wzdłuż niego dostrzegał zasadzone i kultywowane w ogrodzie pieniądze: dobraną parę tulipanowców, bogate rabaty, równo przystrzyżoną trawę. U stóp sześciu szerokich

schodów, pośrodku dekoracyjnego stawu, stała nieduża figurka chłopca, z którego dłoni przytkniętej do ust na kształt fletni Pana tryskały, przypominające srebrne słomki do picia, dwa strumienie wody. Dom był prostokątem w kolorze musztardy, z czterema zasuwanymi w pionie oknami na górze i na dole, po obu stronach centralnie umiejscowionego wejścia. Fasadę zdobiły wielkie kwadraty składające się na czterolistny deseń. Do jednego końca budynku dodano półokrągłą cieplarnię, zaś na szczycie schodów stały napełnione margerytkami i płożącą się lobelią beczki z drewna jodłowego. W środku emblematycznej mosiężnej róży tkwił przycisk dzwonka.

- Pani Hetherington? - Miała klasyczny wygląd kogoś, dla kogo zamożność była dziedzictwem godnym rozważnego i oszczędnego nim gospodarowania. Miała na sobie dżinsy, espadryle, prostą pasiastą bawełnianą koszulę, a na twarzy skromny makijaż; tylko włosy, atrakcyjnie wymodelowane loki w kolorze zboża, opadające prawie na ramiona, ujawniały jej stan majątkowy.

- Tak jest. Pan Jowett? A więc znalazł nas pan. - Spodziewała się kogoś starszego, a ten tu nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Powinien spędzać wakacje z dziewczyną... albo chłopakiem? Pociągła, niepewna twarz, seksualnie jakoś dwuznaczna, skóra koloru cienkiej herbaty, lśniące i dłuższe niż było to w modzie, czarne włosy... Ciekawa była, czy nie miał jakichś śródziemnomorskich przodków. - Obawiam się, że będę musiała pana poprosić o powrót pod kościół, a potem skręcenie w prawo. Dotrze pan wtedy do domku. To jakieś pół kilometra stąd, zaraz za starą kapliczką. Niech pan wypatruje białej bramy. Tam się spotkamy. Wezmę klucze i wszystko panu pokażę.

- Dziękuję... A może panią podwieźć?

- Nie ma potrzeby. Pójdę skrótem przez pola.

Kiedy przyszła, czekał już przy płocie, wpatrując się w dal, gdzie na horyzoncie, niczym zielona chmura, tkwił długi garb drzew. Bagażnik samochodu był otwarty. Obok niego stały grafitowoszare, skórzane walizy.

- Jak tam podróż? - Standardowe pytanie, grzeczne zagadnięcie, bez narzucania się.

- A dziękuję, dobra... Czy tam to jakaś farma?

- Gdzie? A tak. Ta ziemia za domkiem to ich.

- Jak się nazywa?

- Daylock. Moja córka ma tam swojego pony. - Zawahała się, niepewna wiejskiej świadomości londyńczyka. - Jeśli lubi pan spacery, może pan chodzić prawie wszędzie, o ile będzie pan zamykać bramy i uważać, żeby nie deptać niczego, co rośnie.

- Wiem.

- Zresztą dam panu wytyczne co do trasy.

Po kilku latach pytań i problemów gości wszystko nabrało poloru. Miernik zużytej energii elektrycznej przyjmuje monety funtowe... Instrukcja obsługi pralki jest pod pokrywą... Krzesła ogrodowe w szopie... Grzałka nurkowa włącza się przy... Pierwsze schody są głębsze niż reszta, proszę uważać, żeby się nie potknąć... Dom stoi ze wschodu na zachód, tak że przednia sypialnia łapie poranne słońce, jeśli to akurat pan lubi... W każdy piątek będę przynosić świeże ręczniki i prześcieradła... Kołdra jest letnia; grubsza jest w szafce, ale chyba nie będzie jej pan potrzebował... Facet z wioski, kiedy potrzeba, kosi trawę, ale nie będzie panu przeszkadzał... W salonie jest parę lokalnych przewodników, gdyby chciał pan znaleźć jakieś miejsca do odwiedzenia... A co do zapłaty... Pozostawienie tej kwestii na później w przeszłości często doprowadzało do nieporozumień.

- Oczywiście... muszę tylko dostać się do walizki.

Usunął się, by ją przepuścić. W geście, jak na takiego młodego, grzecznego mężczyznę z delikatnymi i inteligentnymi oczyma, instynktownym bardziej aniżeli przyswojonym. I używał walizki... Nie żeby zaraz wyciągać jakieś wnioski, ale czy nie szukał samotności po romansie z tą czy inną płcią? To nie jej sprawa.

Kiedy wypisywał czek, zwróciła uwagę na jego dłonie, wdzięczne niby długie liście.

- Dziękuję. - Wetknęła złożony na pół czek do kieszonki koszuli. Jej naturalny instynkt nakazywał jej nawiązywanie rozmowy z nowymi gośćmi, lecz w nim była jakaś rezerwa, która sprawiała, że stąpała ostrożnie. - Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, jak tu jest spokojnie. Obawiam się, że niewiele jest tu do roboty.

- Nie szkodzi... Czegoś takiego właśnie szukałem... Piszę książkę. - Tak jakby poczuł potrzebę powiedzenia jej tego, wyjaśnienia powodu swojego przyjazdu.

- O, jest pan pisarzem?
- Niezupełnie... Pracuję w banku.
- Jak T.S. Eliot.
- Słucham? A tak. Niestety, nie jestem poetą.

A powinieneś być; wyglądasz na poetę.

- O czym więc jest ta książka?

Schował książeczkę czekową do walizki.

- Nie jestem pewien... To powieść. Uśmiechnęła się.
- Ja też kiedyś próbowałam, ale nie mogłam dać sobie rady z dyscypliną. I była o miłości, oczywiście. No bo o czym innym by miała być, kiedy się miało dwadzieścia dwa lata? Ale była bardzo szczera... Przepraszam, nie chciałam... - Chryste, ale gafa.
- Moja nie będzie o miłości.
- Cóż, mam nadzieję, że okaże się niewiarygodnym sukcesem i że będę mogła umieścić na domku tablicę oznajmiającą, że tu właśnie została przez pana napisana. Może uczyni pan Finch sławnym. - Poczuła, że jej obecność jest niepożądana. - Cóż, to chyba wszystko. Gdyby miał pan jakieś problemy, proszę mnie powiadomić. A gdyby mnie akurat nie było, wystarczy wrzucić kartkę do skrzynki na listy.
- Chyba nie powinno być żadnych... A tak na marginesie, cóż to jest ten Festyn Pastucha? Widziałem ogłoszenie.
- Festyn? To wielki dzień naszej wioski. Sprowadza się to do zabawy na Łące Pastucha, tej naprzeciwko naszego domu, i... cóż, jest bardzo tutejszy i bardzo sielankowy. Ciągle usiłuję pojąć, jak dałam się w niego wciągnąć w tym roku. Jeśli pan przyjdzie, zobaczy mnie pan przebraną za Lady Marion.
- A kto to taki?
- To część legendy... Za dużo by trzeba wyjaśniać. Znajdzie ją pan w którejś z książek. - Rozejrzała się po pomieszczeniu, upewniając się, że o niczym nie zapomniała. - Dobrze, już pan wie, gdzie co jest, a ja muszę wracać. No to do widzenia.

Zajął się rozpakowywaniem, wieszaniem ubrań w szafie, szukaniem szklanki na gin z tonikiem, który wypił zerkając na telewizję. Gin pomógł mu zachowywać się normalnie. Przysiąść najpierw, rozejrzeć się, włożyć do mikrofalówki lazanię, którą przywiózł ze sobą,

otwierać kuchenne szafki i szuflady, dopóki nie znalazł talerzy do obiadu i sztućców. Skończywszy jedzenie, wyszedł na zewnątrz. Przez długi czas patrzył na chmury podobne do wyczesanej świeżej bawełny, na kolory, blednące jak gdyby topniały z wolna w ogniu pieca. Było zupełnie cicho. W odległości kilku minut drogi piechotą spoczywały ciała pięciu ludzkich istnień, z którymi nigdy nie zamienił słowa, a które ważniejsze były dlań niż ktokolwiek, kogo znał. Myśl to zbyt przytłaczająca, by objąć ją umysłem.

Później wziął pigułkę nasenną, przepisaną mu kiedyś wcześniej, i tylko raz wydał z siebie powodowany snem okrzyk rozpaczy, który uleciał w noc otwartym oknem. Lecz nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Rozdział trzeci

Cisza i srebrne światło napełniły St Matthews; cisza pustki i stuleci szepczących głosów, światło słonecznych promieni, co, niby stalowe miecze, dźgało diamentowe szyby prostych okien nawy głównej, rozjaśniając blade, szare kolumny i ściany z bielonego wapnem kamienia. Ciężkie, dębowe północne drzwi zaszurały na nastroszonej wycieraczce, kiedy Joyce otworzyła je, a półgodzinne uderzenia wieżowego zegara rozbrzmiały w nawie przytłumionym dźwiękiem. Na cynowej tacce leżały pieniądze, obok broszur omawiających mało uwagi godną historię powtarzaną w niezliczonych kościołach Suffolk, z których wiele było dziś bardziej muzeami dziedzictwa reformacji niż ośrodkami wiary. Finch jednak, dzieląc się swym kapłanem z trzema innymi parafiami, pozostawało kongregacją podzieloną na tych, dla których chodzenie do kościoła było potrzebą dzieciństwa, a którzy i w wieku niewiernym życzyli sobie zachować jakieś pojęcie o Bogu, na tych, dla których było to społeczne przyzwyczajenie, oraz tych, którzy chodzili z racji tego, że kościół wpoił w nich strach. Co do Joyce to sama nie wiedziała, czy wierzy tak do końca czy bliżej jej do cynizmu Larkina*.

Philip Larkin (1922-1985), poeta angielski uważany za jednego z kilku najważniejszych poetów powojennej Anglii.

Wrzuciła monety przez otwór w małym, żelaznym pudełku, przymocowanym na wypadek kradzieży do ściany, położyła na stoliku swoją torbę, wyjęła z niej środek do czyszczenia metalu i ścierkę, po czym zwróciła się ku ołtarzowi i mosiężnym prętom kratki oddzielającej nawy od prezbiterium.

Ponieważ spodziewała się, że kościół będzie pusty - bo dla turystów za wcześnie, a i na modlitwę nie pora, gdyż ta wymagała umówienia się z Bogiem na spotkanie w niedzielę - zgięta postać w

pierwszej ławce zaskoczyła ją; mężczyzna, z głową pochyloną nisko przed kunsztownie rzeźbionym tęczowym łukiem. Jej sandały o sznurkowych podeszwach niemalże nie wydawały dźwięku, uświadomiła więc sobie, że nie usłyszał jej przyjścia. Zawahała się, nie chcąc wkraczać w jego prywatność ze swoim cotygodniowym obowiązkiem; ktokolwiek to był pewnie i tak nie zamierzał zostawać tu długo, mogła zatem poczekać w zakrystii... Naraz jego ramiona uniosły się i opadły przy wtórze ciężkiego westchnienia. Joyce poczuła się zakłopotana, nie potrafiła się zdecydować, czy podejść, czy wyjść; jej wiara pełna była takich niepewności... Wtedy mężczyzna podniósł głowę i odwrócił się, jak gdyby dotarła doń jej obecność.

- Ach, to pan... Przepraszam - powiedziała, unosząc obronnie lnianą ścierkę i pojemnik w sprayu do czyszczenia. - Właśnie miałam... To bez znaczenia. Nie chciałam panu przeszkadzać.

- Nie... Ale czy wolno? Bo drzwi były otwarte.

- Oczywiście. Nigdy ich za dnia nie zamykamy... I tak nie ma co tu ukraść... Nie wiedziałam, że ktoś jest w środku. Proszę zostać tak długo, jak pan chce. - Z odległości, jaka ich dzieliła, nie sposób było mieć pewność, ale chyba popłakiwał. - Ja mogę zrobić swoje potem.

- Ale to ja chyba zawadzam.

- Oj, Boże, nie będziemy przecież tak się przepraszać nawzajem. Proszę zostać... Do tego jest to miejsce. Przepraszam.

Wycofała się szybko, czując się jakoś niezręcznie, że zastała go w takim rozstroju, czując niesmak z powodu drobnego poirytowania faktem, że przeszkodzono jej w rutynowej czynności. To nieuprzejme... Najlepiej więc było całkiem opuścić kościół, a nie czaić się w zakrystii, poniekąd zmuszając go, by sobie poszedł. Na zewnątrz stanęła przed problemem, co robić podczas tej niespodziewanej przerwy. Siedzenie na ławeczce w pobliżu wejścia, gdyby wyszedł i zobaczył ją, także wskazywałoby na zniecierpliwienie. Odeszła więc przez kościelny podwórzec między rozpadające się nagrobki, ciągle ze środkami czyszczącymi w rękach. Jej pierwsze odczucia na jego temat najprawdopodobniej były prawdziwe; skończył się romans - przez niezabezpieczone drzwi wśliznęła się nowa miłość lub zdrada i zniszczyła szczęście. Ale to i tak dość niezwykłe, że młody mężczyzna zwraca się ku kościołowi - chyba że tak go wychowano. Albo może to

jeden z tych niezliczonych, co uciekają z powrotem do odrzuconych dawniej jako przesąd obietnic pokrzepienia. Czy powinna zapytać, czy chce porozmawiać z Jeffreyem? Czy też byłoby to zwyczajne wścibstwo i wyolbrzymianie znaczenia tego przypadkowego spotkania?

Po kwadransie wróciła po cichu; jeśli polerowanie nie zostałoby zrobione tego ranka, do końca tygodnia nie byłoby już po temu okazji i Wiedźma z Finch by marudziła; Kathleen Kershaw potrafiła matowy metal dostrzec na dwadzieścia kroków, a kwestią dumy było nigdy nie dawać jej amunicji. Zresztą wiedział, że miała robotę do wykonania, więc zapewne... Gdy otwierała znowu drzwi, odezwał się.

- Proszę, proszę - rzucił spiesznie, jeszcze nim go dostrzegła. - Już wychodzę. - Stał przy tacce, na której za broszurę w cenie trzydziestu pensów zostawił dwa funty.

- Dziękuję... Jak mówiłam, może pan tu przychodzić, kiedy pan tylko chce. Przed nikim nie powinno się zamykać drzwi kościoła. - Zabrzmiało to pobożnie, ale tak jej się to po prostu powiedziało. - Rozgościł się już pan?

- Tak. Dziękuję. Jest bardzo wygodnie.

- To dobrze... Cóż, muszę zabrać się za robotę. - Taka zdawkowa rozmowa wydawała się niestosowna.

- Co to jest?

- Słucham? A... - To była owalna łupkowa tablica w ścianie przy wejściu, do patrzenia na którą zmuszała się bardzo rzadko. - To... to było dawno temu.

Przeczytał raz jeszcze wygrawerowane nazwiska i inskrypcję.

Benjamin Porter Godwin. Anne Hilda Godwin. Cheryl Anne Hood. Thomas Christopher Hood. Amanda Rachel Hood. In Memoriam, 11 lipca 1990. Kochający i kochani, odeszli razem do Boga.

- Kim oni byli?

Musiała nad sobą zapanować.

- Ben miał farmę zaraz za wioską. Annie to jego żona, a Cheryl to ich córka. Tom i Mandy byli jej dziećmi. - Przełknęła ślinę. - Zostali zamordowani. Nie czytał pan o tym? Każda cholerna gazeta o tym pisała.

- Tak, chyba coś czytałem... Akurat studiowałem wtedy w Cambridge. Aresztowano kogoś?

- Nie... Pamiętam, że zastanawiałam się, dlaczego myśl o tym, że nikt nie został ukarany, pogarsza to jeszcze. Przecież i tak nie przywróciłoby to ich życiu...

- Znała ich pani? Byli pani przyjaciółmi?

- Tak. Zwłaszcza Cheryl, ale każdy w Finch znał Bena i Annie. To byli wspaniali ludzie.

Odwrócił się do ściany i po chwili dodał: - Dwójka dzieci.

- Tak. Tom skończyłby w tym roku dziewiętnaście lat... Przepraszam, trudno mi o tym mówić.

- Nie powinienem pytać. Nie wiedziałem.

- Nie mógł pan wiedzieć. - Znów dostrzegła łzy w jego oczach. A może to właśnie o to chodziło? Też kogoś stracił i przyjechał tu go opłakiwać? - Cóż, życie musi toczyć się dalej... Przez takie właśnie rzeczy człowiek trzyma się banałów... Och, Boże. - Owa krzywda, czymkolwiek była, znalazła się bardzo blisko powierzchni; zaczął łkać, marszcząc twarz w boleści. Impuls Joyce pchający ją do objęcia go wyhamował pod naciskiem świadomości, że ma przecież do czynienia z nieznajomym. - Proszę sobie usiąść.

Nie dotykając go, jakby był trędowaty, podprowadziła go do ławki. Przez chwilę nie potrafiła znaleźć właściwych słów. W końcu jednak odezwała się: - Niech pan posłucha. Ja teraz muszę tu trochę ogarnąć, ale potem możemy pójść do mnie napić się kawy. Dobrze?

Z twarzą schowaną w dłoniach pokiwał głową, a ona, dotknąwszy delikatnie jego ramienia, oddaliła się ku ołtarzowi. Czyszcząc krzyż, zastanawiała się, co może mu powiedzieć, jak bardzo się doń zbliżyć. Kiedy spojrzała na niego ponownie, siedział już wyprostowany, nadal smutny, ale trzymał się.

- Chodźmy - powiedziała potem energicznym, kojącym tonem matki zwracającej się do strapionego dziecka. Pogadajmy o czymś innym, żeby odwieść od tego twoje myśli. Mówiła o pogodzie, o żniwach, swych obowiązkach w kościele; a kiedy mijali groby Godwinów, zacienione marmurowe kamienie, aby odwrócić jego uwagę, wskazała jakiś odległy punkt orientacyjny. Gdy dotarli do bramy, pochwalił ją szczerze za jej ogród, co mile ją połaskotało. Już w domu, poprowadziła go prosto do kuchni.

- Rozpuszczalną, będzie szybciej. Proszę usiąść. - Zajął krzesło przy kuchennym stole i popatrzył bez zainteresowania na pierwszą stronę *Guardiana,* ona uznała natomiast, że nieformalność kubków będzie mniej onieśmielająca od porcelany. - Czy wszystko w porządku?

- Z czym? A, w domku. Tak... Bez cukru, dziękuję.

- Czy to może jest sposób na zachowanie szczupłej sylwetki?

- Nie wiem... Chyba po prostu jestem szczupły.

- Szczęściarz z pana. Ja muszę ćwiczyć. Dobrze, że do tego jeszcze sporo jeżdżę rowerem. Ale kiedy zaczynam panikować, to chodzę dodatkowo na aerobik.

Uśmiechnął się tylko, tak jakby każda odpowiedź mogła zabrzmieć niepochlebnie, i milczał, dopóki nie przyniosła kawy.

- Proszę... Może pan też zapalić, jeśli pan ma ochotę. Zauważyłam papierosy, kiedy pan przyjechał. - Znów podziwiała jego dłonie, gdy zapalił, świadom ich wdzięku. - Lepiej?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć... tego tam, w kościele.

- To nie moja sprawa. - Wskazała mu kawę. - Ja tylko staram się być przyjazna... Udało się panu już coś napisać?

- Właściwie nie... To nie takie proste. - Patrzył na trzy łańcuszki, które niezmiennie nosiła, złote nici przecinające letnio brązową skórę obnażonego dekoltu. - Od dawna tu pani mieszka?

- Przeprowadziliśmy się z Londynu w osiemdziesiątym, w roku narodzin Ruperta. To był dobry czas na zakup posiadłości, zwłaszcza w tej części świata. Później w ofercie trafiliśmy na domek letni i kupiliśmy go jako inwestycję. Kiedyś oczywiście go sprzedamy, ale na razie mój mąż czeka, aż ceny trochę podskoczą. Zresztą wynajmowanie go na lato pokrywa większość kosztów. Bo oczywiście w zimie nikt tu przyjeżdżać nie chce. Wschodni wiatr potrafi dać się we znaki. Wieje przez Morze Północne prosto od Uralu. To, co moja mama nazywa leniwym wiatrem, zamiast przechodzić bokiem, przeszywa człowieka na wskroś.

Zdała sobie sprawę, że gada więcej niż to konieczne i poczuła się niezręcznie. W końcu to ona go zaprosiła, ze współczuciem w podtekście i gotowością do słuchania, jeżeli tego akurat chciał. Uderzyło ją, jak rzadko bywała sam na sam z mężczyzną; Ralph oczywiście się

nie liczył, a konwersacje z Jeffreyem na plebanii nie miały żadnych wydźwięków.

Odegnała tę myśl; to tylko brak praktyki. Więc zapytaj go o coś, bądź normalna.

- Dlaczego postanowił pan przyjechać akurat do Finch?

- A dlaczego nie? - W jego głosie pojawiło się jakieś rozdrażnienie, podejrzenie prawie.

- No, jest wiele innych miejsc, gdzie mógłby pan pisać. Ja zawsze myślałam, że najlepiej byłoby nad morzem. Był pan tu już kiedyś?

- Nie. - Potrząsnął głową, by podkreślić to zaprzeczenie. - Po prostu zobaczyłem w *Sunday Times* pani ogłoszenie i spojrzałem na mapę. Nie chciałem za bardzo oddalać się od Londynu.

- I jest tak, jak pan się spodziewał? To znaczy, ja wiem, że jest spokojnie, ale... - Spostrzegłszy, co powraca na jego twarz, instynktownie wyciągnęła przez stół rękę i ujęła jego dłoń. - Przepraszam.

- W porządku. Pani nie... Nie wiem, dlaczego wybrałem to miejsce. Raczej ot tak, bez powodu.

Być może bez konkretnego powodu przyjechał akurat do Finch, ale miała pewność, że była w tym jakaś potrzeba wyrwania się. Może gdyby delikatnie przycisnęła...

- Proszę mi wybaczyć, jeśli się narzucam, ale wszyscy jesteśmy ciekawi innych ludzi i... - Zawahała się. - Stracił pan kogoś?

Odciągnął swoją dłoń.

- Nie tak jak... Tak, straciłem.

- O, to okropne. Umarli? Młodzi byli? - Poczuła konsternację, bo znów zaczął chlipać. - Boże, to było nietaktowne z mojej strony. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Ja tylko chciałam... cóż, spieprzyłam to, prawda? - Nie patrzył już na nią. - Proszę... niech pan po prostu zapomni, że w ogóle coś powiedziałam. Zaraz wracam.

Poszła do salonu tylko po to, by zostawić go samego. Przejęta jego rozpaczą i zawstydzona bardziej swoim niż jego zachowaniem, stanęła przy oknie. Powinna być ostrożniejsza, testując kruchość jego uczuć, zanim wtrąciła się jak... jak co? Dobroczyńca od siedmiu boleści, w średnim wieku i ze średniej klasy. Od tak dawna nie musiała wyrażać swojego współczucia dla drugiej osoby, że zapomniała, iż jest to kwestia dawania komuś przestrzeni i podążania w nią za nim. Ale... Oparła głowę o szybę.

„Ale czy zaprosiłabym cię tutaj, gdybyś był kobietą albo starszym mężczyzną? - wymamrotała do siebie. - Czy nie mówię tego przypadkiem dlatego, że to ja jestem tu w potrzebie, a pan, panie Jowett, doskonale nadaje się na postać do fantazjowania? O, weź się w garść, do diabła!"

Sięgnęła po magazyn i zabrała go ze sobą do kuchni; dzięki Bogu Jowett wyglądał już lepiej i dopił nawet kawę.

- Byłam po to. Jest tu artykuł o tegorocznym Festynie Pastucha, o który mnie pan pytał.
- Dziękuję... Czy każdy może przyjść?
- Im więcej ludzi, tym weselej. Będzie mógł pan zobaczyć mnie przebraną za bardzo romantyczną średniowieczną damę. Robię też sztuczki.
- Czy każdy musi się przebrać?
- Nie. Tylko kilkoro z nas. To część legendy.

Popatrzył, jakby chciał jej podziękować, ale było mu trudno. Podniósł się niezgrabnie. Kiedy tak stali wymieniając spojrzenia, z ogrodu dobiegł ich dociekliwy i donośny głos: - Jest tu kto?

Joyce poczuła natychmiastową ulgę.

- Tutaj, w kuchni!

Niby żwawy ptaszek, do pomieszczenia wpadła kobieta. Płomienista, satynowa koszula, biała spódnica z dekoracyjnym pasem ze splecionych szkarłatnych rzemyków, przeciwsłoneczne okulary oprawne w szylkret, wepchnięte pod grzywkę wymodelowanych, brunatnych włosów niczym zalotny ozdobnik.

- Cześć... O, dzień dobry.
- To jest... Zapomniałam pana imię... Randall. Randall Jowett. Zatrzymał się w Windhover... Fay Graveney.

Zmarszczyła brwi. - Gdzieś już pana widziałam... Nie był pan wczoraj rano w supermarkecie w Bury?

- Owszem.
- Tak myślałam... Coś wam zostało w dzbanku?
- Rozpuszczalna.
- No to chlapnę sobie. - Zwróciła się do Jowetta: - Cóż. Co pan sądzi o Finch?
- Jeszcze się dobrze nie rozejrzałem. Jestem tutaj dopiero od soboty.

- W sumie niewiele jest do oglądania, ale za to wartościowe rzeczy. Kościół, dom, gdzie sama Tallulah Bankhead* - za młody jest pan, żeby mógł o niej słyszeć, ja też zresztą - gdzie ona to właśnie z jakiegoś powodu spędziła noc. Poza tym jest jeszcze Kamień Zarazy... Mogę wyżebrać jednego?

Tallulah Bankhead (1903-1968), amerykańska aktorka komediowa, ulubienica publiczności kinowej w latach dwudziestych.

- Co proszę? A, tak, oczywiście. - Podał jej paczkę papierosów i użyczył ognia.

- Znowu rzuciłaś rzucanie? - zapytała sardonicznie Joyce.

- Zmniejszyłam dawkę do jednego dziennie. - Przez wypuszczony dym Fay uśmiechnęła się do Jowetta. - Ten jest za czternasty maja 2007.

- Co? A, tak. - Uśmiechnął się nieznacznie, po czym spojrzał na Joyce. - Powinienem już iść. Dziękuję za kawę i... w ogóle. Dzięki. Miło było panie poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła szybko doń Fay. - Jak długo pan zostaje?

- Pięć tygodni.

- Pięć tygodni? - Roześmiała się z niedowierzaniem. - Mój drogi panie, do tego czasu umrze pan z nudów!

Popatrzył skrępowany, niepewny jak odpowiedzieć, po czym uśmiechnął się raz jeszcze i wyszedł, z powrotem przez ogród ku kościołowi. Fay wstała, by się za nim pogapić, a kiedy odwróciła się ku Joyce, jej oczy sypały iskrami.

- O każdej porze... w każdym miejscu.

- Przestań. Nie mówisz chyba poważnie. A tak w ogóle to sądziłam, że jesteś zaangażowana?

- Daj spokój, moja droga, to, że się zamówiło posiłek, nie przeszkadza w popatrzeniu ponownie na menu, a ten tu jest naprawdę wspaniały. Sam przyjechał?

- Tak. Ale chyba... Nie jestem pewna. Trafiłam na niego w kościele. Płakał. Chyba kogoś stracił. Jest bardzo nieszczęśliwy.

- Dziewczyna?

- Najprawdopodobniej... albo chłopak.

- Pedałek?

- Nie wiem, ale tak mi jakoś to przyszło do głowy.
- Tak czy siak, kto by chciał go zostawiać? *Jego?*
- Chyba ktoś mu umarł.
- No to koniec. - Fay machnęła ręką. - Czystość przede wszystkim. Uwaga! AIDS.
- Nie mów tak! - Joyce niespodziewanie poczuła opiekuńczy zryw. - Może to jego rodzice... a może w ogóle nie ma to nic wspólnego ze śmiercią kogokolwiek.
- Ale mimo wszystko to coś ciężkiego - zauważyła Fay. - No bo niby po co miałby spędzać w Finch pięć tygodni?
- Może po prostu lubi być sam. Pisze książkę. Ale to już nie nasza sprawa. Zaprosiłam go na kawę, bo żal mi się go zrobiło. I tyle. A ciebie co sprowadza?
- Jadę do Ipswich. Nie potrzebujesz czegoś?
- Chyba nie. - Zdaniem Joyce, Fay przyszła na świat z plakietką: „Urodzona dla Zakupów"; i nosiła ją dumnie, tak jak inni odznaczenie wojenne. - Szukasz czegoś konkretnego?
- W zasadzie to jadę po stroje. Wyglądają okropnie, kiedy już przywiezie sieje do domu, ale muszę coś mieć na ten cholerny wieczorek masońskich damulek w przyszłym tygodniu. Gościem honorowym ma być jakiś tam lord Bardzo-Gruba-Ryba, więc i my musimy wyglądać.
- Czemu Oliver do nich należy? To przecież nie jego klimaty.
- Interes. Jeśli nie jesteś w kwadracie, wylatujesz i poza kółko. On tylko poddaje się obowiązującym trendom.
- A tak w ogóle to co u niego? Przedwczoraj, jadąc do pracy, pomachał do mnie.
- Dobrze. Jakieś rzadkie grafiki pojawiły się w jednym z jego katalogów. Jedziemy do Christiego, żeby mógł wziąć udział w licytacji. Moja rola w tej zabawie to bilety na Buddy'ego wieczorem.
- Oliver na rock and rollowym show? - Joyce potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - Ten facet ciągle mnie zaskakuje.

Fay uśmiechnęła się.

- Doskonały to on pewnie nie jest, ale za to dużo bardziej wyrozumiały od większości z nich. - Łyknęła kawy. - Cóż, muszę lecieć, bo potem będzie kiepsko na drogach. Dzięki. Opiekuj się swoją zagubioną owieczką.

Obecność Fay zawsze dłużyła się jakoś. Fay miała życie pełne satysfakcji, rzadką wolność i męża, który kochał ją bardziej niż samego siebie. Była szczęśliwa - jakże tuzinkowe to słowo na tak pozazdroszczenia godny stan - i była też spełniona, żadnych pustek, żadnych zakłamań. Joyce znała kiedyś podobne zadowolenie, lecz przekonała się, że wspomnienia, które emanować miały ciepłem, jedynie wzmacniały dzisiejszy chłód.

Włożywszy kubki do zmywarki, zatrzymała się na moment. Czyżby dlatego zaprosiła Jowetta? Czyżby współczucie dla kogoś równie cierpiącego miało być okazją do podniesienia w swych oczach własnej wartości? Trzeba było zaczekać, aż wyszedłby z kościoła, i znaleźć czas na sprzątanie po południu. On nie był atrakcyjny tylko w sensie cielesnym, który miała na myśli Fay, był także delikatny, smutny, potrzebował pomocy. A nikt inny, kto zdawałby się potrzebować jej pomocy, z wyjątkiem tej materialnej, nie przychodził jej na myśl.

- Głupia - mruknęła, zatrzaskując drzwi maszyny. - Niech sobie dzwoni po Samarytan.

Rozdział czwarty

Lambert chodził pomiędzy butikami, księgarniami i antykwariatami na Lanes ponad godzinę, nim się zdecydował. Rozstrzygnął o tym widok wychodzącej ze sklepu kobiety z pekińczykiem - laleczką o skwaszonej mordce dyndającą na końcu białej, skórzanej smyczy. Ta parodia Szczodrobliwej Damulki po klimakterium - na rozchwianych obcasach, w niemodnej, lamowanej jedwabnej sukni, skandalicznej jak na dzień, z twarzą jak papierowa maska, pokrytą różem i napudrowaną, by stanąć ze śmiercią w konkury - pochodziła oczywiście z tej dzielnicy Brighton, gdzie mieszkali emerytowani wojskowi, zapomniani artyści oraz pstra, melancholijna szlachta, z każdą sprzedażą kolejnych sreber coraz bardziej zakłopotana spadkiem dla wnuków.

Kontemplujący dolarową potęgę amerykańskich i azjatyckich kolekcjonerów, handlarz był wyrozumiały.

Wewnątrz sklepiku nie było śladu kamery, ale daszek kraciastej czapki i tak ocieniał twarz Lamberta, podczas gdy właściciel - w blezerze z poprzypinanymi odznakami, krawacie regimentu i ze zdyscyplinowanym wąsikiem - przyglądał się wazie.

- Właśnie się tu sprowadziliśmy. Niedaleko Rottingdean. Prze chodziłem przedwczoraj obok pańskiego sklepu i podziwiałem nie które rzeczy na wystawie. Muszę przyprowadzić żonę, żeby zobaczyła ten serwis do herbaty. Bardzo lubi Spode; jej ojciec to poniekąd autorytet. Jest kompletny, jak przypuszczam.

Cała gadka została wygładzona w praktyce: pnący się po szczeblach kariery szef, zamieszkały we właściwym miejscu, zamożni teściowie, sugestie, że w przyszłości może okazać się dobrym klientem. Nigdy nie zawodziła w picowaniu pierwszych chwil.

- Tak. Wszystko jest. - Silny palec, przybrany spiżowym sygnetem,

delikatnie stuknął w relief Afrodyty. - To jest bardzo piękne. Dziwi mnie, że chce pan to sprzedać. Lambert wzruszył ramionami.

- Żadne z nas nie lubi Wedgwooda, ale cóż, spadków się nie wybiera. Muszę zaryzykować. Najwyżej duch ciotki będzie mnie na pastował za to, że się tego pozbywam.

Kiedy handlarz podniósł wazę, by przyjrzeć się jej podstawie, jego usta rozjaśnił malutki uśmieszek dobrej okazji.

- Przepraszam pana na moment. Muszę czegoś poszukać.

Lambert spiął się, gdy handlarz wyszedł na zaplecze, zabierając wazę ze sobą; to się wcześniej nie zdarzało. Naturalnym byłoby poprzechadzać się leniwie po sklepie, lecz jeśli była tu gdzieś kamera, chciał mieć pewność, że nie sfotografuje go wyraźnie. Jeśli właściciel sprawdzał policyjną listę skradzionych przedmiotów, powstawało pytanie, czy cacka z farmy Tannerslade po tak długim czasie nadal się mogły na niej pojawiać. Zaczął próbować odpowiedzi - argumenty obrażonego klienta; to musi być jakaś pomyłka, mój wuj kupił ją ponad trzydzieści lat temu w...

- Jest. - Handlarz powrócił z otwartym katalogiem pod pachą.

- Jest niebywale rzadka. Dlatego jej nie rozpoznałem. O, proszę.

- Pokazał na stronie kolorową fotografię. Jego oczy zmrużyły się w rozsądnym namyśle. - Tak... Sądzę, że bylibyśmy zainteresowani. Jaką cenę pan sugeruje?

Lambert wykonał rękoma ruch niezdecydowania. - Zawsze wiedziałem, że to cenna rzecz, oczywiście, ale... sześć tysięcy?

Wciągane powietrze zasyczało na wargach i zębach. - Nie sądzę, byśmy mogli dać sześć, proszę pana... być może trzy. Na rynku jest teraz zastój.

Czy nigdy nie było innej wymówki? Lambert zaczął grać w tej grze w przetarg obraną przez siebie rolę.

- No, nie jestem pewien. W sumie pozbycie się tego nie jest dla nas jakąś koniecznością. A tak nawiasem mówiąc, to wolałbym gotówkę... jeśli oczywiście jest to możliwe.

Uśmieszek stał się teraz spiskowym. Handlarz poznał, że pewni klienci - ci szanowani, w tweedowych marynarkach - muszą być finansowo przezorni. - To żaden problem, proszę pana, aczkolwiek, naturalnie, wpłynie to na naszą ofertę... dwa tysiące pięćset?

- Siedemset pięćdziesiąt?

Chwilowa pauza na kalkulację, a potem skinienie głowy.

- Dobrze... ale jeśli jest pan zainteresowany Spodem, możemy się jakoś dogadać.

- Nie w tej chwili. - To musiało być jasno określone. - Z tym mogę jeszcze poczekać. Może do urodzin mojej żony. A zatem dwa siedemset pięćdziesiąt? Cóż, polegam na panu. Ma pan tutaj gotówkę?

- Owszem. Co by nie powiedzieć, banknoty są najwygodniejsze. Będzie musiał pan tylko podpisać standardowe pokwitowanie.

- Oczywiście... w porządku. Dziękuję... Może być tymi dwudziestkami.

Czekając, Lambert wycierał dłonie z potu o boki marynarki. Już było blisko.

- Proszę. - Banknoty zostały przeliczone przy nim. - Gdyby zechciał pan tu podpisać... Ma pan jakiś dowód tożsamości?

- Tak. Ja... - Czytając pokwitowanie, Lambert sięgnął niedbale do wewnętrznej kieszeni. - Oj, zostawiłem portfel w teczce w samochodzie, a zaparkowałem aż na Hove. Może to wystarczy?

Dwie koperty z okienkami, jedna z American Express, druga z Inland Revenue, zaadresowane teraz do George'a K. Buchanana, do Priest's Cottage, Telscombe, East Sussex, zmajstrowane na drukarce; daty na pocztowych pieczątkach lekko rozmazane. Podróba prymitywna, ale prostsze to niż prawo jazdy i działało bez problemów przy poprzednich okazjach... Handlarz, tak samo jak i ci przed nim, nie okazał się wyjątkiem.

- Dziękuję, panie Buchanan... i jeszcze datę poproszę. Świetnie. Proszę przyprowadzić żonę, kiedy następnym razem będzie pan w Brighton. Miłego dnia.

Po pierwszej sprzedaży - czterech figurek z Doulton w sklepie w Towcester - Lambert poczuł pragnienie natychmiastowej ucieczki jak najdalej, jakby czuł na sobie podejrzliwy wzrok. Teraz jednak stawało się to rutyną; każdego bowiem dnia tysiące antyków zmieniało właściciela bez zadawania niewygodnych pytań. Przeświadczony o sowitym zysku, handlarz był obojętny na fakt, że być może go okłamano.

Ponieważ Lambert nigdy więcej się nie pokazał, wyciągnął potem wnioski, ale do tego czasu waza była już sprzedana dalej. Idealny byłby tu kolekcjoner zagraniczny, wywożący ją z Anglii, bo nawet i teraz istniało zagrożenie, że uruchomi ona czyjąś pamięć.

Podreptał do Old Ship, do baru. Zdjął czapkę i przygładził dłonią to, co zostało mu z włosów. Krótko po wyjeździe z Cambridge dopadła go jakaś genetyczna skaza, bo zaledwie w parę miesięcy blond fale odpłynęły, pozostawiając na głowie rzadkie strumyki. Wyglądał przez to i czuł się dziesięć lat starzej, ale odrzucał próżność tupeciku. Zamówiwszy podwójną szkocką, pododawał w swym elektronicznym notatniku dzienny utarg. Niecałe piętnaście tysięcy; znów ponad dwa razy więcej niż potrzebne mu było, żeby osiągnąć cel, ale czasem musiał sprzedawać za mniej, niż by chciał... Co dalej zatem? Jak na ironię, najcenniejsza rzecz była taką, której pozbyć się nie ośmielał. Pójście do Sotheby's z byle historyjką o natrafieniu w sklepie ze starociami na coś, co może być nieznanym pejzażem Constable'a, oznaczało ryzyko rozgłosu i rozpoznania obrazu przez niewłaściwą osobę. Cóż, pewnie będzie musiał zatrzymać go dla siebie, na pamiątkę. A chińskie figurki? Miecz z Toledo? Reszta sreber? Kiedy przyszło do rzadszych przedmiotów, niebezpieczeństwo zdemaskowania rosło coraz bardziej, lecz czas uciekał, a on chciał skończyć swój podkop tak szybko, jak to tylko było możliwe. Może wobec tego powinien poczynić ostatnie przygotowania i w nie więcej niż kilka dni zgarnąć tyle, ile by się dało, jeżdżąc do różnych miast i przyjmując to, co by oferowali. Problemem był paszport; chciał brytyjski, który w rękach pewnego siebie białego Anglika akceptowano by za granicą bez żadnego ale - nie wiedział jednak, do kogo się zwrócić. Wielu ludziom się udawało; może szef dyskretnego banku, który nie zadawał zbyt wielu pytań o osobiste konta na boku, mógłby tu pomóc.

Przeszedł do restauracji, gdzie posadzono go przy stoliku z widokiem na promenadę. Zwracając kelnerce menu, dla własnej uciechy zrobił do niej oko, po czym, ukłuty odnowioną urazą, odwrócił wzrok do okna. Tannerslade było obietnicą prywatnego dochodu, który miał zostać wydany na rozrywki, nie z konieczności.

Za oknem przeszedł jakiś mężczyzna, roześmiany, trzymający się za ręce ze żwawą brunetką, wypiętą dumnie, o skórze opalonej na miodowo, z obnażonym pępkiem, w poszarpanych dżinsowych szortach,

z piersiami opiętymi stanikiem. A ponieważ przepaść, jaka rozwarła się pomiędzy wczesnymi i późnymi latami dwudziestymi Lamberta, była zaskakująco szeroka, rozmarzył się on sprośnie... Czyżby już znalazł się w państwie plugawych tatuśków?

Kiedy przyniesiono posiłek, nachmurzył się, tłamsząc w duchu swojego Hamleta i przypominając sobie spotkanie z Jowettem. Jowett nadal pozostawał naznaczony stygmatem dupka, ale oczywiście radził sobie: dobra praca, mieszkanie w dobrej dzielnicy, garniturek za czterysta funtów od Timothy Everesta, pieprzone włosy wciąż w nieładzie... i żadnego drażliwego, skomlącego bachora, żadnej żony wyciągającej forsę. Jowett zrezygnował ze swego udziału w pieniądzach, ale był jak słabowita siostrzyczka, rozbeczana, kiedy przyszło co do czego, a potem wpadająca w paranoję; teraz jednak Lambert gorzko zazdrościł mu jego wolności.

Jego własny wzlot od czasu Cambridge raptownie przeszedł w wolne opadanie. Na początku miał tylko siebie do wydawania rozrośniętej od dodatków pensji. Przez pierwszych parę lat wyprawiał się na narty, tratwą na rwące rzeki, spędzał weekendy z dziewczyną w Paryżu albo jakimś hotelu, co przyciągnął ich uwagę w świecącym prospekcie. I dzięki świadomości, że jest zabójcą - nie psychopatycznym tępakiem, ale inteligentnym, silnym przez tajemnicę, którą znała tylko jedna na świecie osoba i której nikt inny nie mógł sobie nawet wyobrazić - te dni próżniaczego życia pachniały jakoś mocniej.

Victoria była jeszcze jedną dorodną wisienką, śmiercionośnie wspaniała, niewiarygodna w łóżku... i w samochodzie, i na plaży w La Londe, i raz w ogrodzie jej rodziców. Lambert nigdy jednak nie podejrzewał, że taka z niej pijawa - samice tego gatunku brały się bowiem od razu do jaj - ale przekonał się później, że kłamała, kiedy kochając się z nim tamtej nocy mówiła, że jest zabezpieczona. Gdy zasugerował aborcję, wpadła w histerię, a potem zobaczył, że dziecko to dla tej zepsutej dziwki najnowsza zabawka. Kochany Tatuś znów jej uległ, oddając jej w depozyt Gloucester Hill, modny adres w północnym Londynie, którego jego mała dziewczynka zawsze pragnęła, i jasno stawiając sprawę, że jeśli Lambert będzie robił trudności, to on ma bardzo wielu przyjaciół w mieście, ludzi wpływowych, którzy wyświadczają sobie wzajemne przysługi... jak choćby urywanie

obiecujących karier. Lambertowi pozostawało się zgodzić. Mariaż został zakontraktowany.

I pułapka się zamknęła; Victoria opętana swym kruchym życiem towarzyskim, neurotyczna na punkcie swojego wyglądu - szajby dostawała, kiedy pojawił się u niej pojedynczy siwy włosek - stroiła Becky niczym drogą, rozpieszczoną lalkę i czuła się urażona każdą skargą na jej wydatki. „Nie bądź taki tani, kochanie, gdybym założyła jakąś rzecz po raz trzeci, wszyscy by się podśmiewali." A seks - prowokacyjnie nasunęła mu się na myśl zmysłowa postać z nadmorskiej promenady - osiągnął etap, na którym nie był już dawany, tylko przyznawany, i kończył się afektowanym uśmieszkiem władzy oraz pytaniem „Już ci lepiej?" Podejrzewał ją o kochanka, ale prywatny detektyw nie znalazł żadnego konkretnego dowodu; tak czy siak, myślał czasem, że Victoria uważała teraz seks za jeszcze jedną czynność fizjologiczną, której zaspokajania potrzebowała rzadziej niż jej mąż. Nowa suknia od Dolce & Gabbano albo od Lacroix była dla niej dużo większą podnietą. I to nie on je kupował, to z funduszy Tatusia. Płaca Lamberta starczała, co prawda, na hipotekę i rachunki, lecz wkrótce nadwerężyła się poważnie przez prywatną szkołę Becky. Nie mógł odżałować, że przepuścił oszalałe City lat osiemdziesiątych, o którym mu ciągle mówiono, że przepuścił żonglowanie milionami na wymianach, hazard walutą, szydzenie z ćwierć milionowych bonusów. Stwierdził, że byłby w tym dobry. Natomiast teraz trzydzieści sześć tysięcy rocznie to była bieda, i kolejna broń dla żony do chłostania jego grzbietu.

Rankiem, po tym jak w nocy uderzył ją rozwścieczony, poszła prosto do swojego adwokata i przez parę miesięcy był na tapecie rozwód, tyle że jej warunki były paraliżujące. Mógł pozostać w domu, trzymając się ściśle swojej części, z wyjątkiem symbolicznego kontaktu z Becky, dopóki prawni doradcy nie dogadaliby się co do pieniędzy. Za każdym razem, gdy próbował zmusić ją do wycofania się, następował telefon od jej ojca ostrzegający, że jest przygotowany do pogorszenia pozycji Lamberta. Grał więc na czas, w nieskończoność wykłócając się o wynagrodzenia - pomny, że Tannerslade stanowi sekretną drogę ucieczki - i snując marzenia o dniu, kiedy Victoria, wróciwszy do domu, odkrywa wiadomość, którą stale w swej wyobraźni ubierał w słowa, trzy lata rosnącej nienawiści wyplute na papier. Były jeszcze

na tym świecie spokojne miejsca, gdzie można było zniknąć. Policja i tak nie zainteresowałaby się szukaniem kolejnego męża, który nie zrobił niczego więcej jak tylko porzucił swoje małżeństwo. Jakże, do diabła, pozwolił kobiecie zatopić w niego szpony tak głęboko... Szybko skinął na przechodzącą kelnerkę.

- To smakuje jak gówno.
- Przepraszam?
- Ten stek. Z czego to jest? Z psa?
- Przykro mi, proszę pana... Może zechciałby pan zamówić coś innego?
- Nie, nie jestem już głodny. Pal to sześć. Proszę. - Wyjął z kieszeni garść monet i rzucił je na stół. - Poślijcie waszego szefa kuchni na kurs gotowania.

Kiedy wyszedł, poczuł się lepiej. Za nim wybiegł jakiś młody, niezdecydowany kierownik, lecz zatrzymał go prowokującym wzrokiem na miejscu. Nie czepiaj się, chłopczyku, nie ta liga jesteś... Przeszedł jezdnię i znalazł się na nabrzeżu, skąd, wdychając ciepłe powietrze, patrzył na falochron. Postanowił wrócić do centrum, na przyzwoity posiłek w winiarni w Minories; część biurowej ciżby na pewno już tam była... być może Kate również. Ciało niebiańskie, a moralność piekielna. Chyba był jedynym facetem, na którego jeszcze nie wlazła, ale pewnie dałoby się ją kupić za parę drinków i gadkę, w której był kiedyś dobry. W końcu mógł sobie pozwolić na wydanie paru setek na osobiste przyjemności.

Kiedy wrócił do domu, deprymująco pijany, było po jedenastej. Kate owszem, zastał w knajpie, ale na macankach z jakimś chłystkiem z księgowości, z którym zresztą niebawem wyszła, dlatego też wieczór stał się całkowicie męską sesją firmowych plotek, sportu, sprośnych kawałów i historyjek o mało prawdopodobnych seksualnych podbojach. W sypialni Victorii paliło się światło, ale na dole było ciemno, musiał więc brnąć przez hol do kontaktu po omacku. Na stoliku leżała poranna poczta: „Gratulacje. Nasz komputer wytypował pana Gilesa Lamberta, z Gloucester Hill 17, NW3 do wzięcia udziału w..." „Dwadzieścia funtów może uratować życie tej małej dziewczynki z Sudanu..." Pocztówka z tropikalnymi palmami od Grega i Anny; dziw, że mieli czas napisać... Znowu jakieś śmieci... Stan

karty kredytowej... Jak, do diabla, jedna kobieta może tyle wydać w miesiąc?... Kolejny list od matki; jak zwykle narzekania na samotność...

- A więc jednak postanowiłeś wrócić do domu? - Na szczycie schodów pojawiła się Victoria. Ścierała z twarzy ściągający krem. Ta wieczorna operacja to część obsesji, która nie pozwalała jej zapomnieć, że jej piersi być może obwisły o milimetr, a szyja zaczęła objawiać fatalne oznaki marszczenia. Miała ledwie trzydzieści trzy lata, a już zaczęła kłamać mówiąc o swoim wieku. - Nie mówiłeś, że się spóźnisz.

- Zatrzymano mnie.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował podtrzymania. Jak się będziesz kładł, nie obudź Becky.

Przeszła przez korytarzyk i usłyszał, jak zamyka za sobą drzwi. Wspinając się schodami na górę, do łazienki, czul w głowie pulsujący ból. Wzdychając z zadowolenia, oddał hałaśliwie mocz i zamknął na moment oczy. Powrócił doń obraz parki, którą widział na nabrzeżu w Brighton. Ciekawe, co teraz robili? W dziesięć sekund wyobraził sobie niemało, a myśl o uciesze kogoś innego żywsza była niż którekolwiek z jego przeszłych doświadczeń. Seks w fantazjach zawsze był lepszy. Popatrzył na swoją twarz w lustrze szafki nad ustępem; odpowiadała spojrzeniem pełnym porażki, a nie cierpiał tego. Jego pogrążony w depresji, skotłowany mózg nakazywał mu zrobienie czegoś. Zaraz, natychmiast.

Kiedy wkroczył do jej pokoju, Victoria podniosła wzrok znad czasopisma i roześmiała się sarkastycznie.

- O mój Boże, ekshibicjonista z Hampstead! Schowaj to, bo zaraz umrę ze strachu. - Wróciła do magazynu.

- Dzisiaj śpię tutaj - oznajmił, wciągając brzuch.

- Nie ma mowy. - Przerzuciła kartkę, nawet na niego nie patrząc. - Odczep się i wytrzeźwiej lepiej. - Jej oczy błysnęły złością, gdy podszedł do niej. - Giles! Jeśli zaraz nie wyniesiesz się z tego pokoju...

- To co? - zapytał. - Przecież krzyczeć nie będziesz; Becky obudzisz. - Podniósł kołdrę i zaczął gramolić się obok niej.

- Ile, do diabła, wypiłeś... Spadaj! - Próbowała wstać od swojej strony, ale złapał ją za włosy. - Aj! Puść, ty świnio!

- Kwi, kwi - zarechotał, przyciągając ją do siebie i obmacując wolną ręką jej zesztywniałe w odrazie ciało. Wiedział, że nie będzie walczyła fizycznie; wymuszony seks lepszy był bowiem niż ryzyko tego, że uszkodzi jej cenny wygląd.

- W małżeństwie to też jest gwałt, wiesz.

- To zadzwoń po policję. - Przewrócił ją na plecy i przygwoździł swym ciężarem. Próbował ją pocałować, ale ciągle odwracała głowę. - Leż spokojnie! Przecież lubiłaś na ostro.

- Jesteś chory!

- Tak - zgodził się. - Przez ciebie. Ale dzięki temu będzie nam lepiej.

Gdy wszedł w nią, jej twarz ściągnęła się w obrzydzeniu, a kiedy zaczął, jej ciało stało się bezwładne.

- Wsadziłeś już? - spytała, patrząc na niego z pogardą. - Prawie nic nie czuję.

- Odpieprz się - wycedził.

Zaczęła przyglądać się swoim paznokciom.

- Teddy miał większego od ciebie. I Simon. I... Prawie każdy. Georgina dostała napadu histerii, kiedy jej powiedziałam, ile razy musiałam to z tobą udawać. Dosyć, bo ci serce pęknie... O! Coś było. Niewiele, ale zdecydowanie coś. Kończ, bo zasnę.

- Zamknij się!

- Och, proszę, kochanie. Czy nie powiedzieliśmy sobie kiedyś, że będziemy wobec siebie szczerzy, że będziemy wyrażać swoje najgłębsze uczucia... nie żebym jakieś miała w tej chwili, ale... Jesteś pewien, że wsadziłeś we właściwe miejsce? Naprawdę nie... Och. I to tyle? - Uśmiechnęła się triumfalnie, kiedy dysząc stoczył się z niej. - Przepraszam, zapomniałam o mojej kwestii. - Zaczęła podśpiewywać, monotonnie i kpiąco. - O mój Boże, o mój Boże. Wypełnij mnie. Daj mi go. O, o, o. Tak, tak, tak. To było niewiarygodne. - Pchnęła go wściekle, że nieomal nie spadł z łóżka. - A teraz wynocha stąd, bo cię kopnę w jaja! Mówię poważnie, Giles.

Drugi kuksaniec zwalił go na podłogę. Spadając uderzył uchem o stolik przy łóżku, co z żołądka do gardła posłało zalewającą go całego falę nudności. Charcząc i dławiąc się, poczuł nagły przypływ gorąca. Spojrzał na nią i ze wzrokiem rozmazanym łzami rzucił się niezgrabnie i wściekle do przodu. Zapomniał jednak, jak mocno potrafiła

przywalić. Nim więc odskoczyła, pozostawiając go rozłożonego w gorzkim poniżeniu, jej długie paznokcie pozostawiły jeszcze na jego policzku cienkie ślady zadrapań.

- Mam nadzieję, że ci się podobało, cukiereczku - dodała - bo to żałosne ruchanie będzie kosztowało. Nie uwierzysz jak drogo.

I wyszła. Usłyszał, jak przemierza korytarzyk, a potem, trafiwszy do pokoju Becky, zamyka drzwi na klucz; stało tam dodatkowe łóżko, na wypadek, gdyby córka kiedyś była chora i potrzebowała ciągłej opieki.

Sięgnął po chusteczkę z pudełka na stoliku. Wytarł oczy, nos, przyłożył ją do zadrapań, po czym padł wyczerpany na wznak. Sześć lat temu zamordował pięć ludzkich istnień, a teraz jedna kobieta doprowadzała go do rozpaczy. Skulił się z obrzydzenia dla samego siebie, usiłując pojąć głupotę tego, co przez nią wyprawiał. Czy to z seksualnej frustracji, nad którą nie dało się zapanować, czy też tylko z nienawiści do niej - bo bardziej to było pożądane niż nienawiść do siebie samego - nie wiedział. Jedyne, co osiągnął, to to, że dał jej do ręki dodatkową broń, którą będzie go teraz zwalczać.

Rozdział piąty

Odosobniona i bezbronna, farma Tannerslade pojawiła się z przodu i po prawej ręce Jowetta, dokładnie tak, jak to zapamiętał, przypatrując się jej tamtego popołudnia, kiedy przejeżdżali obok i robili zdjęcia. Kiedy była to jeszcze zabawa w odwagę, taka jak na przykład planowanie jakiegoś skandalicznego wybryku na dorocznym marszu charytatywnym. Na polach te same plony, smagłe topole nadal strzegły tyłów domu, a żywopłot osłaniał jedną stronę traktu prowadzącego od drogi. Nastawiwszy się psychicznie na prawie kilometrowy spacer poza Finch, wiedział, że tamtego dnia nie będzie miał odwagi pójść od razu pod *ten* dom. Musiał zbliżać się do niego stopniowo, niezdecydowanie, za każdym razem coraz bardziej. Zmuszał się do patrzenia na niego tak długo jak mógł, owładnięty przeświadczeniem, że ktoś niedostrzegalny obserwuje go, pełen oskarżeń i zemsty, że wie, iż to nie jakiś nieznajomy na byle przechadzce. Pięć wytężonych kroków przeniosło go poza wejście na farmę - brama była otwarta, jak wtedy, ufnie zapraszała gości - i nie był w stanie obejrzeć się wstecz, jak gdyby dodawał sobie odwagi przy przekraczaniu kruchego, płonącego mostku.

Przy przełazie po drugiej stronie drogi biegła ścieżka. Zatrzymał się, by zerknąć na mapę i poszukać innej drogi powrotu; ścieżka wiodła ku Łące Pastucha oraz ku zachodniemu ramieniu wioskowego rozstaju dróg. Poszedł kanałem wzdłuż dojrzewającego zboża, mijając wygniecione miejsce, gdzie pośród maków i dzikiego czosnku leżała porzucona torebka po prezerwatywie. Było tu wilgotno i tak spokojnie, niemal zupełnie cicho, że aż schylił się odruchowo i zakręcił w trwodze w kółko, kiedy nagle z pustego, jasnego nieba nad głową, dudniąc silnikami niby grzmot po głębokich jaskiniach, pędem prując wiszącą w powietrzu ciszę, jakby w jakimś dzikim ataku,

wyskoczył czarny odrzutowy myśliwiec. Zamachał arogancko skrzydłami i oddalił się, by stać się szybko nie głośniejszym niż zawzięte brzęczenie owada i zniknąć w końcu w nastającej na powrót cichości.

A Jowett ruszył dalej przyswajając sobie powtarzane słowa, cztery zdania, w których destylował swą winę. *Przykro mi, że nie żyją. Jeśli jest niebo, może w nim są. Wstydzę się, że nie mogę się przyznać. Chciałbym znaleźć sposób na przebaczenie sobie.* Czasem uznawał, że to bez znaczenia, że to mechaniczne powtarzanie, jakby paciorki prywatnego różańca przesuwające się pomiędzy palcami umysłu, wynegocjowana zgoda na zbawienie. Lecz bez tego nie potrafił złagodzić ogromu swojego uczynku. Szukał otuchy w fakcie, iż był w stanie zbliżyć się znów do farmy Tannerslade, przekonując siebie samego, że następnym razem będzie łatwiej, bo już się czegoś nauczył.

Łany zbóż urwały się. Płosząc pasące się króliki, które skoczyły zaraz pod cienistą osłonę żywopłotu, minął bramę prowadzącą na Łąkę Pastucha. Bramę wychodzącą na drogę miał teraz przed sobą, puścił się więc ku niej przez nagrzaną słońcem nieckę, pachnącą i rozbrzęczaną pszczołami, a potem zaczął piąć się w górę, nie będąc w stanie dojrzeć niczego poza wznoszącym się wokół stokiem. Jego umysł jakby też dryfował, a spokój wiejskiej okolicy mamił go zapomnieniem, dlaczego się tu znalazł... Szybko jednak powrócił do swojej mantry. *Przykro mi, że nie żyją. Jeśli jest niebo...* Dotarł do bramy, pogmerał przy zgiętym metalowym pręcie, po czym zabezpieczył go po drugiej stronie i ruszył już prostą drogą do Finch. Asfalt zmiękł z gorąca. Nawierzchnia kleiła się, zszedł więc na pobocze porośnięte gęsto perzem i trawami. *Chciałbym...*

- Dzień dobry! - Przez sekundę stał zaskoczony; na pustej drodze nikogo bowiem nie było widać. Zaraz jednak spostrzegł ją; klęczała na poduszce przy ogrodzeniu.

- O... Dzień dobry. Nie zauważyłem pani.

- Bo był pan chyba bardzo daleko stąd. Mówił pan do siebie. Czyżby dialog do książki?

- Tak. - Ciekaw był, czy coś słyszała.

- Właśnie tak myślałam. - Joyce podniosła się; gracka, którą trzymała w dłoni osłoniętej płócienną rękawiczką, wskazywała wąski pasek ziemi. - Rozprawiałam się trochę z chwastami. To w zasadzie nie nasza ziemia, ale co tam, *pro publico bono*.

- Słucham?

- To po łacinie. Dla dobra publicznego... Zdawało mi się, że studiował pan w Cambridge.

- Studiowałem. Ale czytałem wszystko w zasadzie tylko po angielsku.

- Cóż, moja łacina to tylko takie kiepskawe urozmaicenie. - Otarła czoło przegubem dłoni. - Co za dzień... Właśnie miałam się napić czegoś zimnego. Nie ma pan ochoty się przyłączyć? Wygląda pan na spragnionego.

- Nie... dziękuję... Nie chcę pani...

- Niech się pan nie wygłupia. To żaden kłopot. Proszę. - Podniosła drewniany kosz, poduszkę i czekała.

Powiedziała proszę, więc niegrzecznie byłoby odmawiać. Przeszli przez bramę, a potem za róg cieplarni. Na tyłach ogród był o wiele większy, ciemnogranatowe przeciwsłoneczne parasole ocieniały białe, ogrodowe mebelki z kutego żelaza, stojące przy dekoracyjnej sadzawce. Za treliażem zauważył połyskujący turkusowo basen.

- Proszę się rozgościć. Za minutkę wracam.

Przeszła przez wyłożone płytkami patio, a dalej przez drzwi do kuchni, on zaś przysiadł na żelaznym krześle obok terakotowej urny z japońskim klonem. Zastanawiał się, dlaczego się zgodził; był zmęczony, było mu gorąco, zapewne więc propozycja czegoś do picia go skusiła. Ale napotkanie jej przypomniało mu też, że znała tamtą rodzinę. A czuł potrzebę porozmawiania o nich. Nie mógł jednak wymyślić żadnego sposobu, by skierować na nich rozmowę bez wzbudzenia jej podejrzeń. Zresztą czy to w ogóle by coś pomogło? Na stoliku przysiadła opasła zięba, oczekująca, że obecność Jowetta znaczy jedzenie. Podskakując niecierpliwie i przechylając łebek zasięgała informacji. Odleciała jednak w chwili, kiedy powróciła Joyce, niosąc na stalowej nierdzewnej tacy lśniące wysokie szklanki.

- Lemoniada z prawdziwymi cytrynami. Sama ją robię. - Była ledwie bladozielona, zaś szklanki nieprzezroczyste od szronu, jakby na amerykańską modłę trzymano je w zamrażalniku. Pomiędzy plastrami owocu, niczym arktyczne perły, pływały lodowe kule.

- Dziękuję. - Przełknął więcej niż zamierzał. - Świetne.

Musiała się umyć, kiedy była w środku, bo znikł z jej twarzy połysk potu; bez makijażu wyglądała... nie starzej, lecz dojrzalej, bardziej

kwitnąco. Miała na sobie płócienne szorty, z tylną kieszenią haftowaną w złotopurpurowe tulipany, oraz luźną koszulkę oznajmiającą, iż jej właścicielka jest Przyjaciółką Festiwalu w Aldeburgh. Nieregularna siateczka małych szkarłatnych żyłek tworzyła na wewnętrznej stronie jej uda dwie prawie niewidoczne plamy, zaś dziewczęce kostki i stopy zdawały się zbyt delikatne dla takich zgrabnych, silnych nóg.

- Od razu lepiej. - Subtelne srebrne pasemko wilgoci pokryło jej śliczne zagłębienie nad górną wargą, kiedy odjęła od ust szklankę. - Dziękuję, że zechciał pan się do mnie przyłączyć.

- Nie ma sprawy.

- Fakt faktem, panie Jowett, nie rozmawiałam z żadnym ludzkim istnieniem od śniadania. Cóż, życie na wsi ma i swoje ujemne strony.

- Zwłaszcza kiedy się pochodzi z Londynu.

- Ja nie... A tak. Powiedziałam panu, że się tutaj przeprowadziliśmy. To było już po ślubie. Ja dorastałam w Wiltshire... ale raczej w większej wiosce.

- Dlaczego jest pani sama? To znaczy... - zawahał się, niepewny czy ani jak ma zapytać. Z ludźmi nie czuł się dobrze już od dawna, zapomniał więc wiele z towarzyskich grzeczności.

Zakończone bladoniebieskimi paznokciami palce odgarnęły luźny kosmyk, jakby irytował ją, albo też jakby miała świadomość, że psuje loki i spirale jej pszenicznozłotych włosów.

- Zwykle jest tu moja mama. Mieszka z nami. Ale dzisiaj zabrali ją jacyś jej przyjaciele. A mąż cały tydzień spędza w Londynie. Mamy mieszkanie przy Camden Market. Klitkę w sumie, ale to taka baza, kiedy jest w pracy. No a dzieci są w szkole.

- Z internatem? - Sugerował to jej styl życia.

- Tak i nie. Rupert jest w Oakham, a Annabel nie mieszka w internacie. Chodzi do szkoły Margaret Wood w Bury St Edmunds. To tylko pół godziny drogi stąd. Wróci gdzieś około piątej.

- Odbiera ją pani?

- Czasami, ale ona woli jeździć autobusem.

- Ile ma lat?

- Piętnaście... A pan ma rodzinę?

- Tylko siostrę. Mieszka w Normandii. Niedaleko Rennes.

- O, wspaniale. Jeździ pan do niej w odwiedziny?

- Rzadko... Nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko.

Żadnej wzmianki o rodzicach, zauważyła. Jakże samotnym młodym mężczyzną jesteś, mój panie... Przygotowując drinki, zastanawiała się, dlaczego go zaprosiła. Kolejny samotny dzień nie był dostatecznym powodem; przyzwyczaiła się do nich - jak do pracy w ogrodzie, pisania listów, polerowania sreber, służenia sprawom kościelnym, planowania zmian w domu, czytania, picia kawki u przyjaciół, pogawędek z matką - do tej stałej, cichej ruchliwości, dzięki której unikała tkwienia w pustce zwanej jej życiem. Czyżby wygląd tego młodzieńca spełniał jej śmieszną fantazję o nieznajomym, wyrozumiałym i czułym, co pojawia się niespodzianie, ofiarowując jedynie nieskomplikowane szczęście? W duszy śmiała się z romantycznej fikcji, a mimo to dawała się kusić jej miodopłynnym podstępom...

- A jak tam pisanie?

- W porządku. - Wykonał szklanką gest wskazujący lawendowo-niebieskie kwiecie pnące się po ścianie domu. - To lawsonia?

- Tak. - Joyce poczuła spazm przyjemności. - Wie pan coś o powojniku?

- Trochę. Ogrodnicy powiadają, że lubi towarzystwo. Powinna jeszcze pani posadzić pnące róże.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się. - A jaką odmianę? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie jestem ekspertem.

Ale coś tam wiesz o ogrodach; pewnie dorastałeś w jakimś. Czyżbyś też robił sobie z niego kryjówkę, jak ja?

- Popatrzę w książkach i wybiorę jakąś na przyszły rok. Dzięki za poradę. - I co będzie mi się przypominać, kiedy na nie popatrzę? Jeden samotny letni wieczór, kiedy to zaciągnęłam do siebie przechodzącego nieznajomego, bo nie miałam z kim pogadać?

- Piękny dom.

- Chciałby pan zobaczyć w środku?

- Nie o to mi chodziło. Ja...

Szczerze mówiąc, mój drogi, to wcale nie jestem pewna, czy ty w ogóle wiesz, o co ci chodzi. - Niech pan weźmie swojego drinka. - Mój dom może i wygląda jak piernik, ale przecież cię nie zjem.

Wszystko, jak zwykle, było bez skazy: każda poduszka ułożona, ani śladu kurzu; sterylny, pokazowy dom kobiety, która nic innego

nie ma do roboty, jak tylko pieścić swoją luksusową celę. Podziwiał proporcje, ornamenty i meble, obrazy, zdobne gipsowe sufity, wielki łuk schodów, akwamarynową wpuszczoną w posadzkę wannę.

- A tam pełen luz. - Wskazała zamknięte drzwi na końcu korytarzyka. - Moja córka przechodzi fazę grunge'ową. Kiedy tam zaglądam, myślę, czy by nie wezwać saperów... A to główna sypialnia.

Regencyjne kotary z purpurowymi frędzlami, powieszone wokół wysokich okien, zlewały się w jedno z kremową tapetą w różowe dzikie różyczki, bladofioletowym dywanem, mahoniową szafą, toaletką ze stojącym lustrem, okrągłym stołem ze szklanym blatem oraz z miedzianą misą, gdzie stały jedwabne peonie. Pod ścianą było zaś puste, nieskazitelne łoże, stwarzające dwuznaczną atmosferę, kiedy kobieta pokazuje innemu mężczyźnie intymną przestrzeń dzieloną z mężem. Za dnia pokój ten nie miał żadnego przeznaczenia.

- To tyle. Jest jeszcze apartament mojej mamy, ale traktujemy go jako jej prywatne terytorium. Sklepu z pamiątkami przy wyjściu nie ma. Jeszcze drinka? - Skinęła głową na jego pustą szklankę.

- Powinienem już wracać.

- Jest jeszcze dużo. - Na myśl o tym, że wychodzi, nastąpiło ostre rozczarowanie. - No, chyba że zniweczy to pańską wenę. Nie chciałabym być „tą osobą przybyłą z Porlock". No wie pan, gościem, który przeszkadzał Coleridge'owi, tak że ten już nie mógł dokończyć „Chana Kubla"*...

Aluzja do wiersza S.T. Coleridge'a *Chan Kubla*. Patrz: „Od Chaucera do Larkina", wybór i przekład S. Barańczak, s. 539. Znak 1993.

Zawahał się, jakby nie będąc w stanie się upierać. - No dobrze.

Pozwolił jej pójść przodem po schodach. Gdy dotarli do kuchni, wyjęła z lodówki dzbanek i zaczęła napełniać podstawioną przez niego szklankę. Uświadomiła sobie, że patrzy na wypychany przez jej piersi napis na koszulce. Kiedy skończyła nalewanie, jego oczy pozostawały w bezruchu, zaraz jednak uniósł głowę i spojrzał w jej twarz. To nie był byle sprośny samiec, wyobrażający sobie schowane ciało; w tym jego spojrzeniu było coś miękkiego, jakby, czuła to, jakaś forma utęsknienia.

- Dam panu jeszcze trochę lodu.

- Chętnie.

Sięgnąwszy do zamrażarki, wyjęła kilka kostek i wrzuciła do lemoniady. - Chodźmy do ogrodu.

Pomrukujący spokój gorąca i ciszy przepełniał popołudnie. Ptaki i owady były jakieś ospałe, a i to, co rosło, jakby zastygło w szemrzącym powietrzu. Odnosiło się wrażenie, że mącić ową błogość słowem byłoby czymś niewłaściwym. Joyce poczuła nagłe zadowolenie, nieśmiałe drgnienia niespodziewanego i nonsensownego oczekiwania. Jowett nie patrzył na nią, lecz gdzieś w dół, na ciemne kolumny drzew na skraju ogrodu, z pewnością widząc co innego.

- To prawdziwa kąpiel dla duszy, czyż nie?

Jej głos wyrwał go stamtąd, gdzie zawędrował. - Co?

- Dzień taki jak ten.
- A tak... Dobrze powiedziane.
- Może pan to wykorzystać, jeśli pan chce... w swojej książce.
- Nie wiem, czy... może nie zadziałać. - Jej mowa zdawała się otwierać kanał, który pragnął zbadać. - Mogę panią o coś zapytać?
- Proszę. Słucham.
- Chodzi o pani przyjaciół... pamięta pani, w kościele... o tych, których zabito.
- O Bena i Annie? - Czując jakąś zadrę na spokojnej powierzchni tego popołudnia, zmarszczyła brwi. - Co chciałby pan wiedzieć?
- Jacy byli?
- Byli... A czemu to pana interesuje?
- Nie wiem... Po prostu jestem ciekaw.

Śmierć, pomyślała. Jesteś niej blisko, co? I to boli, bo się nie uodporniłeś.

- Jak już panu mówiłam, to byli wspaniali ludzie. Nie było w nich nic szczególnego, ale nie można było ich nie lubić.
- A jednak zostali zabici. Dzieci również.

Ujrzawszy konsternację w jego oczach, pochyliła się do przodu, kładąc rękę na jego kolanie. - Owszem. Ale gdyby tak pomyśleć, to stwierdzi się, że takie rzeczy, a nawet gorsze, ciągle zdarzają się na całym świecie. Ból przychodzi, kiedy to ktoś, kogo się zna, ale... Boże, zaraz będę gadać jak przeraźliwa starucha. Czyjaś śmierć rani dużo bardziej, kiedy jest się młodym.

- Ale ich zamordowano.

- Tak, i tym gorzej. Bo... Nie wiem, jak inni sobie z tym radzą... ale ja uznałam, że nie może to zniszczyć mojej wiary w ludzi, że większość z nich jest dobra. Nie doskonała, ale i nie nikczemna. Gdybym utraciła tę wiarę, ten, kto ich zabił, wyrządziłby jeszcze większą szkodę.

- Ale musi pani nienawidzić tego, kto to zrobił.

- Staram się o nim nie myśleć, bo... nienawiść może obrócić się przeciwko nam. - Uśmiechnęła się nieco, cofając rękę. - Teraz znowu gadam filozoficznie. Tak naprawdę to nie wiem, co o tym kimś myśleć. Nie wolno mu przydawać znaczenia. Zresztą bez względu na to, jak bardzo bym go nienawidziła, i tak nikomu nie wróci to już życia. Trzeba więc dać sobie spokój...

Obracając szklankę w dłoni i z roztargnieniem obserwując, jak topniejący lód wiruje w niej i stuka o ścianki, pokiwał głową, lecz jakby do siebie. Joyce czuła, że była chyba jedną z pierwszych osób, z którymi próbował porozmawiać o jakimś swoim - coraz bardziej była tego pewna - osobistym żalu; podchodził do tego okrężną drogą - przez śmierć pięciu osób, z którymi nie miał uczuciowego związku - ale być może właśnie to pozwalało mu spojrzeć jaśniej na jego problem. Czekała więc, choć już po chwili wiedziała, że nie jest gotów kontynuować.

- W każdym razie, to było dawno temu i za ładny dzień dzisiaj, żeby o tym myśleć - orzekła.

Jowett poderwał się nagle.

- Myślę, że powinienem już iść. Dziękuję za drinka. - Jego szklanka pozostawała w połowie nie dopita.

- Tak nagle? - Była skonsternowana. Ich spotkanie nie powinno się kończyć taką poważną nutą, a być może nie chciała, żeby w ogóle się kończyło, pozostawiając za sobą melancholię i żal. - Jeśli pan chce, możemy coś zjeść. To nie potrwa długo.

- Nie. Dziękuję.

Poczuła trudny do odparcia impuls, żeby jeszcze ponagabywać, wyjąć to żądło rozczarowania. - Och nie, panie Jowett. Ucieka pan ode mnie?

- Dlaczego miałbym uciekać?

Naprawdę jesteś taki niewinny czy tylko grzeczny?

- Nie wiem... W porządku. Jestem egoistką. Chciałam z kimś

pogadać, ale pan ma przecież robotę. - Minęli cieplarnię i przez przedni trawnik dotarli do bramy; utrzymywał przy tym pomiędzy sobą i nią większy dystans niż było to potrzebne. - Jeśli pójdzie pan przez pierwszą bramę, na jaką pan natrafi, a potem ścieżką dookoła pola, wyjdzie pan przy starej kapliczce. Będzie szybciej.

- Racja. Jeszcze raz dziękuję.

Patrzyła, jak oddala się, nie oglądając się za siebie. Trzymał się bardzo sztywno, jak ktoś zdyscyplinowany, a nawet pilnujący się. Nie było w nim jednak tej pewności siebie odnoszącego sukcesy, młodego człowieka - po cichu podziwiała jego czerwone MG i wystawną jakość jego bagażu.

- I dlaczego tak nagle mam na pana ochotę, panie Jowett? - wyszeptała. - Przecież nie mógł się pan tak szybko przebić przez moje warstwy...

Czyżby nie było to nic więcej jak tylko dodatkowa lampka wina wypita do samotnego lunchu, sfermentowana słońcem w jej wnętrzu w kaprys, w marzenie o smakowitej namiętności? Był przystojny, ułożony, inteligentny, interesujący przez swoją niepewność; była przekonana, że to ten typ... Samotny i nieszczęśliwy... czy to dlatego zastanawiała się, jak to by było: być dotykaną przez te smukłe dłonie... Otrząsnęła się. Urodzinowa kartka do wysłania siostrze Ralpha i tenisowe spodenki Annabel do zszycia to były sprawy odpowiednie dla oswojonej, uległej żony i troskliwej matki. Lepiej więc niech się zajmie domem i nie będzie śmieszna.

Jowett poczuł rozgoryczenie. To taka miła, atrakcyjna kobietka, że powinien z nią bez problemu umieć pożartować, poflirtować nawet. I potem, gdy spotkaliby się znowu, znalazłyby się powiązania, zredukował dystans, zawiązałaby się przyjaźń. A tak to cóż, jałowa konwersacja, jeszcze jedno gorzkie przypomnienie o tym, jak żyją ludzie bez blizn. Zresztą jej naturalne i grzeczne zainteresowanie i tak zamieniłoby się w odrazę, gdyby prawda...

Przykro mi, że nie żyją. Jeśli jest niebo, może w nim są. Wstydzę się, że nie mogę się przyznać. Chciałbym...

Chciałbym móc nigdy nie uczestniczyć w zabójstwie ludzi, których kochałaś.

Rozdział szósty

Jowett czytał gorączkowy, pokawałkowany dziennik, pisany pod koniec każdego bolesnego dnia, przekonując samego siebie, że proste pozostawanie od tygodnia w Finch, bez wyrywania się, pakowania wszystkiego do auta i zwiewania w popłochu do swojej dziury w Londynie, to kamień milowy na okropnej drodze. Nie wydarzyło się nic ważnego, żadna nagła chwila objawienia, nic, co niosłoby pocieszenie, lecz mimo to trwał niepewnie, jakkolwiek przerażony i sam.

Niedziela: Obudził mnie kościelny dzwon, ale nie mogłem tam pójść wiedząc, że będą tam inni ludzie. Jutro to zrobię. Pojechałem do Bury St Edmunds, kupiłem jedzenie i mapę okolic. Wszedłem do muzeum, ale musiałem szybko wyjść, kiedy zobaczyłem pośmiertną maskę Williama Cordera, który w Red Barn, niedaleko stąd, zamordował Marię Martin. Wracałem do siebie długo (nie powinienem był tam wchodzić). Napisałem o Gilesie, o tym, jak się poznaliśmy, co o nim myślałem. Wieczorem w TV gówniany film. Dzień nie taki zły, jak się spodziewałem.

Poniedziałek: Trafiłem do kościoła i modliłem się tam (albo raczej próbowałem), kiedy przyszła pani Hetherington, żeby coś tam posprzątać. To klasycznie „kościelna" osoba. Zapytałem ją o tablicę pamiątkową przy drzwiach, udając, że nic nie wiem o sprawie. Kiedy powiedziała, że ich znała, pękłem. Zaprosiła mnie do siebie na kawę.

Współczuła mi - nigdy przedtem tego nie doznałem - lecz wycofała się, kiedy znowu się zagubiłem. Ale słuchała mnie. Czy pomogłoby, gdybym z nią porozmawiał? Ciekawe jak? Będę musiał o tym pomyśleć. Potem siedziałem w domku, czytałem w ogrodzie, próbowałem trochę popisać, ale tylko o sobie.

I przemilczam to, co złe.

Wtorek: Piekielny dzień.. Spędziłem kilka godzin na łażeniu po

domu, nie mogłem pisać, czułem się jak gówno. Chciałem rzucić to w cholerę, wrócić do Londynu, ale zmusiłem się, żeby poczekać jeszcze z pół godziny, potem godzinę, tak jak wtedy, gdy próbowałem rzucić palenie. Potem oglądałem programy dla dzieciaków; nadal pokazują te same rzeczy, które widziałem lata temu. Skończyłem gin i poszedłem wcześnie do łóżka. Daremna sesja onanizmu, pierwsza od kilku tygodni. (Dopisane w środę rano).

Środa: Lepiej. Pojechałem do wioski i w pubie chłapnąłem sobie browar. Piwko dobre i nikt nie próbował ze mną rozmawiać, ale były różne spojrzenia. Niewielu mają tu nieznajomych. Po południu napisałem więcej o Gilesie. Zadziwiające, co mi powróciło do głowy: na przykład to z filmami z Bette Midler albo to, jak naśladował głosy różnych ludzi. Za dużo przemilczam. Farma jest na mapie zaznaczona; muszę się zmusić, żeby jutro tam pójść.

Czwartek: Farma wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zapamiętałem. Kiedy przechodziłem obok, zrobiło mi się niedobrze. Kto tam teraz mieszka? Gdzieś chyba pisali, że syn dziedziczy. Czyżby naprawdę się wprowadził po tym, co zrobiliśmy ? Muszę tam pójść - wejść do środka - ale czy mogę coś z tego mieć, jeśli go spotkam? Czy może być z tego coś dobrego? Czy w ogóle z czegokolwiek może być coś dobrego ? Jakbym się znalazł w jakimś zasranym horrorze. Nie mogłem wracać obok farmy, więc poszedłem przez pola i znowu spotkałem panią Hetherington. Zaprosiła mnie do ogrodu na drinka i pokazała mi dom. Dlaczego? Chyba jest osamotniona, ale przecież powinna mieć tu dość przyjaciół. W którymś momencie zacząłem sobie fantazjować na jej temat i poczułem się jakoś winny. Powiedziała mi o nich więcej, ale nie wolno mi przez zbytnie dopytywanie się wzbudzać w niej podejrzeń. To już prawie tydzień, ale czy dokądś doszedłem ?

Piątek: Dobry dzień do pisania, udało mi się podać wszystkie szczegóły. Kiedy skończyłem, poczułem się totalnie wypatroszony, ale przynajmniej stawiłem temu czoła. Coś musi się wydostać. Zaczynam czuć potrzebę porozmawiania z kimś o tym, ale czuję ją przecież od lat. No bo z kim, na litość boską? Z księdzem? Z Samarytanami? Od Boga nie ma odzewu.

Zresztą nadal jestem tutaj, a to już coś. Zastanawiam się nad powrotem na farmę jutro po zmierzchu, nad podejściem bliżej domu. Nie wiem, co tym osiągnę, ale sam pomysł wciąż do mnie

powraca. Prześpię się z tym (sypiam lepiej), a rano pomyślę jeszcze raz. Prawie skończyłem pierwszy tom „ Wojny i pokoju". Naprawdę dziwny sposób, żeby to w końcu zrobić.

- Och, Ralph! - Grace Carstairs powąchała różowego goździka przystrojonego gałązkami asparagusa. - Jak to jest, że zawsze udaje ci się pamiętać, jakie są moje ulubione kwiaty? Dziękuję. Nazbyt życzliwy jesteś dla swojej starej teściowej.

- A czemu miałbym nie być, Grace? Chodź, znajdziemy dla nich wazon.

Joyce, patrząc jak wychodzą do holu, wydała z siebie szyderczy, wymiotny odgłos. Z dłonią spoczywającą na ramieniu Ralpha, jej matka połykała kolejną dawkę pochlebstw, nie zdając sobie sprawy z zawartej w nich trucizny. Groteskowy był sposób, w jaki odgrywała wdzięczącą się kokietkę, kiedy on włączał swój urok i schlebiał jej z grzecznością, którą przyjmowała za dobrą monetę, podczas gdy było to jedynie staranne wygładzanie obrazu idealnego zięcia, a co za tym idzie i męża. Joyce musiała przyznać, że był cwany; w jednym tygodniu kwiaty, w następnym godzinna pogawędka w jej pokoju. To poranna przejażdżka do sklepu do Ipswich, to podrzucenie jej, po drodze na golfa, na lunch u Lillian, to znowu przystanek na herbatkę w drodze powrotnej. Skrupulatny też bywał, jeśli idzie o wszelkie urodziny i rocznicę śmierci tatusia (jego sekretarka musiała mu o tym przypominać), a ostatnie kilka minut każdego niedzielnego wieczoru, przed powrotem do miasta, spędzał na mówieniu jej do widzenia i dopytywaniu się, czy nie ma czegoś, co mógłby jej z Londynu przywieźć. Joyce pragnęła krzyczeć, widząc tę oburzającą hipokryzję; za parę bowiem godzin od całowania jej matki w policzek i mówienia, żeby się trzymała ciepło, będzie obłapiać Gabrielle, która... Joyce wzdrygnęła się fizycznie, by rozpędzić te obrazy, co głęboko wgryzały się w nią zazdrością i poniżeniem.

„Jaki wspaniały mężczyzna z tego Ralpha... Tak bardzo przypomina mi tatusia, taki troskliwy jest... Lillian jest nim absolutnie oczarowana. Ona swoich zięciów nie widuje nieraz przez cały rok, biedactwo... Dziękuję ci, że za niego wyszłaś, kochanie; to absolutny skarb!"

Wcale nie, mamusiu. To gnój, a ty jesteś za głupia - nie, nie za głupia - zbyt niewinna, zbyt omotana jego zachowaniem, żeby to dostrzec. On cię wykorzystuje. Nigdy byś mi nie uwierzyła, gdybym ci powiedziała, że chcę zostawić twojego podziwianego Ralpha, bo jest niewiernym, okrutnym manipulantem i chamem. Zasugerowałabyś, żebym poszła do lekarza, a potem powiedziałabyś Lillian, że to menopauza - a ona stanęłaby po twojej stronie. Poza Fay nikt o tym nie wie, ale jej współczucie i tak nie pomaga, bo jej zazdroszczę. Czy wiesz, co mi powiedział tamtej nocy, kiedy już nie wytrzymałam i kazałam mu się wynosić z tego cholernego domu? Zapytał mnie, czy twoje serce byłoby w stanie to znieść, bo był cholernie pewien, że wierzysz w te kłamstwa, które ci wciska. I podśmiewał się, kiedy to „mówił. Oto twój skarb, mamusiu, oto człowiek, o którym rozpowiadasz wszystkim swoim przyjaciółkom, że jestem szczęściarą, że za niego wyszłam. On utrzymuje cię w zadowoleniu, ponieważ potrzebuje cię żywej. Zaraz, a ile ty masz właściwie lat? Siedemdziesiąt cztery. A roztrzęsionemu sercu babci Kitty udało się bić prawie przez dziewięćdziesiąt, ile mi wobec tego zostało do końca mojego wyroku? Prędzej oszaleję chyba.

Usłyszała schodzącego po schodach, pogwizdującego Ralpha; kilka funtów na kwiaty oraz dziesięć minut wkładania ich do wazonu przed ulokowaniem Grace z książką w jej fotelu bardzo się opłacało. Ona zostawała przez resztę dnia w swoim apartamencie, a on mógł wyruszyć na popołudniowe balety w Newmarket i wrócić, kiedy mu pasowało. W niedzielę rano wylegiwał się do południa - Grace mawiała, że bardzo mu tego potrzeba; jej bowiem własny ukochany Ronald zawsze narzekał, że Londyn jest wyczerpujący - jadł lunch, wykonywał ze swojego gabinetu parę telefonów, pakował wyprane i wyprasowane przez Joyce koszule, po czym zmywał się z powrotem do Camden. Kiedy dzieci były jeszcze małe, Joyce organizowała rodzinne wypady, nie śmiał więc łamać jej obietnic, że tatuś będzie z nimi, jednakże po tym, jak Rupert opuścił dom, a Annabel stała się bardziej niezależna, broń ta przestała wypalać. Porzuciła też nakłanianie go na to, by w sobotnie wieczory zabierał ją na kolację, gdyż zawsze robiły się z tego żałosne seanse głuchej ciszy, aż zimne od obojętności z jego strony i wstrętu z jej. Co to za ludzie, którzy nie rozmawiają ze sobą, kiedy są razem w miejscu publicznym? Niedobrani. To, jak Joyce spędza tydzień, było mu obojętne. Był pewien,

że i tak nigdy nie skontruje go znalezieniem sobie kochanka. Mamusia przeraziłaby się, gdyby dowiedział się o tym i jej powiedział - a powiedziałby - skarżąc się, że był przecież dobrym mężem i że nie jest w stanie pojąć, jak może być tak okrutna dla nich obojga. Joyce często zastanawiała się, czy istnieją jeszcze jakieś inne kobiety złapane w taką pułapkę. Rodzice żyli teraz dużo dłużej, żony zaś zazwyczaj dłużej niż mężowie; czyżby więc Ralph był do tego stopnia wyrachowany, że zorientował się, iż zaofiarowanie swojej teściowej wdowiego apartamentu nie będzie go kosztowało prawie nic, a umożliwi mu uziemienie własnej żony? Niezdolna do zabicia go - co było regularną fantazją, częstokroć ze złośliwie dodanym bólem - Joyce rozpaczliwie pragnęła uciec, a jednocześnie gardziła sobą za to, co jest jej wyrządzane. Musiała nawet kontynuować tę żałosną gierkę dzielenia z nim łóżka, ponieważ mamusia zatrwożyłaby się na inne rozwiązanie; dla jej posłusznego pokolenia kobiet, to iż żona nie sypia z mężem, było wynaturzeniem, a poza tym jakże to w ogóle możliwe, żeby jej córka nie chciała spędzać nocy w cieple u boku tak życzliwego i wielkodusznego mężczyzny? De facto, Ralph sypiał w przyległej garderobie, równie funkcjonalnej i bezdusznej jak pokój motelowy, podczas gdy Joyce leżała samotnie w królewskim łożu, które razem wybrali sobie u Harrodsa, radośnie wypróbowanym za raz po tym, jak je dostarczono, i na którym zostali poczęci Rupert i Annabel.

- Jesz lunch? - spytała oschle.

Zerknął na swojego Rolexa. - Jeśli będzie zaraz.

- Trzeba go podgrzać. Dziesięć minut.
- Dobra. Dzięki. Pomóc ci?

Wyglądała na zaskoczoną. - Coś cię napadło, czy próbujesz zaoszczędzić na czasie?

- Tak czy nie?
- No dobra. Możesz nakryć. Dziękuję.

Uderzyło ją, że nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni rozmawiali tak naprawdę, wymieniali myśli. Po przeciwległych stronach przepaści, na której dnie leżało ich małżeństwo - martwe marzenia i przegniłe szczątki tego, co kiedyś było miłością - wzajemna komunikacja ograniczała się do spraw podstawowych: przyszły te rachunki; muszę mieć wyczyszczony mój wieczorowy

garnitur; nie zapomnij, że musimy być na wywiadówce u Ruperta; Fay zaprasza nas na kolację w... Możesz?; Annabel potrzebuje nowe narty na wycieczkę; we wtorek i środę będę poza miastem... tu masz numer, w razie czego; mają przyjechać od Mereditha wyczyścić basen; aha, masz tu setkę na urodziny, kup sobie coś, ja nie mam czasu na łażenie w mieście po sklepach.

Rozłożył noże i widelce, postawił dwie szklanki wody; żadnych przypraw, serwetek, podstawek, misy z owocami. Zatopiony potem w sportowe strony *Daily Telegraph,* irytował się, bo Joyce kończąc nakrywanie, zjadliwie mu przeszkadzała. Żadne z nich nie odezwało się jednak. Usiadła i zaczęli jeść. Jedyny dźwięk, jaki się przy tym rozlegał, to zimny, metaliczny stukot sztućców o porcelanę.

- Jak tam ten nowy koleś z Windhover?

To pytanie dziurawiące milczenie zaskoczyło ją; o ile bowiem księgi wykazywały właściwy dochód, Ralph nigdy nie pytał o domek.

- W porządku. A dlaczego?

- Byłem ciekaw. Zostaje na kilka tygodni, tak? Co on właściwie robi przez cały dzień?

- A skąd mam wiedzieć? - Ogarnęło ją niespodziewane uczucie obrony tego przed nim; nie chciała, żeby Ralph miał jakikolwiek z tym związek. - Wszystko opłacił, jeśli o to się martwisz.

- Nie ma potrzeby zaraz się irytować.

- Ja już niczym się nie irytuję, Ralph. Po prostu jestem nieprzyzwyczajona do twojego zainteresowania. Czytaj lepiej tę swoją cholerną gazetę.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje? Nie chciałem się kłócić. Ja tylko...

- Zamknij się! - Joyce odepchnęła wściekle talerz i wstała. Wspólne jadanie lunchu już od dawna było farsą, lecz nagle miała tego dość. - Co się ze mną dzieje? Lepiej spadaj, bo...!

Jego wzruszenie ramion i powrót do gazety tym razem zakłuło boleśniej niż zdarzało się to od miesięcy. Zawsze gdy go atakowała, wycofywał się zapobiegawczo. Kiedy westchnęła sfrustrowana i wyszła, ze łzami gryzącymi oczy, nawet nie podniósł wzroku.

Tym razem ogród nie zaofiarował jej żadnego pocieszenia; i na co jego doskonałość? Był tylko miejscem, gdzie nieszczęście można było chwilowo zamaskować kolorem i zapachem. Nie czując ostrych kolców,

zerwała różę i zaczęła odrywać jej płatki. Nie kocha... nie kocha... nie kocha... Chryste, spójrz prawdzie w oczy! Tak długo się na to godzisz, musisz z tym skończyć, to nic może trwać wiecznie... Mamusiu, umrzyj już! Pozwól mi dopaść mu do gardła i... Zaszlochała gwałtownie. Przepraszam. Nie to miałam na myśli... Tak, to... Boże na niebiosach! Mam czterdzieści cztery lata i nienawidzę siebie za to, że pozwalam mu czynić mnie tak nieszczęśliwą. Mam się zestarzeć, zanim będę miała odwagę nie dbać o to, jak się zachowuję i o to, co sobie ludzie pomyślą? Nie oszukuj się. Nim przestaniesz pozwalać sobie na bycie pokonaną tak często, nie będziesz już miała siły do walki. Jesteś żałosna.

Usiadłszy nad stawem, brała do ręki małe kamyczki i wrzucała je do stojącej wody, skupiając się na szemrzących po powierzchni falkach. Opróżniała umysł, bo myśli bolały zbyt mocno... Parę dni temu był tutaj z nią i czuła się - może nie zaraz szczęśliwa, ale spokojna, opanowana... chętna do flirtu? Nieelegancko pociągnęła nosem i użyła przegubu dłoni, by go wytrzeć. Był atrakcyjny - i samotny - delikatny i również jakoś zraniony. Łączyło ich zatem doświadczenie cierpienia. Rozparła się w krześle. Jej umysł dryfował. Zamknęła oczy przed pulsującym, rozgrzewającym jej ciało słońcem. Jakby to było: być dotykaną przez te piękne dłonie, całowaną przez te wiotkie wargi, które drżały tak od czegoś, co, jak czuła, musiało być bólem serca? Fantazja tkała obrazy; nie tylko seksu, ale i uczucia, wspólnie spędzanego czasu, pokrzepienia... Przeniosła swe wizje do Cromlix House, okazałego wiejskiego hotelu w Szkocji, gdzie kiedyś się zatrzymała. Do apartamentu w niższej wieży, z przeogromnym łożem pod baldachimem i długim edwardiańskim lustrem, które można ustawić tak, żeby przyglądali się sobie podczas... A te spacery pod rękę po posiadłości... Rozmowy z innymi gośćmi przy kawie i likierach, w opasłych fotelach salonu, po kolacji... Herbata przynoszona im z rana na srebrnej tacy... Wspinaczka na Trossachs nad Loch Katrine...

- Oj, nie bądź tak cholernie głupia. - Przestraszona sikorka odfrunęła na bezpieczną odległość, kiedy padły te słowa.

Joyce usiadła prosto, ślepo zapatrzyła się przez dobrą chwilę na ogród, po czym podniosła się i wróciła do domu. On miał swoje własne życie, a przez jej tylko przemykał, wynajmując domek, żeby pisać

w nim książkę. Cała reszta to mrzonki, chociaż... Nie. Dość. Niektóre kobiety może i zaczęłyby go uwodzić dla własnej przyjemności i zabawy - te młodsze oczywiście - ale w tym wypadku to były tylko patetyczne erotyczne marzenia, co uwłaczały jej jeszcze bardziej. Włączyła radio i zabrała się za prasowanie.

Ralph wrócił krótko przed dziesiątą, akurat na czas, żeby skoczyć jeszcze na górę i powiedzieć Grace, że postawił dla niej forsę na jakiegoś konia i że ten koń wygrał. Trzydzieści funtów. Będzie mogła sobie kupić coś słodkiego. Spij spokojnie. Zobaczymy się jutro rano przed moim wyjazdem.

Joyce słyszała, jak schodząc po schodach gwiżdże sobie po cichu; szkicowała akurat, na wpół skulona na sofie w salonie. Kiedy wszedł, przewróciła kartkę.

- Jerry i Suzanne pytali o ciebie. - Seplenił po alkoholu. - Ma zadzwonić. Zaprosić cię na lunch. - Tylko krótkie zdania pozostawały w zasięgu jego umysłu.

- Nie mogę się doczekać - mruknęła. Zanim poznała Suzanne, Ralph wmawiał jej, że ją polubi; jak się jednak okazało, była to, w odczuciu Joyce, egoistyczna latawica, mimo męża, która z powodzeniem mogłaby zanudzić wszechświat.

Ralph nie uchwycił już jej odpowiedzi, bo skierował się do barku po wieczorną lampkę ginu.

- Co rysujesz?

- Nic. Zabijam czas. - Zamknęła szkicownik. - Zresztą już miałam się kłaść. Rozumiem, że zostajesz oglądać mecz.

- Nagrałaś go?

- Nie, ale zostawiłeś, o ile to pamiętasz, video na timerze... A tak przy okazji, był remis. Jeden do jednego. Mówili w wiadomościach.

- Kurwa. Wszystko popsułaś. - Powiedział to jak rozdrażnione dziecko.

- Och, serce mi krwawi. No to dobranoc. - Ta maleńka wygrana sprawiła, że od razu poczuła się lepiej.

W łóżku, oparta o poduszki, otworzyła ponownie szkicownik, sfrustrowana tym, co uchodziło jej pamięci. Włosy były dobre, zarys szczęki też, ale oczy chyba nie całkiem... Użyła miękkiej gumki, po czym

skoncentrowała się raz jeszcze, prowadząc linie i cieniując. Rzadko próbowała portretów; w twarzach były bowiem cechy, które odwoływały się do umiejętności niepotrzebnych przy szkicowaniu kwiatów czy starych budynków. Jak więc narysować delikatność i to wrażenie bojaźliwości? Wyciągnęła kartkę na długość ręki, powpatrywała się w nią przez chwilę, by na koniec pocałować ją spontanicznie. Potem odchyliła głowę do tyłu.

- Wszedłeś w moje życie dokładnie tydzień temu - szepnęła. - Chryste, do jakiej rozpaczy doprowadza mnie ten cham?

Przechyliwszy się przez skraj łóżka, wsunęła pod nie szkicownik, wyłączyła lampę i położyła się. Sen ostatecznie tłumił wyobraźnię, dopóki nie został zakłócony przez Ralpha, kaszlącego głośno, gdy mijał drzwi sypialni; w garderobie po chwili zapaliło się światło, lecz zaraz znikło, bo zamknął drzwi. Uodporniona przeciwko odrzuceniu, poczuła się zdezorientowana tym, że nagle zaczęła popłakiwać.

Groza ciężkich chmur zawisłych nad okolicą spadła i na Jowetta; osaczające go cienie, gałęzie chłoszczące jego twarz, trzask ściółki pod nerwowo sunącymi stopami. Wzdłuż drogi z Finch do farmy Tannerslade nie było latarni, kiedy więc wspiął się na ogrodzenie przy bramie, by przeczołgać się wzdłuż głogowego żywopłotu po drugiej stronie traktu wiodącego ku domowi, ciemność wciągnęła go w sam swój środek; bał się użyć latarki, żeby nie zdradzić swojej obecności. W pewnym momencie aż zamarł na myśl o potrzaskach, występnych półkolach zębatych, stalowych szczęk, co zaciskały się ze sobą, by wgryźć się nieruchomo w łydkę i goleń. Oczywiście dziś były nielegalne... ale po rzezi dokonanej na całej rodzinie nikt by się tym przejmował. Przykucnąwszy, błądził ręką po podłożu, dopóki nie znalazł długiego kija, którym, oślepiony przez noc i przerażony niewidocznymi niebezpieczeństwami, zaczął badać trawę przed sobą. Nagle potknął się i sapiąc osunął do suchego, płytkiego rowu.

Patrząc w tył na drogę, uświadomił sobie, że musi być niemal naprzeciw farmerskiego domu. Wyszedł więc z rowu i odgarnąwszy nie bez trudu listowie z gałązkami zajrzał przez głóg. W oknie żarzyły się kotary, a jego oczy, przyzwyczajone teraz do ciemności, mogły poodróżniać szczegóły. Stajnia, gdzie został zastrzelony staruszek,

stała nadal na swoim miejscu. Oczami umysłu raz jeszcze zobaczył dziewczynkę, biegnącą po to, by zostać brutalnie powaloną przez śmierć na ziemię; a potem tę kobietę, stojącą w drzwiach, dopóki nie zgięła się i nie padła. Niespodzianie naszło go uczucie oderwania, niczym wodza dokonującego inspekcji w mieście obróconym w milczące zgliszcza i pokiereszowane ciała. Oto jest miejsce mordu, gdzie niegdyś, bezradny wobec terroru, nie powstrzymał szaleństwa Gilesa, stając się tym samym jego uczestnikiem.

Niemożliwym było przeanalizować, czy powrót tutaj faktycznie coś pomagał; czy ci nie ukarani, będący strażnikami w Oświęcimiu albo Treblince mogli osiągnąć cokolwiek widząc ponownie baraki i komory gazowe? Ale tak to mógł sobie dumać intelektualista z Cambridge albo klasztorny umysł kontemplujący tajemnice ludzkiego zła. Natomiast tu, parę kroków od miejsca, gdzie przyczaił się w żywopłocie, zamordowano mężczyznę, dwie kobiety i dwójkę dzieci; i to była szkaradna rzeczywistość.

Pozwoliwszy gałązkom zamknąć się za jego plecami, siedział tak jeszcze przez chwilę dygocząc, nim zebrał się do opuszczenia tego miejsca. Cóż, wrócił. Lecz nic tu nie znalazł.

Rozdział siódmy

Podczas gdy parafianie modlili się za potrzebujących, Joyce, z pochyloną głową, skupiała swoją uwagę na zdobnym klęczniku. To był ten, który zrobiła sama; kanciasta, stylizowana postać uskrzydlonego człowieka, tradycyjne wyobrażenie świętego Mateusza. Do tego właśnie sprowadzało się dla niej znaczenie chodzenia do kościoła: nie do wiary czy strachu, lecz do miejsca, gdzie jej talenty miały jakieś zastosowanie, a ona sama zyskiwała poczucie społecznej przynależności, balsam na samotność. Tak więc grzech - a przynajmniej to, co stawało się ciągłymi myślami o grzechu - nie wchodził tu już w rachubę. Śmierć Boga została ogłoszona wszem i wobec w latach sześćdziesiątych, dlatego teraz w odnajdywaniu Go każdy miał wolną rękę. Mogła zatem negocjować swoje osobiste warunki. Nie mogło być niegodziwym kochać ani, co za tym idzie, kochać się, jeśli bowiem nikomu nie działa się przy tym krzywda, nie można było zaklasyfikować tego jako grzech. Znamienne, jak łatwo życie w bezwarunkowym posłuszeństwie dawało się teraz zakwestionować.

- Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... - Nie będąc w stanie dłużej klęczeć wygodnie, Grace ze skłonioną głową przysiadła na ławce, a nie słysząc udziału córki, z rozmysłem podniosła głos.

- ...i odpuść nam nasze winy... - podjęła instynktownie Joyce. Bo z całą pewnością zawiniono przeciwko mnie. Przez resztę mszy musiała zmuszać swój umysł do przyzwoitego zachowania.

- Joyce, wreszcie skończyłam ten cholerny stanik. Nie uwierzyłabyś, ile miałam z nim kłopotu! Kiedy możesz przyjść do ostatniej przymiarki? - Rzucając się przez tłumek przed wejściem jak kura do

ziarna, Sarah Merriman grzebała w torbie szukając kalendarzyka. - O kurczę. W następne trzy dni nie da rady. W czwartek wieczorem? Też nie. Mam na głowie to babsko, co chce suknię na wesele córki... Piątek. Rano. Ale nie przed jedenastą. Gdybyś nie mogła, to trudno, zmówimy się w weekend, bo w piątek zaraz po lunchu muszę wyjść. Cholera, nigdy z niczym nie można zdążyć.

- W piątek rano dam radę - zapewniła Joyce.

Rokrocznie Festyn Pastucha był w życiu Sarah Merriman poważnym kryzysem; rokrocznie przysięgała sobie, że już nigdy nie będzie brać w tym udziału; i rokrocznie brała udział.

- Cudownie. - Rozejrzała się gorączkowo i zapisała to sobie. - Widziałaś Jeremy'ego? Obiecał powiadomić mnie, co z tymi głośnikami, które miał pożyczyć z jakiegoś klubu sportowego. Bez nich to będzie totalna farsa... Carol! Poczekaj! Potrzebne są jeszcze dwa kostiumy rycerzy i... - Wtopiła się w grupę ludzi, siejąc wokół siebie prawdziwy zamęt.

- Bardzo miłe kazanie. - Grace wyglądała na zadowoloną.

- Tak. - Joyce wzięła ją pod rękę. - Nowa wariacja na temat siódmego przykazania.

- Nie bądź taka cyniczna. Jeffrey to cudowny wikariusz. - Ruszyły razem opadającym chodnikiem ku bramie. - Podobało mi się, jak połączył to z uczeniem się dzieci w szkole. Rozumiesz. Problem z niektórymi przypowieściami jest taki, że...

Joyce przestała słuchać; to *on,* właśnie je minął.

- Panie Jowett! - Odwrócił się, zaskoczony nieco, że ktoś go rozpoznał. - Nie widziałam pana w kościele.

- Byłem z tyłu... Ale pani też nie widziałem.

- No dobrze. To moja mama, nawiasem mówiąc... Pan Jowett. Mieszka w Windhover.

- Dzień dobry. - Grace podała mu swoją dłoń. - Mam nadzieję, że dobrze się pan bawi spędzając u nas wakacje.

- Tak. Dziękuję.

- Zna pan tę część Suffolk?

- Nie. Nigdy tu nie byłem... Ale jest atrakcyjnie.

- Co pan odkrył do tej pory?

- Niewiele... Nie wychodzę zbyt często.

- Ależ mamy tu wspaniale miejsca do odwiedzenia! - Głos Grace

zabrzmiał rozczarowaniem, jakby lekceważono jej przybrane hrabstwo. - Absolutnie cudowne jest Melford Hall. I niedaleko.

- Wiem... Czytałem o nim w jednej z książek w domku. Czy to nie Elżbieta I tam się zatrzymywała?

- Chyba tak. Interesuje się pan historią?

- Po części, szczególnie Tudorami. Postaram się tam wpaść. Dziękuję.

- Pan Jowett nie jest tutaj tylko na wakacjach. - Joyce spodobał się sposób, w jaki rozmawiał z jej matką. - Pisze książkę.

- Naprawdę? Będę więc teraz wszystkim mówić, że poznałam sławnego pisarza.

- To jego pierwsza książka, mamusiu.

- Cóż, to musi pan być wytrwały. Mój mąż i ja znaliśmy kiedyś... zaraz, jak on się nazywał? Mniejsza z tym. W każdym razie napisał książkę, która odniosła wielki sukces. Zdaje się, że nawet film zrobili na jej podstawie. Mam nadzieję, że i z pańską tak będzie.

Potrząsnął głową.

- Nie sądzę.

- Ale jestem pewna, że byłby lepszy od tych okropieństw, które puszczają na okrągło w telewizji. Chyba nikt już nie robi *ładnych* filmów.

- Niestety... Muszę wracać. Zostawiłem coś w piekarniku.

- Och nie. - Joyce poczuła ukłucie żalu. - Właśnie miałam pana zapytać, czy nie zechciałby pan wpaść na drinka. Niedziela spędzana samemu potrafi przygnębić człowieka. - A ja wiem jak to jest, nawet kiedy jest ktoś w domu.

- Nie szkodzi... Jestem przyzwyczajony.

Nie można się do tego przyzwyczaić, można jedynie znajdować sposoby, żeby to znosić.

- Będzie pan tutaj w przyszłą niedzielę? - spytała.

- Nie wiem. Ja nie tak często... może. - Uśmiechnął się ledwie i pożegnał je.

Grace obdarzyła Jowetta zaletami swojego pokolenia.

- Cóż za uprzejmy młody człowiek. Dobrze wychowany.

- Studiował w Cambridge... Wspomniał o tym, kiedy spotkałam go parę dni temu. - Joyce patrzyła, jak za sprawą spadku drogi kryje się coraz bardziej za mur otaczający kościelny dziedziniec, by wreszcie

całkiem zniknąć z oczu. Żebyś wiedział, o czym myślałam, siedząc tam dziesięć ławek przed tobą. Czyżbyś był religijny? To drugi raz, jak byłeś w kościele. A może tylko szukasz pokrzepienia, bo jesteś nieszczęśliwy? Boże, tak bardzo bym chciała... - Co, mamo?

- Mówiłam tylko, że dzisiaj bardzo mało młodych ludzi zdaje się mieć dobre maniery, kiedy się z nimi rozmawia. Cała reszta bełkocze przecież.
- On nie jest taki młody, mamusiu. Musi mieć koło trzydziestki.
- No to jest jeszcze naprawdę młody.

Joyce znów wzięła ją pod rękę. - Chodźmy, bo nie będziesz miała czasu na swoje sherry.

Jowett bał się straszliwie, że zanim dotrze do sanktuarium letniego domku, jeszcze ktoś inny zechce z nim porozmawiać. To wszystko było dlań jedną wielką hipokryzją: to, że przyjął książeczkę do nabożeństwa, że reagował nerwowością na przyjazne uśmiechy, że udawał modlitwę, nie będąc w stanie odpowiadać nawet, bo wiele lat już minęło, odkąd chodził regularnie do kościoła. Po mszy prześliznął się u wejścia obok wikariusza, nie chcąc narażać się na rozmowę... potem jednak musiał zmuszać się do wymiany zdań z Joyce Hetherington i jej matką. Nikt z nich nie wiedział, że to czyściec, próba bycia ze zwyczajnymi ludźmi, zachowywania się jak oni, ponieważ... ponieważ gdyby udało mu się to w tym kościele, łatwiej byłoby i gdzie indziej. Gdyby jednak poznali prawdę, obróciliby się przeciwko niemu, stałby się postacią znienawidzoną, wykraczającą daleko poza ich zdolność przebaczania.

Izolacja, jego towarzyszka już od lat, tutaj była jakby większa. Był bowiem o nic nie podejrzewanym trędowatym pośród zdrowych... Nie, dosyć tych cholernych metafor. Jesteś mordercą, załganym, bo nie masz odwagi się przyznać. To są ludzie, których życie wykpiwałeś kiedyś za jego banalność, za brak wymyślności. Ale są przynajmniej przyzwoici, mają rodziny, pomagają sobie wzajemnie, nie wyrządzają nikomu krzywdy. I ty teraz chcesz być jak oni, wieść to ich ograniczone życie, nudne, ale bez winy. Najprostsza to ambicja ze wszystkich, a ty nie potrafisz tego osiągnąć.

Tydzień mija, a tu co? Bezużyteczne modlitwy, zakradanie się nocą

na farmę, wywlekanie z siebie prawdy na laptopie, jakby miało być z tego coś dobrego... Może lepiej kup sobie żyletkę. Wspaniała myśl. Jeżeli zrobisz to tutaj, nabierze to przynajmniej jakiegoś znaczenia, nieprawdaż? Zamierzasz zostawić pożegnalny list dla pani Hetherington?

Przepraszam za to, ale było tak wiele rzeczy, których nie byłem w stanie wytłumaczyć. To tylko i wyłącznie moja wina. Dziękuję za pani życzliwość. Miło mi się z panią rozmawiało. Proszę się tym nie przejmować. Randall Jowett.

Poczuł ścisk w żołądku. Nawet nie potrafisz zwierzyć się komuś po swojej śmierci. Ich nienawiść nie będzie już miała wtedy znaczenia... ale jedynym powodem, dla którego nie nienawidzą cię teraz, jest to, że nie wiedzą. Są przyjaźni, kiedy cię spotykają, a potem prawie nie myślą o tobie. Oto co znaczy prawdziwa samotność; nie tylko bycie samemu, ale również nieistnienie w życiu nikogo innego. Może z wyjątkiem Ruth, poirytowanej koniecznością przylotu z Francji do brata, z którym niemal nie miała nic wspólnego, i jakiegoś przedstawiciela biura, który przyszedłby na twój pogrzeb? Twoja śmierć dla nikogo nie miałaby znaczenia... chyba że dla Gilesa, który odprężyłby się wreszcie, słysząc, że nie stanowisz już dla niego zagrożenia. Tylko co z ciebie za zagrożenie, skoro nie masz jaj, żeby powiedzieć prawdę...

Zamknąwszy za sobą drzwi domku; znów zaczynał płakać. Kogo opłakujesz? Nie ich, nawet nie te dzieci. Siebie samego i fakt, że jesteś wyrzutkiem... Choć dobrze się z nią rozmawiało w ogrodzie. Przez chwilę prawie jak z przyjacielem, a tych przecież nie masz. Tylko po co gapiłeś się tak na jej cycki? Nie możesz popatrzeć na kobietę i nie widzieć jej ciała? To też osoba, zainteresowana na dodatek, mieliście ze sobą coś wspólnego... To właśnie jest normalność. A, olać to. Zjedz lepiej lunch, przejdź się, popisz trochę, poczytaj poezję, sprawdź, czy nie ma czegoś w telewizji. Przeżyj kolejny dzień.

- Kiedy jest festyn? - zapytał bez zaciekawienia Ralph, sprawdzając przed powrotem do Londynu swój kalendarz.

- Już prawie za dwa tygodnie. A czemu pytasz? Pewnie nie planujesz przyjechać?

- Na paradę się nie wyrobię. Mam umówioną czwórkę do brydża. Ale wieczorem na pieczenie świni przyjadę.

- Nie rób sobie kłopotu... Stój spokojnie. - Joyce zdrapała paznokciem kciuka jakiś zaschnięty ślad z jego marynarki, zastanawiając się, czemu nadal zawraca sobie głowę jego wyglądem. Ale im obojgu czasem zdarzało się wpadać w dawno porzucone przyzwyczajenia. Otrzepała paprochy ręką. - Już. Nie będziesz się nudzić? Finch to przecież dla ciebie tylko adres, a nie miejsce, gdzie mieszkasz.

- Utrzymuję tu jeszcze pewne kontakty.

- Takie jak ze mną?

- Nie zaczynaj. - Sprzeciw był zdawkowy i potyczka nie wymagała wytoczenia ciężkiej artylerii. - Pójdę powiedzieć Grace do widzenia.

Magnetyczne litery na drzwiach lodówki, pozostałe jeszcze z dzieciństwa Ruperta i Annabel, układały się w zdanie „chris conway jest super". Kto to był? Nikt z wioski, a więc zapewne jakiś chłopak, którego Annabel poznała na dyskotece. Czas pomyśleć o pogadaniu z nią o pigułce. A może te drzwi zostały już przed nią otworzone? Joyce nagle poczuła się zmęczona wychowywaniem dzieci, zmęczona zmaganiem z ich rosnącym niezadowoleniem, ich niecierpliwością oczekiwania na ucieczkę z domu, choć wciąż spodziewali się, że wszystko zostanie zrobione za nich, a to za sprawą ojca, który godził się na wszystkie ich zachcianki, gdyż unikał tym samym kłótni i odpowiedzialności. Jeśliby miały popaść w tarapaty - Rupert z kokainą, Annabel z ciążą - oczywiście nie byłaby to jego wina. Ja zarabiałem pieniądze; twoją robotą było się nimi opiekować.

Wpatrując się w lodówkę, Joyce popadła w zadumę. Usłyszała Ruperta schodzącego po schodach, krzyczącego cześć i trzaskającego drzwiami. Tej chwili brakowało dramaturgii. Czyż nie byłoby to jakieś objawienie, jakiś radosny okrzyk wyzwania, gdyby się w końcu zbuntowała? Stojąc samotnie w kuchni, uświadomiła sobie nagle, że pragnie mieć romans i że jest gotowa na coś, co może go urzeczywistnić. Poczuła, że potrzebuje teraz podwójnego drinka, by to rozważyć.

* * *

Lambert czytał córce bez żadnego uczucia, rozdrażniony jej kategorycznym domaganiem się bajki na dobranoc.

- Nie - poprawiła, kiedy przeoczył akapit - najpierw poszli na targ.

- Skoro znasz tę bajkę, po co chcesz, żebym ci ją czytał? - O ile nie był w stanie zwalczyć żony, o tyle Rebeka była łatwym celem. - Czas spać. - Protestując, dziewczynka nie krzyknęła, ale wydarła się na całe gardło. Wtedy i on wrzasnął: - Zamknij się!

Ześliznęła się z jego kolana, kopnęła go i rzuciła do ucieczki, wołając matkę. Lambert zaklął i poszedł nalać sobie kolejną szklaneczkę szkockiej. W niedzielny wieczór dom był niczym sala tortur, gdzie urzędował kat Victoria. Usłyszał jak Brigitte, australijska opiekunka wybrana przez żonę dlatego, że miała znaczną nadwagę i twarz jak cegłę, ucisza dziecko i zabiera je na górę do łóżeczka.

- Widzę, że pracujesz na swoje przyszłe prawo do odwiedzin - zakpiła Victoria, wchodząc do pokoju. - Robisz za twardziela, co? Nie możesz pobić mnie, to wyżywasz się na trzylatce.

Nie było sensu się kłócić; i tak zawsze go niszczyła. Kiedy przeszła dumnie obok, by zasiąść w czarnym, skórzanym fotelu przy kominku, poczuł zapach czegoś drogiego i ekskluzywnego. Założyła nogę na nogę, a but na wysokim obcasie zwisł z palców jej prawej stopy.

- Zresztą, czy te resztki twojego móżdżku złapały cokolwiek z tego, co powiedziałam?

- Potrzebuję jeszcze kilku tygodni na znalezienie czegoś. Pozbieranie pieniędzy.

- Jakich pieniędzy, słodziutki? - Wyciągnęła rękę i rozczapierzywszy w wachlarz palce zjadliwie podziwiała swoje pierścionki, ciężkie i srogie niby kastet z klejnotów.

- Jeżeli nie zamierzasz ustąpić z tym, czego chcesz, będę potrzebował więcej czasu.

- Nie zamierzam. Znasz już wszelkie liczby...

- A ty dobrze wiesz, że są niemożliwe.

- Nie niemożliwe, tylko boleśnie skalkulowane. Takie, jakie chciałam, żeby były.

- Sąd nigdy ci tyle nie przyzna.

- Niepotrzebny mi sąd. Tatuś obiecał mi twoje jaja na tacy, jeśli nie będziesz grzecznym chłopczykiem. I wcale nie musiałam mu mówić, że

mnie zgwałciłeś tamtej nocy. Jeżeli nie będę mogła wycisnąć z ciebie forsy, Giles, zadowoli mnie zobaczenie cię w rynsztoku. - Zastanawiając się, przesuwała palce wzdłuż nóżki kieliszka z winem.

- Ale pieniądze byłyby lepsze. Dobra, możesz tu zostać do końca sierpnia, tylko masz się trzymać ode mnie z daleka. Jeżeli potem się nie wyniesiesz, będę działać.

- Chcesz mnie, kurwa, zniszczyć?

- Wreszcie to do ciebie dotarło. - Roześmiała się. - Tak łatwo cię złamać, Giles. Tak żałośnie słaby jesteś.

- Nie jestem słaby!

Patrzyła nań przez chwilę, po czym podeszła i przyklęknęła przed nim, nieco nadstawiając policzek.

- No dalej - zachęciła. - Uderz mnie.

Jej oczy prowokowały go, ale nie było w nich śladu strachu.

- I nie jesteś słaby, co? - Podniosła się. - Nie rób z siebie balona. Wiem o tym od dawna.

Poniedziałkowy ranek dodał do litanii nazwisko Elli Fitzgerald. Dean Martin w zeszłoroczne Boże Narodzenie, Gene Kelly w lutym, Greer Garson w kwietniu... Gwiazdy, co rozświetlały życie Olivera Graveneya wypalały się, nieustannie przynosząc rosnące wrażenie wszechogarniającej ciemności. Kiedy w lutym umarł Christopher Robin Milne, bolesnym zbiegiem okoliczności w pięćdziesiąte urodziny Olivera, było to tak, jakby ktoś zabrał się za wymazywanie z życiorysu dzieciństwa. Oliver był świadom tego, że teraz w *The Times* zagląda najpierw na stronę z nekrologami, żeby zobaczyć, czy z ludzi, których nigdy nie spotkał, ale którzy byli częścią jego doświadczenia - jego egzystencji - nie odszedł ktoś jeszcze, w jakiś przedziwny sposób zabierając ze sobą kolejny fragment jego życia.

Nie bał się śmierci, bał się rozczarowania. Był zamożny, miał pokaźny dom, elegancką, inteligentną żonę, piękną córkę, lecz nie musiał walczyć o pieniądze czy przywileje, bo te znajdowały się już pośród nagród wyrytych przy jego nazwisku, jeszcze zanim zaczął je zdobywać. Jako prezes Anglian Newspapers - firmy przejętej po ojcu po okresie próbnym w reklamie i dystrybucji - czuł się ni mniej, ni więcej jak starsza wersja małego chłopczyka, któremu dano wszystkie

zabawki; srebrne BMW zastąpiło teraz drogi samochodzik na pedały. Jedyną jego zdolnością było robienie pieniędzy, której to zresztą nie uważał już za posiadającą jakąkolwiek wartość.

- Dobry Boże, Julia znowu wychodzi za mąż. - Fay uniosła w górę dostarczone w poczcie zaproszenie.

- Za Andrew, jak mniemam... A nie wierzyłaś mi.

- Wariatka. Przecież on jest kompletnie zrujnowany. Oliver zaczął składać *Financial Times*.

- A ma to jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że tak. Julia ma na utrzymaniu trzy fryzjerki i do tego ten jej styl życia... - Fay zrobiła zniecierpliwioną minę. - Wiem, że go lubisz.

- On rozumie Julię. Mówiłem ci. Kiedy to ma być?

Zerknęła na kartkę.

- Dziewiętnastego września. W urzędzie stanu cywilnego w Newark... Wiesz, gdzie to jest?

- W hrabstwie Nottingham. - Wyjął swój terminarzyk. - To będzie czwartek. Mam spotkanie, ale mogę je odwołać.

- A co jej kupimy na trzeci ślubny prezent?

- Wymyślisz coś. - Wstał i poszedł schować gazetę do swojej aktówki. - Spotykasz się z Jonathanem dzisiaj?

- Yhm. - Jej odpowiedź była nieco roztargniona, gdyż otworzyła właśnie list od przyjaciółki z Los Angeles. Nadstawiła policzek do lekkiego pocałunku. Ściągnęła czule wargi. - Uważaj na siebie.

W pierwszych dniach nie było między nimi tak dobrze, oboje uczyli się bowiem reguł, wedle których zgodzili się żyć. Spotkanie z Jonathanem znaczyło pójście z Jonathanem do łóżka, pozwolenie mu na zaspokojenie tego, czym Oliver już się nie interesował. Stało się to teraz takim związkiem z Bloomsbury, gdzie mąż akceptuje kochanka, ponieważ stworzył po temu warunki; cywilizowana to rzecz.

Kiedy Oliver powiedział, że nie chce już z nią sypiać, Fay nie podejrzewała go o inną kobietę ani też o to, że może jest utajonym homoseksualistą. Pomijając czasy najwcześniejsze, przekonała się, że w seksie nie znajduje on zbyt wiele atrakcji; być może dlatego, że brak w nim wymiaru intelektualnego, a być może dlatego, że jego niektóre aspekty uważał za obrzydliwe. Ciąża i narodziny Emmy dały mu wymówkę do zastopowania... no a potem już nigdy to od nowa nie wystartowało.

Zanim więc frustracja Fay przeszła w złość, powiedział jej o swojej decyzji.

- Przykro mi - dodał wtedy. - Chciałbym jednak, żebyś nigdy nie uznawała tego za brak miłości.

- Ale i tak narzucasz mi to, czego chcesz, a w tym przypadku to, czego nie chcesz.

- Wiem. Wiele o tym myślałem.

- I? Jestem pewna, że coś wykombinowałeś.

- Chyba tak. - Przez chwilę myślała, że zamierza wziąć ją za rękę, lecz on pozostał przy kominku, w fotelu naprzeciw niej, skrupulatnie utrzymując swój dystans. - Przypuszczam, że będziesz chciała wziąć sobie kochanka. Zgadzam się na to.

- Dziękuję. Mleczarz będzie bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Nie zaniżaj wartości tego rozwiązania, Fay - ostrzegł. - Powiedziałem ci, że cię kocham i dopóki nie osiągniesz stanu, kiedy nie będziesz już kochała mnie, co jest ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, oczekuję, że oboje będziemy zachowywać się inteligentnie... Przepraszam, nie chciałbym być pompatyczny.

- Cóż, obawiam się, kochanie, że nie robisz dobrze. Ale w porządku. Jestem do tego przyzwyczajona. - Upiła wódki z sokiem pomarańczowym. - A więc mam twoje pozwolenie na stanie się cudzołożnicą?

- Nie. To łączy się z oszustwem, a my przecież nigdy się nie oszukiwaliśmy. Jeżeli znajdziesz sobie kochanka, chcę, żebyś mi powiedziała... a ja ze swojej strony chciałbym, aby to był ktoś, kogo będę mógł szanować.

Roześmiała się. - W takim razie Ralph Hetherington nie musi pisać podania.

Podjął jej żart.

- Byłbym... rozczarowany, gdyby to był on.

- Rozczarowany? Mnie wręcz przeraża już sama myśl, że mogłabym być tak zrozpaczona... Nalej mi jeszcze. Zabiłeś mi ćwieka.

Dalsza rozmowa nie miała celu; Oliver nigdy nie podejmował pochopnych decyzji, a jak raz już jakąś podjął, był nieporuszony. Cóż za ironia. Fay miała wspomnienia z ponad tuzinem kochanków, lecz swą przysięgę małżeńską potraktowała poważnie; oto jej mąż i koniec z tamtą częścią jej życia. Ale dobiła do trzydziestki i apetyty odeszły.

Jeden z jej chłopaków powiedział jej kiedyś, że podchodzi do seksu po męsku; erotyzm jest dla niej ważniejszy od uczuć.

Przez długi czas pozostawała jednak w celibacie, niespokojna, aby jej wybór nie spowodował jakiejś szkody ani nie skrzywdził Olivera. Jonathan był samotnikiem z Ipswich, przyjacielem przyjaciół poznanym na przyjęciu, niezależnym i zabawnym, od razu nadającym z Oliverem na jednej fali, cytującym poezję, wymieniającym literackie anegdoty. Tydzień później Fay zadzwoniła do niego, mówiąc, że będzie w Ipswich na... i czy nie przeszedłby się na lunch? Tamtego wieczoru akurat przygotowywała Oliverowi drinka, kiedy mu powiedziała.

- Pamiętasz Jonathana? Tego przyjaciela Alana i Jacqueline?

- Bardzo dobrze. Z ochotą spotkałbym się z nim jeszcze kiedyś. A czemu pytasz? - Nie odpowiadając podała mu szklankę. - Aha. Rozumiem.

- W porządku?

- Oczywiście.

- Oliver, spójrz na mnie. Nie podoba ci się to, co? Teraz, kiedy to się stało.

Potrząsnął głową.

- Nie o to chodzi. Skąd. Ale... chyba będę musiał się z tym oswoić... Kiedy to się zaczęło?

- Nie zaczęło się jeszcze. Nie w tym sensie. Ale już by mogło.

- Potrzebowałaś mojej aprobaty?

- Tak. To ważne. Jedyne co zrobiłam jak dotąd to umówiłam się na lunch. Chcę zobaczyć, na ile tak naprawdę on mi się podoba. Jeśli wystarczająco i on zrobi pierwszy ruch, wtedy... - Uklękła przy jego fotelu. - Posłuchaj. Obiecuję, że nie pozwolę sobie na zakochanie się. Nie tak jak kocham ciebie. Jeśli zobaczę, że to się zaczyna, skończę z tym. Jonathan może stać się bardzo szczególnym przyjacielem, ale na tym koniec... dobrze?

- Dziękuję ci... Mam nadzieję, że nie uzna mnie za głupca.

- Lepiej dla niego, żeby nie. - Pocałowała go w czoło. - Jeśli nie będzie cię szanował, nie będzie mnie miał. Nikomu nie pozwolę naruszyć tego, co tak bardzo cenię.

Trzeba było kilku doraźnych spotkań, zaaranżowanych przez Fay pod pozorem wizyt u dentysty, w szpitalu u zmyślonego przyjaciela,

zakupów, zanim doszło do czegokolwiek, zanim poczuła ów obezwładniający zachwyt, kiedy wreszcie Jonathan ujął ją za rękę.

- W końcu. - Odetchnęła z ulgą. - Już zaczynało mnie męczyć to krążenie po ulicach.

- Nie rozumiem.

- Zęby mam zdrowe, nikt nie jest chory i nawet nie kupuję tyle. Nie zauważyłeś?

- Przeszło mi to przez myśl jakiś czas temu, ale... Rozmawiałem z Jacqueline, a ona powiedziała mi, że ty i Oliver jesteście dobrym małżeństwem.

- Bo jesteśmy... i tak musi zostać.

- Dlaczego w takim razie...? - Próbował odciągnąć swoją dłoń, lecz zacisnęła palce.

- Proszę... Dwóch wyrozumiałych facetów to farsa. Skończ kawę i zabierz mnie do siebie.

Wyglądał na skołowanego.

- Chyba czegoś tu nie wiem, zgadza się?

- Tak, ale wyjaśnię ci to potem... Poproś już, na litość boską, o ten rachunek. Wszystko jest w porządku... naprawdę.

I tak to Jonathan stał się częścią równoległego życia, nie związanego z rolą Fay jako żony prezesa. Na rodzinnych wakacjach w Toskanii ona i Oliver popijali wino, doskonalili swój włoski, dyskutowali o książkach i pławili się razem w renesansowym splendorze. Wzajemny kontakt nie wykraczał poza trzymanie się za ręce czy *simpatico* całus w policzek, kiedy mówiąc sobie dobranoc, rozchodzili się do oddzielnych sypialni. Wysyłała Jonathanowi widokówki od ich obojga. Joyce, jedyna osoba, której Fay powiedziała, nadal wspominała, jak to na przyjęciu dla uczczenia dwudziestej rocznicy ich ślubu musiała walczyć z atakiem histerii, kiedy drużba Olivera obwieścił ich małżeństwo doskonałym i wszyscy podnieśli aplauz.

Rozdział ósmy

Joyce powiedziała sobie, że to tylko kolejny zwyczajny dzień... z załączonym doń porządkiem, co niemal na pewno na nic się nie zda; takie myślenie nie przyniesie przynajmniej żadnych rozczarowań - przewidywanie, że coś się zdarzy, niemal zawsze gwarantowało, że się jednak nie zdarzy. Wybrała się więc rowerem na pięciokilometrowa przejażdżkę do Sutworth Cross na sałatkowy lunch i plotki z Christine przy okazji redagowania gazetki parafialnej. A pożegnawszy się z nią pomyślała, że może by tak wybrać sobie nieco dłuższą drogę powrotną, obok Windhover? Całe popołudnie miała wolne, a odcinek drogi przez tunel z drzew mógłby być przyjemny. Jeśli jego samochodu nie będzie przed domkiem... Nie, to bez sensu. Jeśli jego samochód będzie stał, jego samego i tak może nie być, a nawet gdyby był w środku... Roześmiała się i bez powodu zadzwoniła rowerowym dzwonkiem.

MG stał na miejscu, a trzy z okien domku były otwarte. Byłoby lepiej, gdyby Jowett siedział na zewnątrz, a ona mogła zawołać tylko dzień dobry, lecz jego ani widu, ani słychu. Zahamowała i przystanęła na moment z rowerem między nogami, wahając się nagle. Jeśli tego nie zrobię, zawsze będę się zastanawiać i mogę potem żałować; jeśli natomiast zrobię to, będę wiedziała i... może żałować nie będę. Już przed cięższymi wyborami stawałam. Skierowała rower przez bramę, a dalej na tyły domku, chcąc pozostawić go tam, gdzie nikt przechodzący drogą go nie dostrzeże.

- Halo? Jest pan tam? - Tylne drzwi stały otworem, lecz nigdy nie wchodziła do domku bez pozwolenia, gdy ktoś go wynajmował.

- Kto tam? - W jego głosie czuło się zaskoczenie.

- To tylko ja. Pani Hether... Joyce. Właśnie wracałam tędy do domu i pomyślałam, że... - Przerwała, bo wyłonił się z saloniku na korytarzyk łączący wejście frontowe z tylnym. - Przysięgam, że nie przybywam tu z Porlock, a tylko po drodze z wioski obok.

- O... Witam. - Miał na sobie koszulkę w kolorze pieprzowej mięty oraz szorty odsłaniające silne, ciemne od włosów nogi z gołymi stopami w sandałach. - Proszę wejść.

- Dziękuję. - Przechodząc przez próg miała wrażenie, jakby przekraczała jakąś granicę. - Naszła mnie ochota podjechania sobie rowerem pod górkę. Ale skwar. Umieram z pragnienia i pomyślałam, że może u pana...

- Oczywiście... ale mam tylko piwo. Lager.

- Jeśli jest zimne, uratuje mi pan życie. Można?

- Tak, ale... - Rzucił okiem na salonik za plecami. - Może napijemy się na dworze.

- Proszę nie zawracać sobie głowy szklankami. Wypiję z puszki. - Żeby zaznaczyć, że nie jestem jeszcze taka stara i że wiem, jak się zachowują młodzi ludzie? Chyba już mi się we łbie mąci.

Kiedy poszedł do kuchni, pozostała tuż za drzwiami, by chwilę później przejść do ogrodu. Na trawniku stał leżak, zawahała się jednak nim na nim usiadła. Czekając, próbowała poukładać sobie myśli. To nic więcej jak odpłata za moją gościnność; ludzie, którzy mieszkali tu wcześniej, również zapraszali mnie na drinka... Kłamczucha. Widok szklanek rozczarował ją nieco. Jowett był, widać, nazbyt świadom jej statusu i wieku.

- Zdaje się, że zajęłam panu miejsce.

- Nie szkodzi. - Wręczył jej drinka i usiadł na trawie. - Która to ta wioska obok?

- Sutworth Cross... No, prawie się to kwalifikuje na wioskę. Musiałam kogoś odwiedzić. - Nie powiedziała dlaczego; z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie chciała wspominać kościoła. - A pan pewnie pisał, co?

- Tak, ale akurat jakoś opornie mi to szło.

- Takie pisarskie zaćmienie, jak sądzę. Ciekawe czy Dickens czasem na to cierpiał? To nie do pomyślenia, nieprawdaż? Bóg wie, ile by napłodził, gdyby miał laptopa. - Posmakowała piwa. - Mmm, bardzo dobre. Cały dzień pan pracuje?

- Tak, ale później jadę „Pod Snopek Siana" coś zjeść. Parę dni temu jadłem tam lunch.

- Lepiej jest „Pod Łopatką Baranią". Proszę tam kiedyś zamówić specjalność Maggie.

Oboje byli świadomi tego, że nie mają o czym rozmawiać; o sobie nie wiedzieli niemal nic, a różnica wieku, którą Joyce skalkulowała na przynajmniej piętnaście lat, nie pozostawiała zbyt wielu wspólnych spraw. Tak jak i wcześniej nie miał zbytniej ochoty do rozmowy o swojej książce, a nudny opis tego, co porabiała od momentu, kiedy siedzieli w jej własnym ogrodzie, byłby chyba nie na miejscu. Tylko w książkach wyglądało to jakby prościej; rzeczywistość była dużo gorsza, przepełniona niepewnością i lękiem przed wstydem. Patrzyła nań, dopóki nie poczuł na sobie jej wzroku i nie odpowiedział spojrzeniem; nie było jednak w tym kontakcie ni pustki nieznajomych, ni ciepła przyjaciół. Kiedy odwrócił wzrok, wiedziała, że nic się nie wydarzy, o ile sama tego nie sprawi.

- Nigdy nie czuje się pan osamotniony? Pisanie musi być bardzo... odludnym zajęciem - powiedziała. Teraz ty; twoja kolej.

- Niezupełnie. Żyję sam i jakoś sobie radzę.

Dzięki za to. - Ale to tak z wyboru?

- Owszem.

- Pamiętam, że kiedyś też mogłam wybierać. Ale podjęłam niewłaściwe decyzje.

- Jak my wszyscy.

Powrócili do milczenia, niby łyżwiarze, co cofają się ostrożnie na bezpieczny brzeg dostrzegłszy pod lodem wir ciemnej wody. W oddali kościelny zegar wybił czwartą; musiała być w domu na wpół do szóstej, na koniec kolejnego zmitrężonego popołudnia. Gdyby żadne z nich nie potrafiło odnaleźć słów, musiałaby wyjść za kilka minut, a wtedy ich lęk zbudowałby barierę i rozminęliby się... Joyce postawiła szklankę na trawie. Musiał dostrzec ten jej ruch, ale mimo to nie spojrzał na nią ponownie, nawet kiedy wstała.

- Tak naprawdę to wcale nie chciało mi się pić - oznajmiła. Czekała. Westchnął, lecz czy z ulgą, czy z obawą, rozstrzygnąć nie potrafiła. No dalej, zrobiłam krok za nas oboje; albo pójdziesz za mną, albo będę czuła się głupio odchodząc teraz. Przebiegał palcami po puszce, obserwując jak mażą kroplisty osad.

- Cóż, chyba powinnam już sobie pójść. - Jezu, aż tak jestem nieatrakcyjna? Będziesz kolejnym, który mnie odtrąci?

Potrząsnął głową, ale nadal nie podnosił na nią oczu. Joyce poczuła pragnienie wytłumaczenia się. Usiadła z powrotem, sprawiając, że tym razem na nią popatrzył.

- Mogę ci mówić Randall? Dziękuję. Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiłam i szczerze mówiąc kompletnie nie rozumiem, dlaczego robię to teraz. Ale to nie dlatego, że mam parszywe małżeństwo. Gdyby to był powód, zrobiłabym to wieki temu. Rozumiesz?

Pokiwał głową, lecz pozostał w bezruchu. Joyce wyrwała z darni długie źdźbło trawy i zaczęła okręcać je wokół palców.

- Nie mogę zostawić męża, bo... - westchnęła - ...osiem lat temu umarł mój ojciec i moja mama zamieszkała z nami. Ma już siedemdziesiątkę i myśli, że Ralph jest cudowny. Ale on od lat ma w mieście romans. Nie uwierzyłaby, gdybym jej o tym powiedziała. A gdyby nawet, to pewnie orzekłaby, że to moja wina. I byłaby zdruzgotana. Naprawdę. To mogłoby... może nie zaraz złamać jej serce, ale mocno skrzywdzić na pewno.

- Co wobec tego można na to poradzić?

Wzruszyła ramionami.

- Nic... dopóki nie umrze. Oczywiście nie chcę tego, bo ją kocham, ale to jedyne wyjście. - Nagle uśmiechnęła się. - Tylko że ona pochodzi z bardzo długowiecznej rodziny.

- Rozumiem, ale czemu ja mam to wszystko wiedzieć?

Nie mogła już dłużej oprzeć się położeniu swoich dłoni na jego dłoniach. - Bo chcę, żebyś zrozumiał, po co tu przyszłam i... cóż, odcięłam sobie teraz wszystkie drogi odwrotu, nieprawdaż? Zawstydziłam cię?

- Nie. Ja... Bardzo miło mi się rozmawiało z tobą wcześniej. W ogrodzie. To było fajne.

Joyce ścisnęła jego dłoń. - Mnie też. Dlatego tu dzisiaj przyszłam. Żeby znów porozmawiać i... - Spuściła oczy. - Obiecałam sobie, że nie będę cię oszukiwać. Chciałabym, żebyśmy rozmawiali więcej, ale... cholera, jestem groteskowa, kompletnie nie mam praktyki w czymś takim. Przepraszam.

Pełna lęku przed odrzuceniem, jakkolwiek delikatnym, pozostała całkowicie znieruchomiała, dopóki, podnosząc się, nie odwrócił swojej

dłoni i nie zacisnął jej na jej ręce. Kiedy wchodzili do budyneczku, jej umysł był pusty.

Na górze ich ruchy były niepewne - jakby arabeski ostrożnego odkrywania się. Joyce zaciągnęła zasłony - ciężką pomarańczową bawełnę nadającą pomalowanym na biało kamiennym ścianom kolor bursztynu - i spędziła jeszcze moment upewniając się, czy nie ma pomiędzy nimi żadnej szparki; kiedy odwróciła się, on stał przy łóżku oczekując przyzwolenia. Pozostawał w bezruchu, gdy rozpinała mu guziki koszuli. Tuż pod kością obojczykową znalazła bliznę, bladą skazę wygiętą w kształt małego łuku. Zatroskana, że był ranny, muskała ją delikatnie palcami. Rupert miał bliznę po tamtym dniu na placu zabaw, kiedy... Umieściła jego ręce na swoich biodrach, po czym, zajrzawszy mu w oczy, ściągnęła koszulę z jego ramion. O każdej porze, w każdym miejscu, przypomniała sobie. Fay już by się podnieciła, rozpaliła żądze, zrzuciła z ciała odzienie.

Jego dłoń pozostawała jednak tam, gdzie ją położyła; żadnego badawczego ruchu palców, żadnego nacisku. Całując go, wydała z siebie cichy błagalny jęk. Pomóż mi, to trudne. Jeśli mnie nie chcesz, nie mogę zrobić tego sama. Zapomniałam już, jak się odgrywa kurewkę. A nie chcę, żebyś pragnął kurewki. To mnie musisz pragnąć; potrzebuję twojego pożądania. Rozumiesz?

Cofnęła się i westchnęła głęboko. Zrzuciła z ramion bluzkę, a wykręciwszy do tyłu ręce odpięła oczko od metalowego haczyka. Wykarmiły dwójkę dzieci, ale jeszcze nie są diabła warte i prawie przypominam sobie, kiedy używałam ich do dręczenia i prowokacji. Dawno już jednak nie robiłam tego inaczej niż po to, by się po prostu rozebrać... no. Nadal warte oglądania, pieszczenia, pobudzania, całowania. Są tuziny mężczyzn, którzy nigdy ich nie tkną, a zrobiliby to z ochotą, gdybym im pozwoliła; oto przywilej, jaki ci przyznaję. Nie było ich wielu przed tobą... Chryste, czyja muszę wszystko robić sama?

Poczuła pot na jego dłoni, kiedy ująwszy ją raz jeszcze złożyła ją na ciepłej gładzi zamąconej fałdką ciała. Przycisnęła się do niego, chwytając w pułapkę jego rękę i znów go całując. Gardłowa jęku pieśń pogłębiła się teraz, tężejąc od obietnic. Zadrżał, a jego palce zacisnęły się jakby w uldze.

- Chodź - szepnęła. Pragnęła przekroczyć punkt, w którym głos mówiący „nie" stawał się stanowczym „tak". W którym wahanie,

zaskoczenie i delikatne tańce zbliżenia wpadały w tempo odbierającej dech natarczywości, rozpalonej, nierozważnej. Pojmowała tylko ich ciała, wbijanie paznokci w jego plecy, sztywność wchodzącą w miękkość, pożądanie końca i niechęć kończenia, i nie istniało nic innego. Wreszcie ten ostateczny przeszywający pęd ku szczytowaniu, a potem powolne, wirujące opadanie w świadomość.

Tak wielka zapłata, pomyślała, w tak małym pokoiku... i tak szybka, tak rozpaczliwa z obu stron, ściskana kurczowo w obawie, że inaczej zniknie w okamgnieniu.

Oboje wciąż mieli na rękach zegarki. Jakże odmienne to od powieściowej namiętności, swawolnej i doskonałej, powtarzanej ekstazy, żądzy bez komplikacji. Rzeczywistość była niezdarnością, skrzypiącym łóżkiem, krótkotrwałym skurczem jej łydki, co zagroził przez moment chęcią przerwania, by umknąć jednak, nim całkiem się poddała. Rzeczywistość była usiłowaniem wymyślenia czegoś, co można by powiedzieć.

- Dziękuję. - Zwrot był zbyt otwarty, by znaczyć coś określonego. Dziękuję za przyjemność, za uznanie mnie za pożądania godną, za nie bycie brutalnym i nie skrzywdzenie mnie.

- To moja wina...

Proszę, tylko nie to. Sugerowanie, że to był twój ruch robi ze mnie głupią kobietę w średnim wieku, która straciła nad sobą panowanie; a to przecież ja najpierw zajęłam miejsce kierowcy.

- Chyba nie do końca. - Czemu facetom zawsze trzeba pochlebstw? - Jesteś w tym jednak... - Drobny uśmiech dla rozluźnienia. - ...całkiem niezły. Chodź tutaj.

Okrywszy swe ciało jego ciałem ponownie, poczuła na piersi wilgoć łez. Gładząc jego włosy, spojrzała na zegarek; niedługo Annabel wróci ze szkoły. Do nudnej, ale niezawodnej mamusi, która zapytają, jak minął dzień, i będzie zrzędzić, że pokój nie posprzątany. Która tuli ją, gdy jest nieszczęśliwa, pierze, gotuje; która sama kiedyś była młoda, lecz było to tak dawno.

- Naprawdę powinnam już pójść. - W wycofujących się pieszczotach odbijał się echem żal. Sypianie ze sobą tak naprawdę oznaczało bowiem to, co w pobłażliwej swobodzie nieskomplikowanego romansu albo pieleszach dobrego małżeństwa powinno dziać się po seksie, a więc pozostanie w łóżku, odprężone ciała zapadające w drzemkę

zadowolenia, muskające się lekko, przebudzenie z entuzjastyczną świadomością, że ktoś tu nadal jest; przywiązanie, miłość, odnowione radości. Sypianie ze sobą nie było jednak dozwolone, kiedy czyjaś córka miała zaraz wrócić do domu.

- No tak... rozumiem to.

Poczuła zadowolenie, gdy na znak uczucia ucałował wewnętrzną stronę jej dłoni.

- Będziesz w stanie to...? Jeśli nie chcesz, zrozumiem. - Jego ton sugerował jednak, że poczułby się tym zraniony.

- Jedno z nas musi być w tym rozsądne, ale... - Uśmiechnęła się. - Szczerze mówiąc, to mam już dość tego rozsądku. Chciałabym teraz spędzić następne trzy tygodnie w tym łóżku z tobą i żeby nam dostarczali tylko jakieś dania na wynos. Mam nadzieję, że nie jesteś w szoku.

- Nie, ale nie wolno ci myśleć, że...

- W tej chwili, mój kochany, żadne z nas nie powinno myśleć - przerwała mu. - Dlatego ja nie zamierzam. - Wstała i zaczęła zbierać ubranie w porządku potrzebnym do założenia go. – Mogę tu być jutro, gdzieś o wpół do ósmej. Nie muszę wcześnie wracać do domu. Odpowiada ci to?

- Tak.

- To dobrze. - Zapinając guziki bluzki wsunęła stopy w sandały i w lustrze toaletki przyjrzała się swej twarzy i szyi. - Musimy tylko pamiętać o jednej starej zasadzie: Niczego, co zostawia ślady. - I odpręż się; chcę, żeby to była zabawa, nie zaangażowanie. Podeszła do łóżka i pocałowała go lekko. - Możesz teraz wrócić do pisania. Drogę do wyjścia znam.

Taki seks przyniósł figlarne, sekretne rozbawienie, kiedy pedałując do domu pomachała komuś znajomemu, przyniósł nagłą wilgoć na styku ud ze skórzanym siodełkiem, poczucie wyzwolenia, uciechy bez ubolewań. Przez chwilę myślała, że to nie powinno się powtórzyć; doświadczyła zakazanego i mogła dalej ciągnąć swój żywot. Obiecała jednak wrócić i już wyobrażała sobie, jak to będzie teraz, kiedy pierwsze bariery zostały złamane; bez lęku, bez winy, gorliwie, bez pośpiechu... i Boże, taki był wielki...

- Cześć, mamo! - Z ciałem przekrzywionym na jedną stronę, by zrównoważyć ciążący jej wyraźnie czerwono-czarny plecak, z jedną

ze skarpet opuszczoną na dół, ku domowi maszerowała Annabel. - Umieram z głodu.

- Co mieliście na lunch? - Joyce zahamowała i zsiadłszy z roweru prowadziła go przy sobie.
- Nic. Wyglądał paskudnie. Mamy twarożek?
- A co do tego twarożku?
- Ciasteczka na wodzie... Aha, o szóstej muszę być u Wendy.
- A lekcje?
- Te są na przyszły tydzień dopiero. Gdzie byłaś?
- U Christine... Tylko powieś ładnie ubranie. - To mówiła już do postaci znikającej na schodach; a po chwili z pokoju dobiegło już łupanie Kurta Cobaina i Nirvany.

Nałożyła na talerz twarożek, aktualną dietę z wyboru, po czym wzięła trochę na palec i oblizała go. Zgadnij, co mamusia robiła dzisiaj po południu. Z panem Jowettem, który wynajmuje domek. W sypialni, leżąc na wznak. Tak jest. Mamusia się pieprzyła i podobało jej się to... Zamknęła oczy. Myślenie o tym tutaj sprowadzało *to* do domu, a więc tu, gdzie nie powinno tego być. Przez klapkę dla kota prześliznął się Makawity, przedreptał przez podłogę i otarł się ojej nogi, domagając się uwagi. Nakarm mnie, tak jak i ich karmisz.

- Już gotowe? - Annabel pojawiła się na nowo tak szybko, że po przebraniu się w dżinsy i bluzę po prostu nie mogła mieć czasu na powieszenie mundurka, Joyce poczuła jednak, że byłoby hipokryzją krytykować ją za tak niewielkie nieposłuszeństwo.
- Co chcesz do picia?
- Dietetyczną colę.
- Niechaj Bóg dopomoże twojemu żołądkowi. Idę pod prysznic.
- No. - Magazyn, jaki zniosła ze sobą na dół, był ważniejszy.
- Przed ósmą wrócisz, tak?
- Pewnie... A mogę w sobotę pojechać do Ipswich do klubu? - Reszta została wypowiedziana niemal w jednym starannie wypróbowanym zdaniu. - To znaczy wszystko jest w porządku... Cała nasza paczka będzie i moglibyśmy wynająć mikrobus... Keith umie prowadzić... a zamykają o pierwszej, tak że nie będę w domu tak późno... a Sara mówi, że bardzo dobrze pilnują wejścia i nie wpuszczają żadnych obdartusów... i nie ma tam narkotyków i żadnych takich... W porządku?

Taka byłaś kiedyś malutka. I nie wydaje się to tak dawno. Zawsze będę pamiętać, jak weszłam do salonu i zobaczyłam cię w twoim kojcu, uśmiechniętą w triumfie, bo udało ci się po raz pierwszy samej stanąć. A teraz pójdziesz w ślady Ruperta, który już zaczął wyjeżdżać, zostanę więc tylko ja, tatuś i babcia. I będziesz myśleć, że jestem szczęśliwa - jeśli w ogóle o mnie pomyślisz.

- Zapytaj tatę. - No, wykręciłam się od odpowiedzialności; Ralph powie tak, bo ma to gdzieś. Tylko że teraz zdrada jest i moją sprawą, a przez to może w końcu przestanę zdradzać samą siebie.

Powtarzając sobie za żeglarzami, że gdzieś w świecie słońce musi zachodzić za nok rei, Joyce przygotowała sobie wódkę z cytryną i zabrała ją na górę do łazienki. Zanim jednak weszła pod prysznic, przyjrzała się swemu ciału, jakby było dla niej czymś nowym, jakby raz jeszcze nabrało znaczenia. Po kąpieli wysuszyła się i natarła olejkiem, potem zaś stanąwszy przy oknie, otwartym, by połykało parę, sączyła drinka, pozwalając chłodzić się nieśmiałej popołudniowej bryzie. Poza drzewami, na szafirowym tle rozciągał się pastelowy wał purpurowo-brązowych chmur, a pierzasty ogon oparów odrzutowca rozpływał się w podniebną deltę; codzienność stała się żywa.

- Dziś po południu dopuściłam się cudzołóstwa - powiedziała nagle. - Chryste, gadam do cholernego nieba, bo nie ma nikogo innego, komu mogłabym o tym powiedzieć...

Przeszedłszy do sypialni, założyła mandarynkową bawełnianą sukienkę, grymasząc nieco, że pije ją w biodrach. To nie miało jednak większego znaczenia. Ważne było to, że jutro wieczorem będą mogli się nie spieszyć, że będą mieli czas, by się pieścić, odkrywać i pobudzać. Jakże niewielki dystans dzielił posłuszeństwo od śmiałości, niewolę od rozkoszy wolności.

- Czy zacznę czuć się przez to kiedyś winna, panie Randallu Jowett? - Uśmiechnęła się na to pytanie. - Ale póki co, nic mnie to nie obchodzi...

W domku Jowett wpatrywał się w ekran laptopa, nie widząc jednak tego, co napisał. To nie było pożądanie, tylko wyciągnięcie ręki, rozpoznanie samotności; ona ofiarowała mu swoją dobroć. I znała *ich,* była ich przyjaciółką, kochała ich. Była mostem wiodącym do

miejsca, gdzie mógł znaleźć rozgrzeszenie. Na kilka ekstatycznych sekund w tym pokoju lina zerwała się, a wciąż krwawiący albatros - ten przywołany ze „Starego Żeglarza" Coleridge'a - odleciał; teraz powrócił znów, lecz Jowett przez krótką chwilę doznał uczucia nietargania go za sobą. Zaczął znów pisać.

Wciąż za mną chodzą, ci, których nigdy nie poznałem, a których znam. Nie oskarżają już, lecz pytają dlaczego, a ja nie potrafię udzielić odpowiedzi. Czasami czuję, że chcą przebaczyć - że przebaczyli już nawet - ale nie słyszę, żeby to mówili. Wyrzuty sumienia są jak dzicz, gdzie nie widać horyzontu, za który chciałoby się podróżować... chyba że się znajdzie kogoś, kto cię ku niemu poprowadzi.

Rozdział dziewiąty

Intensywnie czarny żakiet i biała bluzka, sztywna niczym gorset dziewictwa, nadawały Christine Sheaffer wygląd wysoce wykwalifikowanej i metodycznej sekretarki. Wrażenie to wzmacniał jeszcze srebrny, podskakujący ołówek ustawiony w pozycji do robienia notatek oraz podkładka z kartkami balansująca na smukłym kolanie. Jasne, jedwabiste włosy odziedziczone po ojcu Austriaku skręcały się z tyłu jej głowy niby szal, zaś twarz zdobił minimalny makijaż; maskowała swoje saksońskie piękno, jakby to był dar, którego postanowiła nie wykorzystywać. Naprzeciw niej, po drugiej stronie biurka, zasiadał inspektor Peter Haggard oraz rozpraszająca masa sierżanta Harry'ego Pugha, studiującego wymiętą chusteczkę, którą otarł podbródek, aby sprawdzić, czy zacięcie przy goleniu przestało już krwawić. Jego imię było wymawialnym zniekształceniem imienia Iorwerth, jakie, notabene, tłumaczyło się na Edward.

- Ile wiesz o sprawie? - zapytał ją Haggard.

- Tyle, że jest pośród najpoważniejszych spraw dotyczących morderstw, jakie kiedykolwiek prowadziła ta służba. Nie rozwiązana. Mówiło się o niej w naszym zespole, i oczywiście nadal się o niej mówi, ale szczegółów operacyjnych nie znam.

Odpowiedź była typowa; żadnej fałszywej, udawanej wiedzy dla zrobienia wrażenia. Jako nowo przybyła, po dwóch pomyślnych latach w narkotykach, słuchała doświadczonych oficerów, przyjmując do wiadomości tyle co i nie przyjmując, i ceniła, kiedy traktowano ją właściwie. Opór wobec kobiet wciąż trwał w Wydziale Kryminalnym - zwłaszcza wobec kobiety z dyplomem z socjologii, która potrafiła napisać pracę na temat molestowania seksualnego - lecz Sheaffer przeciwstawiała się mu. I była głodna metaforycznych belek, dalszych szczebli w drabinie jej kariery.

- A zatem podam ci to, co najistotniejsze - zaczął Haggard. Kiedy mówił, jej ołówek gnał po kartce. - W szczytowym punkcie śledztwa około siedemdziesięciu funkcjonariuszy było zaangażowanych w sprawę, ale wszyscy zabrnęliśmy w ślepe uliczki. Godwinowie byli dobrymi ludźmi, chodzili do kościoła, byli lubiani, żadnych wrogów nie mieli. Pośród członków rodziny nie mogliśmy znaleźć motywów, zresztą większość z nich i tak miała alibi. Jedyne co wyglądało na jakąś poszlakę, to koleś o nazwisku Billy Marsh, na którego trafiliśmy sprawdzając wszystkich karanych z okolicy. Siedział za włamanie i pobicie, a wiejski policjant z patrolu utrzymywał jeszcze, że był zamieszany w rozprowadzanie narkotyków w spółdzielczych blokach w Finch. Ale on też miał alibi. Jak go trochę przycisnęliśmy, przyznał się, że tamtego popołudnia łowił nielegalnie z paroma kolesiami, którzy go zresztą poparli. Nic na niego nie mieliśmy, a kiedy przeszukaliśmy dom, niczego też żeśmy nie znaleźli. Innymi słowy, nie mieliśmy żadnego podejrzanego. Nie wyeliminowaliśmy jednak jednego układu odcisków palców i śladów dwóch par trampek na podłodze salonu. Stąd wiemy, że było ich co najmniej dwóch. Nie przychodzi mi do głowy żadna nitka, której byśmy się nie uczepili, ale i tak końcem końców wyczerpało się nam WWW.

Sheaffer podniosła oczy. - WWW?

- Wyśledź, wywnioskuj, wyeliminuj - wycedził Pugh. - W narkotykach inaczej się to nazywa?

Sheaffer nie odpowiedziała.

- W każdym razie, jako że nikogo nie wrobiliśmy, prasa się znudziła, rozgłos przycichł, a śledztwo w sposób nieunikniony zakończyło - kontynuował Haggard. - Ostatnia rzecz, jaka się zdarzyła, o ile wiem, miała miejsce w 1993, ale okazało się to niczym więcej jak tylko wybuchem sąsiedzkiej mściwości.

- I nikt się sam nie przyznał? - spytała Sheaffer. Haggard roześmiał się.

- Harry, ile to minęło, zanim zgłosił się Bertie Kerridge?

- Godzina po tym, jak to ogłosiliśmy. Powiedział, że chciał najpierw zjeść kolację. Bertie to stary wyjadacz, Chris. Jego hobby zaczęło się odkąd przysięgał jeszcze, że zastrzelił Kennedy'ego.

Haggard rozparł się w fotelu.

- Oto i flaki największej wpady policji z Suffolk. Kilka pudeł akt

i Bóg wie ile pamięci komputera powiedzą ci to samo. Jakieś pytania na tym etapie?

Sheaffer przewróciła wstecz kartkę swoich notatek i przytknęła czubek ołówka do linii ptaszków i kółek zakończonej znakiem zapytania z małym krzyżykiem w miejscu, gdzie normalnie bywała kropka.

- Czy jesteśmy absolutnie pewni, że chodzi tu o napad rabunkowy, przy którym coś nie wyszło? Czy też może to być morderstwo, a rzeczy zostały zabrane dla ukrycia tego faktu?

- Celna uwaga. - Pugh był nieco zaskoczony. - Patrzyliśmy na to od tej strony, ale nadal nie ma motywu. To byli dobrzy ludzie. Kto by chciał ich zabijać?

- A kto na tym zyskał?

- Ben Godwin zostawił pieniądze rozmaitym krewnym; w niektórych przypadkach dosyć dużo. I oczywiście Trevor odziedziczył Tannerslade.

- Gdzie nadal mieszka. - Sheaffer potrząsnęła głową. - Zawsze wydawało mi się to dziwne.

- Nam też z początku - przyznał Haggard. - Ale musisz pamiętać, że Godwinowie byli w Tannerslade od Potopu i że farma zawsze przechodziła na najstarszego syna. Trevor powiedział, że nie pozwoli, aby paru dzikusów z gnatami zniszczyło tę tradycję.

- A zatem mieszka w domu, gdzie zabito jego rodziców, siostrę i jej dzieci? - Głos Sheaffer wciąż pobrzmiewał niedowierzaniem.

- Ano mieszka. Choć pewnie nie jest to dla niego łatwe.

- To nadal mógłby być motyw.

- Ale upada od razu, kiedy się temu przyjrzeć. Już pomijając fakt, że każdy mówi nam, iż dbał o swoich rodziców, prowadził z powodzeniem interes ogrodniczy w Stowmarket i forsa wcale nie była mu potrzebna. Obliczył, że lata mogą minąć, zanim dostanie Tannerslade, stary Ben był przecież zdrowym człowiekiem, budował więc interes dla swojego młodszego syna, podczas gdy starszemu miała przypaść w udziale farma. Obaj byli jeszcze wtedy uczniakami. Tim ma pewnie teraz gdzieś koło dwudziestki.

- A zawodowcy?

- Pustka. Poprosiliśmy, żeby przeprowadzono nieoficjalny wywiad w Essex, Met, West Midlands, Greater Manchester, Merseyside, Glasgow... i tak dalej. Fakt, że zginęło dwoje dzieci, mógł nakłonić

kogoś do mówienia, ale niestety nikt niczego nie wiedział. Jeśli o mnie chodzi, to nie przypuszczam, żeby byli to jacyś zwyczajni rabusie. Za Tannerslade stało zbyt wiele inteligencji, Chris. Prawie żadnych śladów na miejscu zbrodni, żadnych odcisków na łuskach z dubeltówki. Wszystkie z tej samej broni, a więc pięć strzałów oznaczało, że musiała być dwa razy przeładowywana. Normalnie należałoby się spodziewać odcisku kciuka na metalowej końcówce wkładanego do lufy naboju. Rozumiem, że zakłada się rękawiczki w czasie zabójstwa, ale przy napadzie nie jest to już takie zwyczajne. Oznacza to, że byli nawet na tyle ostrożni, by założyć rękawiczki przed pierwszym lądowaniem. No a potem zwyczajnie znikli. Ktoś cholernie dobrze to sobie zaplanował.

- Ale dlaczego akurat Tannerslade? - dociekała Sheaffer. - W okolicy muszą być tuziny innych potencjalnych celów.

- Kilka miesięcy wcześniej w lokalnym magazynie ukazał się artykuł o Godwinach - przypomniał cierpko Pugh. - Opisano tam wszystko. Co było w domu, a nawet fakt, że żyją samotnie. Jedyne co było potrzebne przestępcy, to parę drobnych na egzemplarz.

- To nieodpowiedzialne.

- Wolność prasy... - skomentował Haggard. - A Ben i Annie z nimi współpracowali. Zbyt byli ufni, by przyszło im do głowy, do czego to może doprowadzić. Zresztą może powinniśmy czuć ulgę, że są jeszcze ludzie, w których jest tyle dobrej wiary, by tak myśleć... - Jego usta wykrzywiły się nieco.

Sheaffer zawahała się.

- Mówi pan, że cała rodzina miała alibi, ale męża córki zatrzymano do przesłuchania. David Hood, czyż nie?

- Tak - zgodził się Haggard - ale...

- Nie przycisnęliśmy tego gnojka dostatecznie mocno.

- On był czysty, Harry. Nie miał motywu, a poza tym był wtedy w Yorku. Potwierdziły to dwie szychy z katedry.

Haggard wiedział, że będzie to tylko kwestią czasu, kiedy oburzenie Pugha ich porażką wyjdzie na wierzch. Twardy jak skała, z której jego dziadowie z nizin rąbali węgiel, barczysty niby kowal, z przedramionami jak bochny chleba, Walijczyk był w Tannerslade najbardziej rozzłoszczonym z nich wszystkich. Kiedy rozkazano mu wziąć parę dni wolnego, żeby się wyspał, nakrzyczał na prowadzącego dochodzenie

Prestona. Haggard martwił się, że Pugh będzie tym, który znajdzie zabójców i że się nie opanuje. Ale w sumie dla nich wszystkich to było paskudne. Haggard najżywiej zapamiętał Mandy, boleśnie podobną do jego bratanicy. Ta jednak dziewczynka nie śmiała się, żądając, by wujek Peter pokazał jej swoje kajdanki; jej martwe oczy patrzyły w niebo, którego już nigdy miała nie zobaczyć, jej twarz była niczym twarz dziecka bawiącego się w taką grę, gdzie jak się poruszysz, to odpadasz. I nikt tam na farmie nie opowiadał wtedy tych zwyczajowych na rozluźnienie atmosfery kawałów o policjantach; a sam Jack Gotobed odwrócił się nawet tyłem, żeby ludzie z prasy nie robili mu zdjęć, jak płacze.

- Jeszcze jakieś pytania, Chris?

- Na razie nie. A właściwie to dlaczego chciał pan ze mną o tym porozmawiać?

- Za chwilę do tego dojdę. Przede wszystkim jednak powinnaś wiedzieć, że jest pewien postęp. - Haggard otworzył teczkę z aktami. - Skontaktował się z nami kolekcjoner broni z Somerset. Otóż kupił on od handlarza w Bristolu siedemnastowieczny niemiecki miecz katowski, taki jak to się używało do egzekucji, i pokazywał go komuś, kto przypomniał sobie o rabanie, jaki podnieśliśmy po Tannerslade. Tamtejsza policja sprawdziła to na naszą prośbę i okazało się, iż jest to dokładnie ten sam miecz, który był własnością Bena Godwina. Szczerba w ostrzu pasuje do opisu, jaki Ben umieścił na jednej ze znalezionych przez nas fotografii.

- Jak handlarz wszedł w jego posiadanie?

- Któregoś grudniowego dnia przyszedł do jego sklepu ktoś z ulicy z bajeczką, że go dostał w spadku. I chciał gotówkę.

- Mamy jakiś rysopis?

- No nie za bardzo. Dużo czasu minęło. Był to ktoś przed czterdziestką, możliwe, że starszy, wysławiał się dobrze, a więc to nie ktoś miejscowy, najpewniej londyńczyk, jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu... Może handlarz przypomni sobie więcej, kiedy z nim pogadamy. Mike Davenport tam pojechał.

- A więc w końcu zaczęli sprzedawać?

- W końcu *wiemy,* że sprzedają - poprawił Haggard. - Wiele rzeczy z Tannerslade nie było tak rozpoznawalnych. Nie jestem ekspertem, ale mam wrażenie, że jedna drezdeńska pastereczka nie różni

się specjalnie od drugiej. Oni przedmiotów mogą wyzbywać się już od paru lat, to my dopiero teraz coś namierzyliśmy. I wydajemy kolejne ostrzeżenie dla branży, żeby zobaczyć, czy coś się nie pojawi.

- A jaka jest moja w tym rola?

Haggard zamkną! teczkę i odłożył ją na miejsce na biurku.

- Słyszeliśmy, że się właśnie przeprowadziłaś do Finch. Gdzie dokładnie?

Sheaffer zaczynała rozumieć. - Do domku przy Głównej. Tak przynajmniej mówi ulotka agenta od nieruchomości. Większość ludzi nazywa go króliczą klatką na środku ulicy. Trzeba na niego jeszcze sporo wydać i dlatego dostałam go tak tanio.

- A poznałaś już może Dave'a Trumana z lokalu „Pod Łopatką Baranią"? - spytał Pugh.

- Chyba gdzieś go widziałam, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. A dlaczego?

- Był kiedyś w drogówce. Przypomnij mu o mnie.

- Dobrze. - Zwróciła się ponownie do Haggarda: - Co właściwie pan chce, żebym robiła?

Haggard pochylił się nad biurkiem. Już prawie dwadzieścia lat minęło, odkąd był mistrzem kraju policjantów w wadze koguciej, ale, choć nawet nie w połowie tak barczysty jak Pugh, zachował całą skondensowaną siłę.

- Tannerslade wciąż tu wszystkich boli, Chris. Musisz o tym wiedzieć. Chcemy to wyjaśnić nie wyłącznie po to, żeby zamknąć księgi i czekać na komplementy od jakiegoś sędziego po zakończonym procesie. Ta sprawa dla wielu z nas jest osobistą. Dlatego jesteśmy gotowi spróbować wszystkiego, co tylko może naprowadzić nas na jakiś ślad.

- A skoro przeprowadziłam się do Finch... - Ciąg dalszy pozostawiła jemu.

- Dokładnie. - Stuknął dłonią w teczkę. - Nie ma sensu, byśmy teraz wracali do wioski i zadawali ludziom pytania. Wzbudziłoby to ich nadzieje, a przecież wszystko, co udało nam się do tej pory zrobić to to, żeśmy ich rozczarowali.

- Ale chce pan, żebym robiła wywiad?

- Wywiad byłby trochę za mocny. Chcę raczej, żebyś miała szeroko otwarte oczy.

- A czy mamy może jakiś powód, by przypuszczać, że *oni* pochodzą z Finch?

- Nie. Nie wiemy, skąd pochodzą. Ale może usłyszysz o kimś kto... no nie wiem... kupił sobie nowy samochód, mimo iż wszyscy myśleli, że jest zrujnowany.

- Jeśli są tak inteligentni, jak pan mówi, czy zrobiliby takie głupstwo?

Haggard przypomniał sobie to, co powiedział mu Bingham z narkotyków: Chris Sheaffer myśli szybko i zapamiętuje wszystko, co się jej powie.

- Celna uwaga, ale może coś wypłynie. Może usłyszysz o kimś, kto regularnie wyjeżdża bez jakiegoś konkretnego powodu. To strzelanie z dużej odległości, ale i takie czasem daje rezultaty.

- Jaką mam władzę? - To pytanie było ostre. Sheaffer zawsze domagała się jasnych rozkazów.

- Jesteś oficerem w tej służbie. To jest twoja władza. Używaj inteligencji, ale i instynktu, bo przy tym będzie on potrzebny. Wychowałaś się na wsi, nieprawdaż?

- Tak. W East Soham.

- A więc wiesz, jak to jest. Po chwili stajesz się częścią społeczności. Tego, gdzie pracujesz, ukryć nie możesz, ale w końcu i tak zaakceptują cię jako kogoś, kto tam mieszka.

Sheaffer popatrzyła z powątpiewaniem. - Wieśniacy trzymają nowo przybyłych na dystans. Trzeba czasu, żeby cię zaakceptowali.

- Nigdzie się nam nie spieszy, Chris. Możesz na nic nie natrafić, ale chcieliśmy cię pouczyć. W porządku?

- Tak jest. - Sheaffer zamknęła notatnik i wsunęła ołówek do wewnętrznej kieszonki. - Rozumiem, że wie pan, że w piątek zaczynam trzytygodniowy urlop? Chcę się jakoś urządzić.

- Tak, wiem. To będzie dobra okazja do poznania paru osób.

- Chciałabym też przejrzeć akta.

- W dwa dni się przez nie nie przebijesz - ostrzegł Haggard. - Ale możesz przejrzeć to, co najważniejsze. Większość zeznań miejscowych możesz pominąć. Nic ci nie dadzą.

- Dziękuję panu. - Wstała. - Panu też, Harry...

Patrząc za nią, jak mija szklaną ścianę biura Haggarda i udaje się do pomieszczenia operacyjnego Kryminalnej, Pugh wyjął sczerniałą

od używania fajkę; Sheaffer zaraz by narzekała, gdyby zapalił ją, kiedy była w biurze, a szef, świeżo przechrzczony do antytytoniowego lobby, poparłby ją. Gdy ze staroświeckiej benzynowej zapalniczki zassał do cybucha suty płomyk, jakby usiłował wciągnąć ogień do ust, rozległ się syczący trzask.

- Skąd wiesz, że ona to rozgryzie? - To pytanie padło po dobrej chwili spoza gryzącej chmurki niecierpliwego dymu.

- Nie mówię, że zaraz rozgryzie - odparł Haggard. - Nam się nie udało, Harry, a wciągając ją w to nic nie tracimy.

- I co ona ma niby robić? Pokazywać cycki, żeby nakłonić kogoś do mówienia?

Haggard roześmiał się.

- Ty się nigdy nie zmienisz, Harry. Na pewno lepsze będziesz miał o niej mniemanie, jeśli coś znajdzie.

- Zakład, że nie?

- Nie, dzięki.

- Wierzysz, że coś z tego będzie?

- Na tyle mocno, żeby dać jej spróbować. - Haggard popatrzył na niego. - Chcę ich dorwać tak samo jak i ty, chłopie. Powinieneś o tym wiedzieć.

Pugh odpowiedział spojrzeniem i pokiwał głową.

- W porządku, Peter. Żadnych zakładów. Ale masz u mnie pięć kufli, jeżeli jej się uda.

- A co ona dostanie?

- Nauczę ją wszystkich świńskich wersji każdej pieśni rugbistów, jaką znam.

Zęby zacisnęły się na ustniku fajki. Pugh uśmiechnął się i wyszedł, myślami już pogrążony tylko w dobrodziejstwie chmielu.

Rozdział dziesiąty

Komplikacje oszustwa bawiły Joyce. Dziesiątki ludzi w Finch rozpoznałoby jej hondę accord, jakby więc mogła zostawić ją zaparkowaną przed domkiem przez kilka godzin? Tego jednak wymagały jej plany na wieczór. Chciała bowiem zabrać ze sobą różne smakołyki - wędzonego łososia, szparagi, młode ziemniaki, świeże truskawki -by zjeść je na przystawkę przed bardziej łakomą ucztą, a przy okazji zaspokoić też i te cichsze apetyty. Liczyło się przecież i to, że zobaczy ją wtedy w miękkiej satynie i szpilkach, że będzie wyglądać choć trochę kusząco. Wszystko to razem oznaczało konieczność skorzystania z samochodu, nawet jeśli... A, chrzanić to. Im bardziej rażąco zaparkuje, tym mniej podejrzane to będzie - zakładając, że w ogóle ktokolwiek będzie podejrzewał Joyce Hetherington, życzliwą korepetytorkę wszystkich dzieci w okolicy, byłą prezes Związku Matek, o tarzanie się na golasa z jakimś przystojnym młodym człowiekiem, do nieprzytomności i w grzesznych dyszeniach. Na myśl, że najprawdopodobniej nikt nie byłby w stanie sobie tego wyobrazić, poczuła lekkie zasmucenie; ale gdyby faktycznie ktoś dowiedział się o tym kiedyś, czułaby się bezwstydnie zadowolona.

Zostawił otwarte drzwi frontowe pewnie po to, by wpuścić do domku trochę powietrza; lecz być może było to powitanie.

- Halo? Gdzie jesteś? To ja.

- Tutaj... w salonie. - Zaskoczenie w głosie? Ulga? Czy może obawa? Bo salon nadawał się na to, co inni goście nazywali bawialnią, mając na myśli dobrą rodzinę, ludzi zachowujących się przyzwoicie. Nie wyszedł przywitać się z nią, więc sama go tam znalazła - leżącego na sofie pod oknem, na tle zapadającego zmierzchu, z ręką spoczywającą na oparciu, znów nagimi stopami, w lawendowych sztruksach i bawełnianej sportowej koszuli. Joyce od razu zdała sobie

sprawę, jak brązowe światło późnego słońca wraz bladymi cieniami podkreśla jego czarne włosy i barwi skórę, zdała sobie sprawę, że wiele lat minęło, kiedy to po raz ostatni patrzyła w ten sposób na mężczyznę.

- Mam nadzieję, że nie jadłeś jeszcze.
- Tylko kanapkę. A dlaczego?

Stuknęła w wieczko wiklinowego koszyka.

- Przyniosłam nam kolację. Zostań tam.

Była wdzięczna, że nie zaczął od razu się do niej dobierać, mimo iż chciała tego; pragnęła osiągać zaspokojenie stopniowo, a nie rzucać się na nie jak na byle taniochę. W jadalni otworzyła koszyk i zasłała stół płóciennym obrusem, który także przywiozła; wszystko było już gotowe na talerzach i w naczyniach zabezpieczonych plastikową folią; z lnianych chusteczek wydobyła kieliszki do wina. Miała wrażenie, że podaje do stołu na jakimś lepszym pikniku: wino na grawerowanej srebrnej tacce, lśniące sztućce.

- Już możesz przyjść - zawołała.

Gdy pojawił się w drzwiach, jego twarz ozdobił pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki u niego widziała.

- No nie! Jak ci się udało zrobić to wszystko?
- Magia... i około dwóch godzin przygotowań dziś po południu... Cholera!
- Coś nie tak?
- Zapomniałam... A, nieważne, to głupie, ale... czekaj.

W kuchennej szafce pod zlewem zaczęła szukać świec i zapałek schowanych tam na wypadek braku zasilania; tylko jedna świeca była cała, a sfatygowany cynowy lichtarzyk zakupiony został kiedyś w sklepie charytatywnym.

- Może to nie do końca standard księżycowego światła i róż - przeprosiła, wracając z dłonią osłaniającą płomień - ale lepiej nie będzie. Czy zechciałbyś nalać wina? - Proszę, uśmiechnij się znowu; bardzo mnie to uszczęśliwi.

Kiedy podsunął jej krzesło, a potem zasiadł naprzeciw i zabrał się z korkociągiem za korek, poczuła przepełniające ją uznanie.

- Brakowało mi ciebie - powiedziała. - Przecież to był cały dzień! - Tak bardzo potrzebuję cię znów w środku, ale z tym romantycznym adorowaniem mnie to chyba już głupieję.

Położyła palce na podstawie kieliszka, by przytrzymać go sztywno,

kiedy wyciągnąwszy rękę przechylił butelkę. Powinien być rzemieślnikiem, pomyślała, rzeźbiarzem albo garncarzem, te delikatne dłonie to istne piękno. Kryształ zadźwięczał niczym najsubtelniejszy z dzwonów, a ona schyliła głowę w podzięce.

- Miałeś dziś dobry dzień? Myślę o książce...

- Tak. - Zaczęli jeść. - A ty?

- O, moje dni niczym nie różnią się jeden od drugiego... Miałam być dzisiaj na spotkaniu, żeby przedyskutować sprawę Festynu Pastucha. Powiedziałam Annabel... Powiedziałam, że to prawdopodobnie potrwa do późna. - Mamy więc teraz dla siebie wiele godzin. Ale porozmawiaj jeszcze ze mną przez chwilę.

- Pychota.

- Dziękuję. Kiedyś chodziłam na kurs gotowania, ale to tutaj to są zwyczajne podstawy każdej kuchni.

- Nie spodziewałem się.

Dużo dzieje się tutaj tego, czego żadne z nas się nie spodziewało. Na ile świadom mnie jesteś? Czy ta sukienka sprawia, że wyglądam seksownie? Ciekawi cię, co mam pod spodem? Fantazjowałeś o mnie? Ja o tobie tak.

- Przez chwilę spanikowałam, że może nie lubisz ryb.

- Nie, skąd... a szparagi to uwielbiam.

Na moment zapanowało milczenie, a potem ona spytała:

- Powiesz mi coś?

- Co?

- Od wczoraj nie myślałam o nikim innym, tylko ciągle o tobie. Nie przypominam sobie, żebym w ogóle myślała o czymś innym... A o czym ty myślałeś?

- O tobie.

- Ale i tak sam byś to powiedział, bez pytania, co? - Drażnienie było bardzo delikatne. - Podsunęłam ci tylko to...

- Bałem się, że nie wrócisz.

- O, sprytnie. - Drażnienie pogłębiło się trochę. - Gładki z ciebie mówca.

- Naprawdę... Nie potrafię wytłumaczyć... Uśmiejesz się, jak ci powiem, że cię kocham.

Nie uśmieję, tylko poczuję spazm konsternacji. - Nie możesz. Jesteś bardzo słodki, ale przecież ledwie się znamy...

- A ma to jakieś znaczenie?

Wczoraj z pewnością miało, teraz jednak nadawał temu nowe, niechciane wymiary. Czyżby był taki jak jej brat, niezdolny zapanować nad sobą, utrzymujący, że niemal każda nowa dziewczyna to życiowa namiętność... dopóki się to nie kończyło i nie przychodziła następna.

- Może przystańmy na to, że bardzo się lubimy. Nie interesuje mnie analizowanie tego... Opowiedz mi o sobie.

- Co o sobie?

Aha, to było defensywne. - Cokolwiek. Gdzie się urodziłeś. O swojej rodzinie. O pobycie w Cambridge. O swojej pracy. Jaki jest twój ulubiony kolor. Jaką muzykę lubisz. Co czytasz. - Potrzebuję intensywnego kursu, bo czas nie da nam siebie zbyt wiele na wzajemne odkrycie się. - Chciałabym wiedzieć, kim jest Randall Jowett.

- Nie ma we mnie nic specjalnego.

- We mnie też nie. - To jak wyrywanie zębów. - No mów. Przyciągnął do siebie miskę z truskawkami i wziął do ręki łyżeczkę.

- Urodziłem się w Bedford. Mój ojciec miał firmę produkującą materiały piśmiennicze. On i moja matka umarli kilka lat temu.

- Przykro mi.

- W porządku... Mam starszą siostrę. Ruth... To zresztą ci już mówiłem.

- Tak. W Normandii. Jeździsz do niej?

- Niezbyt często... Wychowywaliśmy się oddzielnie. Pracuję dla Hong Kong and Shanghai Banking Corporation. Obracam walutą. Mam chyba niezłe mieszkanie. I to wszystko. Naprawdę.

Więcej informacji byś przekazał w podaniu o kartę kredytową. Ale niech ci będzie. Wróćmy do teraźniejszości.

- W takim razie moja kolej. Urodziłam się, jak już wiesz, w hrabstwie Wilt. Mój brat jest dyrektorem szkoły w Warwick. A ojciec był lekarzem i dostał pracę w zachodnim Londynie, dlatego się przeprowadziliśmy. Ja też chciałam być lekarzem, ale dotarłam tylko do stanowiska osobistej sekretarki prezesa spółki farmaceutycznej. Resztę znasz. Mieszkam prawie dwadzieścia lat w Finch, mam dwójkę dzieci... - Przerwała, by popatrzeć na niego. - I, oczywiście, męża

gnojka, którego przestałam już kochać. Ale z tego, co zdarzyło się wczoraj, nie chciałabym sobie robić przyzwyczajenia.

- Nawet tak nie pomyślałem.

To co sobie pomyślałeś? Dzięki Bogu, chyba nie to, że kobiety nie mogą ci się oprzeć. Na to jesteś zbyt niepewny siebie... Dobra, kończ te cholerne truskawki... i nie proponuj czasem kawy.

Joyce obeszła stół i położyła dłonie na jego barkach, nawiązując tym samym pierwszy fizyczny kontakt. Przymiliła się, by odwrócił głowę i by mogli się pocałować. Otoczyła rękoma jego szyję, zaciskając palce na nadgarstku, by zamknąć ich oboje w uścisku, i przechyliła głowę, dziwnie nań spoglądając.

- Czy to ważne dlaczego? - spytała za nich oboje. - W tej chwili na pewno nie.

Przepłynął przez nią głód rozmyślnej zwłoki, pocałowała go więc ponownie, z wargami rozwartymi, jakby pozwalała mu wgryzać się w miękki owoc. Jej kręgosłup jakby zadrżał, gdy otoczyły ją jego ramiona. Poczuła palce odpinające guziki, schodzące w dół po plecach jej sukienki. Naraz i ona stała się zawzięta w poszukiwaniu jego nagości. Nie przerywając manipulowania dłońmi przy jego pasku, cofnęła się nieco i potrząsając ramionami pozwoliła sukience opaść na podłogę. Zbyt niecierpliwa, by na niego czekać, zrzuciła z ramion szeleczki stanika i wytrząsając piersi na wolność, zluzowała wreszcie jego pasek. Kiedyś odrzucała nieskończone prośby zapomnianych chłopaków i Ralpha, ponieważ nie chciała, lecz teraz... Uklęknęła, a Jowett wsunął palce w jej włosy.

- Zwolnijmy - szepnęła, odsuwając się. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie chcę się spieszyć. Po prostu połóż się tu przy mnie.

Dywanik pachniał kurzem - i faktycznie był za cienki do czegoś takiego - ale Jowett był uległym kochankiem, więc zdjąwszy ostatnią część jej bielizny pieścił ją czule, łagodnie ujmując w usta jej sutki i pauzując z nią, by cieszyć się prostą bliskością i wrażeniem spowolnionego czasu.

- W łóżku nam będzie wygodniej, kochanie - mruknęła, gdy ich pieszczoty stały się niecierpliwe. I nagle zrobił coś spontanicznego. Podniósł ją bez wysiłku z podłogi i odrzucając włosy, które swawolnie strąciła mu na twarz, poniósł ją przez korytarzyk.

- Aj! - rzuciła, trącając głową o framugę drzwi.

- Przepraszam. - Odwrócił się bokiem i gwałtownie mijając zakręt schodów pognał z nią do sypialni, aż zakręciło jej się w głowie. Kładąc ją sapał ciężko.

- Wejdź we mnie. - Ręce i nogi chwyciły go zagorzale, kiedy się w nią zagłębiał, zmuszając go do spokoju. - Poczekaj, kochanie... powoli... o, tak dobrze.

To było niczym tulenie do siebie dziecka, czułe kołysanie się z nim. Ujmujące ciepło rozlewało się po jej ciele natężając radość uścisku. Przypominała sobie to, co czuła dawno temu z innymi mężczyznami - nawet z Ralphem - to, że łóżko było miejscem jakiejś fundamentalnej prywatności, ogrodem całkowitego zaspokojenia. Jego twarz wtapiała się w poduszkę obok niej, wzięła więc w garść jego włosy i pociągnęła głowę do góry, by móc nań popatrzeć. Jego oczy spoglądały z lękiem, jak gdyby dokonywało się coś zakazanego. Uśmiechnęła się zapraszająco i rozwarłszy wargi przycisnęła go do siebie, pozwalając i innej części ciała zanurzyć się w wilgoci. To wszystko jednak działo się zbyt szybko i... Hen, w oddali, kiedy w rozedrganych komnatach zakwitł z hukiem złocisty kwiat uniesienia, usłyszała bębnienie szczytu łóżka o ścianę. Nagle ręce i nogi straciły całą swoją siłę i zaczęła się pogrążać. I leżała tak niczym bezradna rozgwiazda, zmaltretowana i wyrzucona przez morze na piach. Aż czknęła.

- Przepraszam! - Przyłożyła dłoń do ust i dodała zaraz: - Glen Close się to nie przytrafia, co?

Wysunął się z niej. Kiedy przetoczył się na bok zatapiając w jej udzie kościstą rzepkę, zdała sobie sprawę z jego ciężaru. Leżeli patrząc w sufit niczym wyczerpani biegacze próbujący zregenerować siły. Kojący trel kosa zatonął w hałasie przejeżdżającego samochodu, a potem po zewnętrznej stronie jej zamkniętych oczu nastała cisza...

- Która godzina? - spytała wracając raptownie do świadomości.

- Spokojnie. Spałaś tylko kilka minut.

- Dzięki Bogu. - Odprężyła się. - Zapomniałam, że taka drzemka... Chrapałam?

- Nie - skłamał.

- To dobrze. Przy tobie chciałabym pozostać damą. - Roześmiała się znów. - Chociaż pewnie i tak się nie zachowuję jak dama. - Bezwładna i pasywna, jego dłoń nie reagowała, gdy ujęła ją w swoją. - Nie

powiem, żeby to był najlepszy stosunek, jaki miałam, ale na pewno był najlepszy od dłuższego czasu... Ufam, że ty też nie możesz narzekać?

Jego palce zacisnęły się nieco.

- Dla mnie to był najlepszy.

- Pochlebca... ale przez to dojdziesz do czegoś. - Usiadła. - Mam ochotę na drinka. Zostań tutaj. Przyniosę.

Była jakaś smakowita nieprzyzwoitość w pozostawaniu nago, kiedy schodziła po schodach, w widzeniu się w lustrze, kiedy nalewała wina, w widzeniu tej nasyconej kobiety, wyzywającej i rozluźnionej, z potarganymi włosami, której głód został zaspokojony.

- Oj, Joyce Davinio Hetherington - zwróciła się półgłosem do swojego odbicia. - Co też by powiedzieli w żeńskim college'u w Cheltenham?

Na górze, przeszyty wstrząsem, Jowett zamknął oczy. To wszystko było jeszcze większym kłamstwem, maską oszusta kryjącą twarz potwora. Ale próba analizowania tego tylko pogłębiała zamęt. Po tym jak ogrzały go jej dobroć i współczucie, stała się szykowną kobietą, kuszącą, bo i doświadczoną, i zakazaną... Było jednak w tym jeszcze coś więcej. Ofiarowała mu bowiem związek z czymś, czego potrzebował dotknąć; jego widma należały przecież do grona jej przyjaciół. A zatem wypieprzyłeś ją... Nie, to nie tak! Znienawidziliby mnie w tej wiosce, gdyby odkryli, kim jestem, lecz gdyby jedno z nich mogło dzielić ze mną miłość, wtedy... wtedy byłoby lepiej. Spłaciłem coś... prawda?

- Jestem... Oj! - Wino bryznęło przez krawędź napełnionego szkła i chlapnęło o podłogę, kiedy Joyce przekroczyła znowu próg sypialni. - Pomóż mi. Przydałaby się jeszcze jedna para rąk... Masz. Weź to. Dzięki.

Uważnie stąpając, powrócili razem do łóżka, po czym usiedli obok siebie, podparłszy plecy poduszkami.

- Rozumiem, że się wyłączyłeś na moment - powiedziała.

- Wyłączyłem?

- No wiesz. Ja mogę rozmyślać o tym, co właśnie miało miejsce, godzinami, natomiast mężczyznom brakuje w pamięci komórki na seks. Wy jesteście w stanie pamiętać przyjemność przez około dziesięć sekund po. Ale kobiety są do tego przyzwyczajone.

Popatrzył w głąb swojego kieliszka. - Ja nie... no wiesz... w tym było coś więcej niż tylko... - Potrząsnął głową.

- Och, proszę! - Protest był udawany. - Chcesz powiedzieć, że nie pieprzyłeś mnie tylko? Znam takie gadki. Nie traktuj mnie jak damę ze dworu, której się wydaje, że to zbyt grubiańskie. - Ścisnęła figlarnie jego penisa. - Z niejednego pieca chleb jadłam... ale póki co... - Zmarszczyła brwi, kiedy odepchnął jej rękę. - Na litość boską, chyba nie czujesz się winny z tego powodu, co? - Czym prędzej odstawiła kieliszek na stolik przy łóżku i złapała go za barki. - Nie bądź głuptasem! Ja nie... Pragnęłam cię! Nie wiem dlaczego, ale to bez znaczenia. To... Och, chodź tutaj.

Znów jakby pocieszała dziecko, teraz jednak zmartwione, mniej ciepłe i niezbyt zadowolone w jej ramionach. Poczuła na skórze jego łzy. Proszę, ja tylko szukałam kogoś, kto... kto będzie mnie pragnął w zamian. Tylko przez chwilę. Żadnemu z nas to niepotrzebne, to zbyt dramatyczne, do diabła. Delikatnie odsunęła go od siebie, cały czas jednak trzymając go i patrząc z zatroskaniem w jego twarz.

- Nie możemy po prostu odciążyć tego? Jesteś taki... Och! Przepraszam. Pierwsze, co o tobie pomyślałam to to, że może straciłeś kogoś. To prawda? Nie chciałam cię ranić.

- Nie o to tu chodzi.

- A więc o co? Nie możemy po prostu...? - Wtrąciła nieznaczny uśmiech. - Bawić się tym? Żadnych wymogów, obietnic. To nie jest zły układ, czyż nie?

- Tak. - Przełknął ślinę. - Przepraszam, zgubiłem się trochę...

- Cóż, we mnie nie ma nic, co mogłoby prowadzić do zguby, mój kochany. Może i jestem zwyczajną sfrustrowaną kobietą, ale nie targam ze sobą żadnego bagażu. - Uniosła jego głowę, by móc zajrzeć mu w oczy. - Mam nadzieję, że zawsze będę cię pamiętać, ale póki co, jedyne czego chcę dla ciebie i dla mnie to to, żebyśmy robili wszystko z wyjątkiem dzieci. Nie zaczynaj więc doszukiwać się w tym czegoś, czego w tym nie ma. W porządku?

Poczekała, a potem, gdy powiedział, że tak, pokiwała głową.

- To dobrze. A teraz skończmy to wino, żebyśmy mogli się przekonać, czy faktycznie może wzmóc pożądanie i nie zniweczyć spełnienia. - Złożyła na jego ustach krótki, ale gorący pocałunek. - Chcę sprawdzić, ile z tego, co kiedyś robiłam, nadal potrafię...

* * *

Jadąc do domu, Joyce modliła się, żeby Annabel była już w łóżku; pod ubraniem czuła spustoszenie, była przeświadczona, że jej ciało emanuje zapach, który jej córka wykryłaby zaraz i rozpoznała. Ciężko było, ale sprawiła, że się wreszcie uśmiechnął i... No właśnie. Czyżby w jednym momencie naprawdę straciła kontrolę tak dalece, że z pewnością usłyszeć ją mogła połowa wioski? Zatrzymawszy wóz przed domem, pozostawała w nim jeszcze, wiedząc, że w chwili gdy wejdzie do środka, wieczór dobiegnie końca. Opuściła boczną szybę i wdychając ciepłe powietrze nocy, wykręciła szyję, by spojrzeć na postrzępioną chmurę w księżycowej poświacie i jedyną widoczną gwiazdę... Boże, tylko nie romans. On jest młody, wrażliwy, wstrętnie przystojny, ma jakąś zadrę, której nie mogę pojąć i - tu uśmiechnęła się do siebie lubieżnie - i naprawdę potrafi otworzyć mi oczy bardzo szeroko. Niczego więcej nie potrzebuję.

Rozdział jedenasty

Trevor Godwin rozpłakał się, nagle i mimowolnie; wiele czasu minęło, odkąd tamto się wydarzyło, lecz nadal usiłował zidentyfikować przyczynę tej tragedii. Przez pierwsze dwa lata w każdym pokoju domu czatowały nań udręczone, dokuczliwe duchy zmarłych, jak gdyby wyrwano ich z życia tak gwałtownie, że nie mieli czasu zabrać ze sobą całych swoich osobowości. W tamtych dniach szlochał bardzo dużo, słaby, dopóki nie powracała złość, usztywniając jego niezłomną determinację. Pierwszy znany z kronik Godwin uprawiał te pola jeszcze przed narodzinami Szekspira, a bezpośrednie dziedzictwo z ojca na syna odnaleźć już można było za rządów Lorda Protektora Cromwella. Europa, z której przybyli niegdyś wrogowie, słała teraz niezliczone ilości papierzysk z zarządzeniami dyktującymi mu plony i ustalającymi jego ceny, ale to jedyna zmiana w tak niezmiennym dla Godwinów sposobie życia. Kiedy był dzieckiem, jego ojciec oznajmił mu, że farma Tannerslade pewnego dnia przejdzie na niego, obiecał ją więc we właściwym czasie Timowi; barbarzyństwo nie mogło zniszczyć czegoś tak cennego, przekazywanego wedle więzi krwi. Gdyby tak miało być, przegrałby.

Uświadomił sobie, że do płaczu nie pobudziło go nic innego jak zegar dziadka, zakupiony w 1877 roku w Bury St Edmunds na prezent ślubny dla Jacoba i Henrietty Godwinów. Normalnie niesłyszalne, pojedyncze tyknięcie z jakiegoś powodu rozbiło jedną z wielu tam, jakie wzniósł w swym mózgu, by zatrzymać pamięć, i przelał się przez nią wrzący wodospad obrazów, przytłaczając go. Przypomniał sobie metaliczny zgrzyt sprężyny, którą w każdy piątkowy wieczór przed kolacją ojciec nakręcał; przypomniał, jak to w dzień swojego ślubu przed wyjściem do kościoła, już w garniturze, nakręcił wedle niego swój zegarek; przypomniał sobie dzień, kiedy czteroletni Tim

ciekawsko otworzył drzwiczki zegara, podniósł żelazną wagę wahadła i krzyknął przerażony upuściwszy ją na podłogę. Przypomniał też sobie wyraz twarzy Tima, dziesięć lat później, kiedy przysiadł obok niego i powiedział mu delikatnie, że dziadek i Nana nie żyją. I ciocia Cheryl. I niesforny Thomas. I szczebiocząca Mandy, która mówiła wszystkim, że jak będzie duża, to poślubi swojego przystojnego, uwielbianego kuzyna.

Schodząc w dół po schodach Janet Godwin zobaczyła go, znieruchomiałego, z oczyma nie widzącymi niczego widzialnego, tylko wszystkie te straszliwości, które, jak uparcie podsuwała to wyobraźnia, musiały się zdarzyć. Bezradną panikę, krzyki, rozpacz, błagania o litość, przerażającą świadomość, że nadeszła śmierć...

- To koszmary, co? - Dotarłszy do ostatniego schodka pogładziła czule jego włosy. - Dawno się nie pojawiały... Co tym razem?

Godwin otrząsnął się.

- Coś głupiego... zegar. Już dobrze.

Wzięła go w objęcia, lecz zaraz rozdzielili się; każde z nich nauczyło się bowiem, że fizyczny kontakt w takich chwilach mnożył emocje o rozdzierającej rany sile, mogące przytłoczyć i zatopić ich na powrót w żalu.

- Zanieś chłopcom piwo. Ćwiczą w ogrodzie.
- Ile do lunchu?
- Ze dwadzieścia minut.

Idąc pomiędzy jabłoniami ku trawiastej polance, gdzie odkąd był dzieckiem rozgrywano rodzinne mecze krykieta, Godwin usłyszał, jak wymieniają między sobą obelgi. Gdy się pojawił, Matt, podskakując niczym źrebak, brał właśnie rozbieg, by podkręcić piłkę, nieźle już sfatygowaną; Tim ujrzawszy ojca odbił ją mocno ku niemu.

- Tata, łap!

Trzy puszki gorzkiego piwa upadły z klekotem na ziemię, gdy Godwin instynktownie wyrzucił przed siebie prawą rękę, cofając się, kiedy piłka klapnęła mu o dłoń.

- No, no, niezły chwyt! - Tim był zaskoczony, że jego ojciec zareagował tak szybko. - Chcesz być dwunastym?

Godwin posłał piłkę z powrotem do Matta i podniósł piwo.

- Takim desperatem to nie jestem. Macie. Nie porozlewajcie.

Wzięli puszki, otworzyli je kładąc ręce na wieczkach, by zatrzymać

syczenie i wyciekanie płynu, a potem usiedli na trawie. Godwin uświadomił sobie, że teraz rzadko spędzali czas razem; Tim przez większość roku był w szkole rolniczej, natomiast Matt, o ile pozwolą mu na to oceny, od września zamierzał studiować w szkole biznesu w Newcastle. On sam zaś i Janet stawali się coraz bardziej oderwani od nich obu. Życie chłopców obracało się bowiem wokół kumpli, których imion Trevor nigdy nie mógł spamiętać, nocy w Ipswich albo w Londynie, krykieta, dziewczyn, co zjawiły się w Tannerslade tylko raz, a potem już nigdy ich nie widziano. Wkrótce zostanie już tylko on i Janet, a mieszkanie w Stowmarket zastąpi farma z koszmarami.

- Jak tam mecz?

- Mike zbiera ekipę. - Tim uniósł swój wybijak niby miecz. - Zamierzam zmasakrować tego bubka, co w zeszłym sezonie podstawił mi nogę.

- Tylko nie wywijaj znowu tym jak swoim fifrakiem - powiedział Matt, robiąc unik, bo jego brat, wstrząsnąwszy puszką, wycelował weń, by go opryskać.

- Gdzie jedziecie potem? - spytał Trevor.

- Chyba „Pod Łopatkę Baranią".

- Wracacie jeszcze później do domu?

- Zobaczymy, co się zdarzy. Może.

To, co niegdyś było rozmowami, teraz stało się sesjami pytań i odpowiedzi. W płytkiej, tak właściwej młodości, pewności siebie chłopcom nie był już potrzebny ojciec do mówienia im o tym i owym.

- Widziałem wczoraj tego MG. - Tim jak zwykle mówił tylko do Matta. - Musi należeć do kogoś, kto mieszka gdzieś w okolicy.

- I jak wyglądał ten ktoś?

- Nie widziałem dobrze. Ale zazdroszczę mu. - Zwrócił się do ojca. - Może by tak prezent na dwudzieste pierwsze urodziny?

- Zobaczymy. Te wózki są drogie.

- Wiesz co, ja zaoszczędzę parę tysiączków, a resztę mi dołożysz. Zgódź się, stać cię na to.

- Na osiemnastkę dostałeś przecież cavaliera.

- Tato, cavaliery są dobre dla akwizytorów. A poza tym schrzaniło się ogrzewanie... A ty nie dostałeś może na swoje dwudzieste pierwsze urodziny austina?

- Tak, ale nie dostałem nic na osiemnastkę. Nie liczyła się, kiedy

byłem w twoim wieku. A ty byś chciał zaraz chapnąć dwa razy tę samą wiśnię.

Tim wzruszył ramionami.

- Dlatego lubię wiśnie. Ten MG był niesamowity.

Zrobił swój stary jak świat numer z odwracaniem się i irytowaniem faktem, że nie obiecano mu - a tym bardziej nie dano - tego, co akurat chciał. To dziadek pozasiewał te nasiona, zbyt przywiązany do pierworodnego z następnego pokolenia. Tim zrobił się przez to aroganckim godwinowym samcem, uprzywilejowanym względem ziemi i rodzinnych pieniędzy, a mimo to zawistnie chcącym więcej, dynastycznie głodnym swego dziedzictwa. Próżny przed lustrem, nigdy nie był skromny i rzadko kiedy czemuś się opierał.

Pogodniejszy od swojego brata i mniej zarozumiały, Matt był synem dającym więcej powodów do zadowolenia, akceptującym prawa pierworództwa bez żadnej urazy; lubił sam zdobywać coś dla siebie, podczas gdy Tim wolał odziedziczać tylko to, co zdobyli inni.

- Idę wziąć prysznic. - Tim podniósł się, zostawiając na trawie pustą puszkę.

- Zaraz będzie lunch.

- Nie jestem głodny.

- Mama robi go dla nas wszystkich - zaznaczył Trevor z rzadką nutą ganienia, uciszoną zaraz po morderstwach, a teraz trudną już do wypowiedzenia.

- Nie ma problemu, tato. Zjem. - I poszedł, skacząc nagle do mijanej wysokiej gałęzi, a potem schylając się po strącone wiatrem jabłko, którym rzucił, pewny siebie, w czmychającą szarą wiewiórkę.

Przez chwilę jego ojciec i brat pozostawali w milczeniu, jak gdyby ulżyło im, iż uwolnili się od jego obecności.

- Znowu pojawił się koszmar - przerwał tę ciszę Trevor.

- Cholera! - Matt westchnął głośno. - Ciężki?

- Nie tak bardzo. Ale już dawno się nie pojawiał, a ja nie byłem przygotowany. - Zdawał sobie sprawę, że celowo nie wspomniał o tym incydencie, kiedy był z nimi Tim. Tim na te morderstwa zawsze reagował złością, podsycaną oburzeniem, że odmawia mu się zemsty; Matt zaś, przyzwyczajony do odmowy, znosił swój ból w cichości.

- Niedługo rocznica - zauważył. - Może to dlatego... Co ty i mama robicie w tym roku?

- Zostajemy tutaj. Wyjeżdżanie tak naprawdę nigdy nie pomaga, bo ilekroć wracamy, to wszystko i tak ciągle czeka.

- Ja też tu będę w pobliżu... Coś wykombinujemy.

Tylko Tima miało nie być jedenastego w Tannerslade. W pierwszą rocznicę, w 1991 roku, nagłe zaczął szaleć po domu i zbił szybę w oszklonych drzwiach, kiedy nimi trzasnął wybiegając z krzykiem. Wrócił dopiero po paru godzinach, by zamknąć się w swoim pokoju. Trevor złożył to na karb oszołomienia, młodzieńczego żalu, lecz później rozpoznał w tym egoizm, wściekłość, że coś zostało mu odebrane - nie jego rodzicom i bratu, ale jemu osobiście.

- Chyba się ogolę. - Matt podniósł porzuconą puszkę brata i wstał. - Zdążę akurat na lunch.

- Dobrze. - Trevor złożył ręce na ugiętych kolanach, po czym uniósł jedną rękę, by otrzeć cieknące łzy. Jego droga żałoby zdawała się biec w wieczność, nawiedzana przez znane duchy i zabójców bez twarzy. Mord zakaził wszystkie zakątki jego życia, a każda przyjemność - włączając w to kochanie się z żoną - grzęzła w mrokach. Wspomnienia dobrych czasów usychały i kruszały w cieniu najgorszego. Nosił też w sobie irracjonalne przeświadczenie, że powinien był temu zapobiec, że zawiódł i nie obronił ich. Choć koszmar nie kąsał go już tak często, trzeba było czasu, by wyrwać się jego szarpiącym kłom.

Głuchnące pod niskim, odymionym, belkowanym stropem baru „Pod Łopatką Baranią", śpiewanie stawało się coraz głośniejsze, wzmacniane tupaniem, łomotem pięści uderzających w blaty stołów oraz okrzykami niedowierzania ze strony dziewczyn. W miejscu zrobionym dlań pośrodku sali, Tim wznosił pod ostrym kątem nad głowę monstrualną, długą, dzwonowato zakończoną, szklaną tubę, chłepcząc wylewający się płyn. Gdyby pozwolił owemu rezerwuarowi przelać się nazbyt gwałtownie, resztka piwa stałaby się niemożliwą do spokojnego przełknięcia, a pomoczyć się byłoby klęską. Zachęta i kpiarskie ostrzeżenia robiły się coraz głośniejsze, lecz jego umysł skupiał się wyłącznie na naczyniu i jego zawartości. Obniżenie tuby dla złapania oddechu oznaczałoby porażkę (piwo musiało być wypite duszkiem), ale wszystko zależało od tego ostatniego, delikatnego

manewru... płyn ciekł kącikami jego przepełnionych ust, aż wreszcie nastąpiła szalona wrzawa, kiedy chwytając powietrze wzniósł szkło w triumfie niczym trąbkę.

- Dwadzieścia funciaków i płacisz za piwo, zgadza się?

- Cholera, powinienem był wiedzieć. - Kapitan drużyny wręczył mu pieniądze. - Nie myślałem, że jeszcze zrobisz to po tym, co dzisiaj wydoiłeś.

- To dopiero początek - orzekł. - Chyba rąbnę sobie teraz głębszego. Whisky, Maureen. Podwójna, dobrze? A ja idę się odlać.

Ubikacje znajdowały się na końcu podwórza. Ledwie wyszedł na nocne powietrze, wiedział, że musi dotrzeć do nich jak najszybciej. W drzwiach kabiny zgiął się wpół i chlusnął z ust wymiocinami rozbryzgując je po krawędzi sedesu. Z dłońmi przyciśniętymi do wąskich ścianek jęknął i poczuł, jak się poci.

- Jezu. - Oddarł kawałek papieru toaletowego i wytarł nim usta. Zanim odplunął lepkimi pozostałościami wymiocin, w gardle zaczęła narastać nowa mdłość. Zimna woda nabrana potem w dłonie orzeźwiła go nieco, ale twarz, którą zobaczył w lustrze nad umywalką nadal była blada.

Zatłoczony i ochrypły, bar falował z gorąca, pachniał papierosami i piwem. Grająca szafa ryczała spoza wrzawy głosów nastawionym na cały regulator Oasis. Kiedy Tim powrócił, przywitały go rozproszone okrzyki. Nabuzowany zamachał w podzięce ręką i wziął swoją whisky.

- Wyglądasz paskudnie - stwierdził Matt. - Chodź, zawiozę cię do domu.

- Gówno. - Sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągnął z niej pieniądze, które wygrał za wypicie piwa, i klepnął banknotami o bar. - Poinformuj mnie, jak się skończą, Maureen. - Oczy zaszkliły mu się na chwilę. - I daj mi to zdjęcie, dobra? Tak jest... to dziadka. Chcę na nie popatrzeć.

Barmanka zdjęła ze ściany za barem oprawioną w ramkę fotografię i podała mu. Ben Godwin prezentował na niej ufundowany samemu puchar zawodów w rzutki. Tim trzymał fotkę z namaszczeniem, a potem, przetarłszy oczy kostkami dłoni, uniósł ją i pocałował szkło.

- Kocham cię - wymamrotał czule. - Ty nigdy mnie nie opuścisz.

Rozdział dwunasty

- Polski jest dozwolony? - Joyce przestawiła plastikowe kostki na drewnianej planszy. - Jeśli ułożę „szelk" przed tym „a", będę miała ze trzysta punktów, bo słowo będzie mi się liczyć potrójnie.

- Nie wiedziałem, że znasz polski.

- Nie znam. Ale ty też nie, więc nie możesz się kłócić, że to źle.

- Reguły mówią tylko o angielskim... słownikowym.

- Nie psuj zabawy. - Wytknęła na niego język. - Jestem sporo do tyłu.

- Sama chciałaś grać.

Siedzieli na łóżku. Pomiędzy nimi, na pomiętej kołdrze, leżała porzucona rodzinna plansza do scrabbli z kolekcji gier pozostawionej w domku. Ledwie Ralph wyjechał do Londynu, Joyce pognała prosto do Windhover, mówiąc matce, że musi wziąć udział w jeszcze jednym zebraniu w sprawie festynu. Kochali się niemal natychmiast i dla Joyce było wybornie, lecz chciała, by dzielili ze sobą także coś niewinnego.

- No to poddaję się. - Podrzuciła planszę, rozsypując litery. - To nie fair. Znasz za dużo słów... Mogę poczytać twoje dzieło?

- Nie!

Na taki ton jego odmowy, aż zmarszczyła czoło.

- Dlaczego nie?

- Bo jeszcze nie jest skończona.

- No to co... A o czym jest?

Odepchnął jej wyciągniętą doń rękę.

- O niczym... Taka tam pisanina. Osobiste rzeczy.

- Jestem w niej? Czy dlatego nie chcesz mi jej pokazać?

- Nie... to po prostu... A pal to sześć. - Była zaskoczona, gdy pochwycił ją gwałtownie. - Jeszcze raz?

- Dlaczego musisz pytać?

Drgnęła, kiedy jego palce zakopały się głęboko w jej ciało, jak gdyby rozpaczliwie chciał w nią uciec. Nic była w stanie zrozumieć jego złości.

Kiedy Trevor Godwin otworzył drzwi, Sheaffer, mającą w pamięci obraz jego ojca, uderzyło podobieństwo. Tyle że fotografie Benjamina Godwina, jakie widziała, ukazywały starszego człowieka o rysach zachowujących młodzieńczy wigor, natomiast jego syn był zbolałym sobowtórem, którego niemalże chłopięcą podniszczoną twarz postarzały szorstkie, stalowosiwe włosy. Ciekawa była, jak wyglądał przed latem roku 1990.

- Tak?

- Pan Godwin? Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Christine Sheaffer. Chciałabym z panem pomówić.

Zmarszczył brwi. - O czym?

Okazała swą legitymację. - Jestem z Wydziału Kryminalnego w Suffolk... Ale to nie jest służbowa wizyta.

- O co, wobec tego, chodzi?

- Wolałabym wyjaśnić to w środku... jeśli można, oczywiście. Zawsze mogę przyjść jeszcze raz.

- Nie trzeba... Proszę. - Odsunął się wskazując drzwi na drugim końcu kuchni. - Tędy. - Nim ruszył za nią, zrzucił swoje kalosze.

Sheaffer z każdym krokiem rozpoznawała kolejne miejsca widziane na fotografiach. Pani Godwin padła na progu drzwi wiodących na podwórze, Thomas tutaj, obok kuchenki, Cheryl Hood na perski dywanik przy sofie. Ominęła go, kiedy Godwin zaproponował, by usiadła. Zadbała o swój wygląd: proste brunatne spodnie, kremowa bluzka, płaskie pantofle, długie włosy uwiązane w koński ogon - gość, który nie przedstawiał zagrożenia, nie wtrącał się, niewybaczalnie ożywiając wspomnienia. Ale tego właśnie chciała. To właśnie było pierwsze otwarte posunięcie, jakie postanowiła wykonać; potrafiła przekonać samą siebie, że to nic więcej jak poinformowanie Godwinów o jej istnieniu, lecz w planie miała wysondowanie, sprawdzenie pewnych swoich przemyśleń.

- O co chodzi? - Głos Godwina niósł w sobie pesymistyczny ślad nadziei. - Coś się stało?

Sheaffer była przygotowana na wykłócenie się potem, że nie dano jej przecież nakazu, by nie mówiła mu o niczym. - Tak, ale nie wiemy, na ile jest to znaczące. Ktoś sprzedał miecz pasujący opisem do tego niemieckiego, jaki posiadał pański ojciec. W Bristolu. Próbujemy ich wytropić.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziano... Po to tu pani przyjechała?

- Niezupełnie, ale pomyślałam, że powinien pan wiedzieć. Jeżeli znajdziemy tego, kto ten miecz sprzedał, jestem pewna, że zostanie pan oficjalnie o tym powiadomiony.

- Co, w takim razie, panią tu sprowadza? - Zaczął okazywać zakłopotanie. - Nie spotkałem pani wcześniej, nieprawdaż?

- Nie. Jestem w Kryminalnym dopiero od kilku miesięcy.

- No to po co panią przysłali?

- Chyba zna pan inspektora Haggarda? - Poczekała na skinienie głowy. - Właśnie przeprowadziłam się do Finch, a on uważa, że mogę dzięki temu być w korzystnej pozycji do podsłuchania czegoś.

- Czego na przykład? - Godwin opadł na fotel. Miał na nogach dwie pary skarpet, wewnętrzną było widać przez dziurę w zewnętrznej na lewej stopie.

- Nie wiem, ale pan Haggard zapoznał mnie z dochodzeniem.

- Dochodzeniem?! - Parsknął gorzkim śmiechem. - Oczywiście. Tym, które po sześciu latach nadal do niczego nie doprowadziło.

- Panie Godwin, rozumiem, że to wszystko jest dla pana bardzo bolesne, ale...

- Rozumie pani? - Przerwał oskarżająco. - To znaczy: tak naprawdę. Ile ma pani lat?

- Nie sądzę, żeby to... Dwadzieścia osiem.

- Jest pani zamężna?

- Nie.

- A była pani? Ma pani dzieci?

- Nie.

- A mimo to pani rozumie? - Ostatnie słowo zostało cynicznie podkreślone. - Nie. Nie wydaje mi się, żeby pani rozumiała.

Sheaffer opanowała swoją reakcję, tłumacząc sobie, że miał prawo być protekcjonalnym.

- Mam nadzieję, że wie pan, co mam na myśli, panie Godwin. I wie pan także, że policja robi wszystko, co tylko możliwe...

- Tak, tak, tak. Słyszałem to już. Ta sprawa nigdy nie zostanie odłożona na półkę i w końcu ich dostaniecie. Nie wolno mi myśleć, że zrezygnujecie. Co to jest, panno... Sheaffer, zgadza się? Jakaś nowa polityka relacji z poszkodowanym?

- Nie. - Sheaffer przewidziała złość, lecz ta nadchodziła szybciej, niż się tego spodziewała. - My po prostu robimy, co w naszej mocy. Niczego nie obiecuję, ale...

- No to niech mi pani nie zawraca głowy! Chcę widzieć policję w tym domu dopiero wtedy, kiedy przyjdzie mi oznajmić, że znalazła tych sukinsynów. I nie interesuje mnie, do diabła, jak wy to zrobicie.

- Trevor, co się tutaj, na litość boską, dzieje?

Sheaffer odwróciła się w stronę korytarza akurat wtedy, gdy wyłoniła się stamtąd Janet Godwin.

- Ją zapytaj! Zamierza dokonać cudu i rozwiązać tę sprawę!

Godwin poderwał się ze złością z siedzenia i wyszedł z pokoju.

Dwie kobiety pozostały w milczeniu, słysząc jak przemierza drewnianą podłogę kuchni i wychodzi z domu.

- Pani jest z policji?

- Tak. Próbowałam wyjaśnić, że...

- Wybrała pani nie najlepszy moment.

Janet Godwin wytarła ręce w fartuch. Ręce spracowane, stwardniałe od prania, uprawiania ogrodu, zajmowania się drobiem i końmi. Jej twarz była blada jak kamień, pobrużdżona przez lata cierpliwości i smutku; w miedzianą kopułę włosów wplatały się smużki srebra. Sheaffer instynktownie wyczuła, że to ona trzyma w kupie Tannerslade.

- To odchodzi, by potem powracać bez ostrzeżenia. Parę dni temu zastałam go na korytarzu. Wpatrywał się w dal i... Może herbaty?

- Jeśli nie sprawię tym kłopotu, z ochotą. Dziękuję.

- Nic nie jest kłopotem, kiedy ma się farmę. Proszę do kuchni... Przepraszam, ale nie znam jeszcze pani nazwiska.

- Christine Sheaffer. Mam stopień detektywa.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem, po czym Sheaffer podążyła za nią.

- Nie wiem dlaczego, ale tutaj jakoś łatwiej się rozmawia. - Woda była już częściowo zagotowana, gdyż czajnik zaczął gwizdać niemal w momencie, gdy go nastawiła. - Te marchewki może pani zrzucić z krzesła. Tak, cóż zatem panią do nas sprowadza?

Słuchając robiła herbatę, by zaraz potem postawić kubek przed Sheaffer i zasiąść naprzeciw niej, po drugiej stronie długiego, czystego, sosnowego stołu. W oknie za jej plecami posępniało popołudnie, lecz powłoka chmur jeszcze wstrzymywała tak potrzebny wysuszonym zbiorom deszcz.

- Nie brzmi to zbyt oficjalnie - skomentowała.

- No nie... ale może coś z tego wyniknie.

Z dłońmi zamkniętymi wokół ciepłego kubka Janet Godwin uśmiechnęła się ze smutkiem. - Z wielu rzeczy coś może wyniknąć, panno Sheaffer. Ale nigdy nie wynika i w końcu przestaje się mieć nadzieję. Dlaczego więc akurat pani miałaby tu coś zdziałać?

- Proszę mówić do mnie Christine... Nie wiem, czy coś zdziałam.

- Ale chcesz, prawda? - Janet popatrzyła na nią badawczo. - Awansują cię, jeśli ci się uda?

- To nie o to chodzi.

- Nie? - Uniosła dłoń. - Przepraszam. Cóż, cynizm jest równie dobrą obroną jak każda inna. Trevor pewnie będzie później czuć się winny z powodu tego, jak się zachował. Porozmawiam z nim.

- Nie ma potrzeby... Mogę panią o coś zapytać?

- Ależ proszę.

- Ja... to nie moja sprawa, ale dlaczego pani tutaj została?

- Wżeniłam się w pewną tradycję. - Odpowiedź była prosta. - Nasz syn to odziedziczy.

- Ale czy przyjechałaby pani mieszkać tutaj z *własnego* wyboru?

Potrząsnęła przecząco głową. - I wyjechałabym choćby jutro, gdybym mogła przekonać do tego Trevora. Ale wiem, że nie mogę. Czemu chcesz to wiedzieć?

Sheaffer spojrzała na swój kubek. - Po prostu trudno mi pojąć, jak on może tutaj być.

Janet Godwin pochyliła się do przodu, zmuszając Sheaffer do podniesienia oczu.

- Myślisz, że miał z tym coś wspólnego, nie?
- Ależ skąd! Ja tylko... nie chciałam... - Chciała.
- W porządku, nie jesteś pierwsza. Paru twoich kolegów też tak myślało. W Finch są złośliwcy, którzy powiedzą ci to inaczej: „Oczywiście, nigdy bym w to nie uwierzył". Nie obraża mnie to, w przeciwieństwie do mojego męża już dawno minęło mi uczucie bycia ranioną przez cokolwiek, co ma z tym związek, ale nie trać na to czasu. I nie ma potrzeby przepraszać.

Sheaffer popatrzyła na nią.

- To pani utrzymuje go na chodzie, prawda?
- Tak. Na lepsze i na dużo gorsze niż ktokolwiek może to sobie wyobrazić. Cóż innego mogę ci powiedzieć?
- Podejrzewała pani kogoś?
- Nie. - Janet Godwin wzięła do ręki rąbek fartucha i wytarła nim ślad na blacie stołu. - W ogóle nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego ktoś mógł to zrobić. Nikt nie miał powodu krzywdzić któregokolwiek z nich, no a jeśli to byli tylko włamywacze, dlaczego mieliby zaraz zabijać wszystkich, nawet małą Mandy i Thomasa? Mój teść był odważnym człowiekiem, ale nigdy nie zaryzykowałby życia swojej rodziny dla stawiania oporu uzbrojonym zbirom... - Dopiła herbatę. - Czy ten walijski sierżant nadal jest u was? Hughes, dobrze pamiętam?
- Nie. Harry Pugh.
- O właśnie... Wciąż podejrzewa Davida?
- Męża Cheryl? Miał przecież alibi.
- Dla niego, jak się zdaje, to bez różnicy. Wypytywał mnie o rozpad ich małżeństwa, o to, czy się kłócili, czy kiedykolwiek ją uderzył.
- A uderzył?
- Nigdy. - Przycisk położony na tym zaprzeczeniu wzmocniło jeszcze jej spojrzenie. - To małżeństwo po prostu umarło, jak to czasem bywa. Ale wszystkim zaraz potrzebny był jakiś winowajca. Wiosce, policji, gazetom... i nam, oczywiście. Biedny David złapał się w to, mimo iż grzebał własne dzieci. To było strasznie okrutne.
- Widuje się z nim pani?
- Teraz to niezbyt często; przeprowadził się do Szkocji. Ale nadal pisujemy do siebie.
- Jak się miewa?

- Czuje się winny za każdy dzień swojego życia. Powiedział mi to w jednym z listów. - Szorstka kostka otarła kącik oka. - Skrobiesz po wielu powierzchniach, Christine...

- Przepraszam.

- W porządku. To przecież normalne. Zresztą i tak nie sądzę, żebym ci zbytnio pomogła.

- Wcale nie oczekiwałam... Chciałam tylko, żebyście wiedzieli, że tu jestem. - Sheaffer wyczuła, że powinna już pójść. Kontakt został nawiązany. - Przepraszam, że zdenerwowałam pani męża.

- Nic mu nie będzie... Gdzie w Finch mieszkasz?

- Na Głównej. Z jakiegoś powodu nazywają to miejsce Domem Pasatów.

- Ach, wiem. Emerytowany kapitan królewskiej marynarki tam mieszkał. Zaraz, jak on się nazywał? A, nie pamiętam. - Wstała. - Pewnie będziemy wpadać na siebie w sklepach... Powiadomisz nas, co? Jeżeli coś się wydarzy, zwłaszcza z tym Bristolem.

- Oczywiście. - Sheaffer poszła za nią do kuchennych drzwi. - Czy mogę prosić, żeby utrzymali to państwo w tajemnicy? Na pewno ludzie i tak w końcu odkryją, na czym polega moja praca, ale wolałabym, żeby nie wiedzieli tego, co pani powiedziałam. O tym, że poproszono mnie o nasłuchiwanie.

- Jeżeli ktoś będzie pytał, nie powiem im nawet, że jesteś z policji... ale dowiedzą się. Możesz mi wierzyć.

Sheaffer popatrzyła na trakt wiodący od drogi. - Ciekawe, czy widział ich ktoś, kiedy nadjechali? Ktoś z domu.

- Mandy mogła. Jej ciało znaleziono na podwórzu, może bawiła się przed domem. Ale nie było powodu, dla którego miałaby czuć się zatrwożona. Ot, jeszcze jeden gość.

- Ktoś, kogo znała?

- Możliwe. Może nawet ktoś, kogo poszła przywitać. - Janet Godwin pociągnęła lekko nosem. - Mogę cię o coś zapytać w zamian? Jeśli policja znajdzie tych, którzy to zrobili, czy będzie możliwe, żebym mogła z nimi porozmawiać?

Sheaffer nie była pewna. - To mogłoby być trudne. A dlaczego?

- Nieczęsto jest szansa poznać kogoś, kto zniszczył niemal wszystko, co się kochało.

Rozdział trzynasty

Joyce naszła refleksja, że szkarłatny MG nie nadjechał wcale, tylko wszedł jak na scenę. Jazda była iście ożywcza, to siedzenie blisko niego w kabinie, gdy samochód gnał między polami; poczuła się znowu młoda, moc silnika była warczącym echem całej energii, jaką niegdyś posiadała. A kiedy wysiadała na parkingu przed pubem, ze spódniczką sunącą w górę po udach, z rozpromienioną twarzą, spostrzegła jakąś przechodzącą kobietę, wpatrzoną w nią, po części zaskoczoną, po części zazdrosną. Zapragnęła nagle wypiąć się, wystawić na pokaz; patrz, co ja tu mam. Wiedziała, że to dziecinada, ale miała w sobie jakąś swawolną niemądrość. Przeczesała palcami rozwiane włosy, chwyciła za rękę Jowetta, który do niej dołączył, i śmiejąc się pomaszerowali ku wejściu do jadłodajni.

- Zaszokowałam ją.
- Kogo?
- Tę kobietę za nami... Nie patrz. Obejmij mnie w talii... O tak. Założę się, że zzieleniała ze złości.
- Dlaczego?
- Nie bądź takie niewiniątko. Dlatego, że dostaję drugą szansę. Ona też chciałaby mieć kochanka. - Przyciągnęła jego głowę do swojej i pocałowała go. - Boże, taka jestem z tobą szczęśliwa...

Jowett poczuł jak fala tego, co miała na myśli, na moment zalewa go, odsuwając odeń jego umęczenie. Jak gdyby wszystko, co go przygniatało, na krótko odstawiono na bok.

Była szczęśliwa, a zatem może to nie takie niemożliwe mieć nadzieję, że... Ta nadzieja przeszła jednak równie szybko jak przyszła, droga ucieczki została nagle odcięta. To ten dzień ją stworzył; jej propozycja, żeby wybrać się gdzieś razem, jak najdalej od Finch, tam gdzie nikt ich nie rozpozna. Pojechali więc na południe, gdzie ziemia

obniżała się w podmokłe łąki Essex, eksponując całą szerokość nieba.

Joyce była kapryśna, kpiąca, kosztowała wolności, jakby chciała uchwycić całą jej esencję. Nigdy nie był z kobietą w takim nastroju. Dziewczyny z dawnych lat trwoniły takie okazje, bo miały wszystkiego w bród; Joyce natomiast była jak dziecko zaciskające w dłoni grosik niby najcenniejszy skarb. A tak niedawno, kiedy spotkali się po raz pierwszy, była tylko poważną właścicielką letniskowego domku, grzeczną, ale formalnie trzymającą dystans; potem gorliwie oddala mu swoje ciało, by teraz być jego zachwyconą kochanką. Jak to się mogło stać? On tego nie popierał - Finch miało być przecież miejscem dla wyrzutów sumienia, nie dla miłości - ale też i nie oparł się. Pośród oszałamiającej przyjemności skrył się strach, że znów kogoś zrani.

Zamówili małże i francuskie pieczywo. Niebawem stanęły przed nimi dwie olbrzymie misy zapchane zielono-błękitnymi muszlami.

- Kiedy byłam mała, zbierałam takie na skałach w Devon. - Otworzyła muszlę i wydobyła z niej krem z brązowym mięsem. - Ciekawe, jaka może być wspólna cecha gatunkowa dla małż? Lwy, na przykład, są dumne, a małże?

- Nie mam pojęcia... ale wiem, jaka jest ta cecha dla małp człekokształtnych. Przebiegłość.

- Naprawdę? Nie żartujesz?

- Naprawdę. Przeczytałem to gdzieś.

- Szokujące. A skoro tak, to pozostańmy przy temacie i wymieniajmy dalej... - Zastanawiała się przez chwilę. - Dla druhen to na pewno jest „zawiść". Zawiść druhen, jak to brzmi! Twoja kolej.

- OK... hmm... perfidia polityków.

- Frustracja dziewic.

- Etyka dziennikarzy.

- Bardzo ironiczne. - Roześmiała się. - No to... ślinienie się niemowląt.

- Cezura aktorów... uniżenie odźwiernych... i może też być ryzyko wydawców.

- Dość! Poddaję się! Jesteś za inteligentny. - Wyciągnęła rękę wsuwając swoje palce między jego. - A co powiesz na zdumienie kochanków?

Popatrzył na nią. A jeszcze dokładniej: zdumienie taką łatwością śmiechu, umysłem uwolnionym od winy, któremu pozwolono się znów bawić, zdumienie odkryciem powrotnej drogi do tego wszystkiego, co zostało kiedyś utracone, zdumienie zaskakującą wdzięcznością. Ale i niemożnością zaufania jej, bycia szczerym. Świadomością, iż nie ma sposobu, by uniknąć bólu.

Pusty bar „Pod Łopatką Baranią" tonął w półmroku. Monety przylepione do brązowych bel wokół kominka razem z migawkowymi zdjęciami pijaczków i imprezowiczów tworzyły na jednej ze ścian kolorowy patchwork. Wiszący obok barwionej sepią fotografii wiktoriańskiego właściciela ziemskiego, pozującego przy powozie, kalendarz reklamujący jedyną w Finch stację serwisową nadal prezentował nagą i wydymającą wargi Miss Kwietnia pośród kwitnących wisien. Sheaffer nacisnęła dzwonek na ladzie; chciała napić się i zjeść coś po całym dniu pracy przy remoncie mieszkania. Przesunąwszy dłonią po włosach, poczuła, że są czymś przyprószone; chustka nie była chyba dostateczną ochroną przed kredowym pyłem z sufitu.

- Widzę, że się nie poddajesz... - Dave Truman, który pojawił się w wejściu do kuchni, przypominał postać pokolorowaną przez dziecko: chmura białych włosów, twarz jak czerwone jabłko, zielona koszula, na niej zaś żółta kamizelka w pomarańczowe paski. Trzymał w ręku garnek z czymś, co wyglądało jak ciemnobrązowa farba. - Ale do jedzenia nie mogę ci zbyt wiele zaoferować.

- Wystarczy kanapka z wołowiną i sałatą... i szklanka piwa z lemoniadą, obowiązkowo z lodem. - Przeciągnęła się masując ramię. - Chyba te stare tapety przykleili Superglue.

Truman nalał piwa do szklanki.

- Słyszałem, że sam Dougie Thompson zaoferował się wczoraj przyjść ci z pomocą.

- Ale nie był zainteresowany skrobaniem ścian. Nagabuje mnie już od pierwszego dnia.

- Gdyby wiedział, gdzie pracowałaś, trzymałby się od ciebie na kilometr. - Truman dopełnił szklankę lemoniadą i postawił ją przed nią. - Jeśli chcesz się od niego uwolnić, możesz go w każdej chwili zamknąć za kłusownictwo. Ale ode mnie tego nie słyszałaś.

- Nie interesuje mnie to... Niemniej dzięki. - Napiła się z wdzięcznością. - Spotkałam dzisiaj w sklepie Janet Godwin.

- Jak tam u niej?

- No, jak na nią, wyglądała bardzo dobrze. Zaprosiła mnie, żebym pojechała z nimi w sobotę na festyn. Mówi, że będzie to dla mnie okazja do poznania paru osób.

- Wszyscy tam będą. Ja, jak zwykle, będę obsługiwał namiot z piwem. - Truman wychłeptał płyn z garnka. - Tylko nie zacznij od razu podejrzewać każdego, kogo poznasz.

Zrobiła doń minę.

- W porządku. Wyjaśniłeś mi to dokładnie podczas pierwszej naszej rozmowy. Jesteś pewien, że oni nie byli stąd.

- Postawiłbym na to farmę, gdybym ją miał. Gdyby byli stąd, ta wioska odnalazłaby ich już dawno.

- Więc czemu Peter Haggard i Harry Pugh zrobili mi taką odprawę?

- Widać nie zgadzają się ze mną. Ale nie zapominaj, że ja byłem w drogówce, nie w Kryminalnej. Cały mój udział w sprawie Tannerslade to ustawienie jednej z blokad na drodze. Strata czasu, ale szef chciał, żeby ludzie widzieli, że robimy wszystko, co się da. A mnie udało się wtedy złapać kolesia z vanem napchanym kradzionymi magnetowidami.

- Sądzisz więc, że tracę czas? A może ktoś czeka, aż wyjdę z szeregu, żeby mnie powiesić i zostawić dyndającą na wietrze?

- Nie Peter Haggard. On tak nie myśli.

- A Harry? Twierdzi przecież, że miejsce kobiety jest w łóżku i że powinno się jej pozwalać wstawać jedynie po to, żeby przyniosła węgiel z piwnicy.

Truman roześmiał się. - Taka młoda, a taka cyniczna.

- To warstwa ochronna.

- Wiem, o co ci chodzi, moja córka już mnie w tym pouczyła. Ale nie sądzę, żeby oni cię wrabiali. Peter i Harry to stare wygi, wiedzą, jak próbować szczęścia. Była taka sprawa kilka lat temu, którą rozwiązał zwykły gliniarz, bo zatrzymał się akurat, żeby kupić rybę i frytki. Tak się złożyło, że morderca był wtedy w sklepie i spanikował na widok munduru. Jak widzisz, Chris, nie zawsze trzeba Sherlocka Holmesa. Poczekaj, zorganizuję ci jakąś kanapkę...

* * *

Jowett przesunął palcami po ostrych krawędziach ścianek kryształowej szklanicy, jakby były one diamentami; kupiła mu ją w sklepie przy budynku National Trust, który odwiedzili. Już dawno nikt mu nie dał prezentu. Siostra na urodziny i Wigilię przysyłała mu pieniądze, a tak poza tym nie miał nikogo, komu by to w ogóle mogło przyjść do głowy. Protestował z powodu ceny, ale nie chciała go słuchać. W zamian poprosiła go, żeby kupił jej książkę z elżbietańskimi romantycznymi sonetami, które odczytywała na głos w drodze powrotnej do Suffolk, przerywając to, kiedy wypatrzyła ruiny klasztoru, gdzie kochali się potem w popołudniowym słońcu na trawie. Doprawdy nie pamiętał takiego zadowolenia - nawet z czasów przed morderstwami, a było w ciągu tego dnia nawet kilka takich chwil, kiedy udało mu się o nich zapomnieć.

Choć reszta była potem znowu twarda i zimna niczym szkło.

- Przytyłaś! - Przygryzając zębami cztery szpilki, Sarah Merriman narzekała, jakby to była jeszcze jedna katastrofa zaplanowana z rozmysłem dla rozwalenia festynu.

- Przesadzasz. Jest dobrze - zapewniła Joyce.

- Jak nie oddychasz. Na przymiarce w zeszłym tygodniu leżała doskonale. Pokaż. - Przyklękła, ciągnąc za stan sukienki. - Dobry Boże, kobieto! Chyba nie jesteś w ciąży, co?

- Mam nadzieję, że nie. - Nie tak szybko w każdym razie, nawet jeśli nie myślało się o zabezpieczeniach.

- Cóż, nie mam czasu, żeby to popuścić. Muszę dzisiaj skończyć jeszcze sześć sukien.

- Poradzę sobie. Kiedyś nieźle mi szło szycie.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? Sama mogłabyś ją uszyć.

- Proponowałam, ale powiedziałaś, że nie.

- Kiedy powiedziałam: nie?

- Parę tygodni temu. Gdy zgodziłam się grać Lady Marion.

- Głupoty opowiadasz! Ja nie robię tego dla własnej przyjemności.

- Ależ tak, Sarah, i dlatego wszyscy kochamy cię za to. - Przyciągnęła małą kobietkę do siebie i pocałowała ją. - Dobrze, jedź do domu i zajmij się tym, co jeszcze musisz zrobić. O sukienkę zadbam sama.

Sarah nie kwapiła się jednak do odejścia.

- Chyba mogłabym... Pozwól, że jeszcze raz to sprawdzę.

- Nie ma mowy! Jeżeli przytyłam, to moja wina i dlatego sama to poprawię. I nie kłóć się już ze mną.

Dźwigając swą torbę z nićmi, szpilkami, igłami, centymetrami, nożyczkami oraz - jak głosi miejscowa legenda - krawieckim manekinem i pełnowymiarową maszyną do szycia, ledwie dała się wyprowadzić.

- Jeszcze jutro rano mogę tu wpaść. Zadzwoń do mnie.

Joyce, zamykając za nią drzwi, roześmiała się, po czym pomacała eksperymentalnie swą talię. Sarah znowu zmierzyła ją nie tak jak trzeba. Ale to bez znaczenia. Nie będzie musiała nosić tej sukni długo, a poza tym i tak będzie myśleć o czym innym.

Rozdział czternasty

Historia samego Pastucha przepełniona była mrokiem i zgrozą, lecz oczyszczono ją z tego; nawet imię bohatera zmieniono, by brzmiało mniej groźnie, a bardziej romantycznie. Prawda leżała jednak zagrzebana w dawnych zapiskach napomykających ponuro o Świniopasie-samotniku, który wabił dzieci do swojej szopy w lesie, by pokazać im tajemną i niewypowiedzianą magię, dopóki którejś nocy trzy matki nie wymknęły się z wioski i nie zabiły go w zemście. Lecz w legendzie jak to w legendzie, nikczemność stała się psotą, a nadużycie zmieniło w chochlikowe figle, matki zastąpiła szlachetna Lady Marion, córka pana na włościach, co rzuciła na Świniopasa czar przemieniając go w świnię, którą zresztą z klasą upieczono i zjedzono, z zemsty robiąc ucztę. I teraz co roku hałaśliwy korowód dzieci paradował przez Finch ku łące, gdzie obwiązany łopoczącymi wstążkami czekał na nie Pastuch. Gdy docierały na miejsce, rzucał się za nimi w dziki pościg. Po jakimś czasie Lady Marion wykrzykiwała swoje zaklęcie i wszelkie niebezpieczeństwa przeganiane były w cień drzew.

Ulica Główna napełniła się zgiełkiem. Widzowie na chodnikach podnosili aplauz, a ci w oknach machali, gdy przetaczały się paradne platformy przeobrażone w las z zamkiem, kosmiczny statek oraz piracką wyspę w kolorowych krepach, bibułach i wstążkach. Na czele grała lśniąca dęta orkiestra, a pstro odziany muzykant z fujarką wiódł ponad osiemdziesięcioro dzieci z Finch i okolic, wszystkie poprzebierane za elfy, żołnierzy, króliki, koty, postacie z bajek, z „Batmana" i „Gwiezdnych wojen", a także z ulubionych w tym roku kreskówek Disneya. Dziewczyny w strojach arlekinów fikały gwiazdy; klaun odciągał od twarzy czerwoną kulę swojego nochala, a kiedy ją puszczał, z kapelusza wydobywał się szmaragdowy dymek; mężczyźni w

stetsonach strzelali w niebo ze startowych pistoletów; gruba Mama Hubbard uciekając przed klapiącym pingwinem trzęsła się ze śmiechu; w plastikowych kubełkach grzechotały monety, a publiczność wstrzymywała oddech, zaskoczona i rozradowana, kiedy jakaś petarda rozszczepiwszy się na niebie eksplodowała na tle słońca.

Za dziećmi, jakby bacząc, by nikt się nie zgubił, jechała Lady Marion w swym stworzonym ze sklejki dworze o normańskich oknach, ze świtą służek i skautów, w towarzystwie rycerzy w pomalowanych na srebrno zbrojach z kartonu, dzierżących drewniane miecze i sztandary świętego Jerzego. Kręcąc białą muślinową suknią, z szyfonowymi serpentynami łopoczącymi na czubku jej stożkowatego kapelusza, obracała się we wszystkie strony, by pomachawszy dłonią rzucić czar dobrej woli. Kiedy platforma dotarła do skrzyżowania, zatrzymała się na moment; z boku tłumu, na rogu, naprzeciwko kościoła, częściowo ocieniony drzewami, stał Jowett, sam, i wpatrywał się w nią.

Jej ręka wygięła się w łuk w geście przeznaczonym tylko dla niego. Potrząsnęła głową, jakby odprawiało się coś zupełnie nie do wiary; prywatne czary w środku świecidełkowej fantazji. Przez ostatnie dziesięć dni był dla niej jedyną mającą tutaj znaczenie osobą.

- Niechaj cię Bóg błogosławi, Lady Marion!

Na ów głos kobiety z drugiej strony drogi odwróciła się, porwana podnieceniem, światem iluzji. Evelyn Kenin, kierowniczka poczty, której córka po raz wtóry zaszła w ciążę ze swoim chłopakiem alkoholikiem, uciekała od permanentnego rozczarowania i poczucia porażki w karnawał szczęśliwych dzieci. Joyce rzuciła jej różę i korowód ruszył dalej.

U bramy wzniesiono na powitanie słup z zatkniętą nań olbrzymią dłonią, zaś na łące stały już pierścieniem pasiaste namioty, wiktoriańskie drewniane huśtawki oraz bulwiasty, nadmuchiwany, szkarłatno-żółty zamek do harców dla dzieci. Odszpuntowano beczki z piwem, a pod czerwonym bukiem, skwiercząc i ociekając tłuszczem, z wolna obracało się na rożnie prosię, raz po raz polewane jabłkowym sokiem. Ku okrągłym tarczom szybowały strzały, koniki pony użyczały grzbietów do przejażdżek; toczyły się prawdziwe boje; wrzeszczącego w dybach mężczyznę obrzucano nasączonymi wodą gąbkami, dzwoniły dzwonki na nogach mężczyzn tańczących moryskę, taniec przy takich zabawach obowiązkowy. A sama Joyce, wspierana przez

swoich wiernych rycerzy - obserwowana przez wielkookiego chłopczyka z kciukiem w ustach, zbyt małego, żeby nie dawać wiary temu wszystkiemu - mogła wreszcie zejść z platformy.

- W tym staniku jest cholernie gorąco! - Joyce poskarżyła się Fay, która wkroczyła w podążający za Lady Marion tłumek.

- Kochanie, topless chodzić raczej nie możesz. Marion miała być dziewicą. Poczekaj tutaj, przyniosę ci coś do picia.

Joyce spojrzała za siebie, na ludzi wtłaczających się przez bramę na łąkę. Mężowie z żonami, grupki nastolatków, dziadkowie, kochankowie... Nikt nie był tu sam, poza Jowettem. Ogarnęła go teraz wzrokiem całego: lśniące włosy, koszula, którą zdejmowała zeń za pierwszym razem, czarne dżinsy, nagie stopy w sandałach z czarnej skóry.

Szedł w jej kierunku i zapragnęła pomachać raz jeszcze, ale powstrzymała się, świadoma, że ktoś mógłby to zauważyć.

- Dzień dobry. Chyba nie wyglądałam tak całkiem idiotycznie?

Potrząsnął głową. - Powiedziałbym, że wręcz wspaniale. Bardzo fajne to wszystko...

Podeszła bliżej, mówiąc doń obniżonym i tajemniczym, pożądliwym i natarczywym głosem: - Lady Marion życzy sobie, panie, abyś raczył towarzyszyć jej do alkowy. Jeśli zaś ośmielisz się odmówić, rozkaże jednemu ze swoich rycerzy skrócić cię o głowę.

Sprawiał wrażenie zawstydzonego: - Sądziłem, że twój mąż jest w weekend w domu.

- Mówiłam ci, że jutro wieczorem wraca do miasta. A poza tym chcę, żeby tym razem było w *moim* łóżku. Nie ma problemu, możesz... - Nagle przerzuciła spojrzenie gdzieś poza niego. – Bądź pozdrowiona.

Za Jowettem, z dwoma plastikowymi kubkami chłodnej wody mineralnej w rękach, stała Fay.

- Pamiętasz Randalla? - spytała Joyce.

- Oczywiście. - Fay podała Joyce kubek. - Pobyt w Finch nie doprowadził jeszcze pana do szału?

- Nie. Nawet coraz bardziej mi się tu podoba.

- A jak tam książka? Mówił pan, że pisze jakąś, prawda?

- Tak... Rozkręca się.

- A to ma być rozpoznanie terenu i bohaterów? - spytała Fay,

wskazując ręką dookoła. - Wszyscy skończymy jako postacie? Jeśli tak, to ja chcę być tą główną!

- To nie ten gatunek książki... Gdzie można dostać taką wodę?

- W namiocie z piwem. Jak się pan pospieszy, zdąży pan przed ściskiem.

W nagłym pragnieniu Joyce, by powiedzieć Fay o Jowettcie, kiedy ten się oddalił, nie było żadnej logiki, a jedynie potrzeba podzielenia się tym z nią, wywołania zazdrości. Ściszyła więc głos i podeszła bliżej.

- Chcę ci coś powiedzieć, ale, błagam, nie krzyknij z niedowierzaniem.

- Pieprzysz się z nim? - Fay, nieporuszona, napiła się wody.

Pozbawiona swojej dramaturgii, Joyce popadła w konsternację.

- Jezu, to takie oczywiste?

- Nie, bo już wcześniej bym to dostrzegła. Ale lepiej naucz się panować nad sobą w miejscach publicznych, kochanie. Kiedy nadeszłam, patrzyłaś na niego, jakbyś chciała go pożreć. Jak długo?

- Niezbyt. - Głos Joyce pobrzmiewał smutkiem. - Choć stało się to nieprzyzwoicie szybko.

- Cóż, należało szybko działać. On nie zostanie tu na długo.

- Nie jesteś w szoku?

- Cholera, oczywiście, że nie. Czekałam na to od dawna. Na starość będziesz mogła powspominać to lato. Gdybym była żoną Ralpha, zrobiłabym to już wiele lat temu. Które z was zaczęło?

Joyce westchnęła. - Ja... choć nigdy wcześniej bym o tym nie pomyślała. A teraz nawet myśleć nie mogę normalnie.

Fay pocałowała ją w policzek.

- Podoba mi się twój gust. Mówiłam, że to smakowity kąsek. Zasłużyłaś sobie, więc ciesz się tym. Co o nim wiesz?

- Bardzo mało. Prawie o sobie nie mówi. Pracuje w banku, jego rodzice nie żyją, ma mieszkanie w dobrej dzielnicy, chodził do Cambridge, dobrze mówi po francusku. Tyle.

- A dziewczyny?

- Jakieś musiały być, ale nigdy o tym nie wspomina.

Fay wzruszyła ramionami. - W takim razie korzystaj ile się da... Kiedy wyjeżdża?

- Za dwa tygodnie... ale nie chcę, żeby wyjeżdżał.

Fay zmarszczyła brwi.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że to się skończy, prawda? Chodzi mi o to, że niczego mu nie brakuje: wysoki, ciemnowłosy, posiada co nieco, i że można się nieźle rozmarzyć, a tego robić nie powinnaś. Ile on ma lat?

- Dwadzieścia siedem. - Joyce poczuła się nieswojo. - Przeraża mnie, że prawie mogłabym być jego matką.

- O, do tego to musiałabyś zacząć strasznie młodo. - Fay ścisnęła ją za rękę. - Głowa do góry... Wraca.

Joyce ukryła twarz w kubku, nakazując sobie zachowanie kontroli. Po chwili pojawiło się czterech małych rycerzy z jej świty.

- Ruszam w pogoń - oznajmiła Jowettowi, po czym zwróciła się do Fay. - Słuchaj, Randall nie zna tu nikogo. Możesz z nim trochę pobyć?

- Oczywiście. Oliver też gdzieś tu jest. Zaopiekujemy się nim.

Joyce oddała kubek Jowettowi i oddaliła się. Krocząc przez tłum, z uśmiechem na ustach, kłaniała się z wdziękiem i przyjęła od jakiegoś dziecka bukiet kwiatów.

- O co chodzi z tą pogonią? - spytał Jowett.

- Zobaczy pan. - Fay zerknęła na zegarek. - Gdzieś za pół godziny. Chodźmy poszukać mojego męża.

Łąka napełniła się teraz gwarem: muzyką, krzykami dzieci, pobrzękiwaniem dzwonka herolda obwieszczającego nowe atrakcje. Jowett poczuł się odizolowany, poczuł się nierozpoznanym złem w przebraniu zwykłego człowieka... a do tego ta kobieta na łące, która go pożądała. Powrót do Finch przyniósł jeszcze więcej zamieszania i nową winę wykutą ze zdrady i kłamstw.

Uprzejmości Olivera wprawiały go w zakłopotanie; te kurtuazyjne pytania indagujące okrężną drogą mogły sprawić, iż w sposób fatalny wyjawiłby coś. A Fay nie rozumiał; jej uśmiechy zbyt ciepłe były jak dla nieznajomego. Jakby na siłę chciała uczynić go częścią miejsca, do którego nie należał...

- Trevor! Janet! Jakże miło was widzieć. - W jednoczesnym powitaniu objęła kobietę i wyciągnęła rękę do mężczyzny.

Jowett poczuł niewytłumaczalne napięcie, jak gdyby rozpoznawał tych ludzi.

- To jest Randall. Mieszka w domku letniskowym Joyce. Pilnujemy go, żeby się nie zgubił. - Fay zwróciła się do Jowetta. - Trevor

i Janet Godwinowie... a to Tim i Matt. - Uśmiechnęła się na widok chłopców. - Czy wy dwaj przestaniecie w końcu rosnąć, czy nie?

Nazwisko przywołało twarz, po raz ostatni widzianą kilka lat temu w telewizji, o wiele młodszą niż twarz jego ojca, lecz odlaną z tej samej formy. Cała czwórka patrzyła nań badawczo, kiedy Trevor wyciągnął rękę.

- Dzień dobry. Miło pana poznać.

Nie będąc w stanie się odezwać, Jowett dotknął tego ciała z ciała, którego śmierci się przyglądał, nieświadomego, witającego go.

- I panią też, pani... - zwrócił się do kobiety obok. - My chyba się jeszcze nie znamy.

- A... to jest Chris - przedstawiła przepraszająco Janet Godwin. - Chris Sheaffer. Dopiero co wprowadziła się do starego domu kapitana Woodville'a przy Głównej Ulicy.

- Sądziłam, że Dom Pasatów się wali - powiedziała Fay. - Tonie, ma się rozumieć.

- Dlatego tanio go dostałam - odparła Sheaffer. - Spędzam wakacje na remontowaniu go.

- Powinna się pani starać o jakąś subwencję na ten cel. Nie wiem czy... - Fay przerwała, a Jowett zadrżał, gdyż przeraźliwe zadęcie myśliwskiego rogu właśnie rozdarło powietrze. - Pościg! Chodźcie.

Znosząc męczarnie, Jowett, pociągnięty przez nich wszystkich, dołączył do widzów zgromadzonych wokół krawędzi łąkowej niecki, w której najgłębszym punkcie stało coś, co wyglądało na prowizoryczny czworoboczny namiot z bokami pomalowanymi tak, by przypominał czarną lepiankę, mroczne, złowróżbne miejsce pośrodku pola jasnej zieleni. Przed nim uformował się nierówny szyk dzieci, na czele z heroldem, który potrząsnąwszy swoim dzwonkiem dał znak chórowi sopranów.

- Kto tutaj mieszka? - rozległo się pytanie.

Wszystkie dzieci w lękliwym podekscytowaniu zrobiły krok do przodu i śpiew został powtórzony, głośniej tym razem.

- Kto tutaj mieszka?

Drugi krok naprzód i znów wykrzyczane pytanie, teraz wystrzelone z wesołym przestrachem.

- Kto tutaj mieszka?

Od dawna obeznany z tym rytuałem, rozgadany tłum zamilkł, tak że po trzecim okrzyku nastała spodziewana cisza. I wtedy to jedna ze stron namiotu otwarła się i pojawiła się w niej olbrzymia postać z głową świni, obwiązana trzepoczącymi wstęgami. Rycząc odpowiedź, uniosła w górę ręce.

- To ja, Pastuch!!!

Z piskiem i wrzaskiem dzieci rozpierzchły się, gdy ociężały Pastuch rzucił się za nimi w zwariowaną pogoń. Prawie chwytając ofiarę potykał się, by zwrócić się zaraz z rykiem ku następnej i burczeć na kartonowych rycerzy, którzy to raz za razem opadali go jak rój szerszeni. Tłum buczał, gdy powalał któregoś, i radował się, gdy inny ciskał weń swoim mieczem. Wszyscy stali się uczestnikami pościgu, który skończyć miał się białą magią.

- Chyba gdzieś już pana widziałem.

Zaindagowany przez Tima Godwina, chłopięcy głos przywracający go nagle do rzeczywistości, Jowett wytrzeszczył oczy.

- Nie sądzę. Nigdy przedtem tu nie byłem.

- Gdzieś już jednak pana widziałem. - Powtórzenie było niecierpliwe, jak gdyby poirytowane tym zaprzeczeniem. - Tutaj... Zaraz! Ma pan MG? Jasnoczerwone?

- Tak.

- Właśnie. Śmignął nim pan ostatnio przez wieś. Pozazdrościłem panu. Co on może? No wie pan, jaki jest szybki?

- Prędkość maksymalna dwieście na godzinę. Ale nigdy tyle nie jechałem.

- Cholera, ja bym tam pojechał. - Złapał Jowetta za rękę. - Może teraz spróbujemy.

- Co masz na myśli?

- Niedaleko stąd jest parę prostych odcinków drogi. Przejedźmy się. To będzie lepsze od tej błazenady.

Tłum wokół nich wybuchł radością, bo pojawiła się rzucająca swoje czary Lady Marion. Pastuch tańcząc protestował przerażony, lecz padł zaraz na wznak i leżał z rękoma i nogami w górze.

Jowett stwierdził, że chyba nie jest w stanie oprzeć się odciągającemu go Timowi.

- Nikt nas nie zauważy. - To był bardziej rozkaz niż zapewnie nie.

Poza terenem festynu Finch wyglądało na opuszczone, puste, jakby oderwane od łąki i tego, co się na niej działo. Kiedy przeszli obok kościoła i skręcili ku domkowi letniskowemu, gwar zanikł gdzieś za ich plecami.

- Chodzenie na te dyrdymały to sprawa rodzinna. Przez lata organizował to mój dziadek i dlatego ciągle się nas tam spodziewają.

Jowett nie patrzył na niego.

- Nie wiedziałem.

- Wiedziałby pan, gdyby pochodził pan z Finch. Wszyscy nas tu znają... Nie słyszał pan o morderstwach?

- Nie... właściwie nie. Ale w kościele widziałem tablicę pamiątkową i... ktoś powiedział mi, że... Przykro mi.

- Nic się na to nie poradzi... Ooo, co my tu mamy. - Gdy dotarli do domku, ruszył przodem. Dach samochodu był opuszczony, sięgnął więc do wewnątrz, by dotknąć kierownicy. - No no, nieźle. Ile kosztował? Ze dwadzieścia?

- Niecałe osiemnaście.

- Jezu, muszę takiego mieć... Mogę poprowadzić?

- Jest ubezpieczony tylko na mnie.

- Szkoda... Ale ja też bym nie ryzykował, gdyby był mój. Wsiadajmy. - Usadowił się na siedzeniu pasażera. - Przy wyjeździe stąd niech pan skręci w prawo, a potem w lewo do skrzyżowania. Za nim jest długi kawałek prostej drogi.

Silnik przebudził się z warkotem i zamruczał, gdy Jowett wycofywał przez bramę. Obecność Godwina na siedzeniu obok przytłaczała go; przepastnie długie nogi, palce chciwie pieszczące lakier na drzwiach. To, co się działo, było niczym fantazja, równie mroczna i nie do wiary jak historia Pastucha. Lecz tego przecież chciał; spojrzeć w twarze tych, których skrzywdził, i przekonać się, czy mu to pomoże. Na skrzyżowaniu skręcił w drogę, która niby strzała biegła prosto w dal.

- No, niech pan doda gazu - ponaglał Godwin, wciśnięty w siedzenie, gdy Jowett wrzucił bieg i przyspieszył. - Taaak! Niewiarygodne!

Wskazówka minęła łukiem setkę. Jowett wrzucił piąty bieg i przydusił gaz ponownie. Nagrzane słońcem powietrze buchnęło niczym żar z pieca. Ponad wyciem silnika Godwin odczytywał prędkość.

- Sto dziesięć... piętnaście... dwadzieścia... dwadzieścia sześć... dalej! Dlaczego pan, do diabła... Kurwa. - Wskazówka cofnęła się, gdyż droga zaczęła skręcać i Jowett przyhamował. - Niech pan wróci i teraz przyczadzi porządnie.

Za drugim razem osiągnęli sto osiemdziesiąt, ale nim zebrali się do powrotu, Godwin nalegał, by to jeszcze dwa razy powtórzyć.

- Jezu, to było niewiarygodne. - Zwrócił się do Jowetta, połączonego z nim teraz wspólnym doświadczeniem. - Co pan robi w takiej dziurze jak Finch?

- Nic w zasadzie... Spokojnie tu jest. I z dala od Londynu.

- Za spokojnie... Co pan robi dzisiaj wieczorem?

- Jest pieczenie prosiaka.

- Cholera, zapomniałem. Będę musiał się pokazać... ale moglibyśmy urwać się wcześniej. W Ash Sounder jest świetny pub. Najlepsze piwo tam dają i powinien pan zobaczyć cycki barmanki. Z takim samochodem to moglibyśmy poderwać, co tylko nam się zachce... i moglibyśmy zabrać je do pańskiego domku. Co pan na to? Zgoda?

- Nie mogę.

- Dlaczego nie? - Godwin nie rozumiał. - Chyba nie jest pan uwiązany. Marnuje pan ze mną czas, co?

- Nie, po prostu nie mogę... Mam potem jeszcze coś do zrobienia... muszę popracować.

- W sobotę wieczorem? Przegina pan. Chyba nie mówi pan tego serio?

- Naprawdę... Biuro przysłało mi trochę papierów.

- Faceci tacy jak pan umierają przed trzydziestką. Ale niech tam, to pański problem. Mam jakieś szanse na jeszcze jeden wypad kiedyś? Czy może terminarz ma już pan zapisany? - Pytanie ociekało sarkazmem.

- Nie, ale z tą robotą muszę uporać się do rana.

- Dobrze. Wie pan co, niech mi pan zrobi przysługę i przyjedzie w przyszłym tygodniu na farmę. W czwartek po południu, co? Chciałbym, żeby mój staruszek zobaczył to cacko. Usiłuję namówić go, żeby mi kupił takiego. Mieszkamy w miejscu, które się nazywa Tannerslade. Trzeba jechać tak jak prowadzi droga od kościoła, na drogowskazie będzie Dencom Water. Nie można nie zauważyć. Po prawej. Przyjedzie pan?

- Przyjadę. - Skręciwszy na podjazd przed domkiem, Jowett wiedział, że będzie mu potrzebne trochę czasu, aby zrozumieć, dla czego zgodził się tak od razu. - Słuchaj, muszę wykonać parę telefonów. Za kilka minut do ciebie dobiję.

Godwin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jest pan pracoholikiem... ale wóz... bomba. Na razie.

Chociaż słabo, Jowett słyszał śmiech i gwar napełniający Łąkę Pastucha, rozgadane morze głosów, niewidoczne spoza cypla. Niecały kilometr dalej zalewało ono inne, jakoś pogodniejsze miejsce, a samotna cisza, w której on pogrążał się teraz, była miejscu temu obca. Na festynie był autsajderem; gdy pokazał się tam, głowy zwróciły się gwałtownie ku niemu, ciekawskie i ostrożne. My wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi... a ty kim jesteś? Jesteś kimś, kogo powinniśmy witać, czy kimś, kogo powinniśmy się obawiać?

Nie chciał tam już wracać, lecz gdyby tego nie zrobił, ona zastanawiałaby się, co się z nim dzieje. A do tego jeszcze poznał przecież *ich,* syna i wnuków, nawiązał kontakt z jednym z nich. Po to przyjechał do Finch - by dotykać i przekonywać się, co owo dotykanie daje. Ukrywanie się nigdy nie było dobrą odpowiedzią.

Tak jak niemal całe Finch tego popołudnia, skąpana w słońcu droga z domku pod wzgórze ziała pustką, kiedy Jowett, niczym ponury pielgrzym, szedł nią ku miejscu uroczystości, gdzie właśnie ocalono dzieci.

Rozdział piętnasty

- Nie wiem! Najpierw stał obok mnie, a potem zniknął. - Fay chwyciła Joyce za rękę, widząc jak ta gorączkowo wodzi oczyma po tłumie. - Uspokój się. Z nikim ci przecież nie uciekł.

- Ale dokąd poszedł? Co się stało?

- Przestań - nakazała srogo Fay. - Jeszcze trochę, a poprosisz Jerry'ego, żeby ogłosił wszem i wobec przez megafon, że śpisz z tym facetem. Zaraz wróci.

- A niby skąd?

- Jezu! - Uścisk Fay wzmocnił się. - Poderwał sobie jakąś i wyskoczył z nią do domku. Lepiej? Co się z tobą dzieje?

- Ja... - Joyce przygryzła dolną wargę. - W porządku. Chodźmy... O, witam.

Podeszła do nich para z małą dziewczynką. Dziecko ssało asekurancko kciuk, szeroko otwartymi oczkami wpatrując się z pieleszy ojcowskich ramion w bajkową postać.

- Proszę - powiedziała mama. - Oto Lady Marion. Chciałaś ją poznać. - Dziecko ukryło twarz w ramieniu ojca. - No, głuptasku.

- Jak masz na imię? - przymiliła się Joyce, uśmiechając się do drżącej odwróconej główki. - Chyba widziałam cię w kościółku. Buczałaś na Pastucha? Jak będziesz większa, będziesz mogła wziąć udział w pogoni. To świetna zabawa.

Małe oczka, choć wciąż niepewne, zerknęły z wahaniem, odpowiadając tym na jej uprzejmość.

- Chciałabyś przymierzyć moją czapkę? - Włosy Joyce rozsypały się, gdy ją uniosła. - Zobacz, jest w takim samym kolorze jak twoja sukienka.

- No, Melanie - ponaglił ojciec.

Malutkie paluszki wyciągnęły się ostrożnie, a mama uniosła kamerę...

Wrócił. Stał tylko kilka kroków dalej. Wszystko było już w porządku, on nie... Joyce nie była w stanie pojąć swojej reakcji. Dziecko czekało, a ona jakby zastygła na chwilę, i nie istniało nic poza faktem, że zobaczyła Jowetta.

Rozmawiał z kobietą, której nie rozpoznawała. Młodą kobietą, błyszczącą wodospadem blond włosów, w obcisłych dżinsach, w koszuli zawiązanej nad pępkiem... osłabiająco piękną.

- Dziękuję. - Ponieważ ofiarowany dar nadal był wstrzymywany, dziecko zdało się wyczuć, że trzeba dobrego słowa, by sobie nań zasłużyć.

Joyce wytrzeszczyła oczy, jak gdyby po raz pierwszy dotarła do niej obecność dziewczynki, i otrząsnęła się.

- Racja. Czekaj, założę ci. - Dlaczego jej głos zdawał się dobiegać skądinąd? - O... Możesz ją zatrzymać.

- Melanie, nie cieszysz się? - Mama zatrzymała Joyce, kiedy ta chciała już odejść. - Przepraszam, proszę pozwolić mi zrobić jeszcze zdjęcie.

- Oczywiście. - Joyce stanęła przy dziecku, podtrzymując czapkę na miejscu. - Dbajcie o nią. Jest magiczna.

Aparat pstryknął, a wargi Fay aż ścisnęły się, gdy zobaczyła, jak szybko Joyce opuściła ich, by dołączyć do Jowetta.

- Cześć. Gdzie byłeś?

- Na przejażdżce samochodem. Ten chłopak... Syn Godwina... poprosił mnie, żebym go przewiózł.

- Tim? Nie powinieneś się zgadzać. W jego mózgu lęgną się same... Nieważne. Może lepiej przedstaw mi swoją przyjaciółkę? - Tę lodową dziwę o jasnoniebieskich oczach i ustach jak...

- O... hm... To Chris. Właśnie się przeprowadziła do Finch.

- W takim razie pewnie będziemy się widywać do czasu do czasu. Wybaczy nam pani na moment?

- Oczywiście. - Sheaffer zarejestrowała dłoń ujmującą dłoń Jowetta, odprowadzającą go jak dziecko. Zarejestrowała i odeszła.

- Kiedy wpadłeś na tę Miss Skandynawii? - W pytaniu Joyce, wyrzuconym w chwili, gdy nie było w pobliżu nich nikogo, kto mógłby to usłyszeć, tkwiło oskarżenie i strach.

- Co? A... jak ty brałaś udział w pogoni. Poznałem ją, kiedy stałem z Fay. A czemu?

- Przyjechała z tobą i Timem samochodem?

- Nie. Spotkałem ją znowu, kiedy tu wróciłem. Rozmawialiśmy tylko. Co się z tobą dzieje?

- Martwiłam się.

- O co?

- Pomyślałam, że... Chryste, nie wiem, co sobie pomyślałam. - Joyce poczuła się zdemaskowana, nie potrafiła zrozumieć swej złości w stosunku do niego. - Masz papierosa?

- Nie wiedziałem, że palisz.

- Bo niezbyt często. Ale teraz bym zapaliła.

- Nie zabrałem ze sobą.

- Wspaniale... dobra, mniejsza z tym.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, w porządku... zapomnij o tym. Mam już po dziurki w nosie tego nonsensu, a na dodatek ta suknia jest cholernie niewygodna.

- Dlaczego więc jej nie zdejmiesz?

- Tutaj? - To był wstęp do naprawienia czegoś, co niszczyła swoim zachowaniem. - Kochanie, chyba nie chcesz ich wszystkich stąd wypłoszyć...

- Nie o to mi chodziło.

Musiała siłą powstrzymać się od dotknięcia go.

- Wiem, że nie. Zresztą to i tak już prawie koniec. Mogę pójść do domu i... Nie chciałam wpieniać się na ciebie, ja tylko... Przyjdziesz na pieczonego prosiaka, co? Fay i Oliver też będą, tak że będziesz miał z kim pogadać, poza mną.

- Dobra. Przyjdę.

- No to do zobaczenia wieczorem. Ach, zrobię jeszcze ostatni obchód...

Fay obserwowała ich, kiedy się rozdzielali; nie mogła słyszeć, o czym rozmawiali, ale w sposobie mówienia Joyce, w pozie, w jakiej stała, była jakaś natarczywość, wrogość nawet.

A Jowett patrzył, jak Joyce przemyka przez tłum, jak głaszcze psa, całuje jakąś znajomą parę, jak z głębokim dygiem składa pokłon podnoszącej aplauz grupce ludzi. Zamyślona, Fay podeszła do niego.

- Bawi się pan dobrze?

- Co? - Pytanie Fay wyrwało go z zadumy. - A, owszem. Lubię stare tradycje. Dziękuję za oprowadzenie mnie. Joyce... pani Hetherington... mówi, że pani i pani mąż będziecie tutaj dziś wieczór.

- Tak. To prymitywne, ale zabawne. - Fay strzepnęła z bluzki źdźbło trawy. - Joyce mówi, że za parę tygodni pan wyjeżdża. Myśli pan, że jeszcze pan tu wróci?

- Doprawdy nie wiem.

- Z pewnością mamy tu dużo spokoju i ciszy do pisania... Przepraszam, mąż mnie woła. Do zobaczenia wieczorem.

Dołączywszy do Olivera, Fay patrzyła za Joyce z zadartą suknią pokonującą stok, zmierzającą ku bramie na drodze nieopodal jej domu. Wyglądało to prawie tak, jakby uciekała.

Joyce rzuciła się schodami na górę, do łazienki. Tam zamknęła drzwi na klucz i oparta o nie plecami, jak gdyby chciała zabezpieczyć sobie prywatność, z trudem chwytała powietrze. Jej panika z powodu nieobecności Jowetta była bezsensowna, a reprymendy i pytania o inną kobietę irracjonalne. Nie był jej własnością, lecz ona, łakoma i wymagająca, tego właśnie pragnęła. Nie, tu chodziło o coś bardziej nieuchwytnego. Chciała go mieć, czerpać przyjemność z posiadania, czuć się przezeń pożądaną, dzielić z nim rozkosz, być częścią jego życia, śmiać się z nim... kochać.

- Chryste. - Odsunęła się od drzwi i rozsunąwszy suwak na plecach sukienki pozwoliła jej opaść, by kojący chłód powietrza po głaskał jej ciało. Pod prysznicem odchyliła głowę do tyłu. Żądląca woda bębniła na jej skórze. Złożyła dłonie w miseczkę, by obmyć twarz. Owionęła ją mgiełka pary. Mam czterdzieści cztery lata, a on dwadzieścia siedem; uwielbiam to, co robimy, tylko że on wyjeżdża za dwa tygodnie i będzie po wszystkim. Jestem za stara - i ponoć za inteligentna - na to, by zacząć zachowywać się jak zabujana nastolatka. Zakręciła wodę i wycierając się ręcznikiem z dziką nie cierpliwością, wyszła z kabiny. Ależ to głupie, beznadziejne, mętne, idiotyczne... Nagle załkała, ściskając ręcznik rozszalałymi palcami, jakby chwytała coś realnego. Myśl o skończeniu z tym była nie do zniesienia, o pozwoleniu by trwało to dalej - przerażająca.

* * *

Gdy zmierzch wsączył się w nagrzany wieczór, zapaliły się lampiony ustawione wokół skwierczącego prosięcia; zakwitły pomarańczowymi płomieniami, snując loki upiornego dymu i rzucając rozedrgane cienie. Z głośników dobiegał swing big bandu, słabo słyszalny w gwarze i śmiechu. Dzieci staczając się po nachyleniu ciemniejącej łąki i wdrapując z powrotem na szczyt piszczały z radości. Joyce była teraz z Ralphem. Siedząc obok Fay i Olivera zajadali z plastikowych talerzyków pieczoną wieprzowinę, ryżowy chleb i ciepłą sałatkę. Jowett spoczywał na karimacie pod drzewami.

- Kto dostarczył prosiaka? - spytał Ralph przełykając kęs.
- Trevor - odparła Fay. - Jak zawsze.
- Nie wiedziałem, że chowają świnie.
- Nie chowają. On kupuje je od kogoś.
- Świnie to teraz dobry interes. Nie trzeba się obawiać BSE. Jak wołowina, to tylko z kontynentu. Wiadomo, że bezpieczna. A co do Trevora to super z niego facet.

Jego głos był trochę niewyraźny; zaczął popijać już w klubie golfowym, a teraz doprawiał to piwem.

Joyce popatrzyła mimo niego na Olivera, na jego bladą twarz i rzednące jasne włosy w błyskach płomieni, na szare oczy, spostrzegawcze i inteligentne. On i Randall łatwo znaleźliby wspólny język... a właściwie już znajdywali, dyskutując o literaturze, porównując życie w Oksfordzie lat sześćdziesiątych z życiem w Cambridge lat osiemdziesiątych. I wtedy wtrącił się Ralph, pytając Olivera o kwestie reklamowe w jego gazecie.

- Dajemy rabaty stałym klientom i tym, co zamawiają pięć lub więcej emisji. W innym przypadku wedle cennika.
- Daj spokój, cennik to punkt wyjścia. Nawet z koncernem Murdocha można się dogadać.
- My tak nie działamy. A właściwie to czemu cię to interesuje?
- Mam klienta, który myśli o pokazaniu się na prowincji.
- Wobec tego zadzwoń do moich ludzi od reklamy.

Ralph chrząknął. - Zawsze moglibyśmy skorzystać z lokalnego radia. Nie można, kurde, zdzierać z ludzi tylko dlatego, że się ma monopol prasowy.

- Ja z nikogo nie zdzieram, Ralph. Ja po prostu prowadzę sprawną firmę.

Joyce poczuła się zawstydzona; Oliver był przyjacielem - jej przyjacielem, dobrym - ale Ralph posiadał przykry dar obracania każdej rozmowy w popis prostackiej agresji. Oliver zwrócił się ponownie do Randalla, pytając, czy czytał trylogię Pata Barkera o Wielkiej Wojnie, a tym samym z rozmysłem odcinając się od Ralpha, którego gust kończył się na opasłych powieściach katastroficznych. A Ralph w końcu wstał i poszedł sobie, witając kogoś z hałaśliwym entuzjazmem, jak gdyby spotkanie z nimi popsuło mu wieczór.

- Hmm. Można się przyłączyć? - Z plastikowym talerzykiem, kieliszkiem wina i papierową serwetką w rękach, zza Olivera wyłoniła się Sheaffer. - Szukałam Godwinów, ale tutaj, jak się zdaje, ich nie ma.

- Oni nigdy nie przychodzą - powiedziała Fay. - Proszę usiąść. Poznała już pani Joyce?

- Owszem. Widziałyśmy się przez chwilę. - Sheaffer przysiadła się do Jowetta, który zrobił jej miejsce na karimacie, i uśmiechnęła się do Joyce. - To pani była Lady Marion.

- Panią też kiedyś do tego zwerbują - ostrzegła Fay.

- Panna Merriman już mnie o to prosiła. - Sheaffer uśmiechnęła się. - Sprawiała wrażenie bardzo zapalonej.

- Festyn zajmuje dużo miejsca pośród jej zajęć... A i pani byłaby doskonała w tej roli. Jeśli się trzymać tradycji, to Lady Marion była blondynką.

- Powiedziałam, że się zastanowię.

- Ona weźmie to za zdecydowane tak.

- Mieszka pani sama? - spytała Joyce.

- Tak. - Sheaffer otarła serwetką kropelkę tłuszczu z warg.

- Nie ma pani żadnego chłopaka?

- W tej chwili nie.

Fay stuknęła butem w kostkę Joyce. - Chodź, pomożesz mi przynieść więcej drinków.

Joyce ruszyła bez ceregieli w stronę stołu zastawionego butelkami wina, ale Fay wzięła ją pod rękę i odciągnęła w miejsce poza zasięgiem lampionów, gdzie mogły być same.

- Co jest? - spytała Joyce.

- Przede wszystkim chciałam powstrzymać cię od dopiekania tej dziewczynie, nim zrobisz z siebie idiotkę. A poza tym chcę pogadać o tym, co się z tobą dzieje.
- Nie wiem, o co ci chodzi...
- Ależ wiesz, kochanie. Wkopałaś się z Randallem po uszy.
- Nie bądź śmieszna.
- Nie mów tak i nie odwracaj się ode mnie... Boisz się, że się w nim zakochałaś, prawda?
- Nie... tak. - Spojrzała Fay w twarz. - Pomóż mi.
- Chcesz szczyptę logiki?
- Nie sądzę, żeby zadziałała, ale spróbuj.
- No dobrze. Poznałaś go... kiedy to było?... trzy tygodnie temu. Jest pociągający, grzeczny, inteligentny, czuły i pewnie magiczny w łóżku. Ale przecież sama powiedziałaś mi dzisiaj, że nadal prawie nic o nim nie wiesz. No i jest o niebo młodszy od ciebie... Chcesz danych statystycznych?
- Znam je wszystkie. Wolałabym trochę inteligencji.
- To się nią wykaż. - Fay zniecierpliwiła się w swym zatroskaniu. - Na litość boską, to wszystko to może być gra! On pisze książkę, kiedy ty przychodzisz, zdejmujesz ubranie i mówisz „ładnie proszę". Pewnie zrobił cię już jedną ze swoich postaci. Atrakcyjna, samotna, nieszczęśliwa mężatka głupiejąca na jego punkcie. W świecie fantazji to już znana powszechnie lipa.
- To nie tak.
- To ty nie chcesz, żeby tak było. - Fay potrząsnęła z frustracją głową. - Proszę! To do niczego dobrego nie doprowadzi.
- Mówiłam, że logika nie zadziała. - Joyce chlipnęła, ale zaraz przełknęła łzy. - Ty masz Olivera i Jonathana, a ja kisnę w tym kaftanie bezpieczeństwa razem z Ralphem i moją matką! - Fay chwyciła ją za rozgestykulowane teraz ręce. - Posłuchaj, tu nie chodzi o seks... no dobra, to część tego... to dlatego, że nie rozumiem swoich potrzeb. Myślałam, że się odnajdę, że kiedy skontruję, znów będę miała jakieś życie. Nie zdawałam sobie jednak sprawy z tego, że tak naprawdę to chcę, żeby ktoś mnie kochał.
- A on cię kocha?
- Mówi, że tak.
- A ty mu wierzysz? - Fay zmarszczyła brwi.

Joyce westchnęła. - Chyba nie. Powiedział to, kiedy pierwszy raz się kochaliśmy... ale co z tego, skoro dzisiaj uświadomiłam sobie, że... że ja go kocham. Za bardzo, cholera. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Co więc ma z tym wspólnego logika?

- Boże mój. - Fay pokiwała głową. - Dobra. Jak wylądujesz, będę w pobliżu, ale pamiętaj, że możesz się rozbić i spłonąć.

- Aż tak beznadziejnie?

- Czemu mnie o to pytasz? Chodź. Weźmy te drinki, nim całkiem dostaniesz paranoi na punkcie tego, że on zaprasza tę blondynę do domku na szklaneczkę przed zaśnięciem.

Purpura nieba pogłębiała się przez indygo aż do czerni. Pulchne prosię wyglądało teraz niczym zarżnięta padlina, światło lampionów przygasało, a pojedyncze sylwetki znikały w mroku, cichnącymi głosami wołając dobranoc. Oliver i Jowett dyskutowali o inwestycjach zagranicznych. Fay, przysiadłszy ze skrzyżowanymi nogami, okrytymi spódnicą, obserwowała twarz Jowetta; Joyce siedząc nie patrzyła na nich, wpatrywała się w mrok, czując obecność w nim milczącej, zamienionej w słuch Sheaffer.

- ...ale czy zarekomendowałbyś to?

- Nie dla zrobienia pieniędzy. Trzeba by mieć szczęście, żeby mieć na tym z cztery procent.

- O to się nie martwię. Podoba mi się to, w co inwestują. Pogadam z moim brokerem. Dziękuję ci. - Oliver popatrzył na Joyce i swoją żonę. - Ciche coś jesteście...

- Zatkało nas u stóp takiej mądrości - rzuciła szelmowsko Fay. A potem zwróciła się do Sheaffer: - Co skłoniło panią do przeprowadzenia się do Finch?

- Wychowałam się na wsi. Lubię spokój.

- Randall też jest tutaj z tego powodu. Wzmaga to jego proces twórczy. Pisze książkę.

- Naprawdę? - Sheaffer spojrzała na niego. - O czym?

To pytanie było nieuniknione; Jowett żałował, że w ogóle o tym napomknął, że nie wymyślił innego powodu. Dobrze, że chociaż miał już przygotowaną odpowiedź.

- To trudno tak wyjaśnić. Jeśli kiedykolwiek ją opublikują, przekona się pani, co mam na myśli. - Przewrotnie była to prawda. I dostateczny unik.

- Musisz mnie powiadomić, jak wyjdzie - powiedział Oliver. - Kupię ją sobie.

- Będzie się spodziewał, że mu pan podpisze - dodała Fay. - W sumie wszyscy chcielibyśmy po egzemplarzu, żeby się móc popisywać, jeśli zdobędzie pan nagrodę Bookera. - Dopiła wino. - Robi się chłodno. Odwieźcie mnie do domu, jestem piekielnie zmęczona.

Jowett poczuł się naraz przygnębiony. W którymś momencie w ciągu poprzednich godzin jego umysł odciął przeszłość, pozostawiając tylko łagodne prądy zadowolenia. Wieczór ten zdawał się być oderwanym od rzeczywistości, uroczą pastoralną sceną w sztuce, sielankową Arkadią... choć przecież tak naprawdę ten wieczór to tylko rozmowy mężczyzn o sporcie i samochodach, sprośne kawały przy piwie, kobiety rozprawiające o swoich dzieciach i swoim życiu towarzyskim, nastolatek rzygający w krzakach, mdły smrodek przenośnych ubikacji, tłustych odpadków. Żadnego uroku; po prostu noc na polu i obżeranie się świnią. Noc już zakończona.

Wstał. - To był wspaniały wieczór. Dziękuję państwu.

- Musisz wpaść do nas na drinka, nim stąd wyjedziesz - powiedział Oliver. - Mieszkamy dwa domy od Joyce. Nawiasem mówiąc, nadal sądzę, że mylisz się co do Fostera.

- Tylko mu pozwolić, a będzie w nieskończoność gadał o tych książkach - ostrzegła Fay.

Jowett uśmiechnął się, niepewny, jak powinien na to odpowiedzieć.

- Odprowadzę cię do bramy - powiedziała Joyce. - Może znajdę gdzieś Ralpha... - A tak naprawdę, to nie chcę zostawiać cię z tą o wiele młodszą kobietą, która mieszka sama.

Joyce jakoś trudno było odczekać, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu.

- Przepraszam, prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, a i teraz nie możemy. Masz. - Wcisnęła mu do ręki złożony kawałek papieru i czym prędzej od niego się odsunęła.

- O co chodzi?

- Wskazówki na jutrzejszą noc. Nikt cię nie zobaczy. Zamknął kartkę w palcach.

- Jesteś pewna, że to w porządku?

- Oczywiście, że tak. Rupert i Annabel są na szkolnych wycieczkach,

a Ralph zawsze wyjeżdża do Londynu przed... Chryste, to on. Muszę iść. Dobranoc, kochanie.

Zwróciła się w kierunku, gdzie dostrzegła swojego męża, zaś Jowett pomaszerował sam, wstrzymując się z przeczytaniem kartki aż do chwili, kiedy znalazłszy się poza polem i minąwszy kościół napotkał pierwszą uliczną latarnię.

Podejdź ścieżką na tyłach domku wokół pola aż do samego płotu z ostrokrzewem. Furtka w nim otwiera się na nasz ogród. Ralph zazwyczaj wyjeżdża o szóstej, ale na wszelki wypadek odczekaj do siódmej. Jeśli na ziemi, zaraz za furtką, znajdziesz chusteczkę, przyjdź później. Będę czekała na ciebie z kolacją. Kocham cię. Joyce.

PS: Lepiej to spal. Chyba robię się nerwowa.

- Jesteś bardzo zamyślona. - Otworzywszy frontowe drzwi, Oliver usunął się na bok robiąc Fay przejście. - Coś nie tak?

Włączyła onyksową stołową lampę.

- Ale to ściśle tajne, jasne?

- Oczywiście.

- Joyce ma romans z Randallem. Powiedziała mi to dzisiaj.

- Dobry Boże. Przecież on ma... - Oliver powstrzymał się. - Nie, to się kupy nie trzyma. Przecież ledwie się znają.

- Znają się w sensie duchowym... a na dodatek Joyce mówi, że jest w nim zakochana. Ale to ona jest w tym uczennicą.

- Sądzisz, że naprawdę jest zakochana?

- Zakochana? - Fay poprawiała włosy w lustrze w holu. - Nie wiem. Ale opętana to na pewno. Boję się, że się paskudnie pokaleczy. Co o nim myślisz?

- Polubiłem go. Z początku zachowywał rezerwę, ale kiedy już zaczął rozmawiać, okazał się bardzo dobrym dyskutantem. Zastanawiałem się nawet, dlaczego jest tutaj sam.

- Mmm - mruknęła podejrzliwie Fay. - Pierwotna teoria Joyce, zanim się zaangażowała, była taka, że on nad czymś boleje. To mógł być jakiś romans; to mogła być czyjaś śmierć.

- Tak czy inaczej, byłby podatny.

- Właśnie... jak Joyce.

- Co ona o nim wie? Zauważyłem, że jest trochę... wykrętny. Nie chce mówić o sobie.

- Joyce również to uderzyło, ale... cóż, to przyjemna odmiana po Ralphie.

- Myślisz, że Ralph coś podejrzewa?

- Nie bądź niemądry, mój drogi. Ralph jest zbyt zarozumiały i ma zbyt dużą nad nią władzę. Nie ma powodu, żeby wiedział, więc to nie stanowi problemu. - Westchnęła. - Joyce chyba potrzebowała romansu... Zasłużyła sobie, ale chyba nie na taki. Powinnam była kogoś dla niej znaleźć.

Rozdział szesnasty

Ciepła nocna bryza sączyła się otwartym oknem przez łagodne fale firan. Joyce leżała obok Jowetta; oparłszy głowę o zgiętą rękę, drugą ręką zakręcała kosmyki jego włosów w czarne zawijasy. Oboje byli nadzy. Jowett niepokoił się, że jej matka była w domu, ale Joyce zapewniła go, że po obejrzeniu w swoim pokoju telewizji pójdzie prosto do łóżka i niczego nie usłyszy. Mimo to stłumiła swoje ekstatyczne okrzyki.

- Masz drugie imię? - Nachmurzyła się poirytowana, kiedy lok nie chciał zostać na miejscu. Pośliniła palec i zmoczyła go.

- Dwa. Howard Unwin. Unwin to przydomek rodowy. A ty?

- Davinia - bąknęła cicho. - Zwykle je przemilczam. To ty jesteś uprzywilejowany... Kurczę! Twoje włosy są niemożliwe.

- Co robisz?

- Próbuję zmienić cię w greckiego boga... Leż spokojnie. Masz coś wspólnego z Grekami? Albo coś w tym rodzaju. Pierwsze, co o tobie pomyślałam, kiedy przyjechałeś, to to, że może gdzieś w tobie jest trochę śródziemnomorskiej krwi.

- Babcia mojego ojca pochodziła z Florencji.

- A więc miałam rację... Uwielbiam Florencję.

- Powiedziałabyś tak, skądkolwiek by nie pochodziła.

- Nie skądkolwiek. Minimum z Workington... Tak. - Usiadła i przyjrzała się mu badawczo. - Pomyślmy. Zaniedbałam się z mitologii. Apollo?

- On próbował zgwałcić Dafne.

- Szczęściara z tej Dafne.

- Ale by go powstrzymać, Gea zamieniła ją w drzewo laurowe.

- Biedactwo. - Dotknęła czule jego loków. - Kocham cię za to, że wiesz takie rzeczy. Ralph potrafiłby wymienić nazwisko jakiegoś

Greka tylko wtedy, gdyby ten grał w piłkę albo prowadził knajpę w Soho... A niech to, nie chciałam o nim wspominać. Przepraszam.

- Nie ma spraw.

- Też bym tak chciała... Mam dla ciebie wyzwanie. Kto to powiedział: „Małżeństwo to daremna próba robienia z incydentu czegoś stałego"? No, dalej, mój ty bystry absolwencie anglistyki.

- Nie wiem? Wilde? Shaw?

- Jedno i drugie zbyt oczywiste. Błąd.

- No to może Saki? Mark Twain? - Wyglądała na uradowaną perspektywą pokonania go. - Kobieta? Liz Taylor?

- Mogłaby być, ale nie. - Roześmiała się i pociągnęła go za ucho. - Masz jeszcze jeden strzał. Jeśli nie, dajesz fanta.

- A co?

- Wymyślę coś.

- To był ktoś znany?

- *Względnie* znany... To już wielka podpowiedz.

- Dobrze... hm... nic mi nie przychodzi do głowy... Tołstoj.

- Nie! Wygrałam! Albert Einstein. Mówiłam, że *względnie* to podpowiedz. Dobra. Teraz fant. - Myślała przez chwilę. - Idź do ogrodu, dokładnie tak jak teraz jesteś, i przynieś mi różę.

- Ale nie mam nic na sobie.

- No to co? Nie jest zimno.

- Ktoś może mnie zobaczyć.

- Z tyłu domu raczej nie. - Odsunęła się od niego. - No ruszaj. Uważaj na kolce.

- Przecież to bez sensu.

- Ale zabawne.

A ja chcę się bawić, idioto; chcę, byś wpuścił w to trochę światła. Wróć mi tu z różą w zębach i kochaj się ze mną jeszcze raz - ale bez tego cholernego dołka po... Chryste, jakże bym chciała nie czuć się przy tobie, jakbyś był moją drugą połową.

- Jaki kolor?

- Na krzakach za basenem są takie żółte nakrapiane różem. To teraz moje ulubione.

- No dobrze. - Postawił nogi na podłodze. - Zaraz wracam.

- Będę czekała.

Schodząc na dół, Jowett poczuł czyste podniecenie, lecz kiedy

ostrożnie wkroczył do ogrodu, z ciemności wypadł nań wyrzut. Ich miłosna gra pozwoliła mu uciec na chwilę od winy. A przecież nie przyjechał do Finch dla miłości, dla nocnych uciech z chętną kobietą. Wchodzenie nago do ogrodu dla zabawy było bluźnierstwem, profanacją... Jego nagle zdławiony szloch zadźwięczał głośno, wprawiając go w lęk. Przez moment nie pragnął niczego innego jak tylko uciec. Roztrzęsiony, przysiadł na krześle w patio, czując na skórze zimno metalu. Będzie musiał wrócić do sypialni, ciepłej, oświetlonej przyćmionym światłem i... i co? Powiedzieć jej? Nie. Nie miał tej odwagi. Będzie więc musiał znaleźć tę różę, zanieść ją jej, wśliznąć się jeszcze głębiej w sieć kłamstw, ciągnąć dalej to oszustwo.

Czuł, że wychodzi poza pogmatwaną żądzę, ku uczuciom, o ile pamiętał, wcześniej mu nie znanym. Ona była inteligentna, dbała, życzliwa; ten związek przyjmował wymiary - gdy przechodził przez trawnik obok basenu, uszła mu ta definicja - wymiary przyjaźni. Może to i banalne, zbyt często nic nie znaczące słowo, ale jakże cenne nagle. Ostatnią osobą, w stosunku do której go używał, był Giles Lambert.

Łodyga róży była twarda, musiał więc mocno przycisnąć palcami, by ją ułamać. Kiedy odwrócił się ku domowi, dojrzał w oknie sypialni jej sylwetkę zarysowaną krzywizną firan. Obserwowała go. Uniósł różę do góry, a ona pomachała mu - sekretne sygnały pośród śpiącej nocy.

- Proszę. Oto róża - oznajmił potem.
- Mój ty bohaterze. - Joyce wróciła z powrotem do łóżka. - Wyglądałeś tam jak jakieś mityczne leśne stworzenie. Dziękuję. Zamknę ją w książce i zatrzymam sobie.
- Jesteś romantyczką.
- Kiedyś byłam. A teraz na nowo się nią staję. Chodź tutaj.

Na wpół rozbudzona kaszlem zapalającego gdzieś blisko silnika, uświadomiwszy sobie, że już jasno, Joyce usiadła gwałtownie.

- W porządku - zapewniła Jowetta, który poruszył się przy niej. - Dopiero wpół do szóstej. Moja mama nie wstanie wcześniej jak za dwie godziny.
- Mimo to powinienem już pójść. Ktoś może mnie zobaczyć.

- Boisz się o moją reputację? - Uśmiechnęła się. - Niby masz rację, ale jeszcze parę minutek. Tak dobrze jest razem.

Leżeli trzymając się za ręce, wpatrując w sufit, słuchając cichego budzenia się dnia. Jowett czul się wyczerpany i pragnął być teraz sam, żeby pomyśleć. Drgnął, kiedy Joyce westchnęła głęboko.

- Boże, chciałabym, żebyś nie wyjeżdżał... Mogę przyjechać i zobaczyć się z tobą w Londynie?

- A chcesz?

- Czy ty chcesz? - Ponieważ nie zgodził się natychmiast, poczuła ból konsternacji. Położyła się na nim, trzymając piersi kusząco nad jego ustami. - Może to pomoże ci się zdecydować.

- Zostawiłabyś go? - To powiedziawszy, musnął wargami jej sutek, a potem popatrzył na nią z zatroskaniem, bo stoczyła się zeń nagle i chlipała odwrócona do niego plecami.

- To okrutne. Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Ależ tak. - Usiadł i pogłaskał ją po ramieniu. - Ale twoja matka...

- Wspaniale! - Rozzłoszczona naraz, odepchnęła jego rękę. - Tak łatwo to, cholera, powiedzieć, co? To jak męczenie uwiązanego zwierzęcia. Przecież wiesz, że nie mogę go zostawić, dlatego bezpiecznie możesz sobie o to zapytać.

Odwróciła się do niego. Jej twarz przepełniał ból i oburzenie.

- Bądź szczery, kochanie. Jestem niezłą wakacyjną nałożnicą, co? Pewnie wolałbyś kogoś młodszego, ale ze mną nie groziły ci żadne komplikacje.

- Nie. Nie wolno ci tak myśleć. - Czuł, że chyba teraz nie byłby w stanie spojrzeć jej w oczy. - Niewiele o mnie wiesz.

- Bo niewiele mi powiedziałeś. Masz jakiegoś fioła na punkcie starszych kobiet?

- Nie. Tylko na twoim.

- Na moim? A to czemu? - Westchnęła zdezorientowana. - Przecież nie jestem żadna wyjątkowa. Nie jestem największym intelektem na tym padole, a i są ładniejsze ode mnie. Któreś z nas musi zachować w tym dystans.

- Powiedziałaś, że chcesz przyjechać zobaczyć się ze mną w Londynie.

- A ty nie odpowiedziałeś, kiedy spytałam, czy tego chcesz.

- Naprawdę chcę, żebyś przyjechała.

- Więc nie odwracaj oczu, kiedy to mówisz... Cholera! - Klapnęła z powrotem na łóżko. - To beznadziejne, co? Łóżko to nasza ucieczka. To nie rzeczywistość.

Usiadł.

- Chciałbym, żebyś przyjechała... do Londynu. Naprawdę.

- Przestań być taki słodki. To za bardzo boli. - Potrząsnęła głową. - Idź już. Przyjdę wieczorem do domku, to pogadamy.

Patrzyła, jak się ubiera, po czym sama założyła wyciągniętą koszulkę, którą przykryła uda.

- To dla przyzwoitości. Odprowadzę cię do drzwi. O ile mleczarz nie przyjdzie wcześniej, nie grozi nam, że nas ktoś zobaczy.

Przekradli się na dół, a potem przez oszklone drzwi na patio. Po rosie lśniło słoneczne światło. Wszystkie kolory były jeszcze bardzo blade. I ten skrzący się, bezdźwięczny spokój rzeczy budzących się w przejrzystej, srebrnej mgiełce.

- Cóż za poranek! - Joyce obróciła się w kółko, nagimi stopami zostawiając ślady na wilgotnych od nocy kamieniach. - Podnieś mnie tak wysoko, jak tylko możesz.

- Po co?

- Bo chcę! Chcę dotknąć nieba. Nie proś mnie, żebym to analizowała.

Zakleszczył dłonie na jej biodrach i uniósł ją. Ona zaś wyciągnęła w górę ręce i odchyliwszy głowę do tyłu, jakby oddawała cześć niebu, zarzuciła kaskadą włosów. Przez chwilę pozostawali tak, w zupełnym bezruchu, po czym spojrzała na niego z góry.

- Kocham pana, panie Randallu Jowett. - Stało się, powiedziała to.

On zwolnił swój uchwyt. Ześliznąwszy się w dół, opuściła ręce na jego ramiona i pocałowała go tak, jakby chciała go całego połknąć. To wszystko trwało nie dłużej niż minutę, ale Joyce czuła, że nigdy w swym życiu nie była szczęśliwsza.

- Idź - szepnęła. - Jakoś przeboleję ten dzień.

Patrzyła za nim, kiedy szedł przez ogród, kiedy zamknąwszy furtkę przystanął, by pomachać, kiedy wreszcie znikał za żywopłotem. Westchnęła ciężko, ocierając dłonią łzy... i podskoczyła nagle, słysząc za sobą nieznaczny dźwięk. W oszklonych drzwiach, z twarzą napiętą

niedowierzaniem i oskarżeniem, stała jej matka. Patrzyła na nią. Nim Joyce poruszyła się, nim zdołała cokolwiek powiedzieć, Grace Carstairs poprawiła na sobie szlafrok, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Pierwszym ruchem nie rządziły żadne reguły. Zajmując czas polerowaniem sreber, Joyce ze złością przygotowywała argumenty. Przez cały dzień, jak gdyby nic się nie zdarzyło, ciągnął się za nią milczący opór, znak ostrzegawczy, by trzymać się z daleka. Ale jeśli już matka upierałaby się przy rozmowie... Szczerze mówiąc, mamo, to nie twój interes. Gdybyś nie wstała o takiej głupiej porze i nie zeszła na dół - gdybyśmy nie dali ci miejsca w tym domu - o niczym byś nie wiedziała. Jeśli to w ogóle dotyczy kogokolwiek, to tylko mnie i Ralpha. Ty masz swoją niezależność, a ja swoją. Jestem dorosła i mam własne dzieci, którymi muszę się opiekować, nie jestem już twoją małą dziewczynką. Nie potrzeba mi twojego oburzenia ani pytania, co by tata sobie pomyślał. To nie na miejscu. I nie waż się tego psuć. Usiłując dotrzeć w szczeliny grawerowanego ucha dzbanka na czerwone wino, wykrzywiła twarz w poirytowaniu. To jest moje życie, do diabła, i...

- Wychodzę na chwilę. - Jej matka znajdowała się na progu kuchni, szła z laską w jednej ręce i bawełnianymi rękawiczkami w drugiej. Joyce ciekawa była, czy ten kapelusz jest po to, żeby zwracać uwagę. - Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

- Dobrze. - Obojętna, Joyce powróciła do polerowania. - Ja też później wychodzę.

- Nie będę pytać, gdzie.

- Tylko do Bury, na zakupy. - Dzbanek został odstawiony na bok. W ruchu był teraz jeden z pary żłobkowanych georgiańskich lichtarzy. - Coś ci kupić?

- Nie, dziękuję.

- No to miłej przechadzki.

Naciągając rękawiczkę, Grace pozostała w progu.

- Może później porozmawiamy.

Joyce wzruszyła ramionami.

- Nie widzę potrzeby.

- Ale ja widzę. - Podrażniona oporem, uraza Grace zaczęła wyzierać zza kontrolowanego spokoju. - Wiem, że dzisiaj ludzie praktykują coś, co się nazywa małżeństwem otwartym, ale...

- To nie tak.

- Wobec tego musi być to coś, co zwykliśmy nazywać niewiernością. Kiedy kota nie ma w domu...

- Tak też nie jest.

- No to już nie wiem, jak mam to nazwać...

- Mamusiu, oszczędź mi tej fałszywej winy. Przecież wcale tak nie myślisz. Po prostu zapomnij o tym, dobra?

- Mam zapomnieć?! Zapomnieć, że widziałam moją córkę o szóstej rano z innym mężczyzną? Półnagą i całującą się z nim jak jakaś... Nie wiem, jak to się teraz mówi, ale kiedy byłam młoda, nazywaliśmy kogoś takiego zwyczajną ulicznicą.

- Zwyczajną ulicznicą? - roześmiała się Joyce. - A nie mogę być ulicznicą cętkowaną, na przykład?

- Jeżeli taka ma być twoja postawa, oczywiście nie ma sensu o tym dyskutować.

- Fakt, nie ma. - Joyce odwróciła się do niej. - Jeszcze wiele o mnie nie wiesz, mamusiu. Jest tak wiele rzeczy, w które byś nie uwierzyła, gdybym ci powiedziała... Ale póki co, baw się dobrze na spacerze.

Każda z rękawiczek została drobiazgowo wygładzona.

- Jedno musi być tu jasne. Oczekuję, że powiesz Ralphowi.

- To moja sprawa.

- Odtąd i moja. Jeżeli mu nie powiesz, ja to zrobię.

Jakkolwiek nieunikniona, groźba ta dała upust oburzeniu i konsternacji. Joyce odstawiła z hukiem lichtarz.

- Mamo, pilnuj, proszę, własnego nosa! Sama się tym zajmę. A ty... daj sobie spokój.

Rękawiczki zaczęły przypominać rękawice od zbroi.

- Joyce, oskarżasz mnie o to, że nie rozumiem, ale najwyraźniej to ty mnie nie rozumiesz. Dopóki Ralph się nie dowie, jak także będę go musiała oszukiwać. Nie nalegam, żebyś zadzwoniła do niego natychmiast. Spodziewam się jednak, że w weekend z nim porozmawiasz. Jeśli potem każde z was będzie chciało przedyskutować to ze mną, tylko będę szczęśliwa, że wam pomogę, o ile będę mogła. A na

razie chcę, żebyś wiedziała, że... - Po raz pierwszy jej głos zająknął się. - ...że jest mi bardzo przykro. Nie tego się po tobie spodziewałam. Idę do kościoła. Ty może udajesz, kiedy się modlisz, ja nie.

Zakłuło. - Przykro mi, mamo, ale...

- Nie wierzę, żeby ci było przykro tak jak mnie.

Słysząc trzask frontowych drzwi i odgłos butów na żwirze, Joyce popatrzyła na swoje odbicie w lśniącym metalu. Mrugnęła, zagryzła wargę i zabrała się z powrotem za polerowanie. Miłość, która zaczęła się czterdzieści cztery lata temu, miłość, której nigdy nie kwestionowała, której nigdy nie podawała w wątpliwość, szła w rozsypkę.

Pewny siebie Ralph został zdradzony. Jej matka powie mu, ponieważ to po jego stronie leży jej sympatia. Czy uwierzyłaby, gdyby Joyce powiedziała jej o Gabrielli? Ralph po prostu by temu zaprzeczył: „Nie rozumiem, Grace; to tylko jedna z moich koleżanek z biura; Joyce chyba jest niemądra". Jakby więc miała dowieść jego zachowania? Matka widziała przecież tylko ją.

A tymczasem Randall był w domku, o niczym nie wiedział i czekał na jej przybycie. To nie fair, żeby miał być w to wmieszany. Westchnąwszy głęboko, przeszła przez kuchnię i podeszła do ściennego telefonu.

- Fay? Cześć. To ja. Muszę z tobą pogadać. Mogę wpaść?
- Co się stało?
- Klapa.
- Aha... No to robię sobie drinka i czekam na ciebie.

Podjeżdżając traktem do farmy Tannerslade, Jowett poczuł się zdezorientowany, jak gdyby sekwencja zdarzeń, która sprowadziła go tam - poznanie Godwinów, zgoda na prośbę Tima, żeby pokazać jego ojcu swój samochód - nigdy nie miała miejsca. Nie potrafił też pojąć, jak w ogóle mógł tam wracać. Ale była to jakaś droga znów do wnętrza tego domu, kolejny krok przez labirynt własnych emocji, jakby poddanie się biczowaniu dla egzorcyzmowania grzechu. Czasem zastanawiał się, ile jeszcze władzy ma nad swym umysłem.

- O, witam! Przyjechał pan! Wspaniale. - Tim pojawił się w drzwiach kuchni, nim zdążył zgasić silnik. - Pan zaczeka, pójdę po tatę.

Jowett usłyszał, jak woła wszystkich wewnątrz domu, by za chwilę pojawić się z powrotem. Razem z nim przybyli Trevor i Janet Godwinowie, wyglądali na zakłopotanych.

- Patrz, tato! Tego właśnie chcę.

Godwin zwrócił się do Jowetta: - Mój syn poprosił, żeby pan przyjechał?

- Tak...

- Obawiam się, że niepotrzebnie zabrał panu czas. Nic o tym nie wiedzieliśmy. Zdaje się, że on nie akceptuje faktu, iż nie mam zamiaru kupować mu takiego samochodu.

- Kurwa! - Tim nie wierzył własnym uszom. - I to tyle? Nawet nie wsiądziesz?

- Nie odzywaj się tak przy matce! I nie próbuj wykorzystywać nikogo do swoich własnych celów. Przepraszam, panie... Jowett, prawda? To sprawa rodzinna i nie powinien pan być w to wciągnięty. Wybaczy pan, mam dużo pracy.

Godwin przeszedł przez podwórko i wspiął się na traktor. Kiedy nawrócił, by potelepać się traktem do drogi, silnik zakaszlał i zahuczał. Jego syn przez chwilę słał za nim pioruny, po czym bez słowa wrócił do domu.

- Tim! - Janet Godwin była zdumiona. - Jak mogłeś!

Jowett poczuł się jak w pułapce.

- Hmm... Chyba nie powinienem był przyjeżdżać.

- Nie, ale... - Zawstydzona przed nieznajomym, miała potrzebę wytłumaczenia się. - Boję się, że nasz syn jest strasznie zepsuty, panie Jowett, ale to... to było doprawdy przerażające. Proszę przyjąć moje przeprosiny. W imieniu mojego męża również. Nie mogę... Nie wejdzie pan na moment? Może filiżankę herbaty? Albo czegoś zimnego? Proszę.

Nagle dostrzegł, jak bliska była płaczu. Jej oczy niemal błagały go, jej ciało przymilało się, ciągnąc go do domu. Pragnęła mu to jakoś wynagrodzić.

- Dobrze. Dziękuję.

Jej uśmiech ulgi przepełniony był boleścią. Poszedł za nią do kuchni.

- Tim będzie się dąsał w swoim pokoju. Później z nim porozmawiam. Na co ma pan ochotę? Colę? Sok? A może mniszek lekarski z

łopianem? Pewnie nigdy pan o tym nie słyszał. To dawny wiejski napitek...

- Niech będzie cola. Dziękuję... A czy można tu zapalić?

- Proszę. Za panem jest popielniczka.

Z wolna stawał się mile widziany w tym domu. Na walijskiej komódce stała oprawiona w ramkę fotografia - roześmiana para staruszków ubranych jak na oficjalną kolację...

- Proszę. - Spokojniejsza teraz, nadal pragnęła, by zrozumiał. - To miło z pana strony, że poświęcił pan swój czas... Nie mógł pan wiedzieć, jaki jest Tim. Ale i Trevor jest trochę... Widzi pan, coś się wydarzyło... dawno temu... Może tłumaczę go tutaj, ale...

- Ma pani na myśli morderstwa. - Jowett usłyszał swój głos, jakby dobiegał z daleka.

- Tak... Wie pan o tym?

- Pani Hetherington mi powiedziała. Bardzo mi przykro z tego powodu.

- W porządku... to czyni rzecz łatwiejszą. Rozumie pan wobec tego. To wciąż w nim siedzi i... - Próbowała się uśmiechnąć. - Chyba usprawiedliwiam go za bardzo, nieprawdaż?

- Rozumiem to. Już w porządku. - Jowett wziął łyk coli. - Z pewnością żadnemu z was nie jest łatwo.

- Nie. A poza tym w przyszłym tygodniu jest rocznica. To zawsze nie najlepszy okres. Zresztą chyba czytał pan o tym.

- Tak... Zdaje się, że gdzieś czytałem. Ale szczegółów nie pamiętam.

- To byli rodzice Trevora, jego siostra i jej dzieci. Zostali normalnie zaszlachtowani... Przepraszam, nie powinnam o tym mówić.

Spuścił oczy na swoją szklankę.

- Co pani czuje w związku z nimi? Tymi, którzy to zrobili?

- Co? - W jej nikłym uśmiechu pojawiło się zrezygnowanie. - To pyta pisarz, jak sądzę. Każdy myśli o tym po swojemu.

- Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Nie szkodzi. To i tak przyzwoitsze od sposobu, w jaki pytają o to niektórzy. Jak gdyby byli tym zafascynowani, ale nie przyznają się do tego. - Westchnęła. - Co czuję? Już nie nienawiść. To mi minęło dawno temu. Jednak nie wiemy, kim oni byli ani też dlaczego wybrali sobie tę akurat farmę. Po prostu któregoś dnia weszli w nasze życie

i zniszczyli je. A to robi z człowieka fatalistę. Ja nigdy nikogo nie skrzywdziłam, a jeśli nawet, to nie umyślnie, czym więc to było? Karą? Za co? Gdzie tego popołudnia był Bóg, w którego nauczono mnie wierzyć?

Kiedy mówiła, jej głos przycichł, jak gdyby rozmawiała sama ze sobą. Na korytarzu zegar wybił godzinę.

- Cóż - wróciła do tematu po chwili. - Dlatego czasem niezbyt dobrze się zachowujemy. Ale to nie powinno zwracać się przeciwko innym. Przepraszam.

Jowett nie spuszczał z niej oka. Nie był już tu znienawidzony.

Rozdział siedemnasty

Fay była przyjaciółką, do której gnało się w panice i rozterce; nad Rieslingiem, zimnym kurczakiem i cesarską sałatką stawała się audytorium, gdy Joyce zaczynała czuć krnąbrne podekscytowanie. W miarę jak Joyce mówiła, jej lęk zmieniał się w wyzwanie i rosnące poczucie odrazy dla każdego, kto ośmielał się krytykować lub robić wymówki. Randall razem z tym wszystkim, co dla niej znaczył, był rzeczywistością, której pragnęła i na którą zasługiwała; nic innego się nie liczyło, bo w końcu nie dotyczyło to nikogo innego. Jej matka wtrącała się, Ralph był podły, a Rupert i Annabel witali z radością każdą niezależność, o ile rozumieli, że i ona ma tu swoje prawa. Finch, Suffolk i cały świat mógł się trzymać od tego z daleka. Była gotowa odrzucić życie, jakie sobie stworzyła, i zacząć od nowa - z nim, bo teraz tylko on miał znaczenie. Byłyby protesty, byłoby potępienie przyozdobione głupkowatymi minami - i potajemna zazdrość - ale po prostu zignorowaliby to, może nawet, wyrywając się ku czemuś nowemu, poczuliby litość dla tych ograniczonych niegodziwców pozostających więźniami swych kurzych móżdżków. A kiedy wszystkie te małostkowe wojny by się pokończyły, nadal by mieli siebie i śmiali się razem, szaleńczo zakochani, a potem... Joyce Jowett? Czemu nie? Włożyłaby...

- No cóż, to z pewnością nie przelewki, ale przecież wcale nie musi się to skończyć katastrofą, moja droga. - Fay przesunęła po lakierowanym sosnowym drewnie napełnioną na nowo szklaneczkę Joyce. - Po prostu powiedz Grace, że Randall niedługo wyjeżdża i że nigdy więcej się z nim nie spotkasz. Sądzę, że wtedy się wycofa. Twoje zerwanie z Ralphem to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła.

- Chyba nie mówisz tego poważnie... - Joyce popatrzyła na nią z niedowierzaniem

Czego nie mówię poważnie? Ma bardzo wygodny dom i gdyby nie dzisiejszy ranek, nikt by nie był tym mądrzejszym, więc... - Nagle jakby uzmysłowiła sobie sprzeciw w głosie Joyce. - Zaraz. Co ty kombinujesz? Musisz zrozumieć, że razem donikąd nie dojdziecie.

- Nie?

Fay odebrała to tak, jakby Joyce przeczyła własnemu imieniu.

- Oczywiście, że nie. Wiem, powiedziałaś mi, że się w nim zakochałaś, ale, na litość boską, to minie i...

- Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? - spytała stanowczo Joyce. - Czy tak *naprawdę* słyszałaś cokolwiek z tego, co powiedziałam?

- Tak, ale... Cholera. - Fay napełniła tym razem swoją szklaneczkę i zakrztusiła się przełknąwszy więcej niż zamierzała. - Wybacz, moja droga, ale nie nadążam. Co zamierzasz zrobić? Jak ty sobie w ogóle to wyobrażasz?

- Czy to nie oczywiste? Chcę pojechać z nim do Londynu. Chcę żyć z nim. Właśnie myślałam, jakby to było wyjść za niego.

- O Chryste! - Fay wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Joyce. - Posłuchaj mnie, kochanie. Normalnie ci odbiło.

- W takim razie bez sensu to gadanie, nieprawdaż?

- Ależ oczywiście, że z sensem, bo jeśli sama nie potrafisz tego zrozumieć, ktoś będzie musiał ci to wbić do głowy. Gdyby Emma przyszła do mnie w takim stanie, już ja bym w nią wbiła trochę rozsądku.

- I ze mną też byś tak zrobiła?

- Metaforycznie tak. Możesz mi wierzyć. - Współczucie Fay zmieniło się w złość. - Na litość boską! Od czego mam zacząć? Może od tego, że gówno o nim wiesz. Mogłaś być dwudziestą starszą kobietą, którą przeleciał, a nie zdziwiłabym się wcale, gdyby na dodatek okazał się być żonaty. Może kłamie ci prosto w twarz.

- Nie.

- Ty tylko nie chcesz tak myśleć, ale co byś mi powiedziała, gdybym to ja była w takiej sytuacji? Że powinnam rzucić wszystko dla jakiegoś chłoptysia, który wfrunął nagle w moje życie i dziabnął mnie, kiedy go o to poprosiłam? Kiedy pierwszy raz poszłaś z nim do łóżka?

Joyce uwolniła dłoń.

- To nieważne.

- Boże, tak od razu? Jeśli zaciągnęłaś go tego samego wieczoru, kiedy przyjechał, to mógł być tylko... A właściwie to kiedy on tu przyjechał?

- W... to zaczęło się osiemnastego. Poszłam do domku i...

Zapragnęła mówić o tym, ożywić ten pierwszy raz opowieścią o tym jak było, jak się czuła, jak ten drugi raz był nawet lepszy, chciała opowiedzieć o strachu przed poddaniem się, nim uświadomiła sobie, że wszystko jej jedno i że... Wtręt Fay dobił ją jednak.

- Osiemnastego? To dwanaście... nie... trzynaście dni temu. Chcesz, żebym uwierzyła, że znalazłaś miłość swojego życia w niecałe dwa tygodnie? I co ja mam niby zrobić? Powiedzieć ci, jak bardzo jestem tym faktem podekscytowana? Marzycielka, cholera!

- Myślałam, że mnie zrozumiesz.

- Oszalałaś chyba! - Nagle jej oczy napełniły się smutkiem i lękiem. - Tak bardzo cię kocham, Joyce, ale normalnie mnie przerażasz. To cię bardzo, bardzo skrzywdzi. Wiem o tym.

- A więc mi nie pomożesz?

- W czym mam ci pomóc? Rzucić się ze skały? Po tym jak mi powiedziałaś w sobotę, co do niego czujesz, zamartwiałam się, że zmierzasz do jakiegoś połamania sobie serca i stałam w pogotowiu z apteczką i bandażami. Ale to... Boże, przecież to nierealne.

- W porządku. - Znalazłszy się już poza wszelkim rozsądkiem, Joyce poczuła gorycz zdrady. - Dobrze by było mieć kogoś po swojej stronie, ale okazuje się, że niesłusznie oczekiwałam tego od ciebie. Zapomnij o tym. Sama sobie z tym poradzę.

Wstała. Patrzyły na siebie przez chwilę. Joyce z oburzeniem, Fay z trwogą.

- Nigdy nie waż się mówić, że nie jestem po twojej stronie. Usiądź, proszę.

- Ale po co?

- Bo nie chcę, żebyśmy się kłóciły. Powiedziałam już, co miałam powiedzieć. Teraz ty mi powiedz, co planujesz zrobić.

- Żebyś znowu zaczęła się mnie czepiać?

- Nie będę. Obiecuję. I nie będę próbowała cię powstrzymywać. Rozumiem, że pierwsze, co zamierzasz zrobić, to porozmawiać z Randallem.

- Muszę. On chyba... - Targnięty odnowioną boleścią, głos Joyce

załamywał się przez łzy. - Może i najlepiej by było, gdyby wrócił do Londynu, a ja uporządkowałabym ten mętlik tutaj. Nie chcę go w to wciągać w tej chwili. Potem pojadę do miasta, spotkam się z nim i będziemy mogli pogadać.

- Kiedy ty zdecydowałaś o tym wszystkim?

- Nie wiem. Dzisiaj rano? Na pewno dziś się to skrystalizowało. To chyba tak... nadchodziło. - Otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę, po czym smarkając i przełykając ślinę wytarła nos. - Tak bardzo go kocham. Nie myśl o mnie źle przez to. Ty nigdy nie musiałaś zaczynać w miejscu, w którym ja byłam.

- A on cię kocha? Wiem, że już o to pytałam.

- Och... - Potrząsając głową Joyce uśmiechnęła się. - Gdybyśmy dalej się kłóciły, wściekłabym się i powiedziała, że oczywiście, tak. Ale... chyba mógłby mnie kochać bardziej. Na tym się opieram. Proszę, teraz możesz powiedzieć, że jestem głupia.

- Nie muszę. - Fay westchnęła. - Chyba sama to rozumiesz? Nie, nie rozumiesz. Daj mi znać, co się wydarzy... Grace nie zadzwoni do Ralpha do biura?

- Nie. Poczeka do weekendu. Spodziewa się, że sama mu o tym powiem. Do tego czasu jakoś uporządkuję to sobie w głowie. Pracuję nad tym, jak przekonać ją co do tego, jaki Ralph jest naprawdę.

- I tu mogę pomóc. Może uwierzy, kiedy ja jej o tym powiem.

- Zobaczymy... Dziękuję ci. - Schowała chusteczkę i zaciągnęła mocno sznurki torebki. - Lepiej już pójdę. Jak moja twarz?

- Przydałby się mały retusz. Idź do łazienki.

Kiedy Joyce powróciła na korytarz, Fay stała przy otwartych frontowych drzwiach, wypuszczając z domu papierosowy dym.

- Nie chciałabym doprowadzić cię z powrotem do czterdziestu dziennie - powiedziała Joyce. - Myślałam, że już przestałaś je kupować.

- Jedną paczkę trzymam zawsze w pogotowiu. - Zgasiła papierosa w popielniczce na stoliku obok. - A, jeszcze jedno. Randall musi się otworzyć. Nie mam dowodu, że kiedykolwiek cię okłamał, ale to bez sensu, żebyś była tak blisko niego i prawie nic o nim nie wiedziała. Jeśli mogę pozwolić sobie na radę, to, na miłość boską, nie wskakuj z nim do łóżka, dopóki nie dowiesz się czegoś więcej.

- Dobra... A podoba ci się jako facet?

Musiała to wiedzieć; jeśli przyjaciele dostrzegą w nim atrakcyjność, będzie czuła się mniej odizolowana. Fay zamilkła na moment.

- Tak. Naprawdę. On jest... - Uśmiechnęła się. - Chyba wyzwala we mnie instynkt macierzyński.

- Och, zamknij się! - Po raz pierwszy Joyce roześmiała się. - I bez ciebie mam dość z tym zmartwień.

- Nie o to mi chodziło. Jest taki kruchy, a to czyni go czułym... Nie uderzyło cię, że to dokładne przeciwieństwo Ralpha?

- O tak. Gdyby nim nie był, czy zdarzyłoby się cokolwiek?

Pocałowały się, po czym Fay uścisnęła ją mocno.

- Powodzenia. Dopóki nie powiesz mi, co on na to, będę zamartwiać się na śmierć.

Było wpół do trzeciej. W Finch żywego ducha. Zamarłe, milczące domy kąpały się w słońcu. Gdy Joyce dotarła do skrzyżowania, gdzieś z oddali, poprzez palącą żarem ciszę, dobiegł ją odgłos pociągu. Potem było już tylko głuche klapanie jej drewnianych sandałów od Scholia, kiedy schodziła ze wzgórza. Żałowała, że nie ma nogach szpilek, jakkolwiek niewygodnych i niepraktycznych... czyżby dlatego, że wyglądałaby w nich bardziej pociągająco? Zapewne był to podświadomy powód... ale Fay miała rację, to nie pora na seks. Chyba że po tym, jak mu już powie, jakby dla otuchy, uspokojenia, a więc w formie, w jakiej się jeszcze nie kochali. Były jednak rzeczy, których musiała się przedtem dowiedzieć, delikatne mosty do przetestowania. Czy okaże się perfidny, a to jego ujmujące niezdecydowanie niczym innym jak sposobem na uwodzenie głupich kobiet? Czy cynicznie namówi ją na łóżko, by po raz ostatni sobie pofolgować przed odjazdem bez słowa, a później będzie się chełpił przed kumplami w Londynie, że pchnął sobie co nieco podczas urlopu?

Czy też spotka się z nią i będzie szczęśliwy, że mogą być razem?

Samochodu nie było przed domkiem. Przypomniała sobie, jak mówiła, że przyjdzie do niego pod wieczór; był więc zapewne na zakupach. Pomyślała, żeby może wrócić do domu, ale mając na kółku z kluczami zapasowy od domku stwierdziła, że lepiej będzie zaczekać tutaj niż narażać się na dalsze oskarżenia ze strony matki. Otworzywszy

drzwi, zawołała, na wypadek gdyby istniało jakieś inne wytłumaczenie nieobecności samochodu, po czym weszła do pokoju i, bezpieczna w ich tajemnym gniazdku, próbując, jak rozpocznie swoje wyjaśnienia, klapnęła na kanapę. Na podłodze leżało tanie wydanie „Młyna nad Flossą", z grzbietem przełamanym zużyciem. Podniosła książkę, uśmiechając się do nagryzmolonych na marginesach notatek. Spojrzała na okładkę, gdzie zapisał swoje nazwisko i nazwę college'u. Dlaczego czytał to jeszcze raz? Czyżby działo się w Suffolk? Zaraz, czyż George Eliot nie pisał zawsze o miejscach w głębi lądu?

Odłożywszy książkę, spostrzegła zieloną nylonową torbę, schowaną częściowo za sięgającą podłogi kotarą. Rozpoznawała ją jakby, ale wiedziała na pewno, że nigdy jej tego nie pokazywał. Zaraz jednak przypomniała sobie; miała jedną taką, od laptopa, jaki Ralph dał jej w prezencie po swoim awansie. Podniosła ją i zawahała się; mimo powtarzanych wciąż nagabywań, nigdy nie był gotów do rozmowy o swojej powieści, ale... to mogłoby być dodatkowym łączącym ich ogniwem. Któregoś dnia może będzie sprawdzać jego książki, poprawiać je, pytać o nie, dyskutować o tym, co miał na myśli, sprzeczać się, gdyby uznała, że z czymś nie miał racji. Może byłaby w stanie mu pomagać - o ile w ogóle chciałby trochę składników przepisu na powieść albo potrzebował jakichś informacji, które tylko ona posiadała. Na przykład jak kobieta myśli o... ale czy on w ogóle pisał jakąś powieść? Zdawało jej się, że tak właśnie powiedział, ale nie była pewna.

Rozpięła suwak torby i wyjęła z niej laptopa. Podłączyła go do gniazdka, tak jak to zawsze robiła ze swoim, żeby zaoszczędzić baterie, po czym, otworzywszy pokrywę, wcisnęła kasztanowy włącznik i zaraz po nim F3 dla edycji. Na niebieskawym ekranie w menu pojawił się pojedynczy plik: POK. Otworzyła go i zobaczyła, że jego pełna nazwa brzmi „Pokuta". Modny jednowyrazowy tytuł powieści; a może oparte na faktach studium religijnej skruchy, krytyka filozoficzna? Był wystarczająco zdolny do napisania jednego i drugiego; jego umysł zachwycał ją. Czy pisanie owo nie odsłoniłoby czasem czegoś o Randallu Jowettcie, co powinna wiedzieć? Nigdy nie chciał z nią o tym dyskutować, ale z pewnością była upoważniona... Chyba żeby wrócił nagle... To była najbardziej osobista rzecz w tym domku

powiązana z mężczyzną, w którym się zakochała, z mężczyzną, któremu pragnęła powierzyć całe swoje jestestwo. Zaczęła przeglądać strony.

Świadomość wróciła wraz z pętającym jej nogę kolącym bólem. Potknęła się i upadła z krzykiem. Leżała nie wiedząc przez moment, co się dzieje. Ze ścieżki do jej sandała dostał się ostry krzemień i przeciął spód jej stopy aż do mięsa; obie stopy miała brudne. Syknęła wyciągając kamień, po czym rozpaczliwie rozejrzała się dookoła za swoją torebką, za czymś, co mogłoby zatamować krew. Nic jednak przy sobie nie miała. Obok miejsca, gdzie leżała, rosły kępy szczawiu. Skorzystała z ich liści, uznając, że skoro leczą poparzenia pokrzywy, nie będą zawierać żadnej trucizny; przypomniała sobie, że czytała gdzieś, iż kiedyś owijano w nie masło, żeby zachować jego świeżość.

Nad nią wznosił się żywopłot, ale nie dostrzegała żadnych punktów orientacyjnych, które pokazałyby jej, gdzie się znajduje. Przyciskając liście do rany, zerknęła na zegarek; dziesięć po szóstej. Nie mogła wiedzieć, jak daleko zaszła, niemniej nogi bolały, a w pobliżu rozcięcia robił się pęcherz. Jakże mogła tego nie poczuć? Jej umysł odmówił funkcjonowania i zaczęła panikować. Załamanie nerwowe? Amnezja? Obłęd? W pamięci panował chaos. Pamiętała imię swoje i swoich dzieci... Pamiętała, jak rzygała po Restinie na wakacjach w Grecji... Jej najlepszą przyjaciółką w szkole była Maureen Littlechap... Pamiętała, że z taksówki, nocą, w deszczu, widziała Kennedy Center... Pamiętała, jak wstąpiła do Brownies... jak kupowała kapelusz na czyjeś urodziny... prowadziła stoisko z ciastkami... klęła, kiedy rozlała kawę na dopiero co napisany list... wstyd nagłego bólu zęba, gdy oglądała *Traviatę*... Wszystko, co o sobie wiedziała, eksplodowało jakby, pozostawiając jedynie przypadkowe, nie powiązane ze sobą fragmenty.

- Joyce Hetherington - powiedziała na głos. - Joyce Davinia. Mieszkam w... w... na wsi. W Suffolk. Rupert i Annabel. Lat mam chyba czterdzieści cztery.

Odgięła szczawiowe liście, krzywiąc twarz na widok zasychającej krwi zmieszanej pod nimi z brudem. Palcami i śliną oczyściła to, co

najgorsze, ale przydałoby się ranę obmyć i odkazić. Czuła się zbyt wyczerpana, by iść dalej, ale musiała; to nie do pomyślenia, żeby miał ją ktoś znaleźć w takiej kondycji...

Finch. Tak jest. Dom nazywa się Cztery Wiązy. Dlaczego? Ja go tak nazwałam? Są tam cztery wiązy? Muszą być. Co się ze mną stało? Gdy zrozpaczona i przerażona załkała, zaczęły do niej napływać mozaikowe fragmenty pamięci, bez ładu, za to coraz szybciej i szybciej. Ralph... oczywiście... To było na ślubie Kit... Byłam sekretarką sir Malcolma Glenholma... Mama ma na imię Grace... Miałam kawalerkę w Baron's Court... Dziewczyna, która mieszkała naprzeciwko, była tancerką... Mój pierwszy samochód to był fiat... Fay Graveney... i Oliver... Jestem uczulona na penicylinę... Mój brat zabrał mnie kiedyś do Twickenham na mecz rugby z udziałem All Blacks... Głosuję na konserwatystów... Nie znoszę małych psów... Mam kochanka... nazywa się...

Z pola kukurydzy za jej plecami, niczym czarne, postrzępione płatki kwiatu, poderwała się z trzepotem chmura spłoszonych gawronów. Joyce krzyknęła ze smutkiem i rozpaczą.

Na podłodze, przy wejściu do saloniku Jowett zobaczył jej torebkę. Krzyknął na górę, po czym wyszedł do ogrodu, gdzie, zanim wrócił do środka, zajrzał do szopy i za jabłoń.

- Gdzie się chowasz? - Wchodząc po schodach usiłował dosłuchać się stłumionego śmiechu. - Daj spokój. Wiem, że tu jesteś. - To dla niej typowe, że chciała się zabawić. Czasami zachowywała się jak kobieta o wiele młodsza, a nawet dziewczynka.

- No dobra, wyjdziesz, jak będziesz gotowa.

Odstawił zakupy, cały czas spodziewając się, że zaczai się za nim, położy mu ręce na oczach i zażąda, by zgadł, kto to. Wesoła niewinność takich chwil przynosiła mu jeszcze więcej frajdy niż seks; te chwile dawały mu normalność, którą tak dawno zagubił.

- Herbaty? - zawołał, dostatecznie głośno, by mogła go usłyszeć, gdziekolwiek była. - Kupiłem ciasteczka, takie jak lubisz.

Zrobił dwie filiżanki, lecz zaczął odczuwać niepokój, kiedy wciąż się nie pojawiała. Gdyby musiała z jakiegoś powodu spieszyć się do domu, z pewnością zabrałaby torebkę, i nawet jakąś wiadomość zostawiła.

Niosąc filiżanki do pokoju, zastanawiał się, czy nie powinien zatelefonować...

Przez chwilę gapił się, przekonując samego siebie, że najprawdopodobniej nie mógł zostawić go tak na widoku. Nigdy nie zostawiał; taki nawyk. Teraz jednak laptop był włączony.

Ja nie strzelałem - Giles powiedział mi, że nie jest nabita - ale widziałem zabitych ich dwoje i słyszałem pozostałych. Ta mała dziewczynka nie bała się wcale. Po prostu podbiegła do niego, a ja dostałem takich mdłości, że nawet nie potrafiłem jej ostrzec. Gdyby udało mi się ją uratować, może byłbym w stanie go powstrzymać. Ale stchórzyłem.

I nadal tchórzę. Nie mam odwagi się zabić, dlatego od sześciu lat goreję w piekle. Wróciłem tutaj.

Próbuję przypomnieć sobie moje dobre uczynki, lecz żaden z nich nie ma znaczenia. Dawałem pieniądze na cele charytatywne, między innymi dla tego chłopca, na operację w Ameryce. Pomogłem uratować jego życie. Czy to coś nadzwyczajnego? Nie sądzę, ale skoro uratowałem jedno życie, może...

Kursor spoczywał na ostatnim wyrazie u dołu ekranu. Musiała przeczytać nazwisko Gilesa, o tym jak się poznali, jak zaplanowali to...

- Joyce! - Jego krzyk napełnił się paniką, lecz teraz już wie dział, że ona go nie usłyszy. Złapał za przenośny telefon, ale nijak nie potrafił przypomnieć sobie numeru. Był na potwierdzeniu, które przysłała mu, kiedy zarezerwował domek... portfel... nie, za ornamentem na kominku. Rozdygotanymi palcami wykręcił niewłaściwy numer i musiał zacząć od początku.

- Dziękujemy za telefon. Przepraszamy, że nas nie ma, ale...

Jej głos, serdeczny, grzeczny. Czyżby była tam i kryła się przed nim? O której była w domku? On wyszedł niedługo po drugiej. Gdyby zadzwoniła na policję, już tu prawie mogli być. Gdyby uciekł, mogłaby podać im numery jego samochodu. Ale to niedorzeczność; do zarezerwowania sobie tego miejsca użył był przecież swojego osobistego papieru firmowego...

Chlipał i z trudem łapał oddech. Przysiadł na kanapie, wpatrując się w laptopa; słowa zaczęły mu się rozmazywać, gdy usiłował zdecydować, co powinien teraz zrobić.

Może gdyby poszedł do jej domu... Jeśliby ją zastał, mogliby porozmawiać. Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Musisz mi wierzyć. Giles miał nade mną jakąś władzę - nie, to wymówka, a mnie nie wolno się wykręcać - ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jaki jest naprawdę. Boję się; boję od lat. Ty czyniłaś wszystko lepszym, dawałaś mi fundament, na którym mogłem coś zbudować. Czasami chciałem ci powiedzieć - bo chcę o tym komuś powiedzieć, odkąd się to zdarzyło - ale nie potrafiłem. To byli przecież twoi przyjaciele. Nie znienawidź mnie. Proszę... kocham cię.

Rozdział osiemnasty

Wzmocniona wysokimi ścianami i parkietem na podłodze holu, świdrująca nuta dzwonka odbiła się przeraźliwym echem, gdy Jowett zaciekle przytrzymał przycisk spłaszczonym, napiętym koniuszkiem palca; jej honda stała przed podwójnym garażem, a okna na górze były otwarte, z pewnością więc była w środku. Przykucnął i podważył miedzianą klapkę skrzynki na listy, przyciskając usta do otworu.

- Joyce! To ja! - Zniżył oczy i zerknął do środka, po czym krzyknął ponownie. - Joyce! To nie jest tak jak myślisz. Wpuść mnie, proszę!

- Kto tam? - Głos dobiegał z dość daleka, był zalękniony, ale wyzywający, jak u niepewnego stróża.

Zajrzał jeszcze raz przez szczelinę, lecz nikogo nie było widać.

- To ja! Randall! Gdzie jesteś?

Stopy w kapciach pojawiły się na najwyższym stopniu, jaki był w stanie dojrzeć, następnie zaś podejrzliwa i zgorszona Grace Carstairs pochyliła się, by rzucić okiem na drzwi.

- Czego pan chce?
- Jest Joyce?
- Wyszła.
- A dokąd?
- Zaraz. Tylko spokojnie.

Widząc, że kobieta schodzi na dół, wyprostował się, przygładzając włosy, jakby jego wygląd miał tu jakieś znaczenie.

Wreszcie drzwi otworzyły się i Grace popatrzyła nań z obrzydzeniem.

- Jest pan pijany?
- Co? Nie, ale muszę widzieć się z Joyce. Dokąd poszła?
- Niech mnie pan tak nie wypytuje, młody człowieku. - Choć była

bardzo małą kobietką, to aż buchała złością. - Wiem dokładnie, co zaszło między panem a moją córką. A teraz jeszcze wydziera się pan jak jakiś chuligan. O ile mi wiadomo, to nie jest pan mile widziany w tym domu, panie Jowett.

- To bardzo ważne.

- Czyżby? Położyła kres temu nonsensowi z panem? Być może jednak wbiłam jej do głowy trochę rozsądku. No, ale niech już pan sobie idzie. - Zaczęła zamykać drzwi. - Niech pan natychmiast zabierze tę nogę!

- Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie ona jest!

- Nie wiem! A nawet gdybym wiedziała, na pewno nie powiedziałabym panu. Jeżeli zaraz się pan nie oddali, zadzwonię po policję.

- Nie! Dobrze, idę... Powie jej pani, że muszę się z nią zobaczyć?

- Może wcale nie chce się z panem widzieć. Mam zresztą taką nadzieję.

Wzmianka o policji zrobiła swoje; drzwi zatrzasnęły się z hukiem i usłyszał, że zostały zamknięte od wewnątrz na zamek. Przynajmniej ustalił, że Joyce nie ma w domu, może więc była... Jak miała na imię ta kobieta? Faith? Nie, Fay. Jej mąż mówił, że mieszkają dwa domy dalej. Za Hetheringtonami był tylko jeden dom, a zatem musi to być z powrotem w kierunku wsi... Biegnąc, uzmysłowił sobie, co mówiła Grace Carstairs. Dlaczego jednak Joyce powiedziała jej o nich? Do rozkołatanego strachu dołączył jeszcze zamęt.

- Randall? - Fay popatrzyła zaraz za jego plecy. - Joyce jest z panem?

- Nie... Myślałem, że jest tutaj. - Jego twarz lśniła potem.

- Wyszła po lunchu. Szła do pana. Nie zjawiła się?

- Tak, ale... - Stwierdziwszy, że jej nie ma, zapragnął natychmiast się oddalić. - W porządku. Myślałem tylko, że może... Gdyby ją pani widziała, czy mogłaby pani jej powiedzieć, żeby do mnie zadzwoniła?

- Coś się stało? - Zaalarmowana jego poruszeniem, Fay dotknęła jego ramienia. - Wygląda pan strasznie...

Cofnął się, niczym przestraszone zwierzę, zapędzone w kąt.

- Nic mi nie jest! Nie chciałbym... Proszę jej powiedzieć, że będę w domku.

- Randall! - zawołała Fay, gdy już się odwrócił do ucieczki. - Ona mówiła mi o panu. Co pan jej powiedział? Niech pan wraca!

Przez chwilę pomyślała o tym, żeby go dogonić, ale był już przy bramie. Chwyciła za telefon i stuknęła w przycisk pamięci.

Jowett zdawał sobie sprawę, że jeżeli matka Joyce zobaczy go siedzącego w samochodzie przed domem, może zadzwonić na policję, zaparkował więc nieopodal skrzyżowania, skąd samego domu widać nie było, ale mógł obserwować bramę... a może wróci do domku? Po dwudziestu minutach czekanie stało się nie do zniesienia, pojechał więc z powrotem do Windhover, przestraszony teraz, że jej matka może zgłosić jej zaginięcie. Wszystko wymykało się spod kontroli.

Ze stopą obandażowaną paskiem materiału oddartym od brzegu spódnicy, Joyce kuśtykała wzdłuż ogrodzenia. Dojrzawszy w odległości nie dalej jak pół kilometra wieżę kościoła St Matthews odetchnęła z ulgą. Musiała krążyć bezmyślnie. Przełaz na drugim końcu łąki wiódł na ścieżkę dla koni, gdzie częstokroć spacerowała, stamtąd zaś pod osłoną drzew mogła już dotrzeć w pobliże domu. O ile nie upuściła torebki, gdy wybiegała, musiała ona nadal być w... ale pod kamieniem przy basenie znajdował się klucz od tylnego wejścia, zostawiany tam na wypadek, gdyby potrzebowało go któreś z dzieci. Krzywiąc się z kolącego stopę bólu, powoli szła dalej.

Powróciły teraz najgorsze ze wspomnień. Początkowe zmieszanie sposobem, w jaki zostało to napisane, niezgrabnie, jak gdyby trudno mu było wyrazić to, co chciał powiedzieć; tak jakby mówił do siebie. Potem nazwa farmy Tannerslade, która sprawiła, że aż krzyknęła, i mdły, rozdzierający serce dreszcz niedowierzania. To, jak wybiegała z domku, ledwie pamiętała, zaś z tego, co było potem - nic, dopóki nie upadła. Teraz nie była w stanie myśleć o niczym innym jak o tym, żeby być bezpieczną w swoim domu. Gdyby napotkała kogoś i gdyby ją ten ktoś zagadnął, wrzasnęłaby chyba.

Dotarła do drogi i widząc już swój dom, zerknęła na zegarek; jej matka będzie oglądać telewizję. Gdy zbliżyła się do bramy, aż podskoczyła, bo trąbiąc klaksonem minął ją jakiś samochód, kierowca pomachał do niej przez tylną szybę; nie poznała go, ale również pomachała, po czym dotarła do sanktuarium swojego ogrodu. Poirytowany

faktem, iż nie został nakarmiony, Makawity miauczał i drapał tylne drzwi, dopóki ich nie otworzyła, potem zaś, co było do przewidzenia, pognał prosto do kuchni. Gdyby się nim, mimo bólu, nie zajęła, prychałby. Powoli weszła na górę i napuściła wodę do wanny. Stopa przestała krwawić, lecz wokół rany ciało było zaognione. Joyce otworzyła ranę na nowo, aby wypłukać zeń brud. Gorąca woda sprawiała przyjemny ból, który stopniowo koił ją, gdy z szyją opartą o gąbkowy zagłówek wyciągnęła się już w wannie, czując roszący twarz pot. Leżała tak w bezruchu, świadoma jedynie bezpieczeństwa i ciepła, nie pragnąc niczego innego jak tylko cudu, co sprawiłby, iż trwałoby to po wieki wieków.

Pierwszą rzeczywistością stała się coraz chłodniejsza woda. Joyce podciągnęła się i skupiła na myciu. Wyciągnęła rękę po butelkę z szamponem, rozprowadziła po włosach pianę, po czym wstała, odkręciła kurek prysznica i opłukała je. Osuszyła się potem trochę, włożyła biały szlafrok i przeszła do sypialni, gdzie usiadłszy na trzcinowym stołku przed lustrem toaletki, zaczęła suszyć i rozczesywać włosy. Kąpiel przeobraziła się w rozmyślny proces, za którym mogła się skryć, przedłużyła go więc jeszcze o piłowanie paznokci i skubanie brwi... Z twarzą przy lustrze, dostrzegła w swych oczach smutek i przerażenie.

W jej apartamencie na górnym piętrze domu Grace wydawało się, że poprzez dźwięki dobiegające z telewizora słyszy zawodzenie, jakby kogoś cierpiącego, uznała jednak, że to albo jej wyobraźnia, albo jakiś pies gdzieś na zewnątrz.

Siedząc i kontemplując spustoszenie, Joyce poczuła przyprawiający o mdłości głód, wiedziała jednak, że jej żołądek odrzuci wszystko z wyjątkiem najprostszej żywności. Krakersy z masłem, może, i serek topiony; i żadnego alkoholu, tylko rumiankowa herbata. Kiedy zeszła na dół, dom sprawiał wrażenie całkiem opustoszałego, porzuconego przez życie. Ralph był w mieście - zabawiał się z tą swoją osobistą seks-zabawką - Ruperta i Annabel też nie było, natomiast matka odizolowała się od niej; nigdy nie czuła się taka samotna. Nie było nikogo, z kim chciałaby porozmawiać, ale i nie potrafiła wyartykułować niczego nawet do samej siebie. Wiedziała, że powinna zadzwonić

na policję, lecz myśl tę przezwyciężało rozpaczliwe pragnienie zatrzymania go dla siebie - tylko na jakich warunkach? Gdyby Fay zapytała ją dziś rano, co zrobiłaby dla Randalla, odpowiedziałaby, że wszystko, bo tak była opętana myśleniem o nim... Jeśli nie było się gotowym umrzeć za kogoś, czy naprawdę się go kochało? A więc czy i skłamałaby dla niego? Jeżeli to, co napisał, było prawdą, że ten Giles był mordercą, nie on, dlaczego miałby być za to ukarany? Pomyśleć, że jeszcze kilka godzin temu myśl o tych podludziach, co zabili Bena i Annie, Cheryl, Thomasa i Mandy, w końcu ujętych i ukaranych przyniosłaby niezmierną radość. Po Tannerslade wiele czasu musiało minąć, nim zdołała odbudować swoje przeświadczenie, że kara śmierci nie jest właściwym rozwiązaniem dla morderców. Teraz zaś nic już nie było pewne.

Automatyczna sekretarka pokazała, że zostawiono dwie wiadomości, włączyła ją więc przygotowując sobie posiłek.

- Cześć. Tu Fay. Jest... za dziesięć szósta. Co się, u diabła, stało? Właśnie był u mnie Randall. Pytał o ciebie. Wyglądał jak paranoik. Za godzinę wychodzimy na kolację, ale jeśli nie zdążysz zadzwonić, na litość boską, zostaw wiadomość. Jeśli to jakiś poważny kryzys, będziemy w Cross Key w Bury. Jeśli będziesz chciała, wrócę i... - Westchnęła. - Kochanie, zadzwoń do mnie tak szybko, jak tylko możesz.

Taśma kliknęła i zafurkotała. Kiedy zaczęła się druga wiadomość, ciało Joyce zamarzło. Głos Jowetta był wytężony i spięty.

- Jesteś tam? Jeśli tak, podnieś słuchawkę. - Milczenie. - No dobrze, jeśli tam jesteś, rozumiem. Po prostu... nie rób niczego. Okej? Pozwól mi z tobą pomówić. Jestem nadal w domku. Nie uciekam. Możemy to poukładać. Chciałem znaleźć sposób, żeby ci o tym powiedzieć. Oddzwoń do mnie, tak? A przy okazji, jest tutaj twoja torebka... gdybyś się martwiła. Będę przez cały czas i... Nie, do tej maszyny nie mogę nic więcej powiedzieć. Przepraszam.

Kończąc rozprowadzanie sera i robienie herbaty, zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić. Gdyby nie zostawiła żadnej odpowiedzi, Fay zaczęłaby panikować.

- To ja. Wszystko w porządku, ale nie mogę teraz o tym rozmawiać. Zadzwonię do ciebie rano. Nie martw się.

Cisza domu była przygniatająca. Włączyła płytę, wybraną na chybił trafił, świadoma jedynie, że to jakiś dźwięk, i zaczęła jeść, osuszając

nagły, niekontrolowany wybuch łez rękawem szlafroka. Następnie podeszła do stojącego przy oknie biurka ze skórzanym blatem, wyjęła papier listowy i popatrzywszy przez kilka minut na ogród zaczęła pisać. Usłyszała dzwonek telefonu, lecz pozwoliła odebrać automatycznej sekretarce.

Gdy zaklejała kopertę, owładnęło nią większe niż kiedykolwiek zmęczenie umysłu i ciała, toteż by wstać, musiała wesprzeć się na krześle. Sen, o którym myślała, że jest niemożliwy, zaczynał ją morzyć, jak gdyby wyłączał się jej mózg. Wspinaczka na schody była niczym fizyczna walka przeciwko poddaniu się, niemal wolałaby położyć się na grubym, miękkim dywanie niż zdobywać się na wysiłek dobicia do łóżka. Kiedy już usiadła, znajdowała się w stanie półświadomości. Gasnącymi resztkami sił oderwała nogi od podłogi. Ostatnią rzeczą, którą widziała świadomie, leżąc skulona na boku, była róża na stoliku przy łóżku.

Widząc samochód zajeżdżający przed domek, Jowett odskoczył od okna. To nie był samochód Joyce, a kto inny przyjechałby do domku o wpół do dziesiątej rano, jeśli nie... Nie był to oznakowany samochód policyjny, ale czyż oni nie używali...? Wtedy rozpoznał Fay i znalazł się przy drzwiach, zanim ona zdołała do nich dotrzeć.

- Z Joyce wszystko w porządku? Próbowałem się do niej dodzwonić, ale nie ma odpowiedzi. Miałem właśnie pojechać i...

- Niech pan tego nie robi. Nie powiedziała mi dlaczego, ale w tej chwili nie chce się z panem widzieć. - To nie była ta kobieta, która się nim zajęła na festynie, która przedstawiła go swojemu mężowi i innym, ta interesująca i pełna ciepła. - Prosiła mnie, żebym wzięła jej torebkę.

- Co? A tak. Jest tutaj.

Podążyła za nim do środka; wroga, podejrzliwa postawa. Wyciągnął do niej torebkę niby ofertę pokoju.

- Dziękuję. - Sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła kopertę. - Joyce prosiła, żebym to panu oddała.

- Dostała moją wiadomość? Na sekretarce.

- Nie wspominała mi o tym.

- A co pani powiedziała?

- Nic. I to mnie właśnie martwi. Powiedziała mi wczoraj, że jest beznadziejnie w panu zakochana i gotowa wszystko dla pana porzucić. Zdawał pan sobie z tego sprawę?

Potrząsnął głową. - Nie.

- Cóż, tak głęboko zapadł jej pan w serce, Randallu. Ale teraz nie chce powiedzieć, co zdarzyło się wczoraj po południu... Może pan mi to wyjaśni?

Fay wcale nie zamierzała dotrzymywać obietnicy niepytania go o nic. Kiedy pojechała dziś rano do Joyce, zobaczyła zrozpaczoną kobietę, z twarzą splamioną płaczem, opuchniętą szarpanym snem, ale kobietę natarczywą, jak gdyby dano jej ostatnie dni życia. Chciała, żeby Fay pojechała do domku, wzięła torebkę i oddała Randallowi list. Nie potrafiła rozmawiać o tym, co on powiedział czy zrobił... Miała sobie sama z tym poradzić... Fay nie musiała się martwić... Wszystko było w porządku. Domaganie się wyjaśnień powodowało tylko niecierpliwą złość. Fay i tak nie mogła tego zrozumieć. Jakkolwiek Jowett odrzucił ją, reakcja Joyce była zbyt skrajna. Teraz jednak on również wyglądał na wymizerowanego; nie ogolony, rozgorączkowany sytuacją, roztrzęsiony lękiem o Joyce.

- Nie mogę tego wyjaśnić.

- No cóż, nie pomogę wam, dopóki któreś nie zgodzi się porozmawiać. - Wydała ostre westchnienie frustracji. - Wyjaśnijmy sobie jedno, Randallu. Musi pan wiedzieć, że Joyce jest bardzo krucha. Nie wiem, o co tutaj chodzi, ale potrafię być bardzo nieprzyjemna dla ludzi, którzy krzywdzą moich przyjaciół. Proszę o tym pamiętać...

- Za skarby świata nie chciałbym jej skrzywdzić.

- A jednak robi to pan.

- Powiedziała, że ją skrzywdziłem?

- Nie musiała. Zresztą i tak nie powiedziałaby mi jak. Pan, najwyraźniej, też nie. Ale ja znam Joyce od dawna i wiem, że w końcu to wyjdzie na jaw. - Nagły strach w jego oczach obudził w niej najgorsze obawy. - Rany boskie, o co tu chodzi? Ma pan AIDS? Zabiję pana, jeśli tak!

- Nie! - Zaczynał popłakiwać. - Proszę... Ja muszę z nią porozmawiać. Niech pani tylko to powie jej ode mnie!

- Dobrze. - Fay uwierzyła jego zaprzeczeniu; w zbyt kiepskim był stanie, by kłamać. - Ale nie gwarantuję, że będzie się chciała teraz z

panem widzieć. Niech pan się nie oddala. Odegram posłańca, jeśli będzie trzeba... To wszystko? Mam jej tylko powiedzieć, że chce pan porozmawiać?

- Tak. Ona zrozumie.

- W przeciwieństwie do mnie. - Uśmiechnęła się gorzko. - Dlaczego, u licha, nie wybrał pan sobie innego miejsca do pisania tej swojej cholernej książki?

- Mówiła o niej?

- Co? - Fay zaskoczył wystraszony tembr jego głosu. - Nie. Mówiłam, że nic mi nie powie. A co?

- Nic... to bez znaczenia.

- Chyba jednak ma znaczenie... Opisał pan to wszystko jako powieść porno? Tak się pan jej pozbył? Jeśli pan tak zrobił, to jest pan poważnie chory.

- Nie, nic z tych rzeczy... Powiedziałem już, że nie zraniłbym jej. Ta książka to... Zresztą mówiłem pani. To coś osobistego.

Fay przeszyła go zniecierpliwionym wzrokiem. - Widzę, że nic tu po mnie. Jeśli któreś z was oprzytomnieje, wiecie, gdzie jestem.

Gdy wyszła, postał chwilę w miejscu, po czym wrócił do okna i patrzył, jak odjeżdża. Lęki zaczęły się mnożyć. Przynajmniej Joyce nie poszła prosto na policję, ale dużo to czasu potrzeba, aby Fay wyciągnęła z niej prawdę? Nad sercem Fay władzy nie miał. Nagle uświadomił sobie, że trzyma w ręku list. Rozdarł kopertę. Siedem zdań, z czymś rozmazującym jedną z linijek, wyglądającym na łzę, podpisane tylko inicjałami.

Czuję się podle, ale nie potrafię zmusić się do nienawiści do ciebie. Potrzebuję trochę czasu, nie przychodź więc, proszę, do mnie więcej. Straszliwie mnie oszukałeś i w tej chwili nie mogę jasno myśleć. Nie pogarszaj tego uciekaniem znowu. Wyjeżdżam na parę dni. Porozmawiamy, jak wrócę. Ale nie mogę obiecać, że nadal będę cię kochała.

Jęknął, czując młoty wbijające weń sześć lat kłamstw. Nie był w stanie stawić temu czoła. Otworzył portfel, wyjął wizytówkę i zadzwonił pod podany tam numer.

- Lambert, słucham. - To nie był ów głos słyszany po raz ostatni

na chodniku Moorgate, zaskoczony i szalenie przyjacielski. To był skrzeczący głos wielkomiejskiego pracownika na kierowniczym stanowisku, mechaniczny, niecierpliwy. To nazwisko rzucone gniewnie niczym słowo sprzeciwu.

- Giles? Tu Randall... Randall Jowett.

- Randy? - Zdrobnienie, którego nigdy nie lubił, ton od razu rozluźniony, bez obaw, gdyż Giles nigdy nie spodziewał się niebezpieczeństwa. - Miło cię słyszeć. Słuchaj, jest ktoś teraz u mnie. Gdzie mogę do ciebie oddzwonić?

- Nie... Jest problem.

- Jaki problem? - Rozluźnienie znikło równie szybko, jak się pojawiło.

- Duży.

- Poczekaj. - Telefon zamarł na chwilę, po czym odezwał się znowu, napięty agresywną natarczywością. - Co się, kurwa, stało?

Rozmowa trwała niecałe dziesięć minut, w ciągu których wrodzona zdolność Lamberta do znęcania się nad innymi nakazała Jowettowi bezradnie wyznać, gdzie jest, po co tam pojechał i co mu przyszło do głowy z tym laptopem i tą Joyce...

- *Ty pierdolony głupi kretynie!* - Jowett skrzywił się i nagłym ruchem odsunął słuchawkę od ucha. - Jezu! Odbiło ci, do kurwy nędzy?

- Przepraszam!

- Przepraszam! - Jego głos drżał z wściekłości. - Jaki pożytek teraz z tego twojego pieprzonego przepraszam? Chryste, niech pomyślę... Gdzie jesteś?

- Nadal w Finch. W domku.

- Kurwa, nawet ci do łba nie przyszło, żeby się stamtąd wynieść? Sam się prosisz o śmierć... Nie, zaraz. Zostań tam. I niczego nie rób. Będę tam za... Jak to daleko?

- Jakieś dwie godziny od Londynu.

- Racja, będę... powiedzmy o wpół do pierwszej. Jak cię znajdę?

- Podjedziesz pod kościół i skręcisz w dolinę... Windhover się to nazywa, nazwa jest na bramie... Co zamierzasz zrobić?

- Diabli wiedzą, coś się wymyśli. Masz coś do pisania? To numer mojej komórki; dzwoń, gdyby się coś działo, zanim dojadę... Jesteś pewien, że nie poszła na policję?

- Nie mogła. To było wczoraj po południu, kiedy... Zresztą ta jej przyjaciółka, która tu teraz była, gdyby wiedziała, zrobiłaby to. Ale jeśli jej nie powiedziała, nie powie nikomu.

- Więc póki co jest okej... Mam nadzieję, że cholernie dobra z niej lala, bo pieprzenie jej mogłoby cię drogo kosztować. Dobra. To nie wychodź i poza mną nie dzwoń do nikogo.

Kiedy połączenie zostało przerwane, Jowett dygotał. Było dokładnie tak jak w dziewięćdziesiątym, Lambert całkowicie nad nim panował. Ale miał wtedy rację; nie złapano ich. Może i tym razem będzie miał jakieś rozwiązanie.

Rozdział dziewiętnasty

Z założonymi rękami, Fay opierała się o framugę drzwi sypialni, niespokojna, pytająca, po cichu wątpiąca, nie spuszczając oka z Joyce, podczas gdy ta wyjmowała z szafy ubrania.

- Co się tak na mnie gapisz? Nie jestem stuknięta. - Joyce zdjęła z wieszaka lniany kostium ze spodniami.

- A wyglądasz na taką. Nie wyjdę z tego domu, dopóki mi nie powiesz, dokąd się wybierasz.

- Byle dalej stąd. - Spiesznie złożone, marynarka i spodnie, zostały umieszczone w walizce i Joyce rozejrzała się jeszcze, jakby sprawdzała, czy czegoś nie zapomniała. Jej głos był jakiś sztuczny, oderwany. - Przyślę ci pocztówkę.

- Jeżeli mi nie powiesz, zadzwonię do Randalla i oznajmię mu, że jesteś poważnie chora.

- Nie rób tego. To przecież nieprawda. Zacząłby się tylko martwić, to tak jakbyś mu powiedziała, że jestem umierająca.

- A co z Rupertem i Annabel?

- Wrócą dopiero w przyszłym tygodniu, a... - Zatrzask nie chciał zadziałać. Przez to poirytowała się jeszcze bardziej. - Daj spokój, dobra? Proszę. Muszę pobyć trochę sama. To wszystko.

- Pomogę ci.

- Poradzę sobie! - Uderzony nasadą dłoni zatrzask załapał wreszcie. Podniosła walizkę z łóżka. - Gdzie mój szkicownik? Chyba na dole. Możesz zobaczyć? Powinien być na sofie w salonie.

- Nie będę ci pomagać, dopóki mi nie powiesz.

- W takim razie sama zobaczę... Przepraszam.

Kiedy Joyce przecisnęła się obok niej, Fay otarła ze zmęczeniem czoło i podążyła za nią na dół, zabierając po drodze szkicownik i pudełko ołówków. Dobiła do niej na podjeździe.

- Masz.
- Dziękuję.
- Co powiedziałaś Grace?
- Że wyjeżdżam. Wolno mi.
- Nie chce wiedzieć dlaczego?
- Nie bardzo... - Położyła blok na walizce. - Jedyne co chciała wiedzieć to to, czy wyjeżdżam sama. Zapewniłam ją, że tak.

Zatrzasnąwszy bagażnik, podeszła od strony kierowcy i włożyła kluczyk do zamka. Nim otworzyła drzwi, Fay chwyciła ją za rękę.

- Martwię się o ciebie jak cholera! Co on ci, u diabła, powiedział? To przecież nie może być tak źle. Jeszcze możesz to poukładać.
- Mam nadzieję. - Odwróciła wzrok od zbolałych i przenikliwych oczu Fay. - Mówiłam ci. Dlatego muszę stąd wyjechać. Potrzebuję trochę czasu na przemyślenia.

Jej kark zesztywniał; próbowała odwrócić głowę, kiedy Fay podstawiła rękę pod jej podbródek.

- Nie! Spójrz na mnie... Chryste, ja się boję, że ty chcesz się zabić!
- Nie zrobię tego... obiecuję... Zadzwonię do ciebie dzisiaj wieczorem. W porządku? Niedługo wrócę. Potrzeba mi tylko paru dni.
- No dobrze. - Pokonana, Fay ucałowała ją i opuściła ze zrezygnowaniem ręce. - Co mam mu powiedzieć, jeśli znowu się u mnie pojawi?
- Że mnie nie ma... Albo nie, zadzwoń sama do niego, tak będzie lepiej. - Westchnąwszy, Joyce otworzyła torebkę i wyjęła z niej długopis. - Nie chcę, żeby mama miała z nim kolejną utarczkę. Zrobisz to? - Nie będąc w stanie znaleźć żadnego kawałka papieru, napisała numer na dłoni Fay. - Powiedz mu, że porozmawiam z nim, jak wrócę... Zrozumie.
- Ja też bym chciała. Coś jeszcze?
- Chyba nie... A, tak. Możesz nakarmić Makawitego? Zapomniałam. Wszystko znajdziesz w szafce pod zlewem... i powiedz Tomowi, żeby zostawił butelkę mleka dla mamy... i, nie, w porządku. Cała reszta sama się jakoś ułoży. Porozmawiamy wieczorem.

Fay położyła rękę na dachu samochodu, a potem pomachała nią, kiedy Joyce ruszyła. Opuszkami palców osuszyła łzy. Każde pytanie, jakie zadała, zostało odparte albo zignorowane, każdy wysiłek ku

nawiązaniu kontaktu odrzucony. To, czy Randall był niewypowiedzianie okrutny, czy też zabił to uczucie delikatnie, nie robiło różnicy. Joyce ze wszystkich ludzi właśnie z nią pragnęłaby porozmawiać. Wypłakać się, polamentować nad swoją głupotą, poroztkliwiać się przy drinku, zamiast zapadać się w tym niewymownym bólu. Tylko że Randall rano też wyglądał strasznie, jakby to Joyce go odrzuciła, a on desperacko szukał szansy nakłonienia jej do powrotu. To się nie trzymało kupy.

Zaraz za Ipswich Lambert zjechał na pobocze i na swym komórkowym telefonie wystukał numer Jowetta.

- To ja. Coś się zdarzyło?
- Nie... Gdzie jesteś?
- W drodze... Jak dotąd ani śladu policji?
- Nie.
- To dobrze. Kiedy ona przeczytała to na laptopie, jak ci się wydaje?
- Jakoś wczoraj po południu.
- A więc nadal tego nie zgłosiła, co? - Wlał w swój głos nieco spokoju. - Bo już by cię zamknęli. Gdzie ona teraz jest?
- Nie wiem. Wyjechała. Jej przyjaciółka dzwoniła, żeby mi o tym powiedzieć.
- A gdzie wyjechała?
- Nie wiem, ale Fay, ta, która dzwoniła, mówi, że chce ze mną porozmawiać, jak wróci.
- Więc na razie jesteśmy okej. Wyluzuj. Za jakieś pół godziny będę.

Wyłączył się. Gdyby policja się odezwała, popędziłby z powrotem do Londynu i wyjechał z kraju tak szybko, jak by się tylko dało, ale ta kobieta najwidoczniej nie poszła jeszcze do nich. Było zatem trochę czasu, żeby coś zadziałać. Co ciekawe, korek drogowy uspokoił go; rozwścieczony tym zatorem znalazł bowiem w schowku jakieś Valium - pozostałość po nie najlepszym okresie w jego życiu - i wziął je. Gdy jego umysł wyciszył się, zaczął czuć się nadspodziewanie dobrze. To cały Randy Jowett, marionetka, którą mógł zmusić do podrygiwania, tak jak chciał; dopóki ta kobieta wstrzymywała się - a z jakiegoś

powodu robiła to - mógł dotrzeć tam i wziąć sprawy w swoje ręce, nim sytuacja stanie się krytyczna.

Włączył się ponownie do ruchu, spokojnie rozważając możliwości, tak jak w roku 1990. Ryzyko było większe, niż by się chciało, ale czasem trzeba je podejmować. No bo jaka była alternatywa? Czekać jak kozioł ofiarny, aż ich dorwą? Spanikować i zwiać z trochę więcej niż piętnastoma tysiączkami, gnić w Ameryce Południowej czy gdzie tam, aż go wyśledzą i dokonają ekstradycji? Zabił pięć osób i przez sześć lat mu się udawało; po takim czasie nie można się tak po prostu poddać. Zatrzymał się tuż przed Finch i raz jeszcze zadzwonił do Jowetta, udając, że się zgubił. Nadal żadnej policji.

Jadąc Główną przypomniał sobie piekarnię, ze staroświeckim metalowym szyldem w kształcie wiejskiego bochna nad oknem, i zauważył dom z krzywym kominem. On panował nad sytuacją, a Jowett robił w portki; nie zamierzał dać się upokarzać takiej dupie. Skręciwszy przy kościele w dolinę, zwolnił, wypatrując migoczących niebieskich świateł i innych oznak, gotów w razie czego przejechać obok. Na tłuczniowym podjeździe stało jednak tylko szkarłatne MG... Czyżby Randy'ego? Randy to przecież typ, co powinien posiadać sierrę, którą myłby każdego niedzielnego poranka. Gdy zaparkował po przeciwnej stronie drogi i wysiadł z samochodu, Jowett otworzył drzwi domku.

- Masz coś do jedzenia? - zapytał Lambert, otwierając bramę.
- Co?
- Jakieś żarcie. Nie jadłem lunchu. - Widzisz, zero paniki. Valium pozbierało jego głowę do kupy.
- Tak. Ja... ja też nie jadłem. Nie byłem głodny.
- Ja za to jestem. - Lambert wszedł za nim do środka i zamknął drzwi. - Podejdź tu.
- Po co?
- No podejdź. - Jowett zrobił krok do przodu, po czym zachwiał się w tył i przewrócił, potykając się o krzesło, kiedy Lambert uderzył go ze złością w twarz. - Musiałem to zrobić. A teraz idź zrób kanapkę czy coś.

Pozbierawszy się nerwowo, Jowett oddalił się szybko. Lambert tymczasem wszedł do pokoju i znalazł laptopa.

- Zmazałeś to? - zawołał.

- Co?
- No, tę swoją pieprzoną historię życia.
- Nie.
- Boże wszechmogący - warknął Lambert. Wziął urządzenie, oparł o kant glazurowanego paleniska i dziko nastąpił na nie piętą roztrzaskując je.
- Co ty robisz? - Z nożem do masła w dłoni w drzwiach pojawił się Jowett.
- To, co tobie nawet nie przyszło do tej pustej mózgownicy. Jeżeli ona teraz pójdzie na policję, będą mieli tylko jej słowo, że cokolwiek w ogóle czytała.

Jowett patrzył z przerażeniem, jak Lambert zbiera odłamki i wkłada je do torby.
- Musiałem to napisać.
- Dla literatury to strata niewielka. Trzeba to teraz gdzieś wyrzucić.
- Giles, to było dla mnie ważne.
- Ważne? - Lambert roześmiał się. - Jedyne co jest ważne to to, żebyśmy nie poszli do pierdla. I zamierzam się tym zająć. Czyż nie po to do mnie zadzwoniłeś?
- Tak myślę.
- No to zostaw to mnie i rób, co ci się każe. Zamierzasz tak stać i wymachiwać tym nożem, czy może coś zjemy?

Jowett patrzył na niego przez chwilę, po czym, pokonany, odwrócił wzrok. Lambert poszedł za nim do kuchni.
- Kiedy dostałeś ten telefon, że wyjechała?
- Zaraz przed tym, jak ty zadzwoniłeś. - Jowett manipulował otwieraczem przy puszce konserwowej wołowiny. - Mówi, że porozmawia ze mną, jak wróci.
- A kiedy to będzie?
- Chyba gdzieś za dzień czy dwa... Lubisz sos korzenny? Domowej roboty.

Lambert znów się roześmiał. - Rany, jesteś świetnym gospodarzem. Nie, nie wytrzymam. Masz coś mocniejszego?
- W lodówce jest piwo.
- A szkockiej nie masz?
- W tamtym pokoju jest trochę ginu.

- Znajdę. - Lambert wyszedł, wiedząc, że po Valium będzie musiał uważać, ale po prostu potrzebował się napić. Nie potrafił zrozumieć tej kobiety. Zamiast władować Jowetta, zwyczajnie wyparowała... i jeszcze chciała z nim porozmawiać po powrocie. To się nie klei, chyba że... Wrócił do kuchni. - A właściwie to dlaczego ona nie idzie na policję?

Jowett przeciął na pół dwie kromki chleba. - Nie jestem pewien.

- Może kalkuluje, ile jej zapłacisz za pewność, że nie skończysz w pierdlu?

- Nie. Tego by nie zrobiła.

- Dlaczego nie? Musiała zdać sobie sprawę, że masz forsę. Wystarczył ten twój wózek. Ile kosztował? Chyba że jest całkiem tępa.

- Nie rozumiesz. - Jowett podsunął mu talerz i zapalił papierosa. - Chyba się we mnie zakochała.

Lambert zadrwił. - Proszę. Wyświadcz mi tę uprzejmość... Jak długo tu jesteś?

- Trochę ponad dwa tygodnie.

- No to miałeś dość czasu, żeby ją przelecieć, ale co, do diabła, każe ci myśleć, że to coś więcej?

- To, co powiedziała. Sposób, w jaki ze mną była. - Głos Jowetta brzmiał lekko prowokująco. - Poważnie, Giles. Sądzę, że właśnie dlatego nikomu o tym nie powiedziała. Nigdy by mnie nie zaszantażowała. Ona ma pieniądze. Powinieneś zobaczyć jej dom.

- Ile ona ma lat?

- Nie mówiła mi, ale... ponad czterdziestkę.

- Ma męża?

- Tak, ale ten jej mąż to bubek.

- Zwykle nikt się nie zakochuje w chłopcach do zabawy... Co jest więc w tobie takiego specjalnego?

- Nie wiem. Po prostu stało się.

- Musiała być na skraju rozpaczy. - Lambert wgryzł się w kanapkę. - Teraz muszę wykonać parę telefonów, ale potem chcę się dowiedzieć o tym wszystkim dużo więcej. - Wyciągnął swój telefon i przycisnął guzik pamięci. - Cześć Kim. Tu Giles. Możesz mi dać Steve'a... Steve? Giles. Nie jest tak źle, ale przyjęli ją. Będę musiał zostać kilka dni. Okej, dzięki. Jakbyś mnie potrzebował, dzwoń na komórkę.

- Co jest? - spytał Jowett.

- W biurze myślą, że moja matka jest chora. - Wcisnął drugi guzik. - To ja. Jestem w Coventry. Mama miała zawał. Dzwonię ze szpitala. Co? Próbowałem, ale was nie było... Nie wiem. Zapewne dwa, trzy dni... Nic na to nie poradzę... Nie, ale coś dostarczę... Zależy, jak się będzie czuła... Zadzwonię jeszcze. - Skończył rozmowę i wepchnął z powrotem antenkę. - Moja jak zawsze wielce współczująca żona, znana skądinąd jako piekielna dziwka... Gdzie tu są jakieś przyzwoite sklepy?

- W Bury St Edmunds. A co?

- Potrzebuję trochę ubrań. Nie miałem czasu pojechać do domu i się spakować. - Przeżuł ostatni kęs kanapki. - Pojadę za tobą i gdzieś tam zostawię samochód.

- A po co?

- Pomyśl, barania głowo. Dwa samochody przed domem znaczy dwóch w środku. Ludzie mogliby zauważyć. Jak ci się wydaje, dlaczego zaparkowałem po drugiej stronie drogi, kiedy tutaj przyjechałem?

Wystraszony i zmieszany, Jowett pokiwał przytakująco głową. Widok Lamberta brutalnie niszczącego laptopa przeraził go, ale znaczyło to tylko, że Lambert ma dość siły, by spróbować znaleźć wyjście dla nich obu.

Być może dlatego, że w pobliżu morza dorastała, Joyce postanowiła teraz nad nie wrócić, mimo iż Fay uważała Great Yarmouth za ostateczny dowód jej szaleństwa. Znalazła hotel w północnej części miasta, którego pierwotny edwardiański komfort przeznaczony klasom średnim był już w stanie rozkładu. Chodniki na schodach poprzecierały się, a proporcje przestronnych sypialni poszły w ruinę dzięki działowym ściankom, poustawianym dla zwiększenia ilości pomieszczeń. Większość gości, ciągnąc za sobą atmosferę bambusowych krzeseł na gorących, kolonialnych tarasach, przypominała zanikające szczątki Imperium.

Joyce nie miała ochoty na kolację, ale przed wyjściem na plażę zamówiła do pokoju herbatę i kanapki. Gdy znalazła się na piaszczystym brzegu, z prawej dobiegała odległa wrzawa jarmarku, a jaskrawe światła

kurortu w zapadającym wolno perłowym zmierzchu zaczynały świecić bardziej blado; po lewej, mężczyzna wykopujący robaki, na jałowym brzegu, ciągnącym się hen po wydmy, był samotną postacią na tle tego widoku. Zmieniał się prąd, ledwie dysząca woda bąblowała cienkim sznurem srebrnej piany, sennie muskając plażę. Joyce oddalała się od miasta, unikając rybaków. Pięła się na miękkie, piaskowe pagórki, porośnięte szorstkimi piaskownicami. Wreszcie jej stopy osunęły się w ciche zagłębienie, skąd, przysiadłszy, mogła wpatrywać się w szemrzące morze.

Przerzuciła wstecz strony swojego szkicownika aż do portretu i rozpoznała teraz to, czego wcześniej zidentyfikować i uchwycić nie była w stanie. Ukrytą winę zła, o jakiej nigdy nie śniła, że jest możliwa. Ta jednak wprost była nie do pomyślenia w tej delikatnej, błogiej twarzy, którą widziała rozpromienioną wdzięcznością, rozognioną głodem miłości. Musiał być teraz przerażony - ale Fay powiedziała, że nadal jest w domku i że nadal chce się z nią zobaczyć. Położyła się i zamknęła oczy. Nie było innej alternatywy niż ucieczka od tego, lecz ta z kolei dawała jedynie poczucie fałszywego oddalenia, nie odpowiedzi - jeżeli w ogóle były jakieś, co nie łamały jej serca i wszystkich jej nadziei. Na pewno wolno jej było pobyć przez chwilę z czymś takim w samotności, ale pozostawanie w oddali niczego nie rozwiązywało. A zatem... Jutro spróbuje pomyśleć, wróci do starej przyjaciółki i swoich dzieci - i poprosi o wybaczenie - a potem, wieczorem, wybierze się do Finch. Niemożliwym było dla niej wybiec myślą dalej, ale musieli być razem, żeby się przekonać, czy cokolwiek da się uratować.

Ostatni raz, kiedy Jowett i Lambert byli razem w pubie, miał miejsce w noc morderstw; tym razem była to jednak spelunka Beefeater, wybrana przez Lamberta dlatego, że znajdowała się przy głównej drodze, gdzie wszyscy byli przejazdem, co oznaczało, że nieznajomi nie zostaną zauważeni. Podczas gdy Lambert kupował przy barze kolejne drinki, Jowett obgryzając paznokieć kciuka usiłował zinterpretować swoje uczucia. W którymś momencie Joyce i on stali się, na swoją zgubę, ludźmi bez winy, ludźmi zabawiającymi się wizjami wspólnego szczęścia. Takie marzenia były szalone, ale silniejsze od

rozsądku... Krzesło Lamberta szurnęło na nierównej posadzce, gdy, zamyślony, drapiąc się po szczęce, usiadł z powrotem.

- No dobrze - rzekł w końcu. - Załóżmy, że ona ma hopla na twoim punkcie, co mogłoby oznaczać, że nie stanowi problemu. Jak myślisz, na ile to jest poważne z jej strony?

- Mówiła o... no wiesz. Jakby to było, gdybyśmy byli tylko we dwoje. - Jowett dostrzegł cyniczny uśmieszek Lamberta. - Jestem pewien, że mówiła to serio.

- No tak, ich mózgi różnią się od naszych... ale faktycznie gdyby nie czuła czegoś, byłbyś już w pace. Cóż.., może. - Na ostry piszczący dźwięk sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki; inni klienci spojrzeli nieco pogardliwie. - To nie mój... Masz swojego?

- A... tak. - Zaniepokojony, że ktoś do niego dzwoni, Jowett wyciągnął telefon. - Halo?

- Randall? - Rozpoznał ją mimo nie najlepszego sygnału. - Gdzie jesteś? Słyszę jakieś głosy.

- W restauracji. Przyjechałem coś zjeść.

- Ale jesteś nadal w Finch?

- Trochę za.

- Cieszę się. Nie chciałam, żebyś wracał do Londynu.

- A ty gdzie jesteś?

Lambert spostrzegł reakcję jego twarzy i zaczął pochylać się do przodu, wytężając słuch.

- To bez znaczenia. Chciałam jednak cię poinformować, że wracam jutro wieczorem. Musimy pogadać..

- Wiem. Chciałbym ci wyjaśnić, że... Nie, tak nie mogę.

- Oczywiście, że nie.

- Mogę przyjść do ciebie do domu.

- Nie. Nie wolno ci tego robić. Obiecaj mi. Ja też nie chcę przychodzić do domku. Lepiej byłoby na neutralnym gruncie. W Stowmarket jest hotel. Nazywa się Korona. To przy rynku. Będę tam przed siódmą. Może być?

- Tak. Ja... przepraszam.

- Ja też. - Usłyszał, jak jej głos rwie się. - Proszę, bądź tam. Zasłużyłam na to...

Połączenie zostało przerwane.

- To ona? - spytał Lambert.

- Tak. Wraca jutro wieczorem. Chce, żebym się z nią spotkał... Myślę, że wszystko będzie OK.

- Powiesz mi resztę za minutę. Muszę się odlać.

Lambert nie chciał ryzykować, żeby Jowett zobaczył jego podniecenie tym, co nagle sobie uzmysłowił. Ubikacja była wolna, myślał więc spokojnie, wpatrując się w wykafelkowaną ścianę. Ponieważ laptop został zniszczony, nie było dowodu - prawdziwego dowodu - że Jowett był na farmie. Za to do niego, do Lamberta, mogliby dojść po śladach. Jego ojciec sprzedał obie strzelby jakiemuś przyjacielowi, tak więc policja mogłaby je odnaleźć, a przeczytał gdzieś, że są one dla sądowych ekspertów równie dobrze identyfikowalne jak karabiny czy rewolwery. Wystarczyłoby, żeby ta kobieta zostawiła męża, wprowadziła się do Jowetta - który nie był w stanie jej odmówić - a potem dała policji anonimowy cynk. Znaleźliby powiązanie i zaczęli namierzać to, co sprzedał; a wtedy już pierwszy handlarz by go rozpoznał. Mógłby wciągnąć w to Jowetta, ale przypuśćmy, że ona kazałaby mu zwyczajnie zaprzeczyć, a nawet skłamałaby, żeby dać Jowettowi alibi? Zapewne potrafiłaby zamanipulować nim lepiej niż ktokolwiek. Byłyby wówczas mocny dowód przeciwko Gilesowi Lambertowi, natomiast, jakkolwiek podejrzliwa by nie była policja, oskarżenie przeciwko Jowettowi adwokat łatwo by obalił, gdyż nie byłoby oparte na niczym innym jak tylko na słowie Lamberta. Tak więc ona skończyłaby ze wszystkimi atutami w ręku; Jowettem w jej łóżku, a nim w pierdlu za morderstwa. Kobiety takie są...

Weź się w garść, to nie problem. Randy nigdy tego nie rozpracuje, a ona nie zrobi niczego, dopóki nie będzie go miała na haczyku... Cóż, trzeba odwrócić kolej rzeczy... Kto wie, że tutaj jestem? Tylko Randy. Powiedziałem w biurze i Victorii, że jestem w Coventry, a oni nie będą tego kwestionować. Oznacza to, że... Trzymając dłonie pod suszarką, zaczął myśleć usilniej. To mogłoby być niebezpieczne, ale co innego pozostało? Czemu mnie tak mdli?

- No, mów dalej - rzekł, wróciwszy do stolika. - Powiedziała, że chce się z tobą spotkać.

- Tak... w hotelu w Stowmarket.

- Dlaczego akurat tam? - Wolałby domek.

- Myślę, że chce, żeby to było gdzieś, gdzie nie... no wiesz. Gdzie tego nie robiliśmy. W spokojniejszych klimatach.

Lambert wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, co to za różnica... ale pojadę z tobą.

- Nie możesz! Przeczytała przecież na ekranie twoje nazwisko.

- Przecież nie będę cię tam prosił o przedstawienie mnie, głupku! Pojedziemy tam wcześniej i zwyczajnie będę siedział w barze. Nie chcę was podsłuchiwać.

- No to po co masz jechać?

- Chciałbym ją zobaczyć. Jasne? Chyba jesteś mi to winien.

Jowett chciał się kłócić, ale wiedział, że to bezcelowe; Lambert po prostu nie pozwoliłby mu pojechać samemu. Tylko dlaczego tak bardzo tego chciał? Najgorsza obawa, ta, przed którą się bronił, oszołomiła go.

- Giles, kurwa, ty chyba nie chcesz jej zabić!

Dość już się nażyłeś fantazją, zabiorę cię z powrotem do prawdziwego świata. Lambert potrząsnął głową, fałszując żałosny uśmiech.

- Ty nigdy mnie nie rozumiałeś, co? Jak długo się znamy? Naprawdę myślisz, że jestem typem zdolnym zabić każdego? - Przerwał, pozwalając sugestii się zakorzenić. - Pamiętasz, jak to było. Planowaliśmy tylko rabunek, ale nas poniosło. Tak czy nie? To nie było coś, z czego zrobilibyśmy sobie przyzwyczajenie. Nigdy nie miałem zamiaru strzelać z tej broni, ale kiedy maska mi opadła, strzelba po prostu wypaliła sama. Byłem u szczytu wytrzymałości.

- Powiedziałeś mi, że nie jest nabita.

- Wiem... Ale jak byś się czuł, gdybym powiedział ci, że jest? Była nabita, ale nie dla nich. Przemyślałem każdy szczegół tego, co robiliśmy i stwierdziłem, że farmerzy zazwyczaj mają psy. Jak się okazało, ci nie mieli, ale jeden cholerny, wielki owczarek alzacki i bylibyśmy w opałach. To jedyny powód, dla którego była nabita.

- Ale ty zabiłeś ich wszystkich... i wcale sobie potem tym głowy nie zawracałeś.

- Nie? Wierz mi, Randy. Czułem się jak gówno. Wiesz, z kim było najgorzej? Z chłopakiem. Miał więcej odwagi ode mnie. - Mrugnął i odwrócił się. - Mówiłeś mi, jak paskudne to było dla ciebie, ale nie wiesz, jak często ja myślałem o tym dzieciaku.

- Czemu mi o tym nie powiedziałeś?

- W stanie, w jakim ty byłeś? Próbowałem utrzymać cię w kupie. Jeszcze byłoby przed nami wiele latek w pierdlu, gdybym ja też wtedy

pękł. A co byśmy przez to osiągnęli? Nie mogłem ich przywrócić do życia, ale mogłem przynajmniej ochronić nasze rodziny. Gdyby nas dopadli, to by je zniszczyło. Jedyna różnica pomiędzy tobą i mną była taka, że ty to okazałeś, a ja zatrzymałem dla siebie. Ale boli mnie wcale nie mniej.

Jego głos pozostawał przyciszony i szczery, zaś jego spojrzenie, z wyjątkiem momentu, kiedy je z rozmysłem odwrócił, nie opuszczało Jowetta.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego wszystkiego.
- Nie było sensu ci o tym mówić... Fakt jest taki, że zabiłem pięć osób... Ja, nie ty. I że łatwo jest teraz powiedzieć, że powinienem się powstrzymać po pierwszej i że powinniśmy się stamtąd wynieść. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego tego nie zrobiłem, ale... cóż, nie ma sposobu na cofnięcie zegara. Szkoda.
- A więc... więc wcale nie myślałeś o... skrzywdzeniu Joyce?

Lambert znów spuścił oczy, pocierając palcami skronie, jakby nagle poczuł się zmęczony.

- Ty chyba nie słyszysz, co ja do ciebie mówię. Wiem, że zmieszałem cię z błotem, kiedy do mnie zadzwoniłeś, i że cię walnąłem, kiedy przyjechałem, ale wyobraź sobie, jak się czułem. Przepraszam za to. Ale czy powiedziałem cokolwiek, choćby słowo, coś, co sugerowałoby, że chcę ją zabić? Nie wiem, jak się z tego wykaraskamy, ale uwierz mi, nie chcę mieć na sumieniu jeszcze jednego życia. I tak mam ich za dużo.

Gdybyś mógł widzieć swoją gębę... dlaczego ja się w ogóle z tobą trzymałem? Mógłbym cię namówić, żebyś się zaciukał, gdybym chciał.

Rozdział dwudziesty

Sen zdradzał Joyce już drugą noc; choć wytęskniony, nie chciał przyjść. Uliczny ruch, głosy i życie hotelu dla kogoś przyzwyczajonego do mrocznej ciszy wsi, niespokojnego w obcym łóżku, umęczonego tym, co nie do pomyślenia, stawały się głośne i natrętne. Oczywiście nie był to dobry czas do przemyśleń - im późniejsza godzina, tym większy problem - ale niemal nie była w stanie zwrócić umysłu ku czemuś innemu. Próbowała recytować w duchu poezję, włączając w to sonet, który kiedyś sama napisała.

Dialog między umysłem mym a sercem,
Tyczący się spełnienia mej miłości,
Pokrzyżowany został z góry wielce
Taką to stanowisk stron niezgodnością.

Jakoby maskę, co niewierność kryje,
Umysł potępia słów miłosnych brzydki
Lukier, lecz z serca wszelki odpust płynie
I oczy kochanki ślepną na zbytki.

Każde oskarżenie budzi kontrargument,
Każdy nowy dowód spotyka alibi,
Lecz lato uśmiechu lubego, och, umie

Sztuki tej logicznej każdy zarzut wybić.
Gdy idzie o miłość, serce rozumuje
Wbrew intelektowi, ale zatriumfuje.

Miała wtedy dziewiętnaście lat - to był pierwszy raz, kiedy się poważnie zakochała. On był oczytanym Anglikiem i pragnęła zrobić na nim wrażenie... Teraz jednak jego imię nijak nie chciało powrócić. „Lecz z serca wszelki odpust płynie i oczy kochanki ślepną na zbytki". Ile tego odpustu mogła udzielić? Więcej niż sama wiedziała, inaczej

bowiem nie kryłaby się, a on nie byłby wolny. To niewiarygodne. Była niepozorną kobietą z dwojgiem dzieci, w fatalnym małżeństwie, ze starzejącą się matką i do tego obawiała się pierwszych objawów artretyzmu w cierpnących palcach; może i wiodła ciche życie desperatki, ale na pewno nie zgubionej bohaterki tragedii. Ponieważ miłość wciągnęła ją w zasadzkę, wszystko czego potrzebowała to romans, dla zabawy i dla samego faktu. I z tym było wszystko w porządku, bo był dla niej miły... dopóki nie wyszła na jaw prawda niczym z gotyckiego horroru, jakby zerwano mu z twarzy maskę, a ona krzyknęła na widok zgnilizny pod nią...

Dość. Zawsze jest jakieś wyjście, jakkolwiek okropne. Pośpiewaj sobie, pomódl się o sen. To w tej chwili nie taka wielka prośba do Boga... Nagły huk niszczycielskiej siły zalał więc przeszłość i zaczął cichnąć, dopóki znów nie usłyszała szeptu fal.

Gdy rozsunęła kotary, był błyszczący poranek. Wschodzące słońce rozpływało się w falującej wodzie, zabarwione na bladoniebiesko przez jasne niebo. Za drogą, na piasku bawiła się już jakaś rodzina porannych ptaszków; ojciec z dwójką synów kopali czerwoną plastikową piłkę, a matka trzymała za rączkę malutką dziewczynkę, podskakującą radośnie na płytkim skraju morza. Joyce patrzyła na nich długo, a potem zamówiła do pokoju kontynentalne śniadanie; grzeczna konwersacja na dole byłaby nie do zniesienia. Następnie wzięła prysznic, spakowała się, uregulowała rachunek i wyszła; za osiem godzin miała się z nim spotkać. Za dnia czuła się lepiej; uczucia łatwiej dawały sobą rządzić, pozostawiając miejsce jaśniejszym myślom. Kupiła w Bungay ser, jabłko oraz napój owocowy, po czym ruszyła na południe, na wpół bezcelowo, włączywszy radio dla zajęcia czymś umysłu. Zatrzymała się mając w zasięgu wzroku wiatrak, ku któremu poszła piechotą przez pola. Słońce paliło teraz, schroniła się więc w jego cieniu. Wciąż jeszcze pozostawało pięć godzin. Dobra, staw temu czoło.

Znajdź najbliższy posterunek policji i... Nie, obiecała najpierw z nim porozmawiać. A więc pozwól mu na to, a potem wytłumacz, że nie masz wyboru... ale musi mieć czas na ucieczkę, jeśli tak akurat zdecyduje. A więc nie chciała, żeby go ukarano? Ależ on ich zabił... Nie, nie zabił. On tam był, ale przeczytała przecież, jak strasznie się czuł, przeczytała, dlaczego przyjechał do Finch i jak rozpaczliwie

pragnął odnaleźć przebaczenie. Czy nie mogłaby mu, wobec tego, przebaczyć? Jak jednak by się czuła, gdyby wszyscy obrócili się przeciwko niemu i wyszłoby na jaw, że się mu oddała? Fay by współczuła, ale któż inny byłby w stanie to zrozumieć? A co te okrutne dzieciaki naopowiadałyby Rupertowi i Annabel? To wasza matka pieprzy się z zabójcami? Pamiętała, co pisały w 1990 brukowce, pamiętała swoje nimi obrzydzenie; tym razem byłoby o wiele gorzej, ją rozdarłyby na strzępy. Ale co osiągnęłaby tym, że o wszystkim by opowiedziała? Randall trafiłby do więzienia - a taki piękny jest, że kolejki ustawiałaby się do jego tyłka - życie jej i dzieci ległoby w gruzach, a Ralph i matka wyparliby się jej. Ogólne potępienie. A pięć ciał, jak spoczywało na cmentarzu, tak spoczywałoby i dalej.

Odwinęła ser i odgryzła kawałek. Dlaczego spośród wszystkich mężczyzn, z którymi potencjalnie mogłaby się przespać, pal to sześć, w których zakochać by się mogła nawet, złośliwy los wybrał akurat jego? Uczuciowo sens niby żaden, ale brać to na rozum jeszcze gorzej. Alternatywą było więc kochać go dalej, chronić go, pomagać mu stawać się osobą kompletną, a nie szóstą ofiarą Tannerslade. Oczywiście znaczyłoby to, że ten Giles, ten naprawdę nikczemny, nadal spacerowałby na wolności, ale cóż, zawsze jest jakaś cena, jakkolwiek gorzka. Jej myśli powróciły do niedzielnej nocy w domu, do bliskości jego ciała, do patrzenia z okna, jak zrywa różę, niewypowiedzianego ciepła, jakie poczuła mając wrażenie, że z wolna sprowadza go do swej intymnej przystani, powróciły do czystej radości, kiedy uniósł ją ku porannemu niebu. Jeżeli to wszystko było prawdziwe, powinno być i niezmienne. „Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”... He razy powtarzała to sobie, przekonana, że musi to być prawdą, no bo jeśli miłość zawiedzie, co pozostanie? Chciwość? Zazdrość? Zemsta?

Uśmiechnęła się nieznacznie i gorzko na myśl, jak subtelnie zniekształcać można prostotę. Fakty. Mogę zidentyfikować morderców pięciu niewinnych ludzi, w tym dwojga dzieci; a poza tym, znałam ich; prawo, którego zawsze przestrzegam, twierdzi, iż muszę powiedzieć o tym policji. Takie jest prawdziwe życie. To nie opera, nie jestem portretem umęczonej duszy. A więc dlaczego tak tu siedzę i się zadręczam? Bo się boję i wcale nie mam większego pojęcia o tym co zrobić, niż miałam przedtem. Chyba żebym mogła uciec.

* * *

Jowett czul się w domku jak w pułapce, ale Lambert nie chciał wyjechać i nie pozwalał mu wychodzić samemu.

- Będziemy musieli zaryzykować dzisiaj wieczorem, ale nie możemy być widziani razem, jeśli chcemy temu zaradzić. Pamiętaj, że mnie tu wcale być nie powinno. Jak daleko jest do tego Stowmarket?

- Nie byłem tam, ale... pół godziny?

- Ona powiedziała, że o siódmej, więc wyjedziemy stąd o wpół do szóstej. Wysadzisz mnie gdzieś i nie znamy się, dopóki nie zabierzesz mnie z powrotem.

- Nadal nie rozumiem, po co chcesz tam być. Przecież powiem ci, o czym rozmawialiśmy.

- To już przerabialiśmy. Chcę zobaczyć, co za kobitkę udało ci się zarwać. - W samochodzie zostało tylko jedno Valium, więc Lambert był zmuszony panować teraz nad swoim podenerwowaniem. - Przypuszczam, że wygląda jak buldog.

- Nie. Wcale tak nie wygląda. - Jowett poczuł, że ją broni, po części nawet poczuł się obrażony za Joyce. - Zacznijmy od tego, że w ogóle byś nie pomyślał, że ma tyle lat, ile ma. Nie zamierzam też... Po prostu jej nie oczerniaj, okej?

- No dobra... - Lambert z trudem powrócił do nastroju, jaki musiał podtrzymać. - Nie chciałem. Denerwuję się, rozumiesz? Może zmieniła zdanie i właśnie rozmawia z policją.

Jowett potrząsnął głową. - Nie okłamałaby mnie. Wiem to.

- Jasne, wszystko w porządku... Ile masz papierosów?

- Jeszcze jedną paczkę.

- Jezu. Potrzebuję więcej niż dwadzieścia, żeby przetrzymać ten dzień.

- Pójdę kupić.

- Nie ma mowy. Poradzę sobie. Pooglądajmy może jakieś gówno w telewizji.

Popadli w milczenie, które trwało do połowy popołudnia. Jowett chciał, żeby Lambert mówił coś, wyjaśniał, co planuje, szczegółowiej niż minionego wieczoru po telefonie Joyce. Gdyby ich największa nadzieja - to, że nie będzie chciała go wydać - zawiodła, Jowett miał grać na jej współczuciu i prosić o czas na wyjazd do Francji, żeby mógł

wyznać wszystko siostrze i przygotować ją na moment, kiedy to niby oddałby się w ręce policji. Powiedział Lambertowi, że ona najprawdopodobniej zgodziłaby się na coś takiego. To dałoby im parę dni, podczas których Jowett miał zorganizować jak najwięcej pieniędzy, a Lambert przelać je na swoje zamorskie konto. Potem Eurostarem przez Kanał, skryci pośród tłumu podróżnych, dalej samolotem z Paryża dokądkolwiek, jedną z mniej obleganych linii, i wreszcie na Kajmany.

- Nie jest to doskonałe - przyznał Lambert - ale nie ułatwi im to odszukania nas. Zresztą może wcale nie będziemy musieli tego robić. Skoro nie poszła prosto na policję, może i w ogóle nie pójdzie. Uruchom tylko swój urok osobisty.

Mimo ulgi, iż Lambert jest taki zdolny, Jowett wiedział, że gdyby tylko dostał on jakieś pieniądze do ręki, nic nie powstrzymałoby go od zniknięcia. Zasugerowawszy to, czuł się nie najlepiej, jak gdyby okazał brak zaufania.

- Pomyśl - odparł Lambert. - Jeżeli nie będzie mnie na dworcu Waterloo wtedy, kiedy się będziesz mnie spodziewał, pójdziesz na policję, a oni uruchomią Interpol. Wiem, że ciebie wtedy też dorwą - już ona o to zadba - ale musimy sobie ufać, Randy.

I Jowett przystał na to. No bo czemu nie? Brzmiało to dość wiarygodnie. Nie takie wyrafinowane było jak plan w przypadku Tannerslade, ale nie mieli czasu tego udoskonalić. Wśród rzeczy znajdujących się na wyposażeniu domku Lambert znalazł talię kart i nalegał, żeby zagrali w trzy karty, wista - cokolwiek, byle czymś zająć szalony umysł Jowetta.

Lambert kupił w Stowmarket egzemplarz *The Times* i złożył go tak, że siedząc na barowym stołku w Koronie wyglądał jakby rozwiązywał krzyżówkę; zdziwił się, że był w stanie wpisać szybko pół tuzina haseł. Zaraz przy wejściu znajdował się cichy, wyłożony miękkim dywanem klub, w nim zaś dwie kanapy ze sztucznej skóry i kilka niskich stolików z fotelami; wszystko w przyćmionym purpurowym świetle. Trzech mężczyzn i kobieta byli tu jedynymi klientami, dopóki za dwadzieścia siódma nie nadszedł Jowett. Nie spojrzawszy nawet na Lamberta, kupił gin z tonikiem i zasiadł w pobliżu drzwi. Zapalił

papierosa, po czym ze stojącej na stoliku miseczki zaczerpnął garść orzeszków, które zjadał po jednym. Lambert skupił się na gazecie; odpowiedź na sześć poziomo - Coppélia. Za nim głosy, łagodne skrzypce grające Andrew Lloyd Webbera i barman naśmiewający się z kelnerki, która nadeszła właśnie z restauracji obok z zamówieniem na drinki. Jeden z mężczyzn opowiedział sprośny dowcip, a kobieta roześmiała się przez grzeczność; pewnie to jej szef. Lambert sprawdził swój zegarek z klubowym; spóźniał się trzy minuty. Gdzie ona jest? Barman popatrzył na jego szklankę, by sprawdzić, czy nie chce dolewki, po czym wrócił do zabawy kieszonkową grą komputerową. Było dziesięć po siódmej, kiedy Lambert spostrzegł ruch obrotowych drzwi; Jowett opisał ją, co prawda, ale nie dość dobrze. Posągowa, rodzaj kobiety budzącej ciekawość, jak wyglądała dwadzieścia lat temu, kiedy jej piękno rozpalały cielesne żądze. Wysokie obcasy, oliwkowozielona, bawełniana bluzka, opinająca niezłe piersi, a dalej opadająca ku szerokiemu skórzanemu paskowi i długiej spódnicy. Zawahała się. Zobaczywszy jednak Jowetta, poczuła jakby ulgę i lęk zarazem. On wstał. Zamienili ze sobą kilka słów, po czym podszedł do baru i kupił St Clements z lodem. Lambert wpatrywał się w dwadzieścia trzy pionowo wytężając słuch, ale rozmawiali bardzo cicho, pochylając się ku sobie.

- Jaka ulga, że tu jesteś.
- A dlaczego miałoby mnie nie być?
- Bo mogłeś uciec ode mnie... Mogę? - Wskazała papierosy. Gdy ujęła jednego między niedoświadczone palce, podpalił go jej. Kaszlnęła. - Przepraszam. Od lat nie paliłam. Nie myślałam, że jeszcze coś mnie do tego pociągnie.

Zaciągnęła się po kilkakroć, od razu wypuszczając dym. Przyglądała się mu badawczo i ciekawie, jakby był kimś, kogo znała bardzo blisko, a kto stał się jej całkiem obcy. Jemu jednak nie przychodziły do głowy żadne słowa.

- Gdzie byłaś? - zapytał wreszcie.
- Niedaleko... Ale droga powrotna dłużyła mi się cholernie. Po prostu musiałam pobyć trochę sama po tym... - Ledwie zapalonego

dorchestera zgasiła w popielniczce z ciętego szkła, niecierpliwie, jakby poproszenie o niego było chwilową słabostką. - Zanim cokolwiek powiem, chciałabym, żebyś mi przysiągł, że opowiesz mi całą prawdę. Nie mówiąc mi tego okłamałeś mnie. Musisz mi obiecać, że od teraz będziesz szczery, bo, na litość boską, zasługuję chyba na to... w innym wypadku pójdę zaraz stąd.

- Nie rób tego. Proszę. - Siedziała plecami do Lamberta, Jowett widział więc, jak Lambert zerka na nich od czasu do czasu. - Obiecuję.

Patrzyła mu w oczy, usiłując dojrzeć w nich oszustwo. - Dobrze. Dziękuję. Najpierw muszę wiedzieć, czy... W tym, co tam napisałeś, przeczytałam, że to nigdy nie było planowane jako mord... Nie przerywaj. Napisałeś, że Giles powiedział ci, że broń nie jest nabita i że byłeś przerażony, kiedy to się stało. To prawda?

- Tak. - Dla podkreślenia rozłożył ręce. - Po co miałbym kłamać, kiedy o tym pisałem? Nikt nie miał tego widzieć, ale kryłem się przed tym sześć lat i... wielu rzeczy nie umiem wyjaśnić. Chciałem zapisać to, przeczytać potem... Myślałem, że to mi pomoże.

- I pomogło?

- Trochę... przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem. Zacząłem myśleć, że powrót tutaj również będzie pomocny.

- Ale to, co zaszło między nami, odwróciło od tego twoje myśli? - Jej głos brzmiał lekko uszczypliwie.

- Nie - odrzekł po prostu. - Nie rozumiesz? Nic, czegokolwiek bym nie zrobił, nie jest oddzielone od tamtego dnia. To... opętało mnie. - Przy barze Lambert zamawiał kolejnego drinka.

- A więc jeżeli napisałeś, że było to dla ciebie bolesne, to tak było naprawdę?

- Czytałaś fragment o tym, jak próbowałem się zabić? - Skinęła głową. - Nie wiem, na ile dobrze wytłumaczyłem to, jak się czułem, kiedy nie potrafiłem dać sobie z tym rady, ale brak odwagi, żeby to zrobić sprawił, że znienawidziłem siebie jeszcze bardziej. Finch było już ostatnim miejscem, gdzie mogłem pójść. Gdyby nie powiodło mi się tutaj, z tobą, może znalazłbym odwagę, żeby spróbować znowu. Przynajmniej raz na zawsze by się to skończyło.

Zastanawiała się, jak wielki grymas bólu pokazał się w tym momencie na jej twarzy. - Ale ty ich nie zabiłeś?

- Nie! Musisz mi uwierzyć.

Oparłszy łokcie o stolik, uniosła dłonie do warg i spuściła zakłopotane oczy. Zapragnął wyciągnąć rękę i dotknąć jej, lecz bał się odrzucenia.

- No dobra, wierzę - powiedziała w końcu. - Ale co się stało potem? Po tym, jak powiedziałeś mu, że już nie chcesz mieć z tym nic wspólnego.

- Wyjechałem. Próbowałem uciec od tego. O ile wiem, Giles zatrzymał to, co ukradliśmy, a ja nie chciałem go więcej widzieć. Nie obchodziło mnie, co zrobi.

- Ale spotkałeś go potem. Na Moorgate. Czytałam o tym. Randall zaczął obracać w palcach paczkę papierosów.

- Tak, ale to było spotkanie przypadkowe. Nawet nie wiedziałem, że mieszka w Londynie.

- Opowiedz mi o nim.

- Po co?

- Bo zrobił z ciebie kogoś, kim wiem, że nie jesteś. - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Jak mogłeś mu na to pozwolić?

Spojrzał na nią, pomimo chęci patrzenia gdzieś w dal.

- A... tak jakoś...Jest bardzo sprytny, a ja... Nigdy siebie nie zrozumiem, ale on potrafił tak wszystko dobrze ustawić, że pozwoliłem mu się przekonać. Potrzebuję przebaczenia nie za to, co zrobiłem, ale za to, czego nie zrobiłem. Od samego początku powinienem mu powtarzać, żeby dał sobie spokój, albo przynajmniej próbować powstrzymać go, kiedy to się działo. Sam też powinienem to rzucić.

- Myślisz, że on jest zły? Nie opisałeś go jako takiego.

- Gdybym napisał, że jest zły, czyż nie byłoby to jak szukanie dla siebie wymówki? On jest... twardy, uparty, znasz ten typ. Takim się wiedzie, bo mają gdzieś ludzi, których krzywdzą. Tylko że on jest chyba jeszcze bardziej skrajny.

- Nie bał się, że go zdradzisz?

- Jakbym mógł? Gdyby policja go złapała, zaraz by mnie w to wciągnął, nawet gdybym to nie ja im doniósł. Przeraziłbym się słysząc, że go mają, bo wiedziałbym, że jestem następny.

Pociągnęła szybko drinka, a potem otworzyła torebkę i wyjęła z niej chusteczkę, którą wycierając nos, szybko otarła także po kolei każde oko.

- Wiem dokładnie, co powinnam zrobić, ale... - Czknęła nieznacznie. - Cóż, jeżeli nie wierzyłeś wcześniej, kiedy ci powiedziałam, jak bardzo cię kocham, mam nadzieję, że teraz to zrozumiałeś. Nie potrafię znieść myśli o tobie... Proszę, przysięgnij, że mówisz mi prawdę!

- Czytałaś prawdę. - W tym momencie Lambert dostrzegł, jak Jowett ujmuje ją przez stolik za rękę. - Przyjechałem tu zobaczyć, czy dam radę się pozbierać, ale spotkanie z tobą wprowadziło mnie wjeszcze większe zakłopotanie... Nigdy nie byłem kochany, nie wiem, jak to jest. - Wzmocnił swój uścisk. - Nie mogę powstrzymać cię przed pójściem na policję, ale jeśli to zrobisz, będzie po mnie. Wiele czytałem o więzieniu i wiem, że na pewno bym się zabił, gdybym się tam znalazł.

Westchnęła. - Ja też to wiem... Co wobec tego robimy?

- To zależy od ciebie... Ja w każdym razie nie uciekłem.

- Nie uciekłeś. - Uśmiechnęła się. - Dzięki ci za to... Potrzebuję więcej czasu, dobrze? Na razie moje sumienie rozdziera mnie na kawałki. Będę musiała się przekonać, czy potrafię się z tym pogodzić. Obiecuję, że niczego nie zrobię... ale musisz mi obiecać, że zostaniesz w domku. Przyjadę do ciebie jutro wieczorem. Wtedy pogadamy jeszcze raz. I proszę, nie przychodź do mnie do domu... Racja, ty przecież nie wiesz, że widziała nas moja matka. Nie wiesz o tym, no nie?

- Nie. - Wyglądał na zakłopotanego. - Ale faktycznie, kiedy poszedłem cię tam szukać, najwyraźniej coś wiedziała. Próbowałem pojąć, dlaczego jej powiedziałaś.

- Nie powiedziałam, ale kiedy mówiliśmy sobie do widzenia w poniedziałek rano... To bez znaczenia. - Uniosła jego dłoń i pocałowała ją. - Dlatego chcę się z tobą spotkać, kochany. Modlę się, żebym mogła. Dla nas obojga.

Lambert popatrzył, jak wychodzi, odczekał chwilę, złożył gazetę i podążył za nią. Jowett znalazł go na rynku, przy MG; Lambert widział, jak Joyce odjeżdża, i zanotował jej numery.

- No i? - spytał.

- Chce więcej czasu.

- A po co?

- Żeby to przemyśleć... Ale nie chce mnie wydać.

- Tak powiedziała?

- Tak... No, może nie dokładnie takimi samymi słowami, ale jestem pewien, że nic.

- No to na co jej czas?

- Powiedziała, że chce jeszcze pomyśleć. Jutro wieczorem przyjdzie do domku, żeby znów pogadać.

Lambert odwrócił się i wrzucił *The Times* do stojącego przy samochodzie kosza na śmieci.

- Jesteś pewien, że nie puści pary z gęby?

- Na razie tak... aczkolwiek mogłaby zmienić zdanie. Ale jestem pewien, że się zgodzi, jeśli poproszę ją o czas, żebym mógł powiedzieć o tym Ruth. Tak więc nadal będziemy wygrani. - Otworzył drzwi samochodu. Wsiedli.

- Wiesz co - rzekł Lambert. - Może ona i przegina trochę, ale dupcia to z niej niczego sobie. Jaka była w wyrku?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Lambert roześmiał się.

- Faceci, z którymi pracuję, wyznają zasadę, że wygrywasz wtedy, kiedy przeleciałeś więcej ptaszyn niż prowadziłeś samochodów. Ja jestem trzy do przodu. A u ciebie jaki wynik, Randy?

Uśmiechnął się grubiańsko, kiedy Jowett nie odpowiedział, a potem zerknął w lusterko i odjechali.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Groby stały na razie nagie, ale już w przyszłym tygodniu miały pokryć się rocznicowymi kwiatami, nie tylko od Trevora i Janet Godwinów, ale i od innych mieszkańców wioski; Joyce i Fay zawsze kupowały je razem i razem przystawały na kilka minut pod cisami, by powspominać, świadome, że nim wrócą do swojego codziennego życia, ból niemal minie. Teraz Joyce była sama, siedziała na ławeczce, skupiając uwagę na szaroburym kocie, podkradającym się delikatnie przez wysoką trawę do niczego nie podejrzewającego drozda; klasnęła mocno w ręce i ptak odfrunął. Koci łeb skoczył raptownie za owym trzepoczącym poruszeniem, lecz zatrzymał się zaraz, bo, widać, przed zwróceniem się ku Joyce i przytruchtaniem po pieszczoty, trzeba było nieco się obmyć.

- Ty łobuziaku - mruknęła Joyce, głaszcząc mruczące ciało i sztywny, drżący z rozkoszy ogon. - Mało cię karmią w domu, co?

Najbliższym nagrobkiem był ten Cheryl i dzieci. Siwy marmur pocętkowany sześcioma zimami stanowił widzialny znak rozkładu ciał pod ziemią. Jako dziecko Joyce wyobrażałaby ich sobie w bieli, uskrzydlonych, szybujących w jakimś bliżej nieokreślonym pastelowym niebie; natomiast teraz myślała o nich jak o nieuchwytnych duchach w nieznanym wymiarze. Czy byli świadomi tego, co się zdarzyło, czy oczekiwali od niej nałożenia kary na winnych? A może nie miało to teraz dla nich żadnego znaczenia? Tak czy owak, nie było żadnych znaków, żadnych wewnętrznych ani zewnętrznych głosów, które mówiłyby jej, co należy robić. Jedyne, co dawał cmentarz, to miejsce odosobnienia, miejsce do kontemplacji tego, co w przypadku Jowetta było zbrodnią, a w jej przypadku zwykle zwało się grzechem. Ale groby nie miały pretensji. Decyzja, kiedy zapadła, nie była ani dobra, ani zła, tylko instynktowna, a kiedy Joyce spojrzała na wyrzeźbione

imię Cheryl, nie było łez, nie było potrzeby przebaczenia. Cheryl zrozumiałaby, że kochać kogoś tak głęboko to rzecz cenna. Zegar wybił jedenastą i uzmysłowiła sobie, że siedziała tam od blisko dwóch godzin. Myślała o pójściu prosto do domku, ale chciała mieć więcej czasu w samotności, by pomyśleć o konsekwencjach swojej decyzji. O rym, jak mu wyjaśnić, jak stawić czoła bolesnym problemom praktycznym i uczuciowym... Jak to było u Chestertona? „Ruina buduje okna". Wyłaniając się z mrocznego chaosu, wyczuła możliwość światła.

Lambert pozwolił Jowettowi wyjść po coś do jedzenia, whisky i więcej papierosów. Zadzwonił jeszcze raz do biura, informując, że kryzys u jego matki już minął, ale nadal jej stan jest poważny; powiedział, że być może do poniedziałku wróci. Do Victorii dzwonić nie było potrzeby; i tak była mu wdzięczna, że nie ma go w domu. Czyżby jakiś kochanek? Brak dowodu nie podminował wcale takiego jego przekonania, bo była na tyle przebiegła, żeby to ukryć; odkąd zabierano Becky do przedszkola, był pewnie niejeden... Fizycznie otrząsnął się z tych obrazów. Klaustrofobię, jaką odczuwał w domku, pogłębiło jeszcze przebywanie w obcym świecie. W Londynie było się anonimowym, natomiast całe zaściankowe Finch przepełniały obserwujące oczy. Trzymał się więc z dala od frontowych okien, żeby go nikt nie zobaczył i nie mógł potem sobie przypomnieć.

Do późnej nocy leżał nie śpiąc. Broń już znalazł - w kuchni był nowy nóż do mięsa, ostrze zostawiło cieniutką smużkę krwi, kiedy przejechał nim eksperymentalnie po palcu - i żadne z nich nie było na to przygotowane. Jowett przyjął do wiadomości jego fałszywe poczucie winy i zaprzeczenia co do tego, że kiedykolwiek chciał ją zabić, zaś ta kobieta nie miała pojęcia o jego obecności. Zaatakowanie ich razem byłoby niebezpieczne, ale gdyby któreś poszło na górę skorzystać z łazienki... Gdzieś nawet czytał o tym, jak tego prawidłowo dokonać. Mocny cios - ciało było nadzwyczaj oporne - i do góry, zaraz pod żebro. Potem tylko zająć się drugą osobą... i po sprawie.

Starając się odegnać od siebie powracające uczucie strachu, z którym mógł przez to nie przejść, rozważał ewentualne problemy. Po

całym domu rozsiane były ślady jego pobytu; rzeczy, z którymi wchodził w kontakt, łóżko, w którym spał. Musiałby więc wytrzeć każdą powierzchnię, jakiej dotykał... A potem podpalić to miejsce. Poczekać do nocy, spuścić z baku MG benzynę, nasączyć nią pościel na łóżku, dorzucić te stare leżaki i coś jeszcze, co by się szybko spaliło, razem z ciałami. Budynek był już stary, belki suche... i była kuchenka gazowa. Z kaplicy w sąsiedztwie nie korzystano, a Jowett mówił, że para z przyległego domku to inwalidzi - żona obłożnie chora, mąż półgłuchy. Do samego kościoła w okolicy nie było innych domów i nikt o niczym by nie wiedział aż do chwili eksplozji, a najbliższa straż pożarna była na pewno daleko stąd. Do chwili przyjazdu policji niemal nic by nie zostało.

Kwestia ucieczki? Ogień podłożyłby gdzieś koło drugiej w nocy i z mapą Jowetta skierowałby się na Bury St Edmunds. Chodzenie po nocy byłoby niebezpieczne, tam gdzie to możliwe, musiałby unikać dróg, ale w chwili, gdy dotarłby do miasta, już by się zrobiło jasno i nikt nie zwróciłby uwagi na mężczyznę zdążającego na wczesny pociąg. Jego saab stał tam teraz, zaparkowany nieopodal centrum miasta. Ktoś mógł go tam widzieć, ale dlaczego miano by go zaraz łączyć ze śmiercią dwóch osób w Finch, parę kilometrów dalej? Tylko spokojnie. Na wyjeździe spędziłby jeszcze jeden dzień - kupiłby ubrania i wziął jedną z walizek Jowetta, by stać się kolejnym biznesmenem piszącym się na łóżko i śniadanie tam, gdzie przyjmują gotówkę nie prosząc o dowód tożsamości - a potem mógłby już wrócić do Londynu. Grubymi nićmi to szyte, nie tak jak Tannerslade, ale wtedy mieli wiele tygodni, żeby to zaplanować i udoskonalić; tym razem wszystko tworzone było w stanie pogotowia.

Słabe strony dało się jednak przeboleć. Nikt nie wiedział, że przyjechał do Finch; po pożarze sądowi eksperci mogliby mimo wszystko znaleźć ślady przebywania w domku jeszcze jednej osoby, ale i tak był dla nich nieznany. Jedyne powiązanie między Gilesem Lambertem i Randallem Jowettem to Cambridge... chyba żeby coś było w mieszkaniu Jowetta. Policja od razu by tam pojechała; czyżby ten dupek coś jeszcze pozapisywał? Trzeba by go zapytać, robiąc z tego część planu wspólnej ucieczki. Świetne w Randym było to, że nie potrafił kłamać. Ale jeśli faktycznie coś było... Jak będzie, wtedy się zastanowi.

Potem po prostu dalej upłynniałby towar, dopóki nie miałby dosyć. Żałowałby później jedynie tego, że nie dało się znaleźć metody na zamordowanie swojej żony, metody dającej nadzieję, że ujdzie mu to na sucho. Chyba żeby któregoś dnia życie zetknęło go z płatnym zabójcą; o, to byłby dobry sposób na zamknięcie rozdziału. Tyle że to mrzonki; teraz musi skoncentrować się na zagrożeniach kilku najbliższych godzin.

Usłyszał podjeżdżający samochód i na wypadek gdyby był to jakiś niespodziewany gość, wycofał się do kuchni, ale wtedy usłyszał wołanie Jowetta, jakby zaniepokojone potwierdzeniem, że nadal tu jest.

- Nie spieszyłeś się.
- Była kolejka. To mały sklepik.

Lambert wyjął z papierowej torby butelkę whisky i przekręcił nakrętkę. Nalał pół kubka, po czym dopełnił go wodą z kranu. Alkohol też mógł być użyty na rozpałkę.

- O której ona tu będzie?
- Już ci mówiłem. Powiedziała tylko, że wieczorem. - Jowett spokojnie wkładał rzeczy do szafek. - Pewnie o siódmej.

Lambert spojrzał na zegarek; osiem godzin trzymania Jowetta pod kontrolą, zmagania się z tym jego dziwacznym sumieniem. Przez chwilę pomyślał, żeby po prostu go zabić, mieć to za sobą, a potem już tylko czekać na nią, aż przejdzie przez drzwi. Istniała jednak możliwość, że zadzwoni i zmieni ustalenia, może nawet nie przyjedzie. A musiał mieć pewność, że będzie mógł rozprawić się z obojgiem naraz.

- Kupiłeś jakąś gazetę?
- W drugiej torbie są. *Times* i *Telegraph*.
- Powinieneś kupić wszystkie. Czymś tu, w mordę, trzeba zabić czas.

Obrawszy swą drogę, po tak wielu katuszach podjąwszy wreszcie decyzję, Joyce czuła się pokrzepiona. Potrafiła nawet wmówić sobie, że tak okropny sekret może ich ze sobą związać. Najpilniejszym jednak problemem, takim, którego najchętniej by uniknęła, było wytłumaczenie wszystkiego Fay. Prawda nie wchodziła bowiem w grę, a jej kłamstwa były na wskroś do przejrzenia.

- W porządku, przyznaję, że to wszystko to szaleństwo. - Widząc zamęt Fay, zmieniający się od zniecierpliwienia po gniew, pozostała przy opornym przytaknięciu. - Ale to i tak lepsze widoki na przyszłość, niż mam teraz. Nie sądzisz?

- A pewnie, do diabła! - rzuciła Fay. - Nie wiem tylko, od czego mam zacząć? Znienawidzi cię twoja matka. Ralph jest na tyle porąbany, że zażąda dzieciaków, choć wcale ich nie chce, niech więc Bóg ma tych dwoje w swojej opiece. Mówiłaś mi kiedyś, że Ralph kontroluje pieniądze. Znajdzie więc jakiegoś przedsiębiorczego gnojka prawnika, który zmusi cię do walki o każdy grosz. Wielu ludzi odwróci się wtedy od ciebie. I dla kogo to wszystko? Dla jakiegoś o całe lata młodszego faceta, z którym poszłaś do łóżka, a o którym nadal gówno wiesz... I skąd, do diabła, wiesz, że się zgodzi?

- Po prostu wiem. Zgodzi się.

- Ale po co ci to? Boże wszechmogący, przecież wszyscy ci powiedzą, że cię kochają, jeśli tego trzeba, żebyś zmądrzała. Nie przekonałaś się o tym jeszcze?

Joyce spuściła oczy, kręcąc obrączką na palcu.

- Najwidoczniej nie umiem tego wyjaśnić. Ciebie też stracę?

- Nie. Nigdy. Ale nie spodziewaj się, że będę się cieszyć... No i nie powiedziałaś mi jeszcze, co się takiego stało, że wyjechałaś. Co on ci, u diabła, nagadał? We wtorek wyglądałaś, jakbyś chciała się zabić, a teraz jest czwartek i nagle on jest jedynym facetem w twoim życiu, którego pragniesz... Czemu mnie okłamujesz? No, powiedz!

Joyce wzdrygnęła się, gdy Fay, sfrustrowana, pochwyciła ją, głęboko i natarczywie wpijając palce w jej ramiona.

Odparła niczym zapłakane, schwytane dziecko, ze spuszczoną głową: - Tu nie ma nic do powiedzenia. To, co zdarzyło się w poniedziałek, to nieporozumienie. Już to rozstrzygnęliśmy. I wszystko jest w porządku.

Fay przyglądała się jej badawczo, jakby próbowała dojrzeć przez łzy ukrytą prawdę. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie jest w porządku. Dobrze o tym wiesz... ale nie będę mogła ci pomóc, jeśli mi nie zaufasz.

- Nie potrzebuję pomocy.

- Ależ tak, potrzebujesz. Kiedy to sobie uświadomisz, po prostu zadzwoń do cioci Fay. - Przytuliła ją. - Wystarczy, dość kłótni.

To straszliwie niewłaściwe, ale... Cóż, mówiłam, że możesz się rozbić i spłonąć. Chcesz pogadać o konkretach? Chyba nie planujesz spakować się i odejść dzisiaj?

- Oczywiście, że nie. Najpierw muszę porozmawiać z Rupertem i Annabel. Bóg wie, ile z tego jeszcze będzie komplikacji. Nigdy tego nie poukładam... Weekend mi został na wielkie piekło...
- Zamierzasz powiedzieć Ralphowi, że od niego odchodzisz?
- Tak. Może nie zamknie mnie na strychu, ale on i mama na tortury wezmą mnie na pewno.
- Wiesz, że zawsze możesz przyjść i zostać u nas.
- Dzięki.
- A co z Randallem? Będzie tu jeszcze, tak?
- Nie. Widzę się z nim dzisiaj wieczorem. Poproszę go, żeby wrócił do Londynu, a sama... wezmę na siebie najgorsze. Zrozumie.
- To ty będziesz zmagać się z całym tym gównem, a on się odsunie?
- Nie, to nie tak. To ja muszę sobie z tym poradzić. On... on będzie tam.

Fay potrząsnęła ze smutkiem głową. - Mam nadzieję, że się nie mylisz, kochanie, ale jedyne, co w tym widzę dla ciebie, to zgryzoty.

Parne popołudnie wlokło się leniwie. Finch, oszołomione żarem niczym z kotła, coraz bardziej stawało się nieruchawe. Odkąd koty popadały jak długie i zamarły, a psy powywalały na wierzch jęzory, tylko latające owady poruszały się w gorącym powietrzu; cegły paliły pod dotykiem, jakby wprost z pieców wyjęte, a oślepiające światłem słońce stało w miejscu rozmazując horyzont.

Rozebrany do szortów pożyczonych od Jowetta, Lambert pocił się stojąc tuż przy otwartych tylnych drzwiach letniskowego domku. Nie ryzykował pokazywania się w nich, gdyż mógłby go ktoś zobaczyć. Zresztą pożytek z tego byłby i tak niewielki, to, co na zewnątrz, nie raczyło bowiem dobrodziejstwem powiewu. Przetoczył zimną puszkę piwa po klatce piersiowej i przełknął ostatni łyk. Powinien dokonać tych zabójstw niemal nago, żeby nie było niebezpieczeństwa, że zostaną ślady krwi na ubraniu; jeszcze jeden ważny szczegół. Potem kąpiel w wannie - w domku nie było prysznica - przed przygotowaniem

do podpalenia. Powróciło świerzbienie strachu, tym razem trudniejsze do zwalczenia. Owszem, istniało ryzyko, lecz nie tak wielkie jak w przeciwnej wersji; nic w życiu nie jest idealne, ale zawsze coś daje się poprawić. Co za sens polec bez walki? Sześć lat temu stał się mordercą i pozostał na wolności, dlaczego więc nie raz jeszcze? Ponadto gdyby udało mu się i tym razem, więcej wrogów już by nie miał. Nie mógł teraz tego sknocić.

Cofnął się w głąb domu, poszedł do kuchni i otworzywszy lodówkę sięgnął po kolejne piwo. Mógł temu podołać, ale żar i potrójna whisky zaczynały wprawiać go w ospałość - a musiał przecież pozostać spokojnym i przygotowanym na ten wieczór. Przechodząc do salonu, znów poczuł lęk.

- Co ty, kurwa, oglądasz?

Jowett leżał na sofie i gapił się w telewizor.

- Teleturniej.

- Dla bezmózgowców chyba? - Lambert spoczął na kapitańskim krześle. Dąb schłodził mu skórę, lecz niemal natychmiast do niej się przylepił. Również ubrany w same szorty, Jowett był w dobrej kondycji. Choć szczupły, brzuch miał twardy i płaski, a przedramiona wyrzeźbione smukłymi mięśniami. Najlepiej dobrać się do niego jako pierwszego, przez zaskoczenie, żeby nie spanikował słysząc jej krzyk. A jak już by było po nim, ona osłabłaby z przerażenia, kiedy prawie nagi mężczyzna z zakrwawionym nożem w ręku wpadłby niespodziewanie do pokoju. Zamarłaby pewnie, głos uwiązłby jej w gardle i nie byłaby w stanie się ruszyć. Pod piersiami wyczuć miękkie ciało, po skosie w górę, z całej siły... Między pierwszym i drugim ciosem upłynie nie więcej niż minuta. Da radę to zrobić.

- Nic innego nie ma?

- Na BBC2 może coś być. Mam przełączyć?

- Nie, raczej wyłącz to gówno.

Jowett posłusznie nacisnął guzik i telewizor zamilkł. Podniósł z podłogi *The Times*.

- Chcesz coś na ząb?

- Nie... Tak. - To pomoże wchłonąć alkohol. - Trochę tego sera i jakąś bulkę. Dzięki.

Spójrz na siebie z boku, sługusie. Nic dziwnego, że potrafiła okręcić cię wokół palca.

* * *

To była krótka cisza pomiędzy burzami, a tych szykowało się wiele. Oszklone drzwi stały otworem, ale kotary pozostawały zasunięte. Blady salon wychodził na zachód, więc słońce ledwie się go imało i parkiet na podłodze był chłodny. Jak bardzo Ralph będzie walczył o to, co chciała zabrać? Z tego pokoju jej portret jako dziecka, jej kolekcję porcelanowych naparstków, srebrną tacę po ojcu, zegar - prezent na czterdzieste urodziny od Fay i Olivera. Przebiegła w myślach resztę domu; poza jej ubraniami i książkami było znacząco mało rzeczy, które ceniła. Zbyt wiele z nich wiązało się z Ralphem. Bagaż zatem nieduży - nie licząc boleści nad dziećmi, która z pewnością przejdzie, gdy podrosną; nie było powodu, dla którego nie mogłaby być dalej dobrą matką, tyle że w inny niż teraz sposób... Na nią spada tylko część jego winy.

- Kurde - szepnęła do siebie. - Wybaczcie mi to.

Samotność była tak wszechobecna, że z pewnością już gorsza stać się nie mogła. Jej matka pozostawała niezmiennie zimna w swej dezaprobacie, niecierpliwie czekała powrotu Ralpha, by się wreszcie z tą przykrością uporać, zaś zmartwiona i zakłopotana sytuacją Fay, wiedząc, że została okłamana, czekała, kiedy Joyce powróci do zdrowego rozsądku. Tylko Randall, wystraszony i błagający, był tak samotny jak ona sama, tylko on dawał rozpaczliwą - i, bądźmy szczerzy, szaloną - nadzieję, że będzie w stanie wpleść się w marzenia, na których fałszywość pozwolić sobie nie mogła.

Zegar wybił szóstą. Poszła na górę wziąć prysznic i się przebrać. W coś lekkiego i prostego, lecz nie takiego, co czyniłoby ją ponętną. To nie pora na seks, bez względu na to, jak bardzo za nim tęskniła. Musieli porozmawiać, znaleźć grunt, na którym tylko oni mogliby się spotkać, uzgodnić, że przeszłości nie można pogrzebać, ale że trzeba ją ulokować w sercu. Wybaczeniem mogła pomóc, skoro bowiem mrok został rozwiany, można było budować. Wiedziała jednak, że owo wybaczenie nie mogło wyjść z przymusu ani z poczucia zastraszonej wdzięczności. Jeśliby Randall nie przyszedł do niej ochoczo, musiałaby pozwolić mu odejść i żyć sama, co oznaczało jeszcze większą, wszechwładną wręcz samotność.

Rozdział dwudziesty drugi

- Chyba nie planowałeś zaciągnąć ją do łóżka, co? - zakpił Lambert ze swojego jeńca, starając się odwrócić myśli od własnego rosnącego zdenerwowania. - Nie sądzę, żeby rżnięcie było w dzisiejszym menu. Nie ma więc problemu, abym został na górze.

- Mógłbyś wyjść. Nikt cię nie zobaczy, a poza tym i tak cię nikt nie zna.

- Czytaj z moich warg: zostaję. Kapujesz? Nie będę się szwendał po tej zasranej wiosze, kiedy wy będziecie tu sobie gawędzić. Ona może tu siedzieć przecież do północy. Wolę poczytać na górze.

- Nie będziesz próbował podsłuchiwać?

- A po co? Przecież wszystko mi potem opowiesz. Nie mamy czasu na jakieś tajemnice.

Jowett odwrócił się, przekonany, że Lambert i tak będzie podsłuchiwał ze schodów, więc on będzie musiał wpływać na Joyce, gdyby znów zechciała o nim pomówić.

- Przypuśćmy, że nie będę mógł jej przekonać? No wiesz, weźmy pod uwagę i gorszy scenariusz. Co wtedy?

- Będziemy się martwić, jeśli tak się stanie. Chociaż to już cztery dni, a ona nadal nie poszła na policję. Nawet jeśli powie, że postanowiła zrobić to teraz, założę się, że da ci czas na zobaczenie się z siostrą. - Lambert uśmiechnął się. - Musisz ją dobrze podejść.

- Ona nie jest taka głupia.

- Co ty powiesz... No dobrze. - Widząc nagłą urazę w twarzy Jowetta, uniósł rękę. - Miejmy nadzieję, że jest tak jak myślisz i że faktycznie łaknie cię tak bardzo. - Wziął butelkę whisky. - Zabieram to dla towarzystwa. I szklankę. A ty tu zostań i wyglądaj na nią. Może przyjechać wcześniej.

Z szuflady w kuchni Lambert wyjął nóż i idąc na górę do wolnego

pokoju ukrył go w gazecie. Za dwadzieścia siódma; miną ze dwie godziny, nim któreś z nich będzie potrzebowało wejść na pięterko. Nalał sobie drinka i usiadł oparty o drewniany szczyt łóżka, wpatrując się w przeciwległe okno i czekając na odgłos samochodu. Dlaczego musiał trzymać szklankę dwoma rękami, żeby mu się nie trzęsła? Valium by pomogło, ale... kurwa! Czym ty się w ogóle przejmujesz? Przecież to zwyczajny kutas i baba. Tylko oni stoją pomiędzy tobą i... Łatwiej było wybiegać myślą poza to, do bezpieczeństwa pewności, że znów się udało, że się przestało być Gilesem Lambertem, że się znalazło jakiś obskurny, skorumpowany kraik, gdzie biały mężczyzna z forsą ma władzę. To byłaby rekompensata za to, co tu porzucał. Chyba otworzyłby bar z dziewczynkami dla przyciągnięcia seks-turystów, zabawienia policjantów, z małym, dyskretnym hazardem na tyłach. Stałby się kimś. Nie byłoby to takie życie, jakie planował sobie w Cambridge, ale, co tam, nie zawsze wszystko musi wychodzić... Poczuł pierwsze bóle głowy.

Od ścieżki dobiegł odgłos kroków, po nim zaś kliknięcie zamka w bramie; to chyba ona. Dobrze; więc nie miała w planie się spieszyć. Usłyszał, jak Jowett otwiera frontowe drzwi, a potem stłumione głosy z pokoju na dole. Ktoś wszedł do kuchni; pewnie robił jej drinka. Nie było potrzeby słuchać; to, co sobie powiedzą, nie miało żadnego znaczenia. Musiał tylko czekać.

Joyce odezwała się od razu w chwili, kiedy Jowett powrócił z kuchni: - Chcę ci to powiedzieć wprost... Nie zamierzam iść na policję. - Podzielała reakcję w jego oczach. - Omal od zmysłów odeszłam, myśląc o tym, ale nie mogę.

- Dziękuję ci. - Wręczył jej kieliszek. - Ja nie zabiłem ich.
- Wiem, że nie. To nie ty.
- Ale na pewno wciąż mnie obwiniasz.
- Za niektóre rzeczy... ale na razie nie chcę o tym dyskutować. Usiadła pośrodku wąskiej, obitej ławeczki przy oknie, przyjmując

pozycję uniemożliwiającą mu dołączenie do niej. Ciekawe, że najgorsze mogło być rozwiązane tak łatwo. Wyglądał na wyczerpanego. Było jej żal, że tak cierpiał.

- Co wobec tego robimy? - spytał, choć o wiele lepiej by było, gdyby

rozpłakał się z ulgą, z wdzięcznością, że tak wiele do niego czuła. O wiele lepiej by było, gdyby rozumiał, dlaczego nie mogła go wydać.

- A co ty chcesz robić?

Jowett popatrzył na swój kieliszek, trzymany obiema rękami, jakby był jakąś czarą. Mówił sobie, że mu wybaczono, że jego życie może się teraz zacząć na nowo. Rozpaczliwie pragnął być sam.

- Wiesz, po co tu przyjechałem. Żeby spróbować... egzorcyzmować to. - Nie był w stanie kontynuować.

- I udało ci się... mnie raczej? - Jej oczy zmusiły go do spojrzenia na nią. - Odpuszczasz sobie winę?

- Nie. To nie byłoby właściwe. Wcale nie poczułbym się lepiej, gdybym to zrobił.

Spojrzała przez okno na Sandrę Dean prowadzoną akurat przez mamę ze zbiórki harcerek do domu. Sandra śpiewała w kościelnym chórze, wkrótce będzie na tyle duża, by móc opiekować się maluchami z niedzielnej szkółki; a gdy dorośnie, zostanie weterynarzem, jak jej ojciec. To też kawałek z życia Joyce Hetherington.

- Chcę coś powiedzieć, ale nie możesz mi przerywać. – Dalej patrzyła na matkę z córką, trzymające się za ręce, wspinające na wzgórze. - Postanowiłam odejść od męża... i dzieci, i wszystkiego, czemu poświęciłam pół mojego życia. Wiem, że to wariactwo, ale ponownie spojrzała na niego, jego twarz była obojętna. - Ale nie wolno ci się czuć jak w pułapce. Albo zrobimy to na normalnych warunkach, albo wcale. A jeśli nie możesz tego zrobić, bo mnie nie kochasz, poproszę tylko o to, żebyś sobie poszedł, dzisiaj, i nigdy nie wracał. To, co powiedziałam wcześniej, nadal będzie obowiązywać, nie będziesz więc miał się czego obawiać. To tyle mojego gadania.

Jowett poczuł się winny; nie zaufał jej, nie rozpoznał mocy jej uczuć, dlatego zadzwonił do Gilesa. Ale to najlepsze, na co mieli nadzieję; kiedy Giles się dowie, że ona dochowa sekretu, będzie mógł sobie pojechać. Ale musiał jeszcze wiedzieć...

- A co z Gilesem?

Westchnęła, nim odparła: - Moje sumienie daje mi popalić. Gdybym widziała sposób na ukaranie go, a zarazem uchronienie ciebie, chwyciłabym się tego natychmiast. On nie tylko ich zabił, on także

zniszczył ciebie. Muszę postarać się wyrzucić go ze swoich myśli... On dla ciebie i mnie nie może mieć żadnego znaczenia.

A ty nadal nie zareagowałeś na to, co powiedziałam. Przyjęłabym to ze łzami w oczach, z niedowierzaniem, z każdą z obietnic... o ile jesteś ze mną szczery. Zgodziłabym się nawet na odrzucenie i żyła z tym, bo nigdy nie potrafiłabym nienawidzić cię tak bardzo, że...

Nagle nad ich głowami rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Podskoczyli oboje. A Lambert zaklął widząc pękniętą butelkę, która wyśliznęła mu się z rąk.

- Ktoś jest na górze!
- Spokojnie. Okno jest otwarte. Pewnie wiatr rozwiał zasłony.
- Przecież nawet odrobiny powiewu nie ma!

Skoczyła na równe nogi, ale stanął przed nią.

- Pójdę sprawdzić! Nikogo tam nie ma.
- Nie bądź niemądry! To było coś ciężkiego. Ktoś się włamał!
- Nie mógłby! Przecież my tu jesteśmy.
- Od tyłu mogli nas nie widzieć. Zostawiłeś otwarte drzwi?
- Chyba tak... tak.
- Gdzie twój telefon komórkowy?
- A po co ci?
- Żeby zadzwonić na policję!
- Już ci mówiłem, pójdę i sprawdzę.

- Zostań! - Chwyciła go za rękę. - Mogą być groźni. Nie chcę, żebyś zarobił w głowę. Znajdź ten telefon i wynosimy się stąd... słyszałeś?! - Czwarty stopień skrzypiał od lat. - Chryste, schodzą na dół! Przystaw coś do drzwi... - Ponieważ nie ruszył się, porwała krzesło i zablokowała nim klamkę. - Przysuń stół... O, jest! - Przy skoczyła do leżącego na kominku telefonu. - Wezwaliśmy policję! - krzyknęła, stukając w przyciski i widząc drzwi napierające na krzesło. Jowett nadal się nie ruszał. - Już jedzie! - Nogi krzesła ześliznęły się kawałek i w drzwiach zrobiła się szpara. - Na miłość boską, stół! Prędzej... Halo? Policja! No, dalej! Tu domek letniskowy Windhover, Finch. Niedaleko kościoła. Ktoś się włamał! Próbują nas zaatakować... szybko!

Rzuciła telefon i sama pochwyciła stół. Siłą paniki udało jej się przepchnąć go po podłodze i zatrzasnąć drzwi na nowo. Z drugiej strony rozległ się okrzyk wściekłości.

- Na litość boską, co się z tobą dzieje? - Przerażona zaczęła łkać. - Zrób coś! - Krzyknęła, słysząc za plecami gwałtowne uderzenie. Przez jeden z drzwiowych paneli przebiło się ostrze noża. - Randall, proszę! Pomóż mi!

Jowett jakby nagle wyrwał się z odrętwienia. - Spływaj! Nie ma żadnego zagrożenia!

W korytarzu Lambert mocował się z nożem, który przedtem z furią zatopił w drzwiach. Ten jednak utkwił na dobre. Słyszał telefoniczną rozmowę Joyce i wiedział, że wiadomość została odebrana. Gdzie były kluczyki do MG? Jowett miał je przy sobie. Czy był czas na zabranie własnych? Jeśliby tego nie zrobił...

Pognał na górę po ubranie. Ile czasu minie, nim dotrze tu policja? Nie odważył się mieć nadziei, że wystarczająco dużo, by zdążył się ubrać. Złapał marynarkę, spodnie, koszulę i nagimi stopami wskoczył w buty. Tyłem czy od frontu? Od frontu zbyt niebezpiecznie; pozostaje mu zaryzykować ucieczkę przez pola. Zbiegł z powrotem na dół.

- Chyba poszedł! - Wciąż zapierając się całą swoją wagą o kant stołu, Joyce dyszała z przerażenia.

- Pójdę zobaczyć.

- Nie! Zaczekajmy na policję... Daj mi mojego drinka. - Uświadomiła sobie, że pierwszy raz od paru minut Jowett się poruszył. - Kto to, u diabła, był?

- Pewnie włamywacz.

- Z nożem? Usiłujący nas zabić? Nie ma mowy. To psychiczny jakiś... - W zamieszaniu przypomniała sobie coś. - Dlaczego krzyknąłeś do niego, żeby spływał?

- Kazałem mu się wynosić.

- Ale nie powiedziałeś „wynoś się”... i o co chodziło z tym, że nie ma żadnego zagrożenia?

- Chodziło mi o to, że... że nie może się tu dostać. Że nic nam nie może zrobić... że policja jest w drodze.

- To o policji to ja przecież krzyknęłam! - Odsunęła się od stołu. - Nie rozumiem cię.

W tym momencie dobiegł ich z zewnątrz pisk hamulców. Ich głowy odruchowo zwróciły się ku oknu. Zobaczyli wyskakującą z auta Christine Sheaffer. W poplamionych farbą dżinsach i koszuli, podbiegając

do bramy, mówiła coś do krótkofalówki. Gdy usłyszeli, jak wpada do domku, Joyce odciągnęła stół i krzesło.

- Policja! Gdzie jesteście?

Joyce otworzyła drzwi saloniku. - Co pani tu robi?

- Jestem z Kryminalnej. Ktoś przypomniał sobie, że mieszkam w Finch, i zadzwonił do mnie. - Podniosła krótkofalówkę. - Jestem w środku. Dwie osoby dorosłe, żadna nie ucierpiała. Moment... Jest tutaj ktoś jeszcze?

- Nie. Uciekł.
- Dawno?
- Parę minut temu.
- Widzieliście go?
- Nie. Wyszedł tylnymi drzwiami.

Krótkofalówka ponownie powędrowała w górę. - Podejrzany najprawdopodobniej uciekł. Sprawdzę lokal. - Wyłączyła urządzenie i wskazała nóż. - Czy on to zrobił?

- Tak. Próbował nas zabić.
- Proszę nie dotykać. - Usłyszeli, jak wbiega na górę do sypialni i wraca. - Nikogo nie ma. Poradzicie sobie, jeśli was zostawię? Niebawem powinni nadjechać inni funkcjonariusze. Ja ruszę za nim.
- On jest niebezpieczny - ostrzegła Joyce.
- Ja też.

Po tym jak wyszła, usłyszeli nikłe wycie zbliżającej się syreny.

Biegnąc przez puste pola, Lambert czuł się przeraźliwie widoczny, jak zwierzyna na nagiej pustyni. Okna oddalonego o pół kilometra farmerskiego domu odbijały słońce zmieniając się w namierzające go szperacze. Dotarł do przełazu i przegramolil się przezeń, rozdzierając o wystający zardzewiały gwóźdź nogawkę łopoczących spod pachy spodni. Znajdująca się za ogrodzeniem drożyna, choć ledwie na szerokość samochodu, musiała prowadzić do jakiejś sensownej drogi. Rozpaczliwy przymus kazał mu biec, lecz musiał przystanąć, żeby się ubrać. Dysząc rzucił majdan na ziemię, po czym chwycił koszulę, włożył ją i zostawiwszy rozpiętą, zaczął wciągać spodnie i marynarkę. Bez skarpet, brudny od kurzu niczym strach na wróble, rzucił się

znów do biegu. Czy nie zostawił za sobą czegoś, co by go zidentyfikowało? Klepnąwszy się ręką w pierś, wyczuł portfel w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nic innego nie było... poza jego odciskami palców w całym domku i Jowettem wystawionym na spytki. Zaczął łkać, a łzy złości mieszały się z potem. Minąwszy furtę w ogrodzeniu, zaskowytał z przestrachem, ale ciemne cielsko krowy odczłapało ciężko na bok mucząc poruszone.

Dobiwszy wreszcie do drogi, zatrzymał się na rozstaju, nie wiedząc, gdzie ma się udać; nie było drogowskazu. W którym kierunku znajdował się domek? Niemożliwym było to teraz ustalić. Nie będąc obeznanym z tą otwartą, groźną wiejską okolicą, biegł przecież na oślep. Do tej pory policja mogła już nadjechać, mogli właśnie wzywać psy i helikoptery... Błędnymi oczyma dostrzegł zmierzający ku niemu samochód. Wyszedł na środek drogi i zaczął kręcić rękoma oszalałe wiatraki. Widział tylko zarys kierowcy... to była kobieta. Zatrzymała się kilka metrów od niego, co zaraz wykorzystał podbiegając do drzwi od jej strony; bezpieczna w swym wiejskim życiu, była zbyt naiwna, by je zablokować. Krzyknęła, gdy otworzywszy drzwi jednym szarpnięciem, złapał ją za włosy i wyciągnął zza kierownicy, by bestialsko grzmocić jej głową o krawędź dachu, dopóki nie straciła przytomności. Zostawić ją w rowie? Nie, mogłaby przyjść do siebie. Puścił ją, sięgnął do wewnątrz po kluczyki, po czym otworzył bagażnik i upchnął ją w nim. Blokady na drogach? Nie mieli czasu, a poza tym, kto wiedział, że ma samochód? To było volvo, zdolne pognać aż do głównej autostrady. Kiedy zapalił silnik, włączyło się radio. Grali Sibeliusa. Wyłączył je. Nadal pozostawało pytanie, w którą stronę. Jeżeli Finch było najbliższą miejscowością, ona tam właśnie mogła się kierować... Zawrócił z piskiem opon. Kilometr dalej dotarł do skrzyżowania. Domyślał się, że w prawo - Finch było za nim - lecz żadne z czterech drewnianych ramion na szubienicznym słupie nie wskazywało Bury St Edmunds. Krzywiąc się przeszyty nagłym bólem brzucha, pogrzebał w skrytce, lecz mapy nie znalazł. Droga naprzeciwko była prosta, mógł się więc przynajmniej bardziej oddalić. Na siedzeniu pasażera leżała torebka kobiety. Gmerając przy niej palcami, otworzył ją. Żadnych papierosów, tylko portfel, do którego zerknął jadąc. W kieszonce fotografia nastolatki, chroniona plastikową błoną, w cienkich wsuwkach karty kredytowe... oraz pieniądze.

Wyciągnął banknoty i przeliczył je jedną ręką na tablicy rozdzielczej. Pięć dwudziestek i cztery dziesiątki... Samochód nagle zakołysał się i stanął w poprzek drogi. Koła uderzyły w przeciwległy krawężnik. Odchylił się do tyłu. Skoncentruj się; wypadek teraz to kretynizm.

Droga wznosiła się, zakręcała przez porzuconą kolejową linię, zaś dalej biegła na spotkanie dwupasmówki; Bury St Edmunds było po prawej. Czekając na przerwę w sznurze pojazdów, kipiał zniecierpliwiony. Gdy ucichł ryk ciężarówki, usłyszał głuchy łomot i stłumione krzyki; wykręcił się do tyłu, ale droga za nim była pusta... To ta dziwka się ocknęła. Nadjeżdżający mikrobus sygnalizował skręt w boczną drogę, ale dość było miejsca, żeby... Gwałtowne przyśpieszenie wcisnęło go w siedzenie. Łomot stał się głośniejszy, a wrzaski wzmocniły metalicznym rezonansem. Gdyby musiał się zatrzymać i usłyszałby to inny kierowca... Przed nim był oznakowany zakręt w lewo. Opony zapiszczały, gdy przyhamował odbijając w kolejną boczną drogę; po kilkuset metrach już mógł się zatrzymać w zaciszu.

Kobieta była przerażona, kiedy otworzył bagażnik, ale instynktownie próbowała usiąść z twarzą do światła i powietrza. Pięść Lamberta grzmotnęła w jej szczękę. Rozhisteryzowany frustracją, podźwignął ją i zaciągnął w przydrożny zagajnik. Jeden z nie zawiązanych butów ześliznął się. Zaklął następując bosą stopą na ostrą, opadłą gałąź. Grunt zrobił się podmokły. Poczuł zimno. Potknął się. Leżał przez chwilę sapiąc, dopóki kobieta nie jęknęła i nie zaczęła się ruszać. Tuż obok nich znajdowała się płytka, mulista sadzawka. Przygniótłszy walczącą kobietę kolanem do ziemi, wcisnął w nią jej twarz. Czas, do chwili gdy stała się bezwładna, a on padł na wznak, wpatrując się w nią, zdawał się dłużyć niemiłosiernie.

- Przepraszam. - Wyciągnął ją. Nieomal czule. Choć brutalnie potraktowana, jej twarz nadal objawiała piękno. Otarł ją z mokrych zielonych nici wodnych roślin, jak gdyby taki szacunek mógł przynieść przebaczenie. Wtedy rozpłakał się, zupełnie nad tym nie panując, nie łzami paniki teraz, lecz strachu i poczucia pustki, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. I pozostał tak przy ciele do zmroku.

Rozdział dwudziesty trzeci

Zaszokowana i ciekawska uwaga mieszkańców Finch skupiła się na letniskowym domku oraz radiowozach przed nim, migoczących kwiatami niebieskiego światła i trzeszczących z cicha radiowymi komunikatami. Kiedy pobudzone owczarki alzackie powiedziono na pola za budynkiem, zebrana w dyskretnej odległości grupka wioskowiczów zaczęła wymieniać między sobą plotki. To mogło być tylko morderstwo; związane z tym urlopowiczem Joyce Hetherington, tym powściągliwym, uprzejmym młodym człowiekiem z Londynu. Najprawdopodobniej wypytywano ją o niego, a ona, choć było tego niewiele, mówiła, co wiedziała. Czyżby morderstwo oznaczało, że na to miejsce padł jakiś zły urok nagłej śmierci? Ile to czasu już minęło? Sześć lat - rocznica w przyszłym tygodniu - i nigdy tamtych nie złapano. Cóż to za zło powróciło? W imię Boże, dlaczego tutaj?

Joyce rozdygotanymi rękami trzymała kubek herbaty. Nie smakowała jej, bo była za słodka, ale mimo to mogła pomóc.

- Muszę dać znać mojej matce - uprzytomniła sobie nagle w swym skołowanym mózgu.

- Już o to zadbaliśmy. - Inspektor współczuł, ale nie zamierzał dać jej odejść. - Posłałem kogoś do pani domu. A pani mąż?

- Jest w Londynie. Mieszka tam w ciągu tygodnia.

- Możemy się z nim skontaktować, jeśli pani sobie życzy.

- Nie trzeba. Jutro wraca. Jak długo muszę tu zostać?

- Będziemy się spieszyć, ale... Przepraszam panią.

Haggard oddalił się, bo w drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna i oznajmił, że potrzebują go w kuchni. Domek napełnił się gwarem, ludzie byli najwidoczniej we wszystkich pomieszczeniach. Ona i Jowett zostali rozdzieleni. Sheaffer powróciła już ze swojego pościgu i siedziała teraz z Joyce.

- A więc nawet go pani nie zobaczyła?
- Nie - odparła Sheaffer. - Mógł uciec wszędzie. Ale mamy bardzo dobre psy, a i helikopter już powinien być w powietrzu.
- Nie wiedziałam, że ma pani coś wspólnego z policją.
- Nie obnosiłam się z tym, ale to dlatego, że tak było lepiej dla wszystkich.
- Rozumiem. Dziękuję. - Wmusiła w siebie łyk herbaty.

Wrócił Haggard.

- Będziemy musieli wziąć od pani zeznanie, pani Hetherington, ale są pewne kwestie, które wolałbym wyjaśnić od razu.
- Już panu mówiłam, co się stało. Nic innego nie wiem.
- Od jak dawna jest tutaj pan Jowett?
- Przyjechał ósmego czerwca.
- Sam?
- Tak.
- Czy to panią nie zdziwiło?
- Zdarzali się tacy i wcześniej. W zeszłym roku też był jakiś facet sam. Przyjechał na ryby.
- A dlaczego pani tutaj dzisiaj była?

Odstawiła kubek na stolik. - Po prostu wpadłam zobaczyć się z panem Jowettem.
- A konkretniej?
- Nic ważnego... Przyszłam na pogawędkę.
- Czy to jakiś pani zwyczaj, jeśli idzie o gości, pani Hetherington?
- Zwyczaj może nie, ale... lubię być pewna, że wszystko jest w porządku.
- Ale on jest tutaj blisko od miesiąca. Wszelkie problemy z pewnością do tej pory zostałyby już rozwiązane, nieprawdaż?
- Tak... ale ja się z nim zapoznałam bliżej.
- Jak?
- Spotkaliśmy się we wsi, rozmawialiśmy. Był w zeszłą sobotę na festynie. Wiedziałam, że jest sam i... Lubię przyjaźnić się z ludźmi, którzy się tutaj zatrzymują.

Co powstrzymywało ją od powiedzenia prawdy? Bała się, że Haggard i Sheaffer będą zszokowani, czy że się ordynarnie ubawią? Przecież jeszcze dzisiaj była gotowa stanąć z tym przed mężem i matką

i nie zważać: na to, co kto sobie pomyśli. A teraz kręciła, zastawiała na siebie sidła kłamstw.

- Rozumiem... I jest pani pewna, że nikogo innego w tym domku nie było?

- Jak najbardziej. A dlaczego?

- Oczywiście to bardzo wczesne stadia dochodzenia, ale są ślady bytności tutaj jeszcze jednej osoby.

- To niemożliwe.

- Nie wie pani, z której sypialni korzystał pan Jowett? Co kryło się za tym pytaniem?

- Z tylnej chyba.

- W przedniej również spano. Znaleźliśmy tam szklankę wody.

- Zgadza się, słyszeliśmy, że ten intruz tam był. To dokładnie nad tym pokojem.

- I co, spał tam, pani Hetherington? Znalazł szklankę i nalał sobie wody? - Haggard wyczekał, ale Joyce, zmieszana, nic nie odpowiedziała. - Mówi więc pani, że pierwsze co usłyszeliście, to odgłos tłukącego się szkła, a potem zszedł na dół i nagle usiłował przedostać się przez te drzwi... tak?

- Tak.

- Ale powiedziała też nam pani, że ten nóż jest na wyposażeniu domku i że był trzymany w kuchni. Jeśli więc intruz zbiegł prosto do tego pokoju, jak wszedł w jego posiadanie?

- Mógł pójść do kuchni najpierw, zanim poszedł na górę, ale nie słyszeliśmy go.

- To możliwe - zgodził się Haggard. - Ale bez sensu. To nie był przypadkowy złodziej, który zobaczył otwarte drzwi i postanowił spróbować szczęścia. Tacy się nie uzbrajają, a poza tym kiedy widzą, że popełnili błąd i że ktoś jest w domu, wynoszą się czym prędzej. I po co włazić na górę, skoro wszystko, co warte ukradzenia, jest tu na dole? A ponadto co z tą whisky? No, chyba żeby pan Jowett z jakiegoś powodu trzymał butelkę w tym wolnym pokoju.

- On nie pije whisky - wyrwało się jej spontanicznie.

- Nie? Zapytamy go o to. - Haggard skinął głową na Sheaffer, która zaraz ich opuściła. - Zatem jeśli nie był to przypadkowy włamywacz, pani Hetherington, kto mógłby chcieć skrzywdzić panią lub pana Jowetta?

- Nikt. To niemożliwe.

- Niestety, okazało się możliwe... To się zdarzyło. - Haggard zawahał się. - Czy jest coś, czego mi pani nie mówi?

Potrząsnęła głową. - Opowiedziałam panu dokładnie to, co tu się rozegrało.

- I nic nie chce pani do tego dodać?

- Nie.

Haggard widział już zbyt wielu kłamiących ludzi.

- Czy chciałaby pani skontaktować się ze swoim doradcą prawnym, pani Hetherington?

- Co?! Po co bym miała to robić? Niczego nie zrobiłam.

- Prawdopodobnie nie, ale to co pani i pan Jowett powiedzieliście nam do tej pory, stawia bardzo wiele pytań. Zostało popełnione poważne przestępstwo i muszę być absolutnie pewien, że żadne z was niczego nie ukrywa.

- Na litość boską, zamierza nas pan oskarżyć? O co?

- W tej chwili nie mam powodu oskarżać kogokolwiek o cokolwiek. - Haggard robił się niecierpliwy. - Ale nie zostawiam niczego przypadkowi. Mieszka pani w Finch na tyle długo, żeby pamiętać farmę Tannerslade.

- Tannerslade? - Ta nazwa przeraziła ją. - A cóż to ma z tym wspólnego?

- Możliwe, że nic. Ale nigdy nie złapaliśmy tamtych ludzi i cały czas jakieś skrajne indywiduum jest na wolności. Gdyby pani i panu Jowettowi nie udało się powstrzymać go przed wtargnięciem tutaj, mógłbym teraz prowadzić śledztwo w sprawie dwóch kolejnych morderstw. Chcę go pojmać, pani Hetherington, i dopóki nie poczuję się usatysfakcjonowany tym, że mówi mi pani wszystko, co wie, jestem zmuszony zatrzymać panią tutaj.

- Nie wiem niczego poza tym, co już panu powiedziałam. - Poza faktem, że... Nie, musiała go chronić... - Dlaczego miałabym coś przed panem ukrywać?

- Jeden z moich funkcjonariuszy przyjmie pani zeznanie. Możemy to zrobić na miejscu. Proszę chwilę poczekać.

Kiedy wyszedł na korytarz, z przeciwległego pomieszczenia wyłonili się akurat Harry Pugh i Chris Sheaffer.

- Jak idzie? - spytał Haggard.

- Mówi, że kupił whisky, żeby sobie wypić wieczorem - powiedziała Sheaffer. - To mu pomaga zasnąć.

- Za głupców nas ma czy co?

- Kłamie jak z nut, we wszystkim - burknął Pugh. - Ale nie ustąpi. Przysięga, że był jedyną osobą w tym domu.

- Podpuść go, Harry. Podrzuć mu myśl, że ona nam coś powiedziała.

- A powiedziała?

- Nic, z czego byłby jakiś pożytek. Idź tam i przyjmij jej zeznanie, Chris. Ja idę się dowiedzieć, czy jest jeszcze jakiś ślad naszego nikczemnika... O co chodzi? - Odwrócił się, zatrzymany przez policjantkę.

- Właśnie byłam u matki pani Hetherington...

- To dobrze. Nie trzeba, żeby się martwiła.

- ...ale ona mówi, że oni mieli romans.

Haggard spojrzał na Pugha.

- W takim razie kłamią oboje, Harry. - Zwrócił się ponownie do policjantki. - Czemu, u licha, ci to powiedziała?

- Była tym mocno zdenerwowana. Tłumaczyła mi, że była rozgoryczona postawą swojej córki.

- Oto co się otrzymuje od życia za matczyną miłość... Daje tam sobie radę sama?

- Jest u niej jakaś znajoma. Powiedziałam, że pani Hetherington najprawdopodobniej niedługo będzie w domu.

- Nie mów za kogoś. - Odwrócił się do Sheaffer. - Zapytaj ją, gdzie możemy złapać jej męża. Chcę wiedzieć, gdzie dzisiaj był.

Gdy Haggard wyszedł z domku, w górze zaklekotał helikopter i po chwili sunął już nad polami.

Lambert patrzył, jak na zewnętrzną część jego dłoni wspina się długorogi chrząszcz, jak odnóżami, niby ślepiec, bada włosy, by ześlizgnąć się zaraz i odpełznąć. Jego oczy powędrowały ku zegarkowi; musiał tam siedzieć od ponad dwóch godzin, niemal tak nieruchomo jak ta kobieta. Dlaczego była tak różna od tamtych? Czyżby dlatego, że zabił ją własnoręcznie, pokonał w rozpaczliwej walce o życie? Broń była bezosobowym narzędziem, które nie pociągało za sobą żadnego

powiązania. I był wtedy młodszy, być może bardziej okrutny, zacieklej zdecydowany, że jego życie jeszcze się nie zaczęło i że nic może być zniszczone. Tym razem jednak przegrał, gdyż jego słabość udawała siłę. Już nie było gdzie się skryć. Jowett pęknie i cała miłość wszystkich kobiet na tym padole temu nie zapobiegnie. Najbardziej gorzką myślą była jednak ta o satysfakcji Victorii, satysfakcji, jaka odkarmi wreszcie jej nienawiść... Czy mógł pojechać z powrotem do Londynu i ją zabić? Nie miał odwagi. Podobnie jak nie miał odwagi spojrzeć w oczy groźbie więzienia, którym przeraził Jowetta. Ale jest jedna rzecz, Randy; ja mam jaja, żeby uciec.

By stanąć na nogi, trzeba było kolosalnego wysiłku. Do samochodu pokuśtykał niczym starzec.

Na ciemnym fiołkoworóżowym niebie pojawiały się letnie gwiazdy; kiedyś znał ich nazwy.

Harry Pugh bezlitośnie łamał Jowetta, chwytając się każdej chwili lęku, wytykając sprzeczności i oskarżając go o kłamstwo nawet wtedy, gdy ten mówił prawdę. To nie było oficjalne przesłuchanie, które powinno być protokołowane, lecz pierwsza runda poważnego dochodzenia, a jak Pugh raz już założył rękawice, nie zamierzał ich zdejmować.

- Bzdura, Jowett! W całym budynku znaleźliśmy odciski palców, które zgadzają się z tymi na nożu, włączając w to pokój, gdzie byliście z panią Hetherington. - De facto w tamtym pomieszczeniu policja dopiero zaczęła, ale Pugh nie czekał na rezultaty; wiedział swoje. - Tak więc dzisiaj tam wejść nie mógł! No nie?

- Widocznie wszedł!

- Z butelką whisky z pobliskiego sklepu? A kto spał w tym drugim łóżku?

- Nie wiem!

- Nie wiesz, przyjacielu? To ja powiem. Używałeś tam sobie z panią Hetherington. Randy mały kurwiarz, co? Nie mógł utrzymać łap z dala od cudzej żony. Nie było tak? Korzystałeś z różnych łóżek? Odrobina czegoś nowego?

- Niech pan jej do tego nie miesza. - Jowett zaczął płakać; to była woda na młyn dla jego dręczyciela.

- Dlaczego mam nie mieszać? Przecież była tu dzisiaj z tobą. Planowaliście jakieś dupczenie, co?

- Zamknij się!

- To był jej mąż? Ten facet na górze?

- Nie!

Pugh zaatakował ponownie: - Skoro nie wiesz, kto to był, jak możesz wiedzieć, że to nie on?

- On cały tydzień spędza w Londynie.

- Zręcznie. Cały czas chcesz się wykaraskać.

- To nie było tak. - Jowett poczuł, że pęka.

- Ale okłamujesz nas. Oboje kłamiecie. Po co? - Pomazana łzami, rozedrgana twarz Jowetta błagała o ulgę. Głos Pugha obniżył się do perswazji. - Wiesz, kto to był, prawda? Daj spokój, facet. Lepiej będzie, jak i nam powiesz. To ważne. Musimy go złapać.

- Mogę dostać trochę wody? - Jego głos aż charczał.

- Oczywiście, że możesz. - Skinieniem głowy Pugh wydał polecenie policjantowi znajdującemu się z nimi w pokoju, po czym usiadł obok Jowetta, a jego groźna obecność zredukowała się do mężczyzny z nadwagą na krześle. - Papierosa? - Wyciągnął zapraszająco paczkę. - Weź... Lepiej? A teraz bez pośpiechu. Wiemy, że był tu ktoś jeszcze, tak? I ty musiałeś go znać, zgadza się? To miało być „tak"? Dobrze, dokądś zmierzamy. Jak się nazywa? Przepraszam, jak? Giles. To twój kumpel, tak? Nie do końca kumpel... O, jest woda.

- Obserwował pijącego Jowetta. - Nie tak szybko, bo czkawki się nabawisz... W porządku. A więc nie do końca kumpel. Po co więc tu był? Kiedy przyjechał?

Nastało milczenie. Jowett zapalił. - Mogę porozmawiać z Joyce? Proszę. To bardzo ważne.

- Najpierw jeszcze kilka pytań. Gdzie mieszka ten Giles?

- Nie wiem... naprawdę. Gdzieś w Londynie. - Jowett zwrócił na nowo twarz ku Pughowi, lecz nie było w niej nic poza porażką.

- Chcę złożyć oświadczenie.

- Oczywiście możesz, ale powiedz mi coś więcej o Gilesie. Wiesz, dokąd się udał?

- Nie. Po prostu uciekł.

- Ma samochód?

- Tak... ale zostawił go w Bury St Edmunds.

- Gdzie konkretnie?

- Nie pamiętam... Zaparkował na ulicy. - Zmarszczył czoło, jak gdyby usiłował go dojrzeć. - Niedaleko był pub... Markiz jakiś tam.

- Granby? - naciskał Pugh.

- Tak. Chyba tak. To szary saab.

Pugh wykręcił głowę w stronę policjanta. - Róg Lattimore Street. Poślij tam kogoś... Dziękuję, Jowett. Skąd go znasz?

Tama pękła. W tej powodzi Jowett był już bezradny. - Joyce nie ma z tym nic wspólnego. Proszę mi obiecać, że pan temu wierzy.

- Wierzę - przytaknął Pugh. - Tylko spokojnie.

Głowa Jowetta zwisła w rozpaczy i kiedy przemówił ponownie zachrypniętym szeptem, Walijczyk musiał się wytężyć, by słyszeć jego głos. - To my byliśmy tymi z farmy Tannerslade. - Wpatrując się w podłogę, nie widział, jak oczy Pugha stają się zimne. - To miał być tylko rabunek, ale Giles zabrał broń. Ja nigdy nie chciałem, żeby zginęli.

Błagalnie podniósł wzrok i wtedy odczuł jakby eksplozję w głowie. Masywna ręka, niczym maczuga, rąbnęła go w twarz. Odrzucony w tył, krwawiąc z ust, stoczył się z krzesła.

- Ty pierdolony gówniarzu! Chryste, czekałem na to, gnoju!

Jowett próbował się odsunąć, obronnie wyciągając rękę, kiedy sierżant zbliżył się do niego.

- Zostaw, Harry! - Zaalarmowany krzykiem Pugha, do pokoju wpadł Haggard.

- To on ich zabił! - Gruby paluch drżał wściekle wskazując kulącego się pod ścianą Jowetta. - W Tannerslade. Daj mi dwie minuty, Peter. Potem możesz wrócić.

Haggard wskoczył między obu mężczyzn. - Mówiłem zostaw!

- Tam były dzieci!

- Wszyscy to wiemy, Harry. Ja też tam byłem. Dobra, niczego nie widziałem, ale teraz wyjdź stąd albo cię do tego zmuszę. Mówię poważnie. Nie przeciągaj struny.

Jowett pisnął. Pugh postał jeszcze chwilę miotając pioruny w Haggarda, po czym wyszedł.

Inspektor pomógł Jowettowi stanąć na nogi.

- Czy to prawda, co powiedział mój sierżant?

- Tak.

- A ten mężczyzna, który tu dzisiaj był, też był w to wmieszany? Skoro tak, panie Jowett, zmuszony jestem pana aresztować. Jeden z moich ludzi poinformuje pana o pańskich prawach, a potem zostanie pan zabrany do komendy głównej policji Suffolk na przesłuchanie. Może pan stąd zadzwonić do swojego adwokata.
- Muszę najpierw pomówić z Joyce.
- Obawiam się, że to w tej chwili niemożliwe.
- Ona o niczym nie wiedziała.
- Może pan to włączyć do swojego oświadczenia.

Joyce była odrętwiała, gdy odwożono ją z Ipswich o drugiej rano. Za jej plecami, uważnie się jej przypatrując, siedziała Sheaffer.

- Mogłabym zostać dzisiaj z panią, jeśli pani sobie życzy - powiedziała. - Nie chcę się narzucać, ale jeśli to pomoże... - Głowa Joyce nieznacznie poruszyła się w odmowie. - Może wezwać lekarza? Mógłby coś pani dać.
- Niczego nie potrzebuję.
- Proszę posłuchać, nie podoba mi się to, by była pani teraz sama. Wiem, że jest pani matka, ale... Na pewno nie chce pani, żebyśmy wezwali pani męża?
- Proszę przestać - błagała. - Nie mam ochoty rozmawiać.

Samochód prześlizgiwał się przez noc. Joyce wyglądała przez okno, zaś Sheaffer tylko z rzadka spuszczała z niej wzrok. Auto Lamberta zostało odnalezione. Namierzono jego adres, ale jego tam ani śladu. Rano media pokażą jego zdjęcie, ostrzegając przed zbliżaniem się do niego; lotniska i porty morskie postawiono w stan pełnej gotowości. Poszukiwany był w sprawie morderstw Bena i Annie Godwinów oraz Cheryl, Thomasa i Amandy Hood na farmie Tannerslade, w Finch, w Suffolk, w lipcu 1990 roku. Jego wspólnik już został zatrzymany i stanie przed sądem. Matka Lamberta, jak na ironię, dostała ataku serca, kiedy jej powiedziano, i znalazła się w szpitalu, gdzie rzekomo była już wcześniej. Natomiast jego żona chowała się przed spodziewaną sforą dziennikarzy w domu swoich rodziców.

Kiedy samochód dotarł pod dom Joyce, na dole paliło się światło.

- To mój numer. - Sheaffer podała jej kawałek papieru. - Proszę zadzwonić, jeśli pani zechce. O dowolnej porze.

Joyce włożyła go do kieszeni i niemal od razu zapomniawszy, że tam jest, powoli wspięła się po schodkach do frontowych drzwi. Grace drzemała w pokoju na fotelu.

- O, jesteś, kochanie. - Uśmiechnęła się z ulgą, gdy Joyce delikatnie dotknęła jej ramienia. - Policja nie mówiła mi, o której wrócisz, ale Lillian ze mną została. Kazałam jej iść do łóżka. Co się stało?
- Rano ci wyjaśnię, mamo. Jest bardzo późno.
- Ale mówili, że ktoś cię napadł. W domku.
- Wszystko w porządku... Tak ci powiedzieli?
- O tak. Byli bardzo uprzejmi. Przyjechali do mnie... To on?
- Kto?
- No wiesz. Ten, z którym cię widziałam.
- Nie. Nie on. On nigdy by mnie nie skrzywdził, mamo. Próbując się ruszyć, Grace skrzywiła się.
- Och, zesztywniałam cała... A tak przy okazji, próbowałam zadzwonić do Ralpha.
- Po co? - Jakkolwiek było to nieuniknione, Joyce czuła konsternację, że jej matka to zrobiła. - Sama bym go powiadomiła.
- I tak będziesz musiała. Nikt nie odpowiadał. Pewnie gdzieś wyszedł. Zmartwi się, kiedy mu powiesz.
- Daj spokój. Chodźmy spać.

Trzymając matkę pod rękę pomogła jej wejść wolno na górę; przy drzwiach swojego pokoju Grace przystanęła.

- Przerwiesz to... tę sprawę z nim, prawda? On nie może być tego wart, a mnie by to strasznie zabolało.

Joyce przełknęła boleśnie ślinę. - Nie sądzę, żeby... Już nie musisz się o to martwić.

Grace uśmiechnęła się i pogłaskała ją po policzku. - To dobrze. Chcę tylko, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi.

Joyce ucałowała ją na dobranoc i przeszła do swojego pokoju. Tam położyła się w ubraniu na łóżku; w ciągu kilku minut jakaś przeraźliwa forma snu odcięła ją od rzeczywistości.

Nie było sensu jechać po swój samochód; volvo na nocnych drogach było równie szybkie. Lambert kierował się na południe, skrajem Londynu, nad Tamizą mostem w Dartford, przez Kent do Sussex,

z obrazem kredowych klifów w myślach, dziecięcych wakacji i wielu, wielu rzeczy dawno utraconych. Kanał oświetlał już świt, gdy przemykał przez ciche Eastbourne, a potem pod wzgórze na Beachy Head. Niedaleko stąd był bar, gdzie całą wieczność temu bawił się na trawniku, kiedy rodzina zatrzymała się na lunch. Droga pięła się pod górę, aż jedynym, co dostrzegał, stał się stok Downs. Zjechał na krótką, gładką trawę, a przed nim pojawiło się morze.

Zatrzymawszy wóz i zgasiwszy silnik, słuchał porannych mew i odległego huku fal.

Do tej pory Jowett na pewno już im wszystko wyśpiewał. Będą na niego polować. Przydałby się papieros, ale jadąc nie chciał się zatrzymywać, żeby je kupić. No, zrób to... Powróciła twarz kobiety, tej nieznajomej, która o niewłaściwej porze wybrała niewłaściwą drogę. Ciekawe, że w jej przypadku czuł się najgorzej. Czyżby niedługo miał ją znowu zobaczyć, pośród nowo zmarłych, czy to tylko zabobon? A jeśliby ją spotkał, to czy ich także? Wkrótce się dowie... o ile to nie próg zapomnienia.

Odpiął pas i zwolnił hamulec. Przez chwilę samochód stał w miejscu. Zaraz jednak zaczął się toczyć naprzód, a głuchy turkot opon stał się jedynym dźwiękiem. Założył ręce, by oprzeć się pokusie chwycenia za kierownicę i siłą cofnął nogi od pedału hamulca. Widzisz, Randy, ja zawsze miałem jaja. Szybciej, coraz szybciej. Samochód chybotał się gnając na skraj urwiska, skraj rozmazany w drganiach. Była taka rozpaczliwa, straszliwa sekunda, że zapragnął się zatrzymać, potem jednak została tylko kompletna cisza i morze przelewające się przez pole widzenia, kiedy wóz dal nura w dół niczym szafranowa ryba. Ciężar własny Lamberta rzucił go głową o dach, tak że opadł z powrotem na siedzenie ze skręconym karkiem. Samochód przekręcił się raz jeszcze i roztrzaskał o skały. Przednia szyba rozprysła się na kawałki pochwycone zaraz przez nacierającą falę, co bryznęła srebrną kaskadą szkła i wodnego pyłu.

- Policja Suffolk.
- Dzień dobry. Nie wiem, z kim powinienem rozmawiać, ale moja żona nie wróciła do domu i...
- Chwileczkę.

- Dyżurka.
- Dzień dobry. Niepokoję się o moją żonę. Nie wróciła na noc do domu.
- Gdzie była?
- U naszych przyjaciół w Gedding. Rozmawiałem z nimi. Mówią, że wyszła stamtąd około siódmej.
- Nie wspominała im może, że gdzieś idzie?
- Nie... Chciała wyjść tak, żeby zdążyć na program w telewizji.
- Dlaczego nie zgłosił pan tego wcześniej?
- Nie było mnie. Załatwiałem interesy. Wróciłem dopiero pół godziny temu. Nasza córka jest teraz na kursie plastycznym, w przeciwnym razie powiadomiłaby mnie, że coś się stało.
- Jest pan absolutnie pewien, że pańska żona jechała prosto do domu?
- Tak. Nigdzie indziej raczej nie mogła się udać. Miała dzisiaj rano czekać na projektanta wnętrz. Nasz... Mniejsza z tym... Była umówiona.
- Czy wszystko z nią było w porządku, kiedy widział ją pan po raz ostatni?
- Jak najbardziej... Próbowałem zadzwonić do niej wczoraj koło dziesiątej, ale odezwała się automatyczna sekretarka.
- I nie zaniepokoiło to pana?
- Nie było powodu... Mogła być pod prysznicem. Zostawiłem wiadomość podając godzinę, o której wrócę.
- Próbował pan skontaktować się z innymi przyjaciółmi?
- Z niektórymi, ale nie potrafią pomóc. To zupełnie do niej niepodobne. Gdyby coś ją zatrzymało, dałaby mi znać. Martwię się, że coś się stało.
- Oczywiście jest taka możliwość, proszę pana, ale w większości podobnych przypadków ludzie znajdują się cali i zdrowi... Gdzie pan mieszka?
- W Finch.
- Finch? Chwileczkę. - Podczas pauzy słychać było jakieś stłumione, jakby ponaglane czymś, głosy. - Mogę jeszcze potwierdzić te szczegóły? Pańska żona wyjechała z Gedding około siódmej i udawała się prosto do Finch... Czy miała jechać drogą przez Ash Sounder?

- Prawdopodobnie tak. To najkrótsza droga... A dlaczego pan pyta?
- Musiałem to sprawdzić, proszę pana... Jest pan teraz w domu?
- Tak.
- Proszę wobec tego tam pozostać. Wyślemy kogoś do pana.
- Dziękuję, ale... Coś się stało?
- Widział pan dzisiejsze gazety?
- Nie. Wyjeżdżałem jeszcze przed śniadaniem.
- Nie słuchał pan wiadomości w radiu?
- Nie. Nie słuchałem... O czym pan mówi?
- Funkcjonariusze panu wyjaśnią. Nie chciałbym pana niepotrzebnie martwić, ale w pańskiej okolicy miał miejsce poważny incydent. Ścigamy mężczyznę, który być może ukradł samochód.
- O mój Boże.
- Przykro mi, że tak to panu podaję, ale to dosyć pilna i nagła sprawa.
- Czy on jest niebezpieczny?
- Tak... ale być może nie ma to nic wspólnego z pańską żoną. Czy może pan zadzwonić jeszcze do innych osób i powiadomić nas niezwłocznie, gdyby się żona znalazła?
- Oczywiście, ale... Myśli pan, że coś jej się mogło stać?
- Bierzemy pod uwagę wszystkie okoliczności. To bardzo ważne, żebyśmy wyśledzili tego mężczyznę... Halo, jest pan tam?
- Tak... w porządku. Ale ona by mnie powiadomiła, gdyby... Jak bardzo on jest niebezpieczny?
- Pan wybaczy. Jestem pewien, że pańska żona jest bezpieczna, ale musimy... Jakiej marki jest samochód pańskiej żony?
- Volvo 850, sedan... żółty.
- Zna pan numer rejestracyjny? Dziękuję. Natychmiast rozpoczynamy poszukiwania. A w międzyczasie przyjadą do pana funkcjonariusze... Jeszcze pańskie nazwisko i adres poproszę.
- Graveney. Oliver Graveney.

Od autora

Jako że powieść wymaga miejsca do jej rozgrywania się, akcję niniejszej, bez jakiegoś szczególnego powodu, postanowiłem umiejscowić w Suffolk. Pisząc ją, zwiedzałem owo hrabstwo, aż natrafiłem na wioskę, która znakomicie nadawała się do roli mojego wyimaginowanego Finch O jakieś pół kilometra od tejże wioski znalazłem farmę mogącą stanowić rzeczywiste odbicie fikcyjnego Tannerslade. Biorąc pod uwagę te okoliczności, jak również fakt, iż Uniwersytet w Cambridge i Wydział Policji w Suffolk istnieją naprawdę, spieszę podkreślić, że podobieństwo niniejszej opowieści oraz jej bohaterów do rzeczywistości może być jedynie przypadkowe.